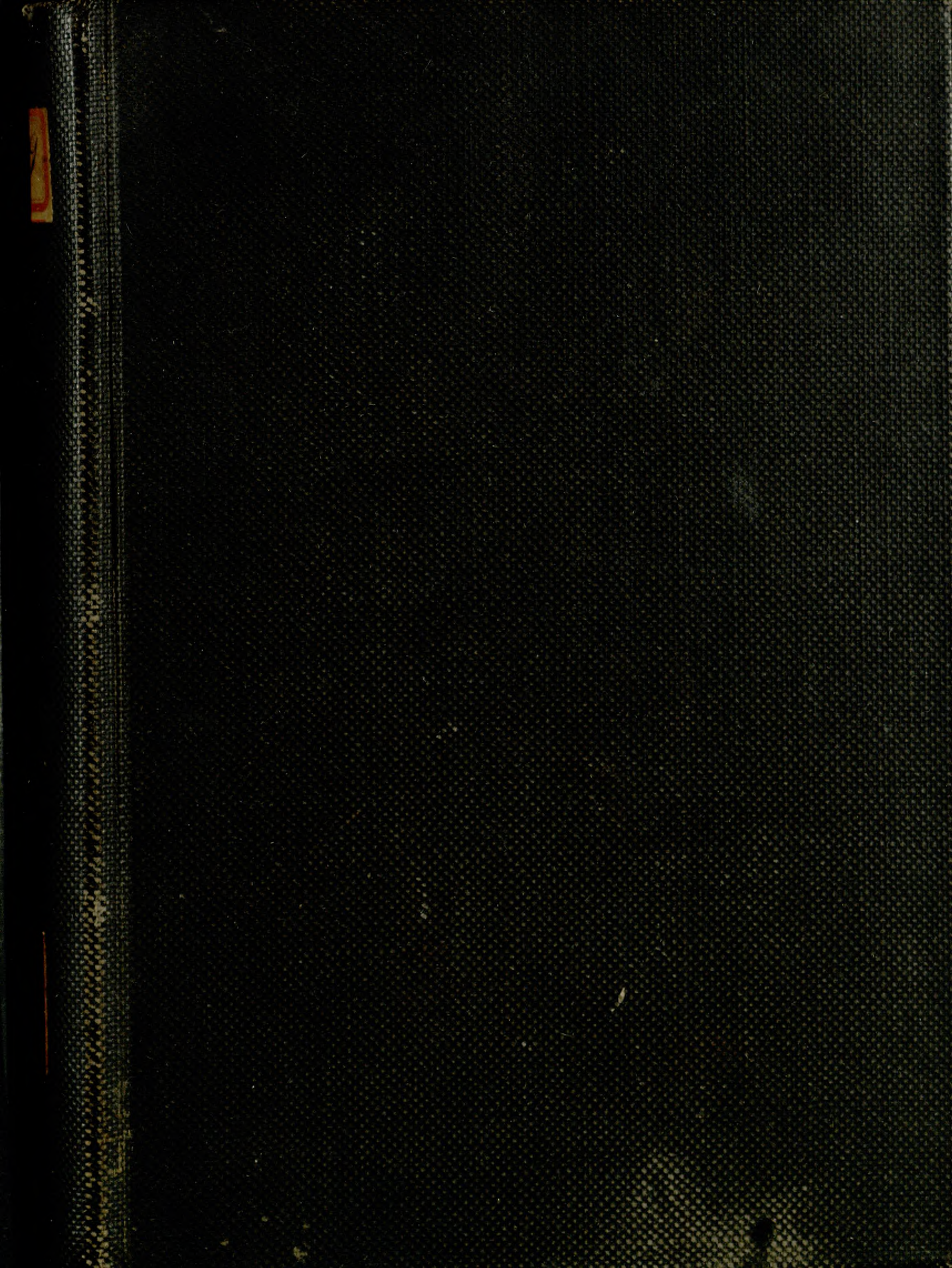


Data wypożyczenia

-16 '33

Nr. Książki D 2199 | Autor Gąsiorowski, W.

armii pols...

Dat...

BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.
1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!

II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.

III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!

IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.

V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.

VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.

VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!

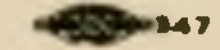
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!

IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.

X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

DEC. 1953—2M  347



WAŻNA UWAGA!
10 Prośb Książki do Czytelnika

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek!

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA

1910 – 1915

HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI

WACŁAW GĄSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

1910–1915

HISTOIRE DE L'ARMÉE POLONAISE EN FRANCE

OEUVRE EXÉCUTÉE AVEC L'APPUI DE
L'ASSOCIATION AMÉRICAINE DES VÉTÉRANS DE L'ARMÉE POLONAISE



VARSOVIE 1931
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

WACŁAW GĄSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

1910–1915

HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI

PRACA DOKONANA STARANIEM
STOWARZYSZENIA WETERANÓW ARMJI POLSKIEJ W AMERYCE



WARSZAWA 1931
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3200 NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY

№ 0742

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

BŁĘKITNYM ŻOŁNIERZYKOM,

TYM, KTÓRZY, NA ZEW OJCZYZNY, RUSZYLI CHMARĄ POD ROZWINIĘTE SZTANDARY ARMJI POLSKIEJ,

TYM, KTÓRZY ZŁOŻYLI KRWAWĄ OFIARĘ ODKUPIENIA,

TYM, KTÓRZY LEGLI ZA ZJEDNOCZONĄ I NIEPODLEGŁĄ

poświęca

AUTOR.

SPIS RZECZY

SŁOWO WSTĘPNE

Armja Polska we Francji nie poczęła się ani z inicjatywy jednostek, ani z dekretu Prezydenta Rzeczpospolitej Francuskiej. Wywodzi się ona z tego, co, jako poryw, jako dążenie, zmagających się z przemocą, pokoleń, było wiarą w czyn zbrojny, było testamentem tych, którzy pola naszych walk o niepodległość zlewali krwią odkupienia.

I stąd, aby dzieje Armji Polskiej we Francji zobrazować, trzeba sięgnąć daleko, poza chwilę, kiedy dekret prezydenta, w formę dokumentu, zaklął pragnienia, zrywających się do boju, zastępców.

Jest to zadanie ciężkie i jest to zadanie trudne.

Trudnem jest dlatego, ponieważ ogniwa tego łańcucha wypadków, który doprowadził do utworzenia Armji Polskiej we Francji, łączą się nietylko z historją ostatniej wielkiej wojny europejskiej, nietylko z niesłychanym zamętem, co poszarpaną na części Polskę wziął sobie za szranki bitewne, ale ponieważ łączą się one i z przeżyciami naszych emigracyj i ze stosunkiem tych emigracyj do mocarstw i ziem dalekich.

Jest to równocześnie zadanie ciężkie.

Każdy rzut historyczny potrzebuje oddalenia, perspektywy, spokoju i zrównoważonego sądu, który z reguły niesie dopiero znaczny odstęp czasu. Tutaj zaś wszystko żywe jeszcze, wszystko dyszące wspomnieniem dnia wczorajszego, wszystko bliskie, często spaczone uprzedzeniem, zamglone sentymentem.

Bohaterów epopei, działaczy i pionierów, budowniczych i burzycieli oglądamy i musimy oglądać zarówno pod kątem ich czynów, jak i w oprawie ich osobistych przywar i usterek, pewne zasługi znamy nie z samej tylko ich wartości, ale i z rysów ubocznych, pomniejszających tę wartość. Musimy zwalczać usiłowania wywyższania się nad innych, dobywać z zapomnienia nieznane imiona i ścierać się ze skłóceniem o wczorajsze racje stanu, z chęcią zatarcia, zamazania słabości, błędów czy tylko swych własnych potykań. Co więcej, społeczność dzisiejsza, tak bliska jeszcze tego, co się w oczach jej działo, tak oszołomiona, oślepiona, że ciągle nie rozumie, nie pojmuje, iż przeżyła momenty, o jakich napróżno roili apostołowie wyzwolenia.

Trzeba więc z góry wyrzec się nadziei, aby, pisząc Historję Armji Polskiej we Francji, aby pisząc ją dzisiaj, można dla tej pracy znaleźć taki posłuch, jaki z łatwością dałby się osiągnąć dla dzieła traktującego o czynie zbrojnym Polaków przed stu lub dwustu laty. Wolno bowiem, i najczęściej bezkarnie, sądzić i ćwiartować przeszłość, niebezpiecznem i niewdzięcznem jest mówić o współczesnych z dokumentami w ręku.

Jest atoli wzgląd potężniejszy ponad wszystkie te przeszkody. Na imię mu — troska o prawdę.

Wbrew mniemaniu, zarówno dzisiaj, jak i niegdy przed wiekami, dokumenty, świadectwa historyczne giną, znikają. Niszczy je i ząb czasu, i pożary, i ludzka nicość, i ludzka chytrość, i ludzka przewrotność. A gdy nareszcie badacz zasiędzie do pracy, gdy nadchodzi chwila na spokojne akademickie wywody, wówczas potomni dowiadują się, że zachodzi wątpliwość nawet co do koloru oczu wielkiego Napoleona, że ze stosu pamiętników i wspomnień ustalić niepodobna czyli brunetem był czy szatynem. Historyk zresztą uważany jest z reguły za zrzędę, za rozbijacza legend, budujących podań.

Ogółowi wystarczają zawsze bajki i kłamstwa, strojne w pióropusze samochwalstwa.

Już i teraz przecież jesteśmy świadkami, jak te niby tak dobrze znane wypadki, nabierać zaczynają osobliwego zabarwienia, jak często pycha samolubna przyznaje się do zasług nigdy niezdobytych.

Troska o prawdę skłoniła nas do napisania Historji Armji Polskiej we Francji. Troska zaś ta nie narodziła się z naszej własnej ambicji, lecz raczej z tego przypadku, który uczynił nas posiadaczami całego archiwum dokumentów. Tę troskę podzieliło z nami Stowarzyszenie Weteranów Armji Polskiej w Ameryce i, ze swej strony, zbogaciło jeszcze te zbiory i świadectwa.

W myśl tego założenia, w Historji naszej nie szukaliśmy ani racji politycznej, ani partyjnego triumfu, nie chcieliśmy nikogo wywyższać, ani też poniżać.

Nikogo tutaj nie zwalczaliśmy, unikaliśmy i pochlebstw, i oskarżeń, bo wogóle unikaliśmy przymiotników.

Przymiotniki są zarówno znamieniem ubóstwa stylu pisarskiego, jak i słabością każdego, na dokumentach opartego, dzieła.

Nie dociekaliśmy tego, coby się stać mogło, lub coby się stać było powinno, lecz stwierdzaliśmy jedynie, co się stało.

Odrzuciliśmy bez wahania to wszystko, co należy do sądu pokoleń, a co dzisiaj ujawnione, mogłoby jeno złości i skłócenia przyczynić.

Dla przeciwników mieliśmy spokój, i pogodę ducha, i brak uniesienia dla zwolenników Armji Polskiej we Francji, czy wyznawców zwycięstwa po stronie aljantów. Temat rozległy zniewolił nas do przytaczania jedynie tych nazwisk, których niepodobna było pominąć. Zmusił nas do lakonizmu, do ograniczenia oceny zasług poszczególnych jednostek.

A bardziej ku temu skłoniła nas ta niezachwiana wiara, że Armja Polska we Francji jest nadewszystko wiekopomnym czynem bezimiennej gromady, że więcej w tej przełomowej chwili dokonał cichy, nieznany, ofiarny żołnierz-ochotnik, aniżeli ten, kto miał szczęście ponad tę gromadę się wzbić i blaskiem zasługi niepoczesne swe imię okryć.

Jak całe pokolenie dzisiejsze, przed którem otwarły się zaczarowane wrota wolności, tak i my uczuwamy tragizm ziszczenia ideału.

I my, niezawodnie, również zgrzeszyliśmy przeświadczeniem, że dość by opadły kajdany, by dźwignęła się z grobu Zjednoczona i Niepodległa, aby natychmiast ustały i własne nasze udręki, gorycze i zawody. I my niezawodnie nie przeczuwaliśmy, że nietylko na walkę o wyzwolenie trzeba poświęcenia bez granic, ale trzeba będzie tego poświęcenia i samozaparcia i później, na lata całe utrwalania bytu Państwa Polskiego. Więc i nam snadnie żółć mogła trysnąć pod pióro i mgłami rozterki przesłonić bystrość spojrzenia, boć i my nie tak roiliśmy o tych pierwszych chwilach szczęścia narodowego, nie tak wyobrażaliśmy sobie pierwsze lata naszego niepodległego bytowania.

Aleć to zabarwienie, stanowiące raczej rys naszej epoki aniżeli pogląd osobisty, dziejopis przyszłości z łatwością wykryje, wyczuje i odrzuci, a natomiast weźmie jedynie to, co jest w naszej pracy ścisłem ustaleniem historycznych momentów.

Szczerość nakazuje nam przyznanie się i wyznanie przeczucia, które sekundowało całej tej pracy.

Na kartach historji można znaleźć mnóstwo przykładów miłości ojczyzny. Od dziejów starożytnych aż po dni dzisiejsze, wiele narodów szczyci się bohaterskim wysiłkiem najlepszych swych synów, którzy w godzinie zagłady chwytali za broń, ciałami grodzili drogę nieprzyjacielowi, zrywali się

gromadami i szli ofiarnie na zagrożone granice. Historja Polski, zwłaszcza ta najtragiczniejsza, ta porozbiorowa, wlokąca się przez dziesiątki lat od jednej hekatomby do drugiej, od porywu do porywu, od jednego do drugiego męczeństwa, ona przedewszystkiem zdawała się już ogarniać wszystko, co bezmiar umiłowania ziemi ojczystej zdolen jest z serc szlachetnych wykrzesać.

Owóż ono przeczucie powiada nam, że takiego wzoru, jaki dała Armja Polska we Francji nie było jeszcze.

Mieliśmy kwiat narodu, co kładł się pokotem, niby łan kwietny, i ginął bez skargi na polach walki.

Mieliśmy rycerzy, mieliśmy wojowników, mieliśmy konspiratorów niezmordowanych i powstańców desperackich, mieliśmy ciągle patrjotów, którzy gotowi byli na świadectwo trzewia sobie pruć, krew dobrowolnie z własnych żył toczyć.

Mieliśmy fale kmieci, co, uniesieni zaklęciem Kościuszki, z kosami, z cepami rzucali się na armaty.

Mieliśmy takich zapamiętałych żołnierzyków, co rozproszeni, rozbici, wygnani z kraju, nie ustali, zwarli się, sformowali legiony i, hen, z „Ziemi Włoskiej do Polski", pod skrzydłami orlemi, znów wrócili na nowe zapasy.

Mieliśmy nareszcie, aż po ostatnie dni, zbrojne wystąpienia, mieliśmy aż po ostatnie dni wybuchy harde, mocne, zajadłe, bo świadomością, bo widokiem krzywd zaznawanych smagane.

I czasów ostatniej wielkiej wojny, kiedy człek cichy napatrzył się niedoli, a krzywdy, kiedy się nacierpiał od ciemiężców, kiedy ujrzał nareszcie rozhulane żołdactwo, grabiące i niszczące cały jego dobytek, kiedy wraziły mu się jęki bezbronnych, kiedy oglądał znów te popioły i zgliszcza, o których dotychczas tylko z pieśni gminnych słyszał, wówczas taki człek cichy za karabin chwytał, wówczas szedł tra-

wiony zapamiętałością i rozpaczą, wówczas zamieniał się w mściciela.

Tak ci już bywało niegdy i tak było wczoraj.

Aleć ani na kartach historji Polski, ani na kartach dziejów innych narodów, nie słyszano podotąd, aby lud, który ziemię ojców opuścił oddawna, aby lud, któremu ziemia ojców była nędzą, ciemnotą, była macochą, aby lud ten za oceanem, za morzami, w ciszy i dostatku bytujący, poczuł w sobie obowiązek śpieszenia z odsieczą, poczuł w sobie obowiązek wystąpienia zbrojnego, walczenia o to, co istotnie było jedynie dlań tylko wspomnieniem własnej niedoli, własnego mizeractwa, własnego borykania.

A przecież Armja Polska we Francji jest właśnie takim, trudnym do przypuszczenia czynem zbiorowym, takim nieznanym dotychczas przykładem poświęcenia.

Wielka wojna ostatnia groziła wszak zagładą daleko większym, potężniejszym, niż polski, narodom. Wychodźtwo Polskie za oceanem pośród rzesz różnojęzycznych nie było ani tem najliczniejszem, ani tem najbogatszem, ani tem najlepiej zorganizowanem.

Podczas gdy tam, w Europie, chwiały się posady mocarstw, podczas gdy w gruzy waliły się trony i państwa, tam, za oceanem, pozostały dziesiątki miljonów Niemców, Rosjan, Serbów, Bulgarów, Rumunów, Włochów, Węgrów, a nawet Francuzów. I wszyscy oni byli głusi na nawoływania. Jeżeli nakaz werbunkowy amerykański nie zmuszał takiego wychodźcy do wdziania munduru, ten ani myślał dobrowolnie rzucać się w otchłań wojny światowej. Dręczyło go może sumienie, bolały nieszczęścia ojczyzny, lecz gdzie tam było myśleć o śpieszeniu na ratunek, jakże można było wzbudzić w sobie tak silną wolę, aby domowego zacisza się wyrzec, aby ocean przebyć, na awanturniczą ruszać potrzebę.

I stąd przeczucie mówi nam, że gdy przyszłość zmierzy wartość dokonanego czynu, gdy, dobywszy się z chaosu, Polska wypomni dni wczorajsze, wypomni te dywizje Armji Polskiej we Francji, które sformowały się tak błyskawicznie, które zadziwiły świat, a racji, a procesowi naszemu politycznemu dały nareszcie upragnione, śnione karabiny u bram Traktatu Wersalskiego, wówczas, w tradycji tych błękitnych żołnierzy, następne pokolenia czerpać będą ożywcze przykłady, a każdym ich dotyczącym szczegółem krzepić się i radować.

I wówczas tem potężniejsza siła promieniować będzie na cały naród polski, im dzieje tej homerycznej, tak bajecznej, tak fantastycznej w założeniu swem Armji Polskiej we Francji będą posiadały jaknajmniej legendy, jaknajmniej mroków, czy bałamuctw, a najwięcej tej prostoty, jaką zawiera jedynie prawda, jaką niesie spisanie, chwycenie na gorącym uczynku pewnego okresu historji.

Cambridge Springs, Penna, dn. 27 czerwca 1929 roku.

W. G.

I stąd przeczucie nasze wolno, że kiedy przyszłość zmierzy wartość dokonanego czynu, gdy, [illegible] czasem [illegible] żal[illegible] wypomni dni wczorajsze, wspomni [illegible] dzieło [illegible] Polskiej we Francji, które słowem były aż tak błyskawicą, które zaświeciły świat grozą, a przez to musiał się [illegible] dały [illegible] uprzedzone, [illegible] i [illegible] Wróblewskiego, wówczas w tradycji tych dziejów [illegible] pokolenia [illegible] będą [illegible] kłady, a każdym [illegible] dotyczącym [illegible] będzie się radować.

I wówczas ona pod [illegible] się [illegible] cały naród polski [illegible] tak [illegible] i tak fantastycznej w [illegible] Polskiej we Francji było [illegible] najlepiej i [illegible] czy dokonano, a najbardziej [illegible] nie [illegible], że [illegible] o [illegible].

Londyn, [illegible]

W. M.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NA PROGU DWUDZIESTEGO STULECIA. — OKRES TRÓJLOJALIZMU. — PARTJE LEWICOWE. — WOJNA ROSYJSKO-JAPOŃSKA. — POLSKA UGODA I POLSKI ROMANTYZM. — ROSYJSKA KONSTYTUCJA. — WSPÓLNY FRONT Z ROSJĄ. — WYWŁASZCZENIE. — ZWROT KU AUSTRJI. — KADRY PRZYSZŁEGO RUCHU ZBROJNEGO. — PRZEŁOMOWY ROK.

Początek bieżącego stulecia zastał, rozdartą na części, Polskę w bezruchu, w ociężałości.

Harde niegdy organizacje emigracyjne jełczały, zapadały w starcze odrętwienie. Ośrodkiem ich działania było romantyczne w założeniu swem Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswylu, treścią, tak zwany Skarb Narodowy, ciułający leniwie napływające grosze, a wyrazem politycznym ogłaszane od czasu do czasu protesty.

Na wyłomie gorączkowego dawniej życia emigracyjnego stała już tylko garstka weteranów roku 1863-go, których zresztą ledwie starczyło na obsadzenie urzędów w rewolucyjnych komitetach.

Znicz ducha narodowego gorzał w narodzie zawsze tym samym płomieniem, lecz myśl o gotowaniu się do czynu zbrojnego była przytłumiona.

Nie brakło i na progu wieku dwudziestego zapaleńców, układających nowe przepisy na ulepszone powstania, aleć posłuchu nie mieli. Zimna rozwaga brała wszędy górę. Mocarstwa, strażujące grobu Polski, były u szczytu potęgi i go-

towe były zawsze do wzmocnienia „świętego przymierza“ na ciele każdego buntu polskiego.

Rozsądek, a bardziej sprawy powszednie, zmuszały do układania się z ciemiężcami. Ugodowcy wszystkich trzech tronów manifestowali, w chwilach uroczystych, swą polską lojalność, zarówno w Berlinie, Wiedniu, Petersburgu, jak i w Malborgu, jak bodaj nawet pod pomnikiem Katarzyny, w Wilnie.

Grupy narodowe poprzestawały na biernej opozycji, na kształceniu dopiero swych nowych działaczy.

Jedynie polskie partje skrajne objawiały niezmordowaną ruchliwość, ale w dążeniach swych raczej wtórowały ruchom międzynarodowego proletarjatu.

Szczególniej jędrną i energiczną była działalność partyj lewicowych w zaborze rosyjskim może i dlatego, że silnie zespoloną z robotą odpowiedniego odłamu społeczeństwa rosyjskiego. Partje te, dziesiątkowane przez katorgę i deportacje, w więzieniach, na etapach, w kazamatach fortec, w kopalniach Nerczyńska, w jakuckich jurtach, w tajgach Sybiru zawierały węzły przyjaźni z równie prześladowanymi lewicowcami rosyjskimi. Węzły te zresztą i sympatje miały już tradycję. Sięgały czasów dekabrystów rosyjskich, sięgały poza rok 1824-ty, legitymowały się nazwiskami Bestużewa, Pestela, Hercena, Bakunina, Kropotnika. Teraz potęgowała je wzrastająca siła ruchu rewolucyjnego, utrwalało przekonanie, że lud rosyjski nie ma nic wspólnego z samowładztwem i rusyfikacją, że jego niedola łączy się zarówno z niedolą polskiego proletarjatu, jak i losami Polski. I stąd partje lewicowe polskie, chociaż strzegły własnej niezależności, mocą wypadków, ulegały komendzie lewicowców rosyjskich.

Łącznikiem nielada byli Polacy, bytujący w głębi Rosji. Przylgnęli tam do rosyjskich lewicowców, pracowali w ich szeregach, biorąc czynny udział w organizowanych przez ro-

syjską rewolucję, zamachach i manifestacjach, pełnili zawsze czołowe obowiązki.

Społeczeństwo polskie godziło się na ten układ stosunków. Lewicowcy cieszyli się względami nawet tam, kędy idee Marksa i Engelsa były potępiane, kędy nie uznawano, lub nie rozumiano istoty walki pracy z kapitałem.

„Socjaliści“, jak ich ryczałtowo u nas zwano, zmagali się z przemocą, umieli dawać się we znaki żandarmom i policjantom, znienawidzonym satrapom i obrusitielom, cierpieli męki, składali dowody poświęcenia i samozaparcia, odwagi i mocy charakteru. Imponowali powszechnemu przygnębieniu, urok ich promieniował na młodzież.

Równocześnie socjaliści innych krajów, w chwilach dla sprawy polskiej przełomowych, byli jedynem stronnictwem politycznem, które, wbrew kalkulacjom własnego państwa, występowało w obronie uciemiężonego narodu i to zarówno w niemieckim parlamencie, jak i w Królestwie Polskiem. Wszakci z reguły posłowie polscy w Berlinie, choć raczej zachowawcze wyznający poglądy, najczęściej głosowali z socjalistami, wtórowali Beblowi, wszakci nawet pokorne, czołobitne Koło Polskie w Wiedniu lewicowej szukało komitywy.

Punktem kulminacyjnym w zespoleniu polskiej lewicy z dążeniami lewicy rosyjskiej był rok 1900-ny, kiedy to Rosja osiągnęła znów olbrzymią pożyczkę zewnętrzną, pokrytą skwapliwie nietylko przez Francję, ale i przez Anglję i Stany Zjednoczone, zdobywając nowe kapitały na ugruntowanie dotychczasowego systemu państwowego. Wówczas to do protestu lewicy rosyjskiej, potępiającej obojętność i przewrotność demokracyj zachodu, przyłączyła się polska lewica. A gdy rewolucjoniści rosyjscy już potem wydali caratowi zajadłą, rozpaczliwą wojnę, polska lewica zaczęła im ze wszystkich sił wtórować.

Na strajki w Kazaniu poraz pierwszy odpowiedziały strajki w Łodzi, na manifesty, idące z Charkowa, odpowiadały manifesty z Sosnowca. Zabór rosyjski miał wspólny front z całą rewolucyjną Rosją. Kiedy dokonywano masowych aresztowań, dokonywano ich równocześnie w Petersburgu i w Warszawie, Piotrkowie i Odesie, w Kijowie i Radomiu. Rewolucyjna literatura rosyjska cieszyła się wielką poczytnością w Królestwie Polskiem, już i bezpośrednio wpływała na polską umysłowość. Znienawidzony język urzędowy zakradał się w czapce frygijskiej do polskich ognisk. Nawet polskie piśmiennictwo uległo w pewnej, a bodaj i nadmiernej mierze, temu wpływowi.

Wojna rosyjsko-japońska, wydana w dniu 8 lutego 1904 roku, przez cesarza Mikołaja II, dla ostatecznego zagarnięcia połaci Chin i umocowaniu Rosji na Oceanie Spokojnym, a równocześnie dla uzdrowienia toczonego przez rewolucję mocarstwa, wyraźniej jeszcze scharakteryzowała nasze polskie w owych czasach dążenia, a raczej brak dążeń do bytu niepodległego.

Zrywali się i wówczas budziciele, i wówczas na sztandarach pewnych odłamów widniały hasła o niepodległości. Lecz głosy budzicieli ginęły bez echa, a harde nadpisy bywały raczej ozdobą rewolucyjnej pieczęci, aniżeli znamieniem najbliższego celu. Niepodległość polska majaczyła się hen, w przestrzeni, niby sen o potędze. Był to ciągle ten sam romantyczny frazes o „chceniu“ ze „sznurem“ samobójczym na szyi ojczyzny.

Z chwilą wybuchu wojny, zabór rosyjski nadewszystko lojalnie poddał się podatkowi krwi. Dezercja przed mobilizacją dotrzymała procentowo dezercji rosyjskiej. Dziesiątki tysięcy Polaków - żołnierzy i Polaków - oficerów wzięło udział w tej azjatyckiej potrzebie. Ofiary na Czerwony Krzyż rosyjski, bardzo dotąd nienawidzony, bo odgrywający w Polsce

rolę czynnika rusyfikacyjnego, były ze strony Polaków, nader hojne. Miały nawet swój wyraz zupełnie narodowy w ufundowaniu szpitala polskiego, który, pod przewodem hr. Orłowskiego wyruszył za Ural, zdobywając sobie nad brzegami Wisły niezwykle przyjazną reklamę.

Myśl narodowa polska zdobyła się również tylko na akt humanitarny. Wyprawiła do Japonji swego emisarjusza w osobie Romana Dmowskiego, a to celem wyjednania u Japończyków przyjaźniejszego traktowania dla jeńców Polaków. Cel ten został w znacznej mierze osiągnięty. Wielu jeńców Polaków dostało się do względnie po ludzku urządzonych obozów japońskich i wielu z nich następnie, przez Amerykę, cało i zdrowo, powróciło do kraju.

Lecz ta myśl narodowa polska, tam, w Japonji, starła się z myślą lewicową polską i bodaj z tym odcieniem tej myśli, który lewicowe zawołania poczytywał za bliższą drogę do niepodległości. Do Japonji zjechał był onego czasu Józef Piłsudski, zjechał był w celu, aby rząd japoński do sprawy polskiej przekonać, zaręczenia odeń uzyskać i, na tyłach armji rosyjskiej, na ziemiach Kongresówki, chorągiew powstania polskiego rozwinąć.

Ostrożna Japonja nie poszła na układy, które podobnoć i dla sprawy polskiej nikłe przedstawiały rezultaty. Niemcy i Austrja strażowały na granicach, pragnęły osłabienia Rosji, ale dla polskich „uroszczeń" miały gotowe metody z roku 1831 i 1863.

Wyprawa przecież Józefa Piłsudskiego do Japonji, jako dążenie do zbrojnego wystąpienia, jako wyłom w lewicowych szeregach była aktem protestu, była dokumentem, iż czyn polski nurtuje w społeczeństwie, a szuka sposobnej chwili.

Tymczasem myśl narodowa polska, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, uległa przypuszczeniom, urojeniom i wieściom

dziwacznym, jakby tajnym zamysłom drugiego emisarjusza odpowiadającym.

Polska zapałała nagle sympatjami dla Japonji. W państwie Wschodzącego Słońca domyślała się nietylko ukrytego sprzymierzeńca, ale wręcz jakichś polskich wpływów. Wodzów niektórych japońskich brała za Polaków, przynajmniej za Polaków z pochodzenia. Słynny generał japoński Kuroki, ogłoszony został za naszego poczciwego pana Kurowskiego, co do Japonji młodzieniaszkiem wywędrował, tam znacznego stanowiska wojskowego się dobił, mając jušci wrodzone rycerskie talenty, no i na wodza-mściciela się wypromował.

Ta ostatnia legenda miała nawet swoje humorystyczne zakończenie. Wychodźtwo polskie w Ameryce pochwyciło ją bowiem tak gorąco, że, kiedy generał Kuroki jechał (rok 1905) przez Chicago na układy pokojowe z Rosją do Portsmouth, w Stanach Zjednoczonych, zgotowało Kurokiemu na stacji kolejowej olbrzymią polską owację, wierząc święcie, iż składa hołd dzielnemu rodakowi. Zdumiał się kosooki generał okrutnie, zawstydziły organizacje polskie w Ameryce. Przebiegła Japonja śmiała się w kułak z tej niebywałej mistyfikacji.

Ale i na przeciwnym krańcu nie brakło wieści i powieści. Więc niektórych i co najlepszych generałów rosyjskich brano również za Polaków, stwierdzano, iż jedynie te pułki rosyjskie stawały mężnie, w których Polacy stanowili większość. W czem tyle było ścisłości i prawdy, ile przekonania, pędzonych tysiącami na kraniec Azji, Moskali, że „jadą do japońskiej gubernji uśmierzać polskie powstanie“, więc nie na wojnę, na morderczą walkę, na nędzę, ale na spacer „do Polszy“, na hulanie, na rabowanie.

W ogólnym rezultacie, zabór rosyjski, podczas wojny rosyjsko-japońskiej, dochował większej lojalności, niż podczas wojny tureckiej (1877-78), kiedy to Polacy usiłowali wskrze-

sić zastępy kozaków ottomańskich Sadyka Paszy (Michała Czajkowskiego).

Ale, zanim minister Witte podpisał, w imieniu Rosji, pokój z Japonją, zanim Rosja zrezygnowała z... nowego pogromu pod Mukdenem, ruch rewolucyjny zaczął targać fundamentami samodierżawja. Polska lewica mocniej przylgnęła do lewicy rosyjskiej. Rozkazy zaczęła wydawać Moskwa, a Warszawa im sekundować.

Krwawe zamachy, strajki polityczne, zabójstwa urzędników, demonstracje, rabowanie kas, palenie gmachów rządowych, zbrojne starcia z kozactwem, wreszcie pogromy bezbronnej ludności, karne ekspedycje rozszalały się po całej Rosji, nie wyłączając ziem polskich. Wspólny front rewolucyjny był surowo przestrzegany.

Ten wspólny front był tak uderzającym, iż ugodowcy w tym ruchu wspólnym widzieli niezaprzeczony argument, jak dalece Polacy idą już z Rosją, jak dalece pogodzili się z bytowaniem w granicach rosyjskiego mocarstwa. Polskie sfery przemysłowe, handlowe, które były nawykłe zyski swe i procenty opierać na rynkach moskiewskich zbytu, na produkowaniu towarów dla Kaukazu, Syberji, Ufy i Niżnego-Nowgorodu, wtórowały skwapliwie temu argumentowi.

Zabór rosyjski dojrzewał do obdarowania go równemi z Rosją rdzenną prawami...

Jakoż kiedy carat, przerażony czerwonemi sztandarami rewolucji, zgodził się nakoniec na ogłoszenie karty konstytucyjnej, rozciągnął ją i na Polskę, jako „dojrzałą" politycznie.

Warszawa powitała ogłoszenie konstytucji rosyjskiej wybuchem radości. Stolica Polski wpadła w jeden ze swych perjodycznych obłędów uniesienia, obłędów uczucia. Ludność Warszawy bratała się z wczorajszymi siepaczami, ściskała i całowała żołdaków rosyjskich, cieszyła się razem z nimi wydartym carowi przywilejom obywatelskim.

Duch opiekuńczy narodu polskiego czuwał jednakże. W dwa dni po ogłoszeniu konstytucji, obudził wściekłość żandarmską i rzucił na spokojny tłum warszawski chmarę kozactwa. Kozactwo we krwi unurzało tych, którzy radowali się braterstwu z Moskalami, którzy nosili carskie portrety, którzy rosyjską konstytucję uważali za własną. Od tego pogromu pamiętnego w Warszawie, na Placu Teatralnym, zaczyna się powrotna fala, aż wzbiera zwolna, ociężale. Odwrót jest równie długi, potrzebuje lat, potrzebuje ciężkich doświadczeń, udręk, ofiar, zanim wróci do hardego zawołania, zanim uderzy w to prastare hasło niepodległości, zanim targnie kajdanami.

Nawet równie pamiętny, tak zwany, pochód narodowy w stolicy Polski, nawet ten pochód, choć tak imponujący, tak wspaniale demonstrujący polskość, był w istocie tylko manifestowaniem wewnętrznej odrębności w granicach państwa rosyjskiego i nie miał w sobie nic z tego, coby mogło być uważane za intencję oderwania się, wyzwolenia. W imię tej prawdy władze rosyjskie udzieliły temu pochodowi błogosławieństwa i nie poczytały go za objaw uczuć buntowniczych.

Kongresówka miała więc konstytucję. Przedstawicielstwo nasze poselskie ruszyło karnie do Dumy, ruszyło tak solidarnie, że po rozwiązaniu pierwszej Dumy, odebrano mu trzyczwarte mandatów poselskich, że ograniczono prawa przedstawicielskie w stosunku do Polaków.

Pierwsze to ostrzeżenie przyjęto z rezygnacją. Choć w zmniejszonej liczbie, posłowie nasi rozpoczęli walkę w szrankach parlamentu rosyjskiego. Tworzyli oni początkowo zastęp bardzo jednolity. Stronnictwo narodowo-demokratyczne, to wywodzące się wprost od wszechpolaków dzierżyło ster, lecz w przymusowych kompromisach i układach zatracało wczorajszą stanowczość, wczorajsze nieprzejedna-

nie. Pochłaniała je polityka wewnętrzna, szukanie ulg dla rusyfikowanego kraju. Ulgi takie można było zdobywać jedynie prawno-państwowemi sposobami, jedynie dokumentami i zaręczeniami, że na rozluźnieniu więzów wielka Rosja nie straci, nie osłabnie, że, przeciwnie, wielka Rosja zyska, spotężnieje.

Reprezentanci Polski w Radzie Państwa, rekrutujący się już z bardzo ugodowych sfer, szli jeszcze dalej. Stąd udział Polaków w parlamencie rosyjskim miał dla nas wpływ przygnębiający. Tłumił wszechpolskie hasła, skazywał na przymus układów, odbierał wpływ ideowy.

Nigdzie nie postała myśl, aby wyrzec się mandatów do Dumy, aby odrazu żądać sejmu własnego, aby uniknąć niebezpieczeństwa bezpośredniego z Rosjanami obradowania.

I stąd cały zabór rosyjski, nadający dotychczas ton i kierunek wszystkim odłamom polskim, imponujący swem samozaparciem, patrjotyzmem, męczeństwem został pogrążony odrazu w jakichś zagadnieniach gospodarczych, w szukaniu wątłych ustępstw, w dowodzeniach, że Królestwo Kongresowe powinno mieć te same przywileje ziemskie i miejskie co Kaługa, co Jarosław, co Tuła. A co więcej Królestwo Kongresowe snuło dalej nić rewolucji rosyjskiej, przechodziło niebezpieczną chorobę rosyjskiego weltschmercu, rosyjskiego pesymizmu, rosyjskiej tęsknoty do lasu, do „Dubinuszki“, a wierzyło w browning i żagiew. Innemi słowy, lojalność w stosunku do Rosji miała swe odrębne wyrazy, swe odrębne cechy, była już groźna dla przyszłości naszej sprawy. Po lewicy i po prawicy opierała się na realnych dążeniach. Wciągała mimowolnie całe społeczeństwo Królestwa do oswajania się z myślą o zgodzie i ugodzie z Moskalami.

Wymownym tych prawd dowodem był fakt, że z chwilą ukazania się posłów polskich w Dumie, słynny „Kraj“ petersburski, organ Erazma Piltza, reprezentant polskiej prawo-

rządności, przekonywujący usilnie rosyjskie władze o polskim lojaliźmie wyśpiewał ostatnią swą pieśń, został zamknięty. Nie miał już racji bytu. Polska wszak posiadła oficjalnych rzeczników, skazanych na solidaryzowanie się z dobrem i korzyścią rosyjskiej monarchji konstytucyjnej. Polska wszak miała nietylko sentymenty dla rosyjskiego proletarjatu, ale i posłów, reprezentujących Moskali.

W tym samym czasie Galicja, dokładniej zabór austrjacki, wpętana przez wiedeńską dwulicowość w zaciekłą walkę z Rusinami, trwoniła najlepsze swe siły i miała tyle zaledwie czasu, aby chciwym delegacjom wyrywać jakoweś ochłapy na ratowanie nędzy krajowej i aby dalej prowadzić licytację padania do nóg habsburskich.

Jedynym silniejszym odruchem narodowym tych czasów był strajk szkolny dziatwy polskiej.

Strajk szkolny, w zaborze rosyjskim, wzorowany na Wrześni, na walce dzieci z pruskiem szkolnictwem, już na lat kilka przedtem miał budujący przykład strajku młodzieży w Lublinie, która to młodzież zażądała również wykładu religji w języku polskim i zwyciężyła. Tym razem strajk ogarnął prawie wszystkie szkoły w Królestwie Polskiem. Skarcony surowo przez czynniki zrównoważone, gromiony przez polityków, nawet przez rodziców, drżących o „karjerę“ swego potomstwa, wywalczył w ostatku siakie takie prawa językowi ojców, zdumiał naszych Metternichów, naszym posłom do Dumy sprawił niespodziankę. A nadewszystko ocknął szerokie masy, przypomniał wielu obywatelom, że przyszłość narodu polskiego nie może zbutwieć na kartach rosyjskiej konstytucji, że głos krwi polskiej jest silniejszym od wszelkich dyplomatycznych racyj i wywodów o naszej bezsilności.

Potężniej tę prawdę wielką stwierdziło prawo pruskie o wywłaszczeniu, a raczej tej samej prawdzie nowego przysporzyło światła.

Na braci naszych w zaborze pruskim spadł piorun, miażdżący raz na zawsze wszelką ich intencję spokojnego bytowania pod berłem Hohenzollernów.

Nieubłagana w konsekwentnym ucisku przemoc pruska, zamyśliła wyżenąć wszelki ślad narodowości polskiej. Komisja kolonizacyjna niemiecka miała coraz mniej obszaru do parcelowania między sprowadzanych ofiarami i darami osadników niemieckich. Polacy bowiem, mocno zorganizowani, wykupywali majątki od Niemców i w ten sposób przy największym wysiłku utrzymywali swą przewagę posiadania. Własności polskiej nie ubywało. Ziemia szła wgórę. Lud poznański, mocno zespolony ekonomicznie, pod wodzą takich działaczy znakomitych, jakim był niezapomnianej pamięci ksiądz Wawrzyniak, dzielnie prowadził tę skądinąd legalną walkę.

Rząd pruski nie nawykły przebierać w środkach, a nie mogąc nastarczyć polskiej zabiegliwości, przeforsował ustawę o przymusowem wywłaszczeniu wszystkich Polaków z obszarów Księstwa Poznańskiego. Cała ziemia pruskiego zaboru miała przejść w ręce niemieckie, miała przejść stopniowo w łapy krzyżackie. Polakom wolno było wędrować w głąb Niemiec i tam w mrowiu germaństwa się osiedlać.

Była to klęska straszna.

Klęska ta szarpnęła sercem Polski. Ukazała jej całą beznadziejność myśli o jakowemś zgodnem z zaborcami pożyciu. Dowiodła, że wszelkie zaręczenia i nadania, zaprzysięgane na kongresach, gwarantowane przez królów, sankcjonowane przez parlamenty nie mają żadnej wartości, że o jutrze Polski, jako i wczoraj, rozstrzygać będzie tylko pięść, tylko bagnet, że trójlojalizm, ugoda na trzy fronty jest w rzeczywistości marnem wdzięczeniem się do kija, jest matactwem ludzi mizernych, szukających zysków osobistych, latyfundyj, szambelańskich fraków.

Zabór pruski, od czasu Napoleona I, był najcichszym ponoć, najpotulniejszym odłamem Polski. Zabór rosyjski się burzył, organizował rewolucje i powstania, knował przeciwko Rosji, ciągle Rosji przysparzał kłopotów; nawet austrjacki zabór zgrzytał niegdy zębami i tak, że dopiero w Rzezi Galicyjskiej trzeba go było kąpać, a przerabiać na schwarcgelba.

Ale Wielkopolska, Śląsk, Mazury, Warmja, Pomorze?... Raz jeden jedyny manifestowano tam i hukano razem z Berlinem, w roku 1848, a zresztą, zresztą potulnie dochodzono swych praw, potulnie odwoływano się do gwarancyj, danych przez pruskich królów, szukano punktu oparcia w praworządności.

Za ścianami Wielkopolski świszczały knuty, zgrzytały łańcuchy, rozlegały się jęki, a tam, w Wielkopolsce, radowano się wonczas, że Radziwiłł był żonaty z pruską królewną, a potem radowano się, że syn tegoż Radziwiłła był pruskim generałem-adjutantem, że wnuk znów tegoż Radziwiłła był nietylko generał - porucznikiem, ale i komendantem przybocznej żandarmerji cesarskiej. Za ścianami Wielkopolski, było gniazdo wichrzycieli, rewolucjnonistów, burzycieli cesarskiego spokoju, a tam, w Wielkopolsce, rosło sobie korne plemię Bartków Zwycięzców i cieszyło się razem z ostatkami szlachty rodowej z niemieckiego ładu, niemieckiej systematyczności, a zdumiewało niemieckiemu militaryzmowi.

Zapamiętałość i cynizm pruski nawet tego spokojnego nie uszanował zakątka. Sięgnął bezczelnie po dwa ostatnie skarby, jakie lud wielkopolski ocalił był z pożogi. Podniósł rękę mściwą na polską modlitwę i na polską ziemię. Wydrzeć chciał i jedną i drugą.

Klęska była straszna, historja wszakże miała dowieść raz jeszcze, że zbyt silny cios powala bardzo często tego, który go zadać usiłuje.

Ale i Duma rosyjska znalazła niebawem sposoby objawiania woli narodu rosyjskiego, tego właśnie narodu, którego nie ważono się, w pewnych polskich środowiskach, mieszać z rosyjską biurokracją, z niegodziwością carskich satrapów.

Stosunek do Polski i Polaków został odrazu wyjaśniony. Prawica rosyjska zjadała nas z apetytem, chrupiąc głośno i szczękając zębami, stronnictwa łagodniejszego kierunku zjadały nas również, ale z żalem, westchnieniem dla ponurej konieczności. Tam jedynie można się było spodziewać ustępstw ze strony parlamentu rosyjskiego, gdzie te ustępstwa kasowały wyodrębnienie ziem polskich, gdzie mogły wycisnąć jeszcze silniejsze piętno rosyjskie. Wczorajsza walka z rządem rosyjskim zamieniła się w starcia z rosyjskiem społeczeństwem.

Jedynem państwem, kędy Polacy zażywali ciągle, choć przy biedzie i niedostatku, względnie do innych zaborów, pewnych swobód, była Austrja.

Ku niej więc zaczęła się zwracać cała polska sympatja i na sympatji tej budować plany najbliższe.

Planom tym nie brakło, trzeba przyznać, realnych podstaw.

Polityka rosyjska, poniósłszy bolesne cięgi nad Amurem, na rozsypiskach Mandżurji, utopiwszy miljardy w Port - Arturze, z „Dalekiego Wschodu“, siłą rzeczy zwróciła się do „Wschodu Blizkiego“. Bałkańskie intrygi ze zdwojoną mocą zaczęły znów pracować, myśl o zawładnięciu Konstantynopolem dręczyć. Interesy i wpływy rosyjskie musiały ścierać się z wpływami austrjackiemi i wpływom tym poważnie zagroziły. Na tronie serbskim, zamiast chodzących na pasku wiedeńskiej rozpusty Obrenowiczów, zasiadał Karadżordżewicz, wychowaniec Francji, cara rosyjskiego sprzymierzeniec cichy.

Starcie zbrojne Rosji z Austrją było wróżbą najbliższej przyszłości, zdawało się być nieuniknionem. A w takiem star-

ciu pozyskanie ludności polskiej było dla państwa Habsburgów poważnym środkiem strategicznym, nietylko taktycznym.

Jakoż Austrja, prowadząca zresztą stale politykę dynastyczną, zniewolona opierać władzę swą nie na pojęciu ojczyzny, lecz na przywiązaniu do rodziny monarchy, wysunęła jednego z arcyksiążąt swych na specjalistę „od Polaków". Tym specjalistą został arcyksiążę Stefan, właściciel znacznego majątku i pan na zamku w Żywcu.

Arcyksiążę na zamku tym zwykł był od dłuższego czasu przebywać. Teraz przecież przeistoczył się już w zawziętego polonistę. Córki wydał za polskich książąt. Odprawiał z Polakami narady i rozprawy. Urządzał im fety, otaczał się świtami chłopskiemi, jeździł w krakowskich chomątach, wmurowywał pamiątkowe tablice królom polskim, słowem pociągał ku sobie i jednał Polaków.

Arcyksiążę austrjacki, brat rodzony królowej - wdowy hiszpańskiej, umiał i w kożuszku z potrzebami chodzić, lubił barszcz, przepadał za bigosem, po polsku mówił doskonale, chłopaków swych na Polaków prawie kształcił. Juści pretendent do tronu polskiego w zapasie. W razie czego, polski król a tymczasem sympatyczny, wszystkim miły dygnitarz i mecenas każdej polskiej intencji publicznej.

Niedowiarkowie nasi rozpowiadali, że polityka Habsburgów jest tak przemyślna, że ma nietylko arcyksięcia dla Polaków, ale drugiego dla Węgrów, trzeciego dla Czechów, czwartego dla Rusinów, piątego dla austrjackich Niemców, szóstego, tego z Parmy, dla Włochów, a nawet dość poważne zapasy książęce bodajby w potrzebie dla Chorwatów, Bośniaków lub Słoweńców.

Habsburgowie byli w tym razie całkowicie konsekwentni. Wiedzieli doskonale, że taki zlepek, jaki tworzyła Austrja, musi spodziewać się zmian, musi być przygotowanym na przesuwanie się granic, na pozbywanie się jednych prowincyj,

a osiąganie wzamian drugich. Habsburgom szło tylko o trony, o korony, o panowanie. Zabezpieczali więc sobie, na wszelki przypadek, wpływy i węzły przyjaźni.

Jeżeli przecież rachuby, zmierzające do godziwszego bytowania w komitywie z Austrją, miały dla nas głębsze podłoże ogólnopolityczne, brakło im wzamian pogotowia w razie wybuchu wojny rosyjsko-austrjackiej.

Jedyną organizacją, która mogła była być poczytywana za kadry przyszłego ruchu zbrojnego, było sokolstwo. Ale w pierwszych latach bieżącego stulecia, sokolstwo polskie było raczej zamysłem, raczej początkiem tego, czem w przyszłości być zamierzało.

Podstawą sokolstwa były organizacje w zaborze austrjackim. Tam sokoli rozwijali się dzielnie, rośli w liczbę, krzepili myśl narodową, hartowali ciało, zachowując jedynie pewne formy wojskowego ładu. Kadrów bojowych jeszcze nie tworzyli.

Sokoli w zaborze pruskim, skuci zakazami i nakazami, byli już tylko stowarzyszeniami gimnastycznemi, którym nie wolno było używać ani polskich odznak, ani odbywać zjazdów i zlotów, a już, broń Boże, roić o czemś, coby zakrawało na naukę sztuki wojennej. Jeszcze w trudniejszem położeniu znajdowało sią sokolstwo w zaborze rosyjskim. Było ono tylko konspiracją, zniewoloną kryć się pod nazwami różnych organizacyj sportowych, zresztą nielicznych i wątłych.

Sokoli, do roku 1910, na ziemiach polskich byli tylko straszakiem, byli widmem sił powstańczych, byli wyobrażeniem poetyckiem tych sił, ale w istocie organizacji bojowej nie tworzyli. Nawet w Austrji brakło im śmielszego rzutu w stronę wojskowości, brakło środków i brakło przyzwolenia władz habsburskich, brakło, co więcej, wiary w możliwość tak stanowczego działania.

Lecz, jako praca przygotowawcza, jako budzenie uświadomienia narodowego, jako dążność do szlachetnego demokratyzowania mas, a przedewszystkiem jako hartowanie młodzieży, sokolstwo już i w tych czasach wielkie położyło zasługi.

Tak trwało aż do roku 1910, roku zwanego Grunwaldzkim, roku przełomowego.

Rok ten w niewolniczem bytowaniu Polski był rokiem ocknienia, rokiem odrodzenia, rokiem przeczucia.

Z roku tego poczęła się energiczniejsza praca narodowa, z roku tego wzięło początek już wyraźne i umiejętne szykowanie się na przypadek wojny europejskiej, w roku tym, ponad wewnętrzne polityki trzech zaborów, ponad samolubne tych zaborów korzyści i zdobycze, dźwignęła się silna i zwarta myśl czysto polska.

W roku tym, jako niegdy, zerwały się hasła, żądające nie ustępstw, nie przywilejów, nie łask, lecz stwierdzające nigdy nieprzedawnione prawa do wolności, do niepodległości całego narodu polskiego.

ROZDZIAŁ DRUGI

WYCHODŹTWO POLSKIE W AMERYCE. — ROK GRUNWALDZKI — KONGRES NARODOWY POLSKI W WASHINGTONIE. — PAMIĘTNA REZOLUCJA. — UROCZYSTOŚCI W KRAKOWIE. — ZGRZYTY NIEPODLEGŁOŚCI. — OCKNIENIE DO CZYNU ZBROJNEGO. — SPRAWA CHEŁMSKA. — WOJNA BAŁKAŃSKA I JEJ WPŁYW. — KOMISJA TYMCZASOWA.

Śród tego ogólnopolskiego przygnębienia, które cechowało, na początku wieku dwudziestego, życie narodowe wszystkich trzech zaborów, był jednak zew silny, mocny, ale tak daleki. że dla wielu wprost niepojęty, niezrozumiały, nieuchwytny.

Zew ten szedł z za oceanu, szedł z gromad Wychodźtwa Polskiego, z tego tłumu bezdomych wędrowców, którzy za chlebem aż do tak odległej wyciągnęli krainy.

W Polsce doskonale rozumiano się na tem wychodźtwie do Ameryki. Lud wiejski, ciemny lud roboczy, gnębiony nędzą i niedolą, a wabiony przebiegłością niemieckich kompanij okrętowych, szedł gromadami, przechodził męki, katusze, aż dostawał się po tułaczce hen, na amerykańskie pustkowia, gdzie znów dalej szamotał się poniewierany, wydany na łaskę i niełaskę bezimiennego wyzysku.

W Polsce bardzo starannie odróżniano pojęcie wyrazu „emigracja“ od pospolitego i nieciekawego słowa „wychodźtwo“.

Emigracja uosobiała kwiat narodu, najlepszych synów ojczyzny, patrjotów i apostołów, którzy, po nieudanych rewolucjach i powstaniach, szli w świat jako pielgrzymi.

Emigracja znaczyła wygnańców za sprawę, pionierów i budzicielów, znaczyła arystokratów ducha, męczenników zawsze i w każdej chwili, nawet kiedy im się życie świetnie zagranicą układało, nawet i wówczas, kiedy własnych dzieci nie umieli nauczyć języka polskiego, nawet kiedy przeistaczali się w „zawodowych Polaków“, czyli ludzi, którzy nietylko żyli patrjotycznie, ale i z patrjotyzmu pożywali.

Owóż Emigracja Polska miała posłuch dawniej w kraju potężny, dawniej nawet taki, że niemal rządziła poszarpaną ojczyzną, wydawała jej rozkazy. Ale i jeszcze w ostatnich czasach głos jej zażywał powagi ojców ojczyzny.

Wychodźtwo zaś nie posiadało wpływu żadnego, nie było brane w rachubę. Kiedy wychodziły na jaw zbyt nikczemne szacherki naganiaczy okrętowych, kiedy na pewnej połaci ziemi polskiej, wskutek wzmożonego pędu za ocean, brakło nagle rąk do pracy, oraczy powszednich, czy przyziemnych żniwiarzy, wówczas rodziły się szlachetne zamierzenia rozciągnięcia opieki nad wychodźcami, doprowadzenia wychodźtwa do pewnego umiarkowania. Ale te wysiłki były bardzo krótkie i najczęściej daremne. Polska miała zawsze towar ludzki na wywóz.

Dopiero od chwili zjawienia się w Polsce kilku zamożnych wychodźców, jak Jerzmanowski, dopiero od pamiętnej Wystawy Lwowskiej, w której Wychodźtwo Polskie z Ameryki wzięło udział, nabrano lepszego pojęcia o tych ubogich rodakach. Ale daleko było jeszcze do wiary, aby ten skromny, nieukształcony lud zdolny był kiedykolwiek zaważyć na szali sprawy narodowej.

Wychodźtwo tymczasem, naprzekór logice, szło od etapu do etapu, pięło się po szczeblach organizacyj społecznych. coraz silniej zasłuchane w odgłosy nadchodzące z Polski. Ciemne to mrowie ludu objawiało niepojęty, niezrozumiały wprost zapał, znany podotąd tylko u neofitów.

Podczas gdy w ojczyźnie, na czele narodu, trwali Ateńczycy, dygnitarze kultury, działacze, którzy sami przetrawili wszystkie zgrzyty, wszystkie zwątpienia i uniesienia swej ojczyzny, tam, w Ameryce, wyrastali ludzie nowi zupełnie. Nie umieli oni dociekać przyczyn upadku Polski, nie rozumieli się na tem, coby się stało. gdyby król Sobieski nie poszedł był z odsieczą, gdyby pozwolił Turkom rozbić Cesarstwo Niemieckie, ich ziemia ojczysta bywała zaledwie ubogą wioszczyną, zapadłym kątem, skrawkiem piachów i mokradeł. A przecież ci nowi ludzie z prostactwa i nieuctwa swego, z tej jednej modlitewki, która była jedyną treścią ich polskiego zawołania, umieli wysnuć całą naszą pieśń nad pieśniami.

W chwili, kiedy tam, w ojczyźnie, nie ważono się jeszcze marzyć o rzucaniu się z motyką na trzy największe potęgi europejskie, w Ameryce siermiężny lud polski, już pod koniec dziewiętnastego wieku, zaczął tworzyć swe słynne „polskie wojsko“, — więc jakoweś osobliwe bardzo kolorowe oddziały, paradujące, brząkające ostrogami, dzwoniące pałaszami. Do zbytku nieraz dworowano sobie z tych wszelakich rycerzy, cudacznych ułanów, nowoczesnych czwartaków, konfederatów, artylerzystów i całej ich „pieszej konnicy“.

Przygodni, bardzo wyjątkowi podróżnicy polscy, którzy mieli sposobność zetknąć się z naszem Wychodźtwem w Stanach Zjednoczonych, rozpowiadali dziwy o tych żartobliwych żołnierzykach, paradujących przy byle okazji, a bawiących się zapamiętale w to wszystko, co szczera ich natura podsłuchała z naszych dziejów, pochwyciła i wsączyła bez żadnego krytycyzmu.

Było to, jak twierdzą jedni, wojsko parafjalne, wojsko przeznaczone do procesyj i do uroczystości, była to, jak chcą inni, zabawa najczęściej starszych ludzi w żołnierzy, a przecież była to zabawa, jakiej nie można było oglądać nawet pod tolerancyjnemi skrzydłami samej Austrji.

Co więcej zabawie tej dotrzymywały placu organizacje społeczne, rosnące i rozwijające się jak na drożdżach, pałające żarliwym patrjotyzmem, mówiące przy każdej sposobności z taką wiarą, z takim uporem, jakby dość było ręce wyciągnąć, dość się zawziąć, aby Polska znów była wolna i potężna.

Organizacje te dawały wciąż znać o sobie. Przy każdej sposobności występowały z manifestami, nie pomijały ani jednego ważniejszego, historycznego momentu, co więcej zaczęły same te momenty tworzyć.

Takiemi momentami były dźwigane w Stanach Zjednoczonych pomniki Tadeuszowi Kościuszce. Takim momentem były niezapomniane uroczystości polskie w Washingtonie, kiedy to nastąpiło odsłonięcie dwóch pomników: Kościuszki i Pułaskiego. Kiedy to Wychodźtwo Polskie w Ameryce zwołało wszystkich rodaków na pierwszy swój Kongres Narodowy Polski.

Był to rok przełomowy, rok 1910, rok Grunwaldzki.

Gody to były niezwykłe.

Prezydent ówczesny Stanów Zjednoczonych, Taft, wziął w nich udział razem z dostojnikami potężnej Rzeczypospolitej.

Uderzono odrazu w ton mocny, zapamiętały, brzmiący jak dzwon, a bijący ku Wiśle wołaniem „Jeszcze nie zginęła“.

Ziemie polskie na uroczystościach washingtońskich były reprezentowane bardzo nielicznie. Dało się to tłumaczyć może warunkami długiej a kosztownej podróży, lecz istotnie tłumaczyło się to wątłością krajowych organizacyj, które nie umiały takich chwil doceniać, ani im sprostać.

Na oficjalnych reprezentantów zdobyły się dwie wielkie stolice zaboru austrjackiego. Zabory pruski i rosyjski miały jeno półoficjalnych przedstawicieli, a śród tych ostatnich ani jednego wybitnego działacza narodowego.

Razem niepodobna się było doliczyć i dwudziestu „gości“ z Europy.

Kulminacyjnym punktem Kongresu w Washingtonie była rezolucja polityczna. Rezolucja ta, w formie ogólnikowej, banalnej, już miała przejść bez „zgrzytu“ i bez intencji „drażnienia“ kogokolwiek, gdy niespodziewanie padł ostry wniosek owoczesnego prezesa Związku narodowego polskiego, M. Stęczyńskiego, i wysunął kwestję niepodległości.

Nastąpiło starcie. Niektórzy „goście“ z Europy zaprotestowali. Powzięcie takiej uchwały mogło ich kompromitować wobec rządów zaborczych, narazić na prześladowania, a conajmniej podkopać opinję o ich lojalności.

Protest ten, co trzeba przypomnieć, podjął był mecenas Adolf Suligowski, który legitymował się mandatem Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości miasta Warszawy. A profesor Stanisław Majerski, reprezentant miasta Lwowa, za tak dalece niewłaściwe uważał postawienie podobnego wniosku, że opuścił fotel przewodniczącego.

Zgromadzeni na Kongresie przedstawiciele Wychodźtwa powitali natomiast wniosek wybuchem zapału i uchwalili jednomyślnie:

„MY, POLACY, MAMY PRAWO DO BYTU SAMODZIELNEGO, NARODOWEGO I UWAŻAMY ZA SWÓJ ŚWIĘTY OBOWIĄZEK DĄŻYĆ DO OSIĄGNIĘCIA NIEPODLEGŁOŚCI POLITYCZNEJ NASZEJ OJCZYZNY“.

Dokładność nakazuje stwierdzić, że wśród ogólnego entuzjazmu, i pośród Wychodźtwa ozwał się jeden ton fałszywy.

Przeciw tej rezolucji wystąpił był niespodziewanie J. B. Wleklński, owoczesny prezes Związku Sokołów Polskich w Stanach Zjednoczonych. Niezwykły ten działacz sokoli, już nazajutrz po powrocie do Chicago, był zmuszony do natychmiastowego ustąpienia z urzędu prezesa Związku i na tem swą dalszą działalność obywatelską zakończył.

Uroczystości washingtońskie, odprawione w maju roku 1910, a więc na ośm lat zaledwie przed proklamowaniem Polski zjednoczonej i niepodległej, są niezwykle charakterystyczne.

Na hasło niepodległości, na zadokumentowanie przed światem nieprzedawnionych naszych praw do samodzielnego bytu, stać było wówczas jeno te rzesze Wychodźtwa Polskiego, to tułactwo nasze zarobkowe, ubogie, nieokrzesane. Inni, ci skądinąd dobrzy obywatele, ludzie światli, ludzie, znający wskroś dążenia i potrzeby ojczyzny, zajmujący w niej wybitne stanowiska, rozumieli, że Kongres Narodowy Polski w Washingtonie powinien się był obejść bez tej rezolucji, powinien zgasnąć na utylitarnych uchwałach, prawiących o oświacie, o organizowaniu Polaków na Wychodźtwie, zgasnąć na ogólno społecznych wnioskach.

„Goście z Europy" byli zresztą zwierciadłem myśli politycznej bardzo poważnego odłamu naszego społeczeństwa, a ta myśl polityczna poczytywała sprawę narodową za rzuconą między trzęsawiska, kędy każde żywsze poruszenie, każdy śmielszy odruch głębiej jeno pogrąża.

Inaczej czuło Wychodźtwo Polskie. Wchłaniało ono w siebie chciwie to wszystko, co w dziejach porozbiorowych było czynem, było odwagą, było poświęceniem, legendą bodaj, bajką o śpiących rycerzach i zgadywało, że nie dlatego pogromem kończyły się rewolucje, powstania i ruchawki, że brakło nam wodzów, brakło generałów, lecz dlatego, że wciąż bra-

kło nam mrowia ludu. Walka o niepodległość miała tysiące samych bohaterów, a krocie tysięcy widzów, jeżeli nie obojętnych, to bezczynnych.

Kongres Narodowy Polski w Washingtonie miał znaczenie doniosłe. Poprzedziły go bowiem urzędowe ceremonje, poprzedziły jędrne przemówienia amerykańskich dygnitarzy u stóp pomników Pułaskiego i Kościuszki i stąd najgłębszy hołd należy się Wychodźtwu w Ameryce, najszczersze uznanie Związkowi Narodowemu Polskiemu, jako inicjatorowi i fundatorowi tych niezapomnianych chwil. Rozległy się one potężnem echem po świecie, imieniowi polskiemu zdobyły poszanowanie, ludowi naszemu przysporzyły otuchy, a dziejom ostatnich lat dokumentu, że Polska odrodziła się nie z dobrej woli mocarzów, nie z samego przypadku zawalenia się trzech tronów, lecz nadewszystko z nigdy niewygasłego chcenia narodu.

W dwa miesiące po obchodach washingtońskich odbyły się pamiętne, wiekopomne uroczystości w Krakowie. Treścią ich główną było odsłonięcie pomnika pierwszemu z naszych Jagiellonów w rocznicę pogromu krzyżactwa. Przybrały one rozmiary olbrzymie, tak wielkie, że, gdyby biurokracja wiedeńska mogła je przewidzieć, użyłaby wszelkich wykrętów, byle nie dopuścić do podobnych manifestacyj.

Zjazd był olbrzymi. Obecność posłów wszystkich trzech zaborów, a nawet przedstawicieli Czech, nawet przedstawicieli odłamu Dumy rosyjskiej nadawała temu Zjazdowi szczególne znaczenie. „Goście z Ameryki“ zakasowali całkowiecie wczorajszych „gości z Europy“. Przybyła ich cała gromada.

Odprawiony równocześnie zlot sokolstwa polskiego przeszedł wszelkie oczekiwania. Doprowadził do tak zwanego Związku Związków Sokolich. Zapoczątkował organizację wojennego pogotowia, dobył sokolstwo z jego dotychczasowej pracy

narodowo - gimnastycznej, pozbawił zewnętrznej barwności. dekoracyjności, a przechylił się stanowczo w kierunku ćwiczenia wojskowego młodzieży.

Zjazd grunwaldzki, jako akt polityczny był przypomnieniem odwiecznej walki z germaństwem, ukazywał słowiańskiemu bezpośredniego i najbliższego, śmiertelnego wroga.

Jako akt polityczny, był nadto zjazdem Polaków wszystkich części dawnej Rzeczpospolitej, wszystkich placówek zagranicznych, przedstawicieli emigracji i przedstawicieli Wychodźtwa, a więc był obrachunkiem sił i nawiązaniem ściślejszych węzłów, entuzjastycznym wybuchem i porywem zgromadzonego mrowia i pewnem osłupieniem ze strony rzeczników trójzaborowej polityki.

Ale i dniom grunwaldzkim nie brakło objawu takiej samej, jak w Washingtonie, „nieruchomości".

Na pamiętnej uczcie w Krakowskiej Strzelnicy, kędy zaproszono reprezentantów, co najprzedniejszych dygnitarzy naszej dyplomacji, arystokrację ducha polskiego i arystokrację rodową, która zresztą maleńki brała udział, oraz gości cudzoziemców, na tej pamiętnej uczcie, śród powodzi krasomówczych deklamacyj, zabrakło właśnie tego tonu washingtońskiego, zabrakło nagle tej prostej myśli, którą przecież dygotały ulice natłoczonego Krakowa, która dobywała się na tajnych naradach, a z którą występowali zawzięci przedstawiciele Wychodźtwa.

Aż zerwał się Wojciech Korfanty i, właściwą sobie zapalczywością, ozwał się w imieniu ludu górnośląskiego, rozbijając na drzazgi wszelkie bardzo delikatne apostrofy dotychczasowych przemówień. Ledwie zdołano ochłonąć z wrażenia, jeszcze bardziej od Wojciecha Korfantego porywczy, Wacław Sieroszewski rąbnął zebranym naukę o Polsce, która nie zginęła, niepodległości się nie wyrzekła i do niej zmierzać bę-

dzie, choćby się to nawet siedzącym przy stole posłom do Dumy nie podobało.

Odezwanie się Sieroszewskiego powitano niechętnie, uznano za demagogję, przerywano poszmerem rozmów, a w następstwie zamazano jałowem ględzeniem o dyssonansach, zakłócających podniosłość nastroju.

Aleć to była opinja „góry“, przeświadczenie „wierzchołka“, tego wierzchołka, który tak wysoko ponad obłoki strzelił, że nie pojmował, nie wiedział, co się u podnóża dzieje, co targa pełznącym po ziemi tłumem.

Był to przełomowy, Grunwaldzki rok.

Z roku tego wywodzi się rozwinięcie idei sokolej, pchnięcie jej na tory zbrojnego pogotowia.

Co więcej, z roku tego wywodzi się myśl organizowania nietylko Związków Strzeleckich, ale i Drużyn Bartoszowych.

Kto pamięta zwarte szeregi sokole na Błoniach Krakowskich, kto przypomina sobie zapał i entuzjazm ludu na widok tych karnych zastępów, ten również musi sobie przypomnieć czarną ponurą wstęgę, wlokącą się leniwie pod rozwiniętemi czerwonemi sztandarami stronnictw lewicowych.

Lewicowcy bodaj nigdy bardziej nie uczuli swej niepopularności, nigdy lepiej nie zrozumieli, że teraz już nie wystarczają orzeczenia programowe, żądające także i niepodległości Polski, lecz trzeba od wczorajszych bojówek, od wspólnego frontu z rosyjskim proletarjatem, uczynić odwrót, pójść za instynktem narodowym, pójść za głosem tych, którzy w ich lewicowem łonie rozpalali ideę zbrojnego pogotowia.

Od szeregów sokolich biła wola, bił zapał, szedł jakby chrzęst karabinów, z korowodu socjalistów snuła się tylko troska powszednia. Walka z kapitałem czy z kapitalizmem schodziła na drugi plan wobec tej najpierwszej walki o niepodległość. Nie czas o ładzie domowym rozprawiać, kiedy dachu niema nad głową.

Polska lewica zresztą, poniósłszy dotkliwe szczerby w ostatnim rewolucyjnym zamęcie, straciła bodaj wiarę w wspólność dążeń z proletarjatem rosyjskim. Boć liberalizm rosyjski, rosyjski rewolucjonizm zaczął był uważać polską ideę niepodległości za przesąd, za objaw reakcjonizmu. Odwrót polski już więc się był rozpoczął na całym froncie. Paktowali z Rosjanami już tylko ci, którzy stanowili jedynie odłam międzynarodówki.

Ta wizja przeszłości, wizja dawnej chwały imienia polskiego za dni ciemięstwa, jaką były uroczystości Grunwaldzkie w Krakowie, to bratanie się zaborów, placówek polskich, to wzajemne krzepienie się było niezawodnie zasługą inicjatywy i hojności Ignacego Paderewskiego.

Daremnie usiłowano dar Ignacego Paderewskiego w postaci imponującego pomnika Jagiełły przypisać pysze artysty.

Każdy uczciwy obywatel musiał przyznać, że z tak pojętej pychy, jeno dobrodziejstwa spływają na cały naród, że takiej pychy należałoby życzyć wszystkim możnym i zamożnym Polakom, że szkoda, iż pycha Paderewskiego nie znalazła naśladowców, szkoda, że takiej pychy nie miewali polscy magnaci, polscy miljonerzy, że takiej pychy braknie ciągle podotąd...

Na uroczystości krakowskie postanowił był odpowiedzieć sam cesarz niemiecki i, coś w dwa tygodnie, zjechał był z paradą do nowozbudowanego w Poznaniu zamku królewskiego, aby w tej, germańskie średniowiecze przypominającej rezydencji, podkreślić tem silniej wyrok śmierci na tych wszystkich, którzy jeszcze nie zrozumieli wiekopomnego nadpisu na gmachu Komisji Kolonizacyjnej: „Dziękuj, że jesteś Niemcem“.

Cichy lud wielkopolski zachował się tym razem krnąbrnie i nieprzyzwoicie. Kamieniami obrzucił jadących na dworskie przyjęcie polskich szambelanów. Odważył się na demon-

strację niepamiętną w kronikach Wielkopolski, zerwał z dotychczasową polityką prawno - państwową. I odtąd, aż do dni poprzedzających wojnę, zaczął manifestować i ważył się w państwie bojaźni Bożej na otwarte bunty, na starcia z pruską policją, od roku Grunwaldzkiego począwszy.

Jeżeli przecież washingtońskim i krakowskim obchodom należy przypisać zasługę wzmocnienia ducha narodowego, wyprowadzić od nich stanowczy zwrot ku organizowaniu pogotowia wojskowego młodzieży, to równocześnie należy stwierdzić, iż najbliższe przeżycia zaborów przyczyniły się niebawem do spotęgowania tych uczuć i tych zamierzeń.

Walka ostra wybuchła znów w Królestwie Kongresowem. Treścią jej była kwestja Chełmszczyzny, czyli dążność frakcji konserwatystów rosyjskich do oderwania połaci ziemi od Królestwa Polskiego i oficjalne poczytanie jej za obszar czysto rosyjski, a więc skazanie na przymusową i bezwzględną rusyfikację. Sprawa ta, prowadzona przed forum Dumy, ciągnęła się długo. Przeszła przez wszystkie ognie starć i protestów i zakończyła się, w maju roku 1912, oczywiście klęską dla Polaków. Tuż po tej klęsce, nastąpiło wykupienie jedynej już, pewne cechy polskości noszącej drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, i gwałtowna rusyfikacja składu urzędniczego i robotniczego tej kolei, a dalej znów pijane zaślepieniem narady nad kwestją nadania Królestwu Polskiemu samorządu, możliwie najbardziej rosyjskiego.

Ostatnie więc złudzenia co do możliwości spokojnego bytowania w granicach Rosji konstytucyjnej prysły. Walka z rusyfikacją zmieniła jeno formę, lecz walka była teraz jeszcze groźniejsza: bo, po stronie rosyjskiej, miała za sobą powagę reprezentacji narodowej, wolę nie autokraty, lecz wolę miljonów.

Na rozstrzygnięcie kwestji Chełmszczyzny Berlin jakby czyhał, bo w miesiąc niespełna wystąpił z żądaniem kredytów

na wprowadzenie w czyn, uchwalonego, w roku 1908, prawa o wywłaszczeniu Polaków. Sto miljonów marek miało być pierwszą ofiarą na utrwalenie niemczyzny w pruskim zaborze.

Okrutne prawo o wywłaszczeniu stało się więc ciałem. Na niemieckim froncie zaczynała się ostateczna rozprawa. Rozjuszone germaństwo deptało „przedmurze Słowiańszczyzny", a największa „słowiańska" potęga znęcała się równocześnie nad tem „przedmurzem".

Pomimo tych posunięć niemieckich, pomimo nawoływań ludu wielkopolskiego, ruch antigermański w Polsce osłabł był nagle, a raczej podzielił się ostatecznie na dwie nienawiści, na dwa fronty się rozpadł, antirosyjski i antiniemiecki. Siłą przeto rzeczy wzrosły jeszcze bardziej sympatje do bezwładnej, i dlatego może tak bardzo tolerancyjnej, Austrji.

Zresztą i na terenie zaboru austrjackiego działy się rzeczy niezwykłe, osobliwe.

Ruch rusiński wzmógł się, stał się przedmiotem licytacji aż trzech mocarstw. Ruchowi temu sprzyjali i pomagali Rosjanie, na tym ruchu budował przyszłość austrjacki odłam wiedeńskich polityków, na ruch ten zaczęli łożyć pieniądze nawet Niemcy.

Ruś Czerwona miała odegrać rolę dynamitu, którym z jednej strony Rosja, z drugiej Niemcy, a z trzeciej Austrjacy chcieli wysadzić w powietrze polskie spodziewania, skurczyć obszar polskich wpływów, ziem polskich.

Ta sama przecież Austrja, rojąca o możliwości zbudowania olbrzymiego państwa Ukraińskiego czy Południowo - Słowiańskiego, któreby podkopało potęgę Rosji, ta sama Austrja zaczęła okazywać znamienną powolność polskim organizacjom wojskowym.

Jak powiedzieliśmy wyżej, sokolstwo polskie w Galicji, po uroczystościach grunwaldzkich i, w myśl powziętych

uchwał, zaczęło gorączkową działalność instrukcyjną, dążąc do zamiany swych drużyn na oddziały, zdolne utworzyć kadry przyszłych zastępów powstańczych.

Sokolstwo uzyskało przyzwolenie na ćwiczenia wojskowe, nie posiadło atoli nigdy tak mocnego poparcia, jakie odrazu zdobyły sobie organizacje strzeleckie, zapoczątkowane przez młodzież, tak zwaną, „postępowo-niepodległościową".

Wynikło to zapewne stąd, że, podczas gdy sokolstwo w Galicji nie deklarowało się bezwzględnie na zdecydowany front przyszłej walki i kierunek swój czyniło zależnym od układu warunków politycznych, nastąpić w przyszłości mogących, organizacje strzeleckie, jasno i wyraźnie, działały pod hasłem walki z Rosją. Opowiadały się za potrzebą pozbycia się przynajmniej jednego z trzech zaborców, poczytywały, i słusznie niezawodnie walkę równoczesną na trzy fronty, a choćby i na dwa, za niemożliwą.

Z tego powodu, porównywując szybkość rozwoju już zasobnych, posiadających swe siedziby i środki sokołów z rozwojem organizacyj strzeleckich, odrazu uderza nietylko sprawność tych ostatnich, o wiele energiczniejsza ich działalność, ale i wielka pieczołowitość wojskowych władz austrjackich im okazywana.

W sierpniu roku 1912, odbył się pierwszy pamiętny zjazd przedstawicieli stronnictw, tak zwanych, „niepodległościowych", czyli niepodległości się domagających. A w połowie listopada tegoż roku, odbył się drugi zjazd, na którym powstała Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, mająca wywrzeć tak silny wpływ na kierunek myśli politycznej polskiej.

Komisja Tymczasowa, na przypadek wojny z Rosją, zajęła już wyraźnie stanowisko proaustrjackie.

Ale żeby dobrze zozumieć zachowanie się Komisji Tymczasowej, należy przypomnieć sobie, że w październiku, 1912,

wybuchła Wojna Bałkańska, wojna z Turcją ludów, dotychczas przez monarchję Ottomanów ciemiężonych.

Była to dla Austrji chwila groźna. Wojna z Rosją, gotową do ratowania Słowian bałkańskich, za cenę Konstantynopola, wisiała w powietrzu. Polski sprzymierzeniec, choć bez broni i armat, był pożądany.

Sprzymierzeniec ten polski miał wówczas zalety wielkie dla Austrji, bo tak mocno i tak szczerze nie cierpiał wszystkiego, co moskiewskie, że o mało nie uchybił najświetniejszym swym emblematom o wolności i równości ludów.

Wbrew logice i poczuciu sprawiedliwości, monarchja padyszacha miała w Polsce sympatje, miała je dlatego, że nie podpisała niegdy rozbioru Polski, że była jedynem mocarstwem, które wystąpiło zbrojnie przeciwko zaborczej Rosji.

Jakoż Polacy wypowiedzieli się odrazu jasno i otwarcie. Organ Emigracji Polskiej w Paryżu, organ rozbitków i dostojników rewolucji roku 1831 i powstania 1863, „*Bulletin Polonais*" (Nr. 292, z dnia 15 listopada 1912, str. 330) obwieścił dosłownie, co następuje:

„Za Czarnogórzem i w porozumieniu z niem Serbja, Bulgarja „i Grecja wypowiedziały wojnę Turcji i oto, od miesiąca, jesteśmy „świadkami zawziętej walki, którą wydały Turcji te cztery pań„stwa, podtrzymywane materjalnie i moralnie przez Rosję i przez „czasopisma europejskie, będące albo na żołdzie Rosji, albo za„ślepione dla niej w swym sentymencie. Turcja stawi odważnie „czoło wszystkim swym nieprzyjaciołom i, pomimo wielu porażek, „przeplatanych zwycięstwami, ukrywanemi przez prasę i nieprzy„jaciół, nie uważa się, w chwili, gdy to piszemy, za zwyciężoną. „Nie potrzebujemy chyba mówić, że sympatje nasze są po stronie „tej Turcji, którą pragną tak rozebrać na części, jak niegdyś „Polskę, i to w chwili gdy i ona zaczęła przeprowadzać reformy, „które miały wrócić jej pełnię sił dla dobra cywilizacji, zarówno „Europy jak i Azji. Pogrom Turcji byłby triumfem panslawizmu, „a więc triumfem Rosji, niby to oswobodzicielki".

Tak pisał organ Emigracji Polskiej w Paryżu.

Nienawiść do Rosji, do knowań rosyjskich na Bałkanach były silniejsze niż pamięć na rozpacz gnębionych i szarpanych od wieków przez Turcję ludów słowiańskich.

Ci sami Polacy, którzy dla siebie szukali współczucia i słowa dobrego nawet w Japonji, ci sami w Wojnie Bałkańskiej widzieli tylko Moskali, swych ciemiężycieli i tylko Turków, którzy nie podpisali rozbioru Polski. Mrowie Serbów, Bulgarów, Czarnogórców i Greków, walczących o wyzwolenie swych braci, o swą niepodległość nie obchodziło ich wcale.

Nie wszyscy tak zapewne sądzili i czuli w Polsce, a nawet i na emigracji, we Francji, rozumowano także inaczej aleć tak przecież twierdził na szczytach organ naszego pielgrzymstwa.

Ta sama kwestja nabrała jeszcze wyraźniejszego kolorytu, gdy do Paryża zjechał był, w charakterze emisarjusza nieokreślonego rodzaju, Tadeusz Gasztowtt, pracujący jako nauczyciel języka francuskiego w Konstantynopolu. Gasztowtt przekonał do reszty ojca swego, znanego i zasłużonego pisarza i patrjotę, Wacława Gasztowtta, redaktora tegoż „Bulletin Polonais“, no i zapalił do entuzjazmu zawsze gotowego Wacława Sieroszewskiego i zwołano zebranie. Przedmiotem tego zebrania był postulat, aby wysłać do Konstantynopola manifest, deklarujący przyjaźń dla Turcji, a tem samem potępić walkę o wolność ludów bałkańskich, podlewając to wszystko rzuceniem przekleństwa na Rosję i strojąc w podpisy i pieczęcie.

Na zebraniu przeważyła trzeźwość, która, choćby w imię wszystkich razem łotrostw rosyjskich, nie mogła przeciwstawiać się walce o wolność i opowiadać się za tureckiem ciemięztwem.

Te sentymenty, te wybuchy naszej myśli politycznej należy przypisać schorowanej, a cierpiącej męki duszy polskiej.

Wybuch Wojny Bałkańskiej, jak powiedzieliśmy, miał niezawodnie wpływ na utworzenie Komisji Tymczasowej, a bodaj i na całą naszą sprawę go wywarł.

Przykład był bliski i oczywisty. Wojna Bałkańska wróżyła daleko krwawszy i ważniejszy epilog. Przewaga rosyjska na Bałkanach godziła nietylko w Austrję, lecz i dokuczała Niemcom, moszczącym sobie drogę do Bagdadu i otaczającym dziedzictwo sułtanów siecią pajęczą swojej chciwości. Rzekoma, podczas Wojny Bałkańskiej, neutralność trzech wielkich cesarstw europejskich, była raczej gotowaniem się do przyszłej rozprawy, wyczekiwaniem odpowiedniej chwili do ostatecznego rachunku.

Utworzenie Komisji Tymczasowej, na pamiętnym zjeździe w Zakopanem, było zrazu powitane przez stronnictwa zachowawcze i narodowe dosyć obojętnie.

Dopiero po dłuższej pauzie, stronnictwa te wzmogły dość szczęśliwie prace nazewnątrz, w kierunku krzewienia propagandy polskiej. Ekspozytury zagraniczne, tak zwanej, Rady Narodowej, dotąd ubogie w środki i pomysły, zaczęły nieco żywiej się krzątać. Choć i nadal praca ich była raczej rezultatem filantropji niż wytrwałego składkowania. Możny nawet ogół nie rozumiał potrzeby czynienia ofiar na cele propagandy. Z trudem największym ciułano maleńkie fundusiki na agencje i na opłatę urzędników. Zdobywano się na wydawanie broszurek, nikłych, z dnia na dzień pisanych rozprawek. nie rojąc nawet o celowem i planowem krzewieniu myśli polskiej, popularyzowaniu polskiej idei.

Powyższe stronnictwa, zasadniczo mniej energiczne, niosące na swych barkach ciężar beznadziejnej polityki z mocarstwami zaborczemi, nie miały zrazu wpływu na pogotowie bojowe, a w odłamie swym trzeźwiejszym bały się nawet tego ruchu, bały austrjackiego oszustwa, bały nieopatrzności młodzieńczej, bały roztrwonienia krwi na nierówną walkę.

Szybkie atoli posunięcia Komisji Tymczasowej zniewoliły i te stronnictwa do enuncjacyj. Nastąpiło starcie. Wybory do czwartej z rzędu Dumy skończyły się niepomyślnie dla partji narodowo demokratycznej. Stolica Polski, zamiast Romana Dmowskiego, wybrała tym razem socjalistę. Trzeba było pójść za ogólnym prądem, bijącym w górę od młodzieży, trzeba było nietylko oddziaływać na kierunek ruchu wojskowego polskiego, ale temu ruchowi sprzyjać, a bodaj i ten ruch regulować.

ROZDZIAŁ TRZECI

PRZEŁOMOWA CHWILA W DZIEJACH WYCHODŹTWA. — PIERWSZA ODEZWA. — ZJAZD PITTSBURSKI W GRUDNIU, ROKU 1912. — PŁOMIENNE UCHWAŁY POD ZNAKIEM JEDNOŚCI. — NARODZINY KOMITETU OBRONY NARODOWEJ. — ODEZWA Z DNIA 4 STYCZNIA 1913 R. — MEMORJAŁ Z DNIA 18 STYCZNIA. — PIERWSZE STARCIE. — URZĘDOWE PISMO PREZYDJUM RADY NARODOWEJ.

Ale nietylko na ziemi polskiej wszczął się ruch ku krzewieniu wiedzy wojskowej i zaprawianiu młodzieży do bojowego ordynku.

Za rzuconemi hasłami goręcej może jeszcze poszło Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych.

Wyprawieni do Krakowa na uroczystości grunwaldzkie. delegaci przywieźli postulaty mocne. Związek związków sokolich jest czynem dokonanym. Rodzina sokola dochodzi już do stu pięćdziesięciu tysięcy druhów, trzeba, aby jaknajprędzej wyrosła na sto pięćdziesiąt tysięcy karabinów. Związek związków nie ma charakteru politycznego, bo polityka wogóle nie jest sokolem rzemiosłem. Obowiązkiem sokolstwa jest czuwać i, w chwili decydującej, rzucić te sto pięćdziesiąt tysięcy karabinów na szalę.

Tak sformułowane relacje delegatów padły na szczery, niewyjałowiony mędrkowaniem grunt.

Praca na Wychodźtwie rozpoczęła się żarliwa. Główną jej treścią było wyszkolenie wojskowe. Brak instruktorów przedstawiał poważną trudność, ale radzono sobie jak się dało.

Młodzież, wabiona już teraz dźwiękami prawdziwych pobudek wojskowych, szła chmarą, sokolstwo amerykańskie rosło, powiększało się, zdobywało sobie poparcie całego społeczeństwa.

Nie potrzeba chyba podkreślać, że Wychodźtwo, narówni z ojczyzną, przeżywało te same udręki, że i na Wychodźtwie wyrwanie nam Chełmszczyzny, miljony niemieckie na wywłaszczenie miały swój odzew i swe protesty i gromadne manifestacje, że i tutaj nakonice dotarły wszystkie prądy, nurtujące rodaków w Europie.

Aż nadeszła dla Wychodźtwa chwila przełomowa.

Chwilę tę doskonale maluje referat, ogłoszony w urzędowym protokóle Sejmu XX-go Związku Narodowego Polskiego, odbytego we wrześniu, roku 1913, w Detroit.

Oto co powiada referat (str. 97):

„Rok 1912 zasłynie w dziejach polskiego narodu, jako jedna „z chwil przełomowych, na schyłku bowiem tego roku zawisła „chmura groźna nad całą Europą, a zwycięstwa państw bałkań„skich przyczyniły się do gwałtownego rozbudzenia ducha w Pol„skim narodzie i zwróciły jego uwagę na rolę, jaką musi odegrać „w pierwszej zawierusze europejskiej. Zrozumieli to wszyscy że, „w razie wojny austrjacko - rosyjskiej czy innej, narodowi pol„skiemu nie wolno pozostać bezczynnym. Rozpoczęto przeto z go„rączkowym pośpiechem przygotowywać się do zbrojnego powstania „o niepodległość naszego kraju, przy pierwszej sposobności, jaka „się nadarzy. W tym celu rozeszły się wici i odezwy do wszyst„kich zakątków świata, zamieszkałych przez Polaków.

„Na odezwę z kraju pierwszy od siebie wydał tu, w Ameryce, „odezwę Związek Sokołów, a okręg Związku Sokołów w Chicago „pierwszy rozpoczął pracę, zakładając kilka komitetów i zwołując „dwa zebrania reprezentantów polskich organizacyj i prasy.

„Ażeby prace te rozszerzyć i powołać całe Wychodźtwo do „obowiązków względem macierzy, Sokolstwo zwołało przedstawi„cieli wszystkich polskich organizacyj i wszystkich ludzi dobrej „woli na zjazd, jaki się odbył w Pittsburghu, dnia 15 i 16 grudnia,

„roku 1912. Zamieniwszy zjazd na ogólno-polski wiec, dnia 16 „grudnia, przyjęto pamiętną rezolucję pittsburską i wybrano tym„czasowy Komitet Obrony Narodowej z 15 przedstawicieli pol„skich organizacyj, prasy i wybitnych na Wychodźtwie rodaków, „w celu opracowania ustaw dla tej ogólno-polskiej instytucji.

„Tak wybrany Komitet zajął się natychmiast pracą przygoto„wawczą; na zebraniu organizacyjnem, dnia 6 lutego, 1913 roku, „ukonstytuował się komitet stały i ustawy opracowane przez „„tymczasowy" przyjął, uzupełniając je uchwałą bezzwłocznego wy„syłania zebranych funduszów na ręce Skarbu Wojskowego w kra„ju, na jego żądanie — dopóki nie zostanie zorganizowany stały „Rząd Narodowy".

Tak brzmi dosłownie zasadniczy ustęp referatu, ogłoszonego w urzędowym protokóle Sejmu XX Związku Narodowego Polskiego w Ameryce.

Aby jednak ten doniosły moment w życiu Wychodźtwa naszego zrozumieć i w następstwie docenić należycie dalsze jego skutki, trzeba to lapidarne sprawozdanie sejmowe uzupełnić innemi dokumentami.

Zjazd sierpniowy w Polsce, odprawiony przez reprezentantów „postępowo - niepodległościowych" dotarł był do sympatyków swych w Ameryce i przez nich dosięgnął zastępów sokolich.

Sokolstwo długo nie deliberowało. Wskazania były jasne, cel wytknięty i taki, który był wyznaniem sokolej wiary. Niespodziewany wybuch Wojny Bałkańskiej przyśpieszył decyzję. Pierwszy wystąpił odłam secesyjny sokolstwa, Związek Sokołów Wolnych.

W dniu 22 października, roku 1912, ukazało się w prasie wezwanie wymienionego Związku, następującej treści:

„Stoimy w przededniu wielkich dni, w roku przełomu, który „Europa przejść musi w swych dziejach w zaraniu nowych ugru„powań się narodów.

„Zarzewie, długo tłumione państwową formą rządu, żywym „zapłonęło płomieniem, pożoga wojny na Bałkanie miesiąc prę„dzej, miesiąc później, objąć musi środkową Europę... to fakt „oczywisty, każdy go rozumie, wyczuwa.

„A ziemia nasza, nieszczęsna Polski kraina, sercem tego środ„ka zapasów stać się musi, na jej to łanach usypią kurhany ty„siącom, co legną za nowe życie narodów.

„Krew polska potrójnym popłynie strumieniem, brat w brata „pierś godzić będzie zmuszony, przemoc Kainów czynić z nas „będzie. Dusza się wzdryga przed zbrodnią bratobójstwa, lecz „ono kresem niedoli naszej. W rzędzie nowych narodów na karcie „Europy i Polska znaleźć się musi.

„Idzie chwila, wielka chwila wyzwolenia, ziszczenia stupięć„dziesięcioletnich pragnień polskiej duszy. Idzie krwawy rewanż „za wiek hańby, poniżenia, za krew ojców i dziadów, za męki „braci, za hańbę sióstr, idzie, zbliża się lotem strzały, może już „jutro pożoga wojny kraj nasz obejmie.

„A tak rozumując i czując nie dla prowodyrstwa, nie dla „chęci przewodzenia, ale z obowiązku „przedniej straży", my, So„kolstwo, dziś apel dajemy do całego społeczeństwa na emigracji „i wici ślemy.

„Wici zapowiednie, bo zbliża się godzina czynu, akcji plano„wej, rozumnej, aby wyzyskać chwilę, gdy ci, co nas ciemiężą, „walkę między sobą toczyć będą. To chwila dziejowa, ją spotkać „musimy przygotowani, by zdobyć prawo do bytu samodzielnego „mocą własną i stanąć w rzędzie wolnych narodów.

„Obowiązkiem naszym narodowym jest dziś rozpocząć akcję „gromadzenia grosza na ołtarzu wyzwolenia. Wyłonić musimy „z ogółu jedno zbiorowe ciało, przedstawicielstwo polskiej emi„gracji, ponad partjami i obozami, aby akcję czynu ujęło w ręce, „powołało wszystkich, kto czuje się Polakiem, do ofiarności „i służby Ojczyźnie.

„Komitet Obrony Narodowej! Wielkie słowo, a nie wahamy się „go rzucić w dusze Rodaków, bo nadszedł czas, gdzie nie wolno „narodowi polskiemu iść rozbieżnemi drogami, ale musi on pod„jąć planową pracę, aby wypadki nie zastały go nieprzygotowa„nym".

Odezwę tę podpisali H. Stępiński, jako prezes, i H. York, jako sekretarz generalny.

Gorące sercem i szlachetną intencją, a ubogie zbyt napuszonym stylem, to wezwanie osiągnęło skutek.

Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce odpowiedziało na nie jasno i potoczyście, drukując w kilkudziesięciu czasopismach jednobrzmiący artykuł.

W artykule tym powiedziano między innemi:

„Wszędzie, na całym świecie, tak państwa, jak i narody, przy- „stępują obecnie nagwałt do rewizji swych programów i dróg „dotychczasowych, aby, albo być w zgodzie z nowym prądem, ro- „dzącym się z krwi Słowian bałkańskich, albo też, aby się przed „nim zasłonić.

„I w Polsce naszej, jak nas informuje, prasa nasza ojczysta. „ruch na całej linji. Rewizja programów i dążeń w całej pełni „i, co za tem idzie, szukanie i wytykanie nowych dróg do owego „starego celu, który niezmiennie już tylu pokoleniom przyświecał.

„Zgodziły się tam dziś wszystkie obozy i stronnictwa narodo- „we z opinją, że, w układzie sił państw europejskich i stosunku „wzajemnym narodów dokonał się obecnie przełom olbrzymi i, że, „bez względu na to, czy Wojna Bałkańska spowoduje natychmiast „wielką wojnę europejską, czy też za lat parę, a nawet i wcale „jej nie spowoduje, karta Europy nietylko na Bałkanie będzie „zmieniona.

„I uznano w Polsce, że nadszedł czas, w którym wszystkie „stronnictwa, obozy i organizacje muszą się porozumieć, w celu „rozpoczęcia akcji przygotowawczej do wielkich tych dziejowych „wydarzeń. Akcja ta prowadzona ma być na wszystkich dotych- „czasowych polach pracy społecznej, z dodaniem nowych, zmie- „rzających do podniesienia sprawności i siły fizycznej narodu oraz „do gromadzenia funduszów.

„Taki to duch przejawił się w dniach ostatnich na ziemiach „polskich".

Z tych przesłanek o rzekomej jednomyślności obozów i stronnictw w Polsce z tych legend, niestety, o urojonej jednomyślności, znamienny ten artykuł, a raczej okólnik Towarzy-

stwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce, wysnuł takie postulaty:

„Zorganizowanie Komitetu Obrony Narodowej, z reprezentan-
„tów całego zorganizowanego społeczeństwa, jest nam niezbędne
„i stanowczo potrzebne. Stanie on niezawiśle ponad partjami
„i organizacjami, jako pierwsza tego rodzaju instytucja, łącząca
„wszystkich.

„Po nim przyjdzie czas na „Związek Jedności", na wytężoną
„pracę przy organizowaniu polskich lokalów unijnych, zakładaniu
„kooperatyw i tym podobnych.

„Czasy idą w wypadki brzemienne. Naród polski, i tam, w oj-
„czyźnie i, tu, za morzem, czuje dziś wyraźniej niż kiedykolwiek,
„że musi zabrać się z wytężeniem wszystkich sił do pracy na
„wszystkich polach".

I nikt wówczas nie przypuszczał, bo i nie mógł przypuścić, że z tego żarliwego pragnienia jedności, że z tej, niby to ponad partyjnej organizacji, mającej łączyć wszystkich, narodzi się rozłam, który na długie lata targać i podkopywać będzie siły Wychodźtwa i jego energję.

Na dzień 15 grudnia, 1912 roku, zjechali do Pittsburgha zawezwani przedstawiciele i reprezentanci.

W dniu pierwszym obrad, trwały nadewszystko rozprawy pomiędzy dwoma sokolemi związkami: macierzystym i secesyjnym, tak zwanym „wolnym". Dopiero w dniu drugim zjazdu, zamienionego na „Wiec Narodowy", odbyły się właściwe dyskusje, mające za przedmiot utworzenie wspólnego Komitetu Obrony Narodowej.

Atmosfera była podniecona, lecz w dodatniem tego słowa znaczeniu. Wszyscy delegaci żywili toż samo pragnienie zapoczątkowania szerszej pracy polityczno-narodowej, wszyscy uczuwali potrzebę takiej pracy. Na zaszłych w kraju zmianach w układzie stosunków partyjnych rozumiano się bardzo słabo.

Komisja Tymczasowa posiadała natomiast dwu mocnych i świadomych swych dążeń rzeczników, w osobach Aleksandra Dębskiego i Bronisława Kułakowskiego. Pierwszy z nich, jako socjalista, przyrzekał zapomnienie wszelkich uraz partyjnych, snuł plany tworzenia wojska w Ameryce i w Polsce, rzucał garściami budujących wzorów historycznych, a kataklizm europejski wróżył.

Zapanował entuzjazm niesłychany. Przewodniczący zebrania, prezes Związku Narodowego, Kazimierz Żychliński, wyciągnął rękę do zgody, wzywał do pracy wszystkich, bez względu na interesy stronnicze, bez względu na partyjne poglądy. Zapał ogólny spotęgował jeszcze Kułakowski, który ogniste swe przemówienie zakończył odczytaniem odebranego z Polski telegramu, telegramu, zwiastującego „połączenie się stronnictw“.

Zjazd pittsburski to „połączenie się stronnictw“ zrozumiał podług napięcia swych własnych nerwów.

W Polsce oczywiście wszystkie stronnictwa niezawodnie odprawiły naradę, połączyły się, po bratersku podały sobie ręce, aby walczyć o niepodległość, aby sposobić się na dni najbliższe. Kończy się więc to szamotanie w pojedynkę różnych partyj, kończy rozterka. Cel jest jeden i wola jedna, zakuta w zapuszczoną przyłbicę Komisji Tymczasowej, która niebawem zostanie zluzowana przez Tajny Rząd Narodowy. Jest więc władza narodowa, upragniona, śniona przez Wychodźtwo. Władza nasza, polska władza.

W tak nasiarkowaną atmosferę rzucono rezolucję hardą, piękną, ale zaprzysięgającą bezwzględny posłuch i karność Komisji Tymczasowej.

Rezolucja ta, uchwalona na Wiecu Narodowym w Pittsburghu, dnia 16 grudnia, 1912 roku, brzmiała dosłownie (przytaczamy ją według tekstu, zamieszczonego w „Ustawie

Komitetu Obrony Narodowej na Wychodźtwie Polskiem, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej“):

„Uznając obowiązek współdziałania z krajem ojczystym we „wszelkiej akcji, mającej na celu przywrócenie niepodległości „politycznej Polsce, uważamy za wskazane i postanawiamy powo-„łać do życia Komitet Obrony Narodowej na podstawie następu-„jącej rezolucji, przyjętej na Wiecu Narodowym przedstawicieli „polskich organizacyj i prasy polskiej w dniu 16 grudnia 1912 „roku, w Pittsburghu, Stanie Pennsylwania, a mianowicie:

„Wiec przedstawicieli wszystkich polskich organizacyj i to-„warzystw w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, zwoła-„nych przez Sokolstwo Polskie do Pittsburgha, w dniu 16 grud-„nia 1912 roku, jednogłośnie uchwalił, co następuje:

„Oddaleni o tysiące mil od Ojczyzny, nie mogąc brać czyn-„nego udziału w polityce narodowej, poddajemy się pod bez-„względną dyrektywę Zjednoczonych Niepodległościowych partyj „w Polsce, reprezentowanych przez swych delegatów na zjeździe „w Zakopanem, jesienią roku 1912 i tworzących obecnie Polski „Skarb Wojskowy. Stosownie do orjentacji politycznej, dokona-„nej już w kraju przez powyższe partje, postanawiamy popierać „wszelkiemi środkami ruch powstańczy przeciw Rosji, największe-„mu wrogowi Polski, przedstawicielce ucisku, wynarodowienia, „barbarzyństwa i ciemnoty i odwiecznemu żandarmowi absolu-„tyzmu w Europie.

„Dla niesienia tej pomocy, postanawiamy utworzyć Komitet „Obrony Narodowej. Niech żyje walka zbrojna, niech żyje wol-„ność, niech żyje Niepodległa Rzeczpospolita Polska!“

Rezolucję tę powitał wybuch szalonego zapału i uniesienia.

Pierwsza w dziejach Wychodźtwa wspólna organizacja polityczna stała się ciałem. Wobec tego faktu doniosłego, połączenie się dwu odłamów Sokolstwa wynikło już samorzutnie i bez żadnych dalszych rozterek. Miłość i braterstwo było stygmatem tego dnia.

Powołano natychmiast Komitet Tymczasowy do przeprowadzenia organizacji. Do komitetu tego powołano 15 członków.

Dokładnie wybrani zostali: St. Adamkiewicz, Fr. Barć, J. Borkowski, A. Dębski, J. Lasocki, E. Napieralska, Anna Neuman, S. Osada, T. Siemiradzki, J. Sienkiewicz, Ks. Szybowicz, S. Szwajkart, dr. J. Zaleski, dr. K. Żurawski i K. Żychliński. Innemi słowy, w skład tego Komitetu Tymczasowego, krom wybitnych przedstawicieli lewicy, wchodzili reprezentanci większości organizacyj Wychodźtwa. Jedynie tylko wybitnie klerykalne sfery w tym Komitecie, ani wogóle w tym zjeździe, udziału nie brały, no i nie dla swych uzasadnionych jakichś poglądów politycznych, lecz z racji silnego rozdźwięku, jaki wówczas panował pomiędzy klerykalnemi i ogólnospołecznemi instytucjami i organizacjami polskiemi na Wychodźtwie.

Innemi słowy, Wychodźtwo przez uchwałę pittsburską nietylko sformowało centralną instytucję poiltyczno - narodową, nietylko uznało jednomyślnie potrzebę tworzenia, popierania i prowadzenia wyszkolenia wojskowego, ale wypowiedziało się bezwzględnie i wyłącznie za zbrojnem powstaniem przeciwko jednej jedynie Rosji, jako temu „największemu wrogowi", pomijając milczeniem dwu zapewne „mniejszych" wrogów naszych.

Lecz po tem uniesieniu, w łonie tegoż Komitetu Tymczasowego, musiały nastąpić pewne refleksje, bo tenże, w pierwszych dniach stycznia, roku 1913, ogłaszając zasadniczy program organizacji Komitetu Obrony Narodowej, orzekł:

„Celem Komitetu Obrony Narodowej ma być uświadamianie „narodowe ludu polskiego oraz zcentralizowanie akcji narodowej „całego polskiego Wychodźtwa w Ameryce Północnej i zwrócenie „jej na wspólną drogę jaką, w danej chwili, uzna za najlepszą „Naród Polski w Europie, reprezentowany przez wszystkie swe „stronnictwa, względnie część ich, wystarczającą dla nadania ich „akcji charakteru powszechnego".

Ogłoszenie tego punktu zasadniczego, w następstwie dopiero zmienionego w statucie Komitetu Obrony Narodowej, uci-

szyło pierwsze zaniepokojenie, wywołane tem poddaniem się „bezwzględnej dyrektywie Zjednoczonych Niepodległościowych Partyj w Polsce".

Pierwsza odezwa Komitetu Obrony Narodowej święciła całkowity triumf.

Wydana została dnia 4 stycznia, roku 1913.

Oto jej osnowa:

„Rodacy!

„Na zegarze dziejowym wybiła już dla nas godzina czynu.

„Idące ku nam z nad brzegów Wisły, pomruki burz niedalekich, „jednakiem echem odbiły się w miljonach serc naszych, wyrazem „czego był Wiec Narodowy reprezentantów całego zorganizowane„go Wychodźtwa w Pittsburghu.

„I oto niema już pomiędzy nami niezgody i nienawiści, niema „obozów i partyj, niema pierwszych i drugich, są tylko Polacy, nie„odrodni synowie i córy nieszczęśliwej Ojczyzny, gotowi do wszel„kich ofiar i poświęceń, byle tylko jej dopomóc do zrzucenia kaj„dan niewoli.

„Powołani mocą tego Wiecu Narodowego do ostatecznego uło„żenia ustawy i przeprowadzenia centralizacji całego Wychodź„twa, wzywamy dziś do szeregu wszystkich, co się tylko szczycą „imieniem Polaka.

„Ustawa Komitetu Obrony Narodowej gotowa.

„Rozesłaliśmy ją obecnie do wszystkich naszych organizacyj „z wezwaniem zamianowania reprezentacyj, z których ma być zor„ganizowany Komitet Centralny.

„Niebawem pójdzie też do wszystkich, najdrobniejszych na„wet kolonij i parafij naszych odezwa z wezwaniem do organizo„wania komitetów lokalnych, a gdy ich siecią pokryjemy cały ob„szar Ameryki Północnej „Czwarta dzielnica Polski" godnie przy„gotuje się do spełnienia obowiązku wobec Ojczyzny.

„Dziś, w przededniu pięćdziesiątej rocznicy wybuchu osta„tniej walki naszej o niepodległość, wzywamy was, Rodacy, do „godnego uczczenia tego wielkiego, narodowego święta.

„Ile polskich kościołów, tyle uroczystych nabożeństw i ile „kolonij polskich, sal większych, tyle powinno być obchodów, na

„których lud polski, nieodrodni synowie męczeńskich ojców z ro-
„ku 1863, ślubować mają, w imię tych samych haseł, wierną służ-
„bę Ojczyźnie.

„Polska budzi się, godzina rozbicia kajdan niedaleka.

„Rodacy!

„Wzywamy was do ofiarności na cel najwyższy i najwznio-
„ślejszy, jaki może tylko istnieć dla Polaka na ziemi.

„Niech, w dniu obchodu pięćdziesiątej rocznicy Styczniowe-
„go Powstania, każdy Polak i Polka i każde dziecko polskie,
„w Ameryce mieszkające, złożą na ołtarzu Ojczyzny jakąkolwiek
„ofiarę, tytułem zadatku, ślubując sobie stałe opodatkowanie na
„ten cel, a gdy godzina walki wybije, złożenia więcej, choćby
„wszystkiego, co posiadają, choćby się zapożyczyć, choćby ostatni
„kawałek chleba od ust odjąć przyszło, boć, dla Polaka, żadna
„ofiara, gdy o wolność Ojczyzny idzie, zaciężka być nie powinna.

„Ślubujmy to sobie w tym dniu krwawego jubileuszu, kiedy
„oddawać będziemy cześć pamięci tych, którzy obowiązek podobny
„spełnili pięćdziesiąt lat temu.

„Zaś młodzież nasza niech się gotuje.

„Złączone w Pittsburghu, Sokolstwo Polskie ogłosiło się „Po-
„gotowiem bojowem narodu" i wierzymy, że zrobi wszystko, aby
„się niem stało naprawdę. Wierzymy, że każde Gniazdo Sokole
„w tym kraju zamieni się w silny, dobrze w robieniu bronią
„i obrotach wojennych wyćwiczony oddział naszej narodowej armji,
„pociągając ku sobie wszystkie serca szlachetne.

„Niech się dowie, nietylko Polska, ale świat cały, o gotowości
„naszej do poświęceń, choćby najdalej idących.

„My jedni, my, „Czwarta Dzielnica Polski" już dziś, w prze-
„dedniu wielkich wypadków, otwarcie to możemy powiedzieć.

„Gotują się do śmiertelnych zapasów państwa rozbiorcze,
„gotujmy się i my, Polacy, bez względu na to, gdzie mieszkamy,
„a gdy godzina wybije, oddajmy wszystko.

„Niech się nie łudzi wróg dzisiejszą niezgodą naszą i rozbi-
„ciem i niech nie triumfuje, że doprowadził do tego, bo, ponad
„wszystkie różnice, góruje u nas miłość Ojczyzny, a w godzinie
„czynu, podobnie jak dziś już Polacy Amerykańscy, stanie naród
„cały, jeden i niepodzielny".

Pierwszy ten apel Komitetu Obrony Narodowej i dzisiaj nawet brzmi jak poemat braterstwa i miłości Ojczyzny i dzi-

siaj jeszcze dźwięczy dumą tego nieziszczonego podotąd zawołania „i oto niema już między nami niezgody i nienawiści, nie ma obozów i partyj... są tylko Polacy... gotowi do wszelkich ofiar i poświęceń".

O ileż potężniejsze musiał wywrzeć wrażenie, kiedy go czytano wówczas, kiedy wierzono, że „ponad wszystkie różnice", góruje już u nas miłość Ojczyzny.

Wieści tymczasem wprost z Wiecu Narodowego w Pittsburghu dosięgnęły za ocean, dotarły do Polski i tam wzbudziły różne uczucia. Komisja Tymczasowa triumfowała, posiadła bowiem potężnego wręcz i ofiarnego sprzymierzeńca, zawojowała całe Wychodźtwo Polskie w Ameryce, stronnictwa zaś narodowo - umiarkowane, pretendujące do wywierania wpływu na pewne sfery Wychodźtwa, zdumiały się temu akcesowi gromadnemu do „lewicy", jaki istotnie wyrażała Komisja Tymczasowa.

Rozpoczęła się gorączkowa korespondencja i wymiana zdań.

Pierwsze jej echo padło już w dniu 18 stycznia. W kilkanaście dni po odezwie, nastąpiło pierwsze starcie w łonie Komitetu Obrony Narodowej.

W tak zwanym „Tygodniowym przeglądzie spraw polskich", inspirowanym przez Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, ogłoszono mianowicie znamienne uwagi, niby pierwszą pobudkę do odwrotu.

Warto je, dla bezstronności, przytoczyć w główniejszych wyjątkach:

„Śledząc w dalszym ciągu pilnie i uważnie rozwój wypadków „w Polsce, z przykrością przychodzi nam skonstatować „fakt", że „aczkolwiek istnieje tam pewnego rodzaju jedność dążeń, o której „pisaliśmy poprzednio w naszych „przeglądach", niema jednak „dotychczas jedności akcji, i, kto wie, kiedy do niej dojść będzie „można.

„Jak wiadomo, ruch obecny, w myśl tak zwanej „Obrony „czynnej“ zapoczątkował się i wyszedł z łona skoncentrowanych „partyj, tak zwanych niepodległościowych, ze znaczną zdaje się, „przewagą socjalistów kilku odcieni.

„Partje te, pierwsze w Polsce pomyślały o gromadzeniu fun- „duszu bojowego. jak i o przygotowaniu młodzieży do walki zbroj- „nej. One też pierwsze zwróciły się do Wychodźtwa polskiego „w Ameryce, nawet telegraficznie, z wezwaniem do wspólnej akcji „i tem właśnie tłumaczy się treść rezolucji Wiecu Narodowego „w Pittsburghu.

„Polonia w Ameryce, na pierwsze zawołanie, zaznaczyła łącz- ność swoją z Ojczyzną.

„Ale, podobnie jak i u nas, gdzie połączyliśmy się wszyscy „w jednym Komitecie Obrony Narodowej, między innemi także „dlatego, aby jednolitą i rozumnie upłanowaną akcją zapobiec „nadużywaniu imienia Ojczyzny przez ludzi niepowołanych, tak „samo i tam, w Polsce, ruch tak zwany „niepodległościowy“, „o którym jego przeciwnicy piszą, że się „bez zastrzeżeń“ podpo- „rządkował Austrji, — wywołał także o wiele głębszą i o wiele „szersze koła obejmującą akcję narodową, reprezentowaną przez, „tak zwane, „Rady Narodowe“ w zaborach austrjackim i pruskim.

„Czytelnicy nasi znają już dążenia jednej i drugiej; pisaliśmy „o nich bowiem w naszych „przeglądach“ obszernie. Są one, w pe- „wnej mierze, w akcji swej podobne do partyj, tak zwanych, „niepodległościowych, mówią jednak o sobie, że wychodzą z „or- „jentacji polskiej“ i twierdzą, że Naród Polski, w dobie obecnej, „z żadnem mocarstwem „bez zastrzeżeń“ losów swych sprzęgać „nie może. „Rady“ te, głównie zaś galicyjska, godzą się jednak „z niepodległościowcami“ na potrzebę pogotowia i, w Galicji „zwłaszcza, energicznie je przeprowadzają.

„Pod egidą właśnie tej Rady Narodowej przyciągają Sokół „i Drużyny Bartoszowe, te ostatnie specjalnie na wsi (Statut „Drużyn Bartoszowych został zatwierdzony przez cesarsko - kró- „lewskie namiestnictwo we Lwowie dopiero w dniu 11 grudnia, „1912 roku. Przypisek Autora Hist. Ar. P.), młode pokolenie pod „sztandar karnej i bezwzględnie patrjotycznej służby publicznej. „I w nich, podobnie, jak w specjalnie w tym celu poorganizowa- „nych „niepodległościowych“ związkach i drużynach strzeleckich, „odbywają się ćwiczenia wojskowo - strzelnicze z tą wszakże zasa-

„dniczą różnicą, że nie wmawia się w młodzież bynajmniej, jakoby „wojna z Rosją wybuchnąć miała koniecznie, przedstawia jej się „raczej, że, zupełnie niezależnie od tego, czy wojna będzie czy „nie, — należy pracować nad zahartowaniem i wzmocnieniem „fizycznych i moralnych sił. Jeżeli naprężenie międzynarodowe „zakończy się ostatecznie pokojowo i konflikt nieunikniony znów „na parę lat odwlecze, wówczas niewiadomo, w jakim kierunku wyładuje się egzaltacja Związków i Drużyn Strzeleckich, żyjących „ustawicznie histerją wojenną; natomiast Sokoli i Drużyny Barto-„szowe przyjmą to z naturalnym spokojem.

„I w tem właśnie leży ich cała wyższość moralna.

„Wskazuje się dalej Sokołom i Drużynom Bartoszowym na „konieczność utrzymania w społeczeństwie karności, ładu i porząd-„ku, rzeczy stokroć ważniejszej od dostarczania wojsku austrjac-„kiemu kilku tuzinów jeźdźców czy rowerzystów do podjazdów, — „dążąc do umocnienia i rozszerzenia w społeczeństwie takich pod-„staw organizacyjnych, by, dzięki nim, społeczeństwo przedsta-„wiało i w najkrytyczniejszej chwili zwartą masę o własnej silnej woli i o zdolności do czynu nazewnątrz jednolitego, a mądrego „i energicznego.

„Jak już poprzednio zaznaczyliśmy, cała ta praca organiza-„cyjna, odbywa się pod patronatem moralnym Rady Narodowej, „której jawne zwierzchnictwo polityczno-narodowe uznają i So-„kół i Drużyny Bartoszowe. W ostatnich zaś czasach, jak notują „pisma, przechodzą dość liczni członkowie Związków i Drużyn „strzeleckich.

„Z obserwacyj naszych wynika, że opinja publiczna polska, „pod zaborem pruskim, w zupełności, — ponieważ nie może na-„śladować czynów, — sympatyzuje z tym kierunkiem. Co do Kró-„lestwa Polskiego, to tam, o ile domyśleć się można, bo prasa „ma usta zakneblowane cenzurą, są zwolennicy obu kierunków, „ale większość bezwątpienia podziela zdanie galicyjskiej Rady „Narodowej.

„Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, jasno wynika, że wszelkie „obawy naszych polsko - amerykańskich strachajłów, iż cały naród „idzie pod komendę socjalistów, nie mają uzasadnienia.

„Była tam, podobnie jak i u nas, chwila, w której prym do „nich należał, lecz chwila ta minęła i naród wrócił do równowagi. „Co do nas, to tak dziś, jak i zawsze, obowiązywać nas będzie ar-

„tykuł pierwszy Ustawy Komitetu Obrony Narodowej, w którym „tenże Komitet zobowiązanym jest kierować całe scentralizowane „Wychodźtwo na jedną wspólną drogę, *jaką w danej chwili uzna „za najlepszą Naród Polski w Europie, reprezentowany przez „wszystkie swe stronnictwa, względnie przez część ich, wystarczającą dla nadania ich akcji charakteru powszechnego.*

„Niema zatem obawy, abyśmy tu kiedykolwiek poszli pod ko- „mendę jakiegokolwiek jednego stronnictwa, a kto twierdzi ina- „czej, ten świadomie chce mydlić oczy".

Artykuł powyższy, który był pierwszym ciosem, wymierzonym przeciwko Komitetowi Obrony Narodowej, a raczej przeciwko „rezolucji pittsburskiej", jak każdy z łatwością wyczuje, był, w głównej swej osnowie, bardzo ściśle i przedmiotowo opracowanym argumentem politycznym, nadesłanym wprost z łona wzmiankowanej Rady Narodowej. Ona to śpieszyła na zagrożoną placówkę i przeciwstawiała się „socjalistom". Sam przez się stanowi więc dokument poważny, bo ujmujący w pewnej chwili dążenie do tworzenia pogotowia bojowego a z drugiej strony rzucający światło na dzieje Komitetu Obrony Narodowej. Od tej chwili zaczyna się spór i walka zawzięta, nieubłagana o to, kto ma na Wychodźtwo wpływ wywierać, kto mu przewodzić. Od tej chwili zjawia się na Wychodźtwie przeklęty, straszny wyraz „orjentacja", mający w najbliższej przyszłości stać się kością niezgody.

W owej przecież chwili, przodownicy Komitetu Obrony Narodowej, może sami nie zdając sobie sprawy, dzielili się, od samego poczęcia, na dwa różne odłamy.

Pierwszy z tych odłamów, reprezentujący postępowo - lewicowe kierunki, trwał stanowczo i uporczywie na „rezolucji pittsburskiej", mocą której Komitet O. N., jako centralna organizacja Wychodźtwa, obowiązany był do bezwzględnego posłuszeństwa Komisji Tymczasowej. I ten odłam zgodził się na pewne w statucie omówienia czy ustępstwa, lecz w tej inten-

cji, że „rezolucja“, jako punkt oparcia i punkt wyjścia tej organizacji, w praktyce zawsze przeważyć musi.

Drugi zaś odłam, reprezentujący prądy ogólno - narodowe polskie, rozumiał, że, chociaż „rezolucja“ poszła zadaleko na kraniec, jednak Komitet O. N. w statucie swym zastrzegł się już i jasno wypowiedział, nie ślubując poddaństwa i wierności.

Gdy między te odłamy padł przytoczony wyżej artykuł, a właściwie memorjał polityczny, zerwała się pierwsza burza. Treścią jej był wniosek jednego z członków, p. St. Osady, aby wystosować pismo z zapytaniem do Rady Narodowej i aby wogóle gromadzić fundusze i nie wysyłać ich dotąd, aż w kraju albo nie nastąpi porozumienie między Komisją Tymczasową i Radą Narodową, albo jeden z tych kierunków nie przeważy.

Wniosek ten (działo się to dnia 22 lutego 1913 r.) został odrzucony trzydziestu dwu głosami przeciwko dwudziestu czterem.

Na łamach czasopism rozpętała się zaciekła polemika a raczej chryja, jakiej w kronikach Wychodźtwa jeszcze nie było.

Ze sporów o zasady narodziły się osobiste napaści i wzajemne obrzucanie się błotem.

Korespondencja z krajem szła gorączkowa. Jedenastu członków Centralnego Komitetu Obrony Narodowej, wbrew uchwale większości, zwróciło się ze zbiorowem pismem do Rady Narodowej.

Odpowiedź nadeszła. Nosi ona datę dnia 12 kwietnia, 1913 roku, zaopatrzona jest w podpis D-ra Stanisława Węckowskiego, a adresowana była do pana St. Osady.

Oto, co pisała Rada Narodowa:

„Na pismo zbiorowe, przesłane przez WPana w marcu roku „bieżącego do Rady Narodowej, mam zaszczyt przesłać WPanu, „z polecenia Prezydjum Rady Narodowej, żądane wyjaśnienia.

„Możliwość wojny austrjacko - rosyjskiej była istotnie, przez „kilka ubiegłych miesięcy, bardzo wielka, obecnie możliwość ta, „na czas dłuższy może odroczona, ale zawsze jeszcze prawdopodo- „bna. Wobec tego, Rada Narodowa, zaraz w pierwszej chwili na- „pięcia stosunków austrjacko - rosyjskich, już we wrześniu r. z., „uważała za swój obowiązek skupić wszystkie siły narodowe, wpły- „nąć na złagodzenie walk partyjnych i przygotować powoli ludność „do możliwej walki orężnej.

„W tym celu postanowiła zakładać i popierać stowarzyszenia, „mające na celu wyrobienie sprawności fizycznej i wojskowej w lu- „dności. Tworzyły się zatem Drużyny Strzeleckie, Drużyny Bar- „toszowe i Oddziały Skautów przy Kołach Sokolich i Kursy Sa- „marytańskie i t. d.

„Rada Narodowa, podejmując te prace jednoczenia sił i or- „ganizowania pogotowia narodowego, była zawsze świadoma nie- „tylko swego obowiązku, jako upoważnionej przez Koło Sejmowe „najwyższej instytucji narodowej w zaborze austrjackim, lecz i swej „wielkiej odpowiedzialności wobec narodu. Dlatego też, z jednej „strony badała dokładnie nastrój narodu polskiego w zaborze rosyj- „skim, co do ewentualnej wojny, bacząc przytem pilnie na to, „by nierozważnym krokiem, mogącym w następstwach swych być „fatalnym dla braci naszych w zaborze rosyjskim, nie wywołać „przedwczesnego ruchu zbrojnego, z drugiej strony, dążąc do te- „go, aby na wypadek konfliktu austro - rosyjskiego, dane nam „były, ze strony Austrji, pewne gwarancje, jakie stanowisko zajmą „Prusy i, aby siły organizowane, nawet przy współudziale Austrji, „nie zostały zużyte „pour le roi de Prusse".

„Narazie niebezpieczeństwo wojny austro - rosyjskiej minęło, „w razie zaś, gdyby do tej wojny i w przyszłości najbliższej nie „przyszło, to uważamy wszelki ruch samodzielny powstańczy „w Królestwie Polskiem za zbrodniczy, tem więcej, gdyby miał „być wywołany przez czynniki narodowe nieodpowiedzialne z za- „boru austrjackiego.

„Do ruchu takiego ręki nie przyłożymy, gdyż uważamy, że na „to jesteśmy obecnie za słabi. Ruch taki zostałby zaraz zgnieciony, „a dla narodu całego sprowadziłby nieobliczalne szkody.

„Prace, przez Radę Narodową podjęte, zaaprobowało Koło „Sejmowe, najwyższa nasza instancja narodowa w zaborze austrja-

„ckim. polecając narazie Radzie Narodowej powołanie do współ-„działania obszerniejszego „Komitetu Obywatelskiego".

„Pragnąc, aby Komitet Obywatelski objął istotnie całe społe-„czeństwo nasze, wszystkie istniejące w niem odłamy, stronnictwa „i partje polityczne, stojące na gruncie narodowym, Rada Narodo-„wa zwróciła się do wszystkich najwybitniejszych stronnictw po-„litycznych, nawet do partji socjalistycznej, nie uznającej zasady „solidarności Koła Polskiego w Parlamencie Wiedeńskim. Prawie „wszystkie stronnictwa przyjęły udział w Komitecie Obywatel-„skim, — jedynie udziału tego odmówiła partja socjalistyczna, „mimo kilkakrotnego wezwania Rady Narodowej. Jednakże, mi-„mo to, Rada Narodowa stara się utrzymać kontakt z Komisją „Tymczasową, w której główną rolę, grają socjaliści i mamy z jej „strony zapewnienie, że nie dąży do wywołania ruchu powstań-„czego w Królestwie.

„Do spełnienia realnych zadań i prowadzenia prac, w myśl „organizowania istotnego pogotowia narodowego, wezwała Rada „Narodowa społeczeństwo polskie do składek na Fundusz Narodo-„wy i prowadzi w tym kierunku sprężystą akcję; składki wpływa-„ją ze wszech stron.

„Rada Narodowa ma to silne przeświadczenie, że aczkolwiek „nie zwracała się dotąd do braci naszych w Ameryce, celem po-„parcia akcji tej w Ojczyźnie, i aczkolwiek nie przypominała im „obowiązków narodowych, w tak ważnej chwili, i wobec zadań „czekających naród nasz w niedalekiej może przyszłości, to znając „gorący patrjotyzm naszych współbraci za oceanem i wiedząc, „że zarówno z nami przeżywają każde silniejsze wstrząśnienie na-„rodowe, — Rada Narodowa nie wątpi, że współbracia nasi, rozu-„miejąc ważność sprawy podjętej, przez Radę Narodową, nie za-„niedbają poczynienia wszystkiego, czemby Radzie Narodowej „i sprawie ojczystej z pomocą przyjść mogli".

List ten, wbrew spodziewaniom, słabe wywarł wrażenie. Utrwalił jedynie pogłoski, że Komisja Tymczasowa pozostaje pod rozstrzygającym wpływem socjalistów, że stronnictwa narodowe z jej kierunkiem się nie solidaryzują. Natomiast sam przyznał się do tego, że Rada Narodowa nie troszczyła się o zdanie i pozyskanie Wychodźtwa, poczytując teren ten dla

siebie zawsze za zdobyty i powolny, no i że Rada Narodowa, dopiero pod wpływem ruchów lewicy i odruchów młodzieży, zatroszczyła się o wpływ na pogotowie bojowe, na czucie z sokolstwem. Ponadto w liście tym, snuje się, między wierszami, myśl, która skłoniła władze austrjackie do podejrzliwego zachowania się względem organizacyj sokolich, a popierania usilnego organizacyj strzeleckich, pracujących pod przewodem Komisji Tymczasowej.

Jako atak na łączność Wychodźtwa Polskiego ze swą, dopiero co założoną reprezentacją, w formie Komitetu Obrony Narodowej, oświadczenie Rady Narodowej było wątłem, daleko słabszem od poprzedniego memorjału anonimowego. Wystrzelano szybko podsunięte argumenty w walce rozpętanej i zaległa chwilowa cisza, która była wszakże raczej przymusowem niż dobrowolnem zawieszeniem broni.

Na jednym tylko punkcie zapał dla „rezolucji pittsburskiej“ nie ustawał, a mianowicie tam, gdzie gromadziły się środowiska sokole, gdzie młodzież, nie troszcząc się o żadne komisje, rady i polityczną czy społeczną rozbieżność poglądów, sposobiła się i zaprawiała do tężyzny żołnierskiej, do wojskowej sztuki.

Wypadki tymczasem toczyły się dalej. Wieści z Polski szły ponure, smutne, zamętem międzypartyjnym brzemienne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

STRACHY WOJENNE. — PIERWSZE OŚWIADCZENIA KOMISJI TYMCZASOWEJ. — DEKLARACJA KOŁA POLSKIEGO W PARLAMENCIE WIEDEŃSKIM. — MEMORJAŁ NA KONGRES AMBASADORÓW W LONDYNIE. — WALKA MIĘDZY KOMISJĄ TYMCZASOWĄ I RADĄ NARODOWĄ. — SECESJA W KOMITECIE OBRONY. — UTWORZENIE POLSKIEJ RADY NARODOWEJ W AMERYCE. — PRACA SOKOLSTWA W STANACH ZJEDNOCZONYCH. — NA ZIEMIACH POLSKICH.

Horyzont polityczny w Europie, wbrew uroczystemu zapewnieniu Rady Narodowej, zaciemniał się, chmurzył coraz bardziej.

Podczas, gdy Rada Narodowa, jak to wyżej podaliśmy, w miesiącu kwietniu, stanowczo i bez zastrzeżeń, twierdziła, że „obecnie możliwość wojny na czas dłuższy odroczona“, inaczej myślano w sferach rządzących. Dość tu przypomnieć słynne rewelacje księcia Lichnowskiego, posła niemieckiego w Londynie, aby stwierdzić, że właśnie w lecie roku 1913, prawie cudem, uniknięto wybuchu wielkiej wojny europejskiej, w której pierwsze skrzypce miały trzymać Rosja i Austrja.

Panika więc owa, owe strachy wojenne miały swe głębokie uzasadnienie. A jeszcze silniejsze uzasadnienie nadawała im atmosfera podniecająca wszystkich trzech zaborów.

Rocznica pięćdziesięciolecia Powstania Styczniowego odzywała się niby wyrzut sumienia, przypominała homeryczne

potyczki, junackie wyprawy, zmaganie się młodzieniaszków-zapaleńców z całą potęgą carską.

Szpiegostwo moskiewskie, wystraszone chrzęstem karabinów sokolich i strzeleckich, zaczęło czuwać, czyli i w zaborze rosyjskim niema śladów spisku. Rozpętano znów rewizje. Zamknięto bez pardonu, pomimo konstytucji, Towarzystwo Kultury Polskiej, pilnowano i ścigano, śledzono i podejrzewano całą ludność.

Zresztą o tworzeniu w Galicji ochotniczej siły zbrojnej polskiej zaczęto rozprawiać już całkowicie otwarcie. Co więcej, w czasopismach zagranicznych, zwolennicy, a dokładnie pionierzy czy reprezentanci Komisji Tymczasowej, bez ogródek, wypowiadali swe zamysły.

Mamy, dla przykładu, francuskie wydawnictwo „*Cahiers Mensuels*", wydawane przez Ligę Międzynarodową Obrony Praw Ludów, owóż w numerze 5, roku 1913, za miesiąc marzec, znajdujemy tam artykuł p. t. „Polacy wobec Rosji i Austrji", pióra Wacława Sieroszewskiego.

Sieroszewski, w marcu, roku 1913, bez ceremonji odsłonił publicznie plany i myśli nietylko swoje własne, ale i „ośmiu organizacyj", ale nawet i wszystkich organizacyj polskich w Ameryce.

Z całą szczerością pouczał Sieroszewski Francuzów, a po drodze pouczał polityków wszystkich trzech mocarstw rozbiorowych i, prawiąc o legjonach, dowodził:

„Dlaczegóż jednak te legjony mają wystąpić przeciwko Ro-
„sji, a nie przeciwko Niemcom? Dlatego, że Rosja zawładnęła naj-
„bogatszą i najliczniej zaludnioną częścią Polski, wyzwolenie zaś
„tej części lub przyłączenie do Austrji, miałoby dla nas nieobli-
„czalne następstwa. Dlatego także, że Rosja jest słabsza od Niemiec
„i nakoniec dlatego, że zachodzi w tej chwili możliwość konfliktu
„między Rosją i Austrją. Jeżeliby jednak w przyszłości miało na-
„stąpić starcie pomiędzy Austrją i Niemcami, lub gdyby Niemcy

„miały wystąpić przeciwko koalicji francusko - angielskiej, w ta-
„kim razie, z tym samym zapałem, będziemy bić Niemców i wy-
„ładujemy taką samą energję w walce za naszych braci na Śląsku,
„w Poznańskiem i w innych prowincjach polskich.

„Powiem więcej jeszcze. Jeżeliby, podczas wojny austro - ro-
„syjskiej, armja niemiecka chciała zająć Królestwo Polskie lub
„Galicję, trzeba będzie, aby Polacy, nie przerażając się tem,
„wszystkie wytężyli siły do stawiania czoła dwóm przeciwnikom".

O ile pierwszą część tego oświadczenia trzeba było przypisać nieostrożności, toć drugą część, mówiącą o walce powstańczej na dwa fronty, zapominającą, że Niemcy są sojusznikami Austrji, że Austrja chodziła tylko na pasku, trzymanym przez Berlin, trzeba było uważać za szkodliwą nawet dla celów, w imię których występowała. Było to oficjalne i przed czasem wyzwanie. Sieroszewski tak oto dumnie kończył swe wywody:

„Lecz nie ja jeden wyznaję tę orjentację antirosyjską. Wy-
„starcza mi przypomnieć, że ośm zorganizowanych partyj w za-
„borze austrjackim i rosyjskim i wszystkie partje w Stanach Zje-
„dnoczonych Ameryki Północnej, które się nieraz zwalczały podo-
„tąd, wypowiedziały się w ten sam sposób. Zrozumiały one, wo-
„bec możliwości starcia austro - rosyjskiego, że Polak nie może
„dzisiaj mieć innego hasła nad hasło „przeciw Rosji"".

Przytaczamy wystąpienie Sieroszewskiego w myśli odźwierciadlenia panujących prądów, nie w intencji pomawiania go o niedyskrecję, bo istotnie nietylko te „ośm zorganizowanych partyj" tak samo, jak on, czuło i rozumowało, lecz i równie energicznie ogłaszało swe plany i poglądy na przypadek wybuchu tej czy innej wojny.

Dość przeczytać uważnie memorjał, rozesłany przez Biuro Komisji Tymczasowej a opublikowany przez *„Bulletin Polonais" w Paryżu.* (Nr. 298, z dnia 15 maja, 1913 roku). Brzmi w tym memorjale ta sama racja, lecz obok niej mówi się wprost o tem, że wiara w Rosję konstytucyjną zawiodła, że

krew przelana przez partje lewicowe za wspólną sprawę, czasu rewolucji rosyjskiej, pod rosyjską komendą, poszła na marne. Tam można czytać, między wierszami, już wyraźne przyznanie się, że bohaterstwo bojówek pod czerwonemi chorągwiami proletarjatu ogólno - rosyjskiego było lekkomyślnem roztrwonieniem siły, że trzeba działać inaczej, że zagadnienia proletarjatu polskiego należy załatwić w polskiem środowisku, szukać dla nich podstawy polskiej państwowości.

Memorjał ten ani wspomniał już o możliwości walki z Niemcami, zabór pruski pominął całkowicie a wzamian stwierdził uroczyście:

„Wszystkie organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki (gdzie przebywa trzy miljony wychodźców polskich), zebrane na Kongresie Ogólnym, uznały władzę Komisji Tymczasowej i postanowiły czynnie jej dopomagać".

Ale, godzi się pamiętać, że Komisja Tymczasowa w poglądzie swym o potrzebie zachowania frontu proaustrjackiego i maszerowania Polaków na Rosję nie była odosobniona.

Pogląd ten podzielali w Parlamencie Wiedeńskim, nietylko przywódca socjalistów, Daszyński, ale i ówczesny prezes Koła Polskiego, Leo, który z całą powagą tłumaczył, jak to wobec możliwości wojny Austrji z Rosją:

„my, Polacy, bylibyśmy gotowi, w danym razie, spełnić cały „nasz obowiązek w wojnie, któraby miała rozstrzygać zarówno o lo- „sach Austrji, jak i o losach Polski. Zapał i poryw wojskowy, jaki „okazałaby w tych okolicznościach cała młodzież polska, a z nią „naród, gotowy wesprzeć monarchję Austro-Węgierską ze wszyst- „kich sił, byłyby podziwu godne. I nietylko dzisiaj jesteśmy gotowi „spełnić cały nasz obowiązek względem mądrego i sprawiedliwego „monarchy, który pokłada w nas całe zaufanie, lecz, jeżeli w przy- „szłości zbrojne starcie nastąpi między wielką potęgą północy i pań- „stwem, w którem prawa narodu naszego znalazły prawa obywa-

„telstwa, będziemy gotowi ponieść dla tego państwa największe „ofiary".

Tak mówił w Parlamencie Wiedeńskim prezes Koła Polskiego, Leo, tak mówił w czerwcu, roku 1913.

Byłaż to może poprostu jedna więcej deklaracja stańczykowska, jedno więcej wiernopoddańcze wynurzenie, przeciętny objaw czarno-żółtej lojalności? Czyli był w tem akces do orjentacji i planów Komisji Tymczasowej?

Trzeba raczej przyjąć, że i pierwsze sentymenty i drugie racje działały tu równorzędnie. Ideologja Komisji Tymczasowej nie była tworem jej prowodyrów. Bardzo poważny odłam społeczeństwa polskiego te same wyznawał przekonania. Wszakci nawet Rada Narodowa, w liście swym do Wychodźtwa, twierdziła, że i ona zajmuje się wspieraniem ruchu zbrojnego polskiego w Galicji, więc i ona nie cofała się przed proaustrjackiem wystąpieniem.

Gdy się to działo, na terenie zaboru pruskiego, rozlegały się coraz zawziętsze echa manifestacyj i protestów. Wielkopolska a z nią już i Śląsk Górny szamotały się rozpaczliwie. Sejm pruski rozbrzmiewał wciąż projektami nowych ustaw antipolskich, aż, wtórując rosyjskim prześladowaniom, zabrzmiał kwestją uchwalenia nowych miljonów na dalsze wywłaszczanie Polaków, na jeszcze silniejsze ich pognębienie.

Był to cios dla proaustrjackiej orjentacji. Prąd antiniemiecki się wzmógł raptownie i poderwał argument, że największym wrogiem Polski jest Rosja...

Polityka berlińska, polityka Hohenzollernów poszła w tym razie na rękę Romanowym. Polityka bowiem berlińska wogóle bardzo sceptycznie poglądała na flirty polsko - austrjackie, które przeszkadzały jej w ostatecznem zgermanizowaniu prowincyj polskich. Korzystała więc z każdej sposobności, aby, w chwili przykręcania dybów w zaborze rosyjskim, je-

szcze silniej przykręcać swe pruskie dyby w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku.

Uchwalenie przeto nowych kredytów na wywłaszczenie a tuż za niem początek wyrzucania Polaków z ojcowizny, wywlekania żandarmami rodzin polskich z pod ich strzech, zaważyło bardzo silnie na układzie „orjentacyj polskich". Przypomnijmy sobie jeno, że nawet posłowie polscy w Parlamencie Wiedeńskim, idąc za pierwszem wrażeniem, oparli się propozycji uczczenia jubileuszu dwudziestopięcioletniego panowania cesarza Wilhelma II i opozycją swoją utrącili owację na część pierwszego aljanta Austro - Węgier.

Komisja Tymczasowa, w tym samym okresie, jeszcze wyraźniej zaznaczyła swe stanowisko polityczne. Wyprawiła mianowicie swój memorjał na odbywający się z powodu regulowania kwestyj bałkańskich Kongres Ambasadorów w Londynie.

Memorjał został doręczony angielskiemu Foreign - Office dnia 9 lipca, 1913 roku.

W memorjale tym Komisja Tymczasowa przekłada ambasadorom położenie zaboru austrjackiego i domaga się dla tego zaboru całkowitej autonomji z sejmem, opartym na czteroprzymiotnikowem głosowaniu, równouprawnienia Polaków na terenie Rosji, pozostawiając otwarte kwestje unji personalnej i kwestje dowództwa wojskowego.

Lecz do tych umiarkowanych żądań, żądań przeczących raczej zawołaniu o niepodległości, Komisja Tymczasowa dodała, na zakończenie, żądania bardzo osobliwe. Oto, w punkcie szóstym konkluzji, domagała się, aby:

> „znieść dla mieszkańców Cesarstwa Rosyjskiego, żydów, wszel-
> „kie zakazy, ograniczające swobodne ich osiedlanie się, jak rów-
> „nież skasować wszystkie prawa wyjątkowe, wymierzone przeciwko
> „ludności żydowskiej".

W ostatku, w tymże memorjale, Komisja Tymczasowa domagała się wyraźnie:

„aby te same reformy, prędzej lub później, były wprowadzone „nietylko w prowincjach polskich, ale w wielu innych, w których „ludność dochodzi już do kresu wzburzenia“.

Słynny ten memorjał obiegł prawie całą prasę wszechświatową, spowodował mnóstwo odpowiedzi i komentarzy. Wpływ przecież Komisji Tymczasowej na społeczeństwo polskie osłabił.

Komisja Tymczasowa przez memorjał ten zdawała się raczej szukać porozumienia z Rosją. Dyktowała warunki autonomji, a więc zgodnego z Moskalami pożycia, odkładała jakby dążenia do niepodległości do dalekich czasów, ale co więcej, szukając dobra Polski, wysuwała ogólno - rosyjską kwestję rosyjskiego żydostwa i troszczyła się nawet o bytowanie innych „prowincyj“ rosyjskich.

Innemi słowy, tak wyglądało, jakby Komisja Tymczasowa nietylko chciała rozwiązać na drodze pokojowej problemat polsko - rosyjski, lecz ten problemat łączyła z tem, czy Rosja pozwoli Żydom mieszkać w Moskwie i Petersburgu, czy nie pozwoli.

Ten punkt o Żydach mógł Komisji Tymczasowej zjednać sympatje sfer postępowych, lecz w okresie silnego ruchu antisemickiego w Polsce (wywołanego przez napływ Żydów rosyjskich, tak zwanych, litwaków) odstręczył cały legjon Polaków i nawet takich, którzy ku Żydom inwidji nie żywili. A już bardzo mocno ten punkt wpłynął na przyszły stosunek Wychodźtwa Polskiego w Ameryce do Komisji Tymczasowej i do jej reprezentanta, a więc do Komitetu Obrony Narodowej.

Wychodźtwo Polskie w Ameryce Żydów za Polaków nie uznawało i dlatego jedynie, że krocie tysięcy izraelitów, przy-

bywających z Polski do Stanów Zjednoczonych, wyrzekały się odrazu wszelkiej z Polską i Polakami łączności. Stąd niechęć polskiego Wychodźtwa nie do Żydów, jako inowierców, czy rasy innej, lecz do obcego i niechętnego odłamu napływowej ludności. Stąd za oceanem narodził się odrazu łatwy koncept, że memorjał Komisji Tymczasowej był tworem nie polskich socjalistów, lecz poprostu Żydów.

Na Komisję Tymczasową zaczęto na Wychodźtwie poglądać bardzo krytycznie.

Czy słusznie? Niezawodnie tak samo słusznie, jako inni poglądali na Radę Narodową.

Komisja Tymczasowa była reprezentantką lewicy, Rada Narodowa grup narodowych środkowych, czy prawicowych. Jedna i druga chciały nadewszystko rządzić, panować, władać. Obie zaś narodziły się z ruchu żywiołowego, z tego pędu naturalnego, który samorzutnie zaczął się krzewić. To były sztandary doganiające już maszerujące zastępy, a nie sztandary, pod któremi dopiero pierwsi stają bojownicy.

Zwróćmy uwagę, że taka Rada Narodowa sama się przyznaje, że, dopiero we wrześniu roku 1912, roztoczyła skrzydła opiekuńcze nad sokolstwem, że dopiero po sierpniowym zjeździe stronnictw „niepodległościowych“ i rozpoczęciu przez nie gorączkowej pracy organizacyjnej, czujność Rady Narodowej została podniecona.

No i uprzytomnijmy sobie, że i nieinaczej było z Komisją Tymczasową i ze strzeleckiemi związkami i drużynami.

Dokument można znaleźć bezsporny. Oto, na początku roku 1914, przybył do Paryża Józef Piłsudski, w owym czasie jeden z organizatorów ruchu strzeleckiego przy współudziale Komisji Tymczasowej. Piłsudski wygłosił odczyt dnia 21 lutego. Z odczytu tego istnieje bardzo sympatyczne sprawozdanie, wydrukowane przez „Bulletin Polonais“ (Nr. 309).

Józef Piłsudski oświadczył publicznie, że inicjatywa krzewienia pogotowia wojskowego jest zasługą Polskiej Partji Socjalistycznej, która, w roku 1908, założyła pierwszy związek strzelecki, że dopiero za tym ruchem poszła Narodowa Demokracja. Ale, przyznał Piłsudski, trudności były tak znaczne, niewiara tak wielka nawet w łonie partji, że organizacje wojskowe polskie, w chwili wybuchu Wojny Bałkańskiej, nie liczyły więcej nad siedemset do ośmiuset członków.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że, w ciągu ostatnich trzech miesięcy roku 1912, wybuchła właśnie i Wojna Bałkańska, i ocknęła się Rada Narodowa, i zawiązała się Komisja Tymczasowa, i powstał Komitet Obrony Narodowej, — to raczej zdumiewać się musimy, podziwiać zręczność i obrotność organizacyj, które w tak krótkim czasie zdołały położyć rękę na tak dawnych, a mocnych zrzeszeniach, jak sokole, że umiały podporządkować sobie impet młodzieży, rwącej się do broni, do walki orężnej.

Zgodność dążeń dwu gromad przedstawicielskich była całkowita. A, jak wykazał memorjał Komisji Tymczasowej do Rady Ambasadorów w Londynie, istniała nawet zgodność taktyczna, też same trójautonomiczne bajania. Przewodnik socjalistów polskich, Daszyński, jak i umiarkowany prezes Koła Polskiego, Leo, zarówno kochali „mądrego monarchę", zarówno sprzyjali Austrji, zresztą tak samo mówili naczelnicy sokołów, jak i naczelnicy strzelców.

Walka przecież między temi dwiema gromadami rozegrać się musiała. Co innego myśl wspólna, wspólny cel, a co innego zapasy o wpływ na społeczeństwo, wpływ na młodzież, na szerokie warstwy ludu polskiego.

Pierwszem polem bitewnem miało się stać Wychodźtwo Polskie w Ameryce.

Owo hasło potężne o „nadpartyjności", które aż do łez wzruszyło, obradujących na wiecu pittsburskim, Polaków,

owe mowy płomienne na rzecz Komitetu Obrony Narodowej, były rozumiane przez zebranych w ten sposób, że bądź lewica kwituje z odrębności, staje karnie w szeregu, bądź znów, że narodowcy i demokraci idą pod komendę lewicy. Każdej ze stron się zdawało, że przeciwna jej ustępuje. Tymczasem nikt nikomu ani myślał, ani na jotę pozwolić. Frazesy wyciskały łzy patrjotycznej radości. Jedni mieli się za zdobywców posłuszeństwa dla Komisji Tymczasowej, drudzy sobie powiadali: byle się skleiło, a tam już nasza większość poradzi.

Jak zaznaczyliśmy, terenem pierwszych zapasów między Komisją Tymczasową, a Radą Narodową była Ameryka.

Szło o stawkę wielką, o miljony Wychodźtwa, o potężne środki, o utrzymanie ofiarności, na jaką żaden z trzech zaborów zdobyć się nie mógł, nie umiał i poprostu nie chciał...

Po pierwszem starciu z Komitetem Obrony Narodowej, roku 1913, tenże Komitet rósł we wpływy i znaczenie. Skupił nawet organizacje wybitnie zachowawcze, rozwijał wielką działalność, gromadził fundusze znaczne i fundusze te słał do Komisji Tymczasowej, reprezentował istotnie całe Wychodźtwo. Ale w łonie Komitetu Obrony Narodowej, nurtowała już opozycja. Starano się tę opozycję, występującą wrogo nie przeciw Komitetowi Obrony, lecz przeciw Komisji Tymczasowej, zjednać, starano się ją ubezwładnić, aż w rezultacie, w maju, roku 1913, zdecydowano się zasuspendować niektórych urzędników Komitetu Obrony Narodowej, a innych postawić w stan oskarżenia.

Na zebraniu Komitetu Centralnego Obrony Narodowej, dnia 8 czerwca, tegoż roku nastąpiła wobec tego pierwsza secesja. Trzydziestu reprezentantów organizacyj zachowawczych Wychodźtwa, z duchowieństwem na czele, opuściło zgromadzenie i powołało nową instytucję: „Radę Narodową w Ameryce“, składając deklarację, której początek brzmiał:

„Wobec faktu, że, na zgromadzeniu Komitetu Centralnego „Obrony Narodowej, odbytem w dniu 8 czerwca, w Domu Związku „Polek, zaraz, na samym wstępie, objawił się rozłam, nie do- „puszczający żadnej absolutnie nadziei zgodnej pracy ze zwo- „lennikami Komisji Tymczasowej, dalej, wobec faktu, że posta- „wiono tam wniosek, wykluczający reprezentantów stowarzyszeń „księży polskich z organizacyj K. O. N., wobec szykan i obelg, „jakiemi bezustannie zasypywano, w ciągu posiedzenia tego, wszy- „stkich myślących inaczej, aniżeli zwolennicy Komisji Tymcza- „sowej,

„my, niżej podpisani, reprezentanci organizacyj tu wymie- „nionych, ustąpiliśmy z sali, — w celu powołania do życia nowej „organizacji do pracy dla niepodległości Polski".

Po umotywowaniu dalszem swego światopoglądu, przystąpiono do ukonstytuowania Rady Narodowej i ogłoszono niebawem wraz z odezwą Komitet Wykonawczy, którzy tworzyli:

Ks. biskup Paweł Rhode, Stanisław Adamkiewicz, ks. B. Celichowski, J. Tenerowicz, K. Chamska, Stanisław Osada, Fr. Konkowski, St. Szwajkart, E. Jarecki, Fr. Wiechowski, N. S. Budzban, F. Barć, J. Szczepański, M. Dumanowska, F. Medwecki, K. Wachtel, ks. Grudziński, N. L. Piotrowski, ks. E. Kozłowski, ks. W. Zapała, Iza Pobóg, S. Kolanowski, dr. A. Szwajkart, St. Wachtel, Tomasz Lasocki, F. P. Danisch, ks. T. Bona i ks. Ładoń.

Byłże to cios dla Komitetu Obrony Narodowej?

Dotkliwy, ale nie śmiertelny. K. O. N. tracił wprawdzie miano centralnej reprezentacji, lecz był jeszcze bardzo silnym i był potężnym, był tak potężny nawet, że w urzędowym protokóle Związku Narodowego Polskiego (str. 98) zamieszczono o tem zajściu następujące objaśnienie:

„Właściwe prace K. O. N., niestety, postępowały bardzo po- „woli ze względu na opozycję i ciągłe obstrukcje mniejszości, „składającej się z przedstawicieli t. zw. obozu konserwatywnego,

„czyli klerykalnego. Mając sekretarjat i prasę w ręku, mniejszo-„ści tej udawało się psuć i paraliżować do pewnego stopnia prace „K. O. N. ze szkodą dla sprawy narodowej. Tak trwało aż do „maja mniej więcej, kiedy większość zdecydowała się na ener-„giczne przeczyszczenie zespołu K. O. N., suspendując pewnych „urzędników i stawiając w stan oskarżenia innych. Niewiele to „jednak pomogło, gdyż zawsze się tacy znaleźli, co, — wbrew „rezolucji, uchwałom i uroczystej przysiędze, starali się przedłu-„żać dyskusje ad infinitum i osłabiać wysiłki lepiej myślących.

„Dopiero dnia 8 czerwca, na posiedzeniu Komitetu Central-„nego, nastąpiło hurtowne przeczyszczenie grzędy narodowej. Ży-„wioły wsteczne i wrogie pracom przygotowawczym, — zbroje-„nia polskiego narodu do wielkiego czynu, nie mogąc w żaden „sposób rozbić murem stojących narodowców i opanować K. O. „N., — opuściły salę posiedzeń, wśród słusznego krzyku oburzenia „licznie zebranej publiczności.

„Od tego dnia“ — stwierdza urzędowy protokół Sejmu XX „Związku N. P., — „dopiero datuje się prawdziwa, zgodna i sprę-„żysta praca K. O. N., pomimo, że w skład jego wchodzą ludzie „odmiennych przekonań, a nawet *wrogo usposobieni w niejednym* „wypadku do siebie“.

Wiadomość o tym rozłamie Rada Narodowa w Galicji przyjęła z zadowoleniem i dała wyraz swym sentymentom w liście, podpisanym przez samego prezesa, Tadeusza Cieńskiego:

„Z serdecznem uczuciem powitaliśmy wiadomość o utworzeniu „się w Ameryce, Polskiej Rady Narodowej. Witamy w niej nie-„tylko nowy objaw, gorącem tętnem bijącego życia narodowego „w społeczeństwie polskiem w Ameryce, lecz zarazem bratnią „instytucję, pragnącą w ścisłem porozumieniu iść z nami i praco-„wać dla osiągnięcia wspólnych nam celów narodowych. W tej „myśli ślemy Wam, Szanowni Rodacy, najserdeczniejsze życzenia. „Jako zadatek wspólnej pracy, witamy z wdzięcznem uczuciem „powołanie przez Was do istnienia Biura Prasowo-Informacyjnego „Rady Narodowej i w łączności z nami. W tym celu zapewniamy „Wam współpracę naszego Biura Centralnego we Lwowie, oraz na-„szych biur zagranicznych, szczególniej londyńskiego“.

Dlaczego, na zakończenie, Cieński polecał tak wyraziście „Biuro Londyńskie“ reprezentowane wówczas przez mocno niewyraźnego kierownika, to należy do tajemnic polskich stronnictw, z których każde, od dołu do góry, musi mieć taką „słabość“.

Ale to były jeszcze dla Komitetu Obrony Narodowej strachy na lachy.

Przy K. O. N. stał Związek Narodowy, stało sokolstwo, stał Związek Wojsk Polskich i legjon cały organizacyj, a nadewszystko inteligencja Wychodźtwa. A że tam „kropidlarze“, jak zwano wówczas stronników klerykalizmu, się obrazili, że poszli, że zakładają własną instytucję, mataczyny stroją, to nie nowina, zawsze takimi byli.

Rezolucja wspomnianego już Sejmu XX-go Związku Narodowego Polskiego (Detroit, wrzesień, 1913) znakomicie i co dosłowa potwierdza tę naszą definicję:

„Wobec tego, że w Polsce, w pół wieku po ostatniem pow-
„staniu narodu, rozpoczął się nanowo ruch, w kierunku utworze-
„nia pogotowia bojowego, w celu podjęcia, w chwili właściwej,
„zbrojnej walki o niepodległość Ojczyzny i że powstały już na
„ziemi ojczystej Rząd Narodowy, w formie Komisji Tymczasowej
„S. N. oraz instytucja Skarbu Wojskowego, który służy sprawie
„obrony czynnej, a mianowicie tworzeniu sił zbrojnych polskich,

„polecamy gorąco i usilnie ludowi polskiemu, pod sztandarem
„Z. N. P. zgromadzonemu, popieranie polskiego Skarbu Wojsko-
„wego, przez składanie dobrowolnych ofiar na ten cel i, o ile
„można, przez dobrowolne opodatkowanie się poszczególnych
„Gmin, Grup i członków Związku na rzecz Skarbu Wojskowego
„oraz przez popieranie wszystkich prac Komitetu Centralnego
„i Komitetów lokalnych Obrony Narodowej.

„Zważywszy, że Związek Narodowy Polski popierał przez długi
„szereg lat Skarb Narodowy w Rapperswylu i że przeszło połowa
„funduszu tego Skarbu pochodzi z ofiar, złożonych przez Związ-
„kowców, polecamy usilnie Radzie Nadzorczej Skarbu Narodowe-
„go, aby weszła w najściślejszy kontakt i porozumienie z Komisją

„Tymczasową, udzieliła Skarbowi Wojskowemu natychmiastowego „zasiłku i na wszelki sposób postarała się przyprowadzić do skut- „ku tak pożądane, dla jednolitości akcji przygotowawczej połą- „czenie obydwu instytucyj finansowych polskich, mających na celu „służbę obrony czynnej, powstającego z niewoli narodu polskiego, „pod jednym zarządem i kierunkiem, uznanych przez większość „narodu władz tymczasowych kraju ojczystego".

Innemi słowy Sejm Związku z całem przeświadczeniem stwierdzał w swych rezolucjach:

że powstał już w Polsce Rząd Narodowy Polski,

że rządem tym jest Komisja Tymczasowa,

że Komisja Tymczasowa ma uznanie większości narodu,

a w ostatku Sejm Związku wzywał Wychodźtwo do składek i ofiar i domagał się od Rady Skarbu Narodowego w Rapperswylu poddania się władzom Komisji Tymczasowej i dawał do tej Rady przekaz na wypłacenie, złożonych przez Związek, funduszy.

Cóż wobec tego dokumentu znaczyła secesja klerykalna?

Komitet Obrony Narodowej, do 1 września 1913 roku, w ciągu niespełna sześciu miesięcy, zebrał był dwadzieścia trzy tysiące dolarów i z tych dwadzieścia dwa tysiące wpłacił do kas Komisji Tymczasowej. Był to początek znakomity. Teraz miał przybyć Skarb Narodowy w Rapperswylu (Skarb Narodowy nigdy funduszów nie oddał), lecz, co więcej warte, wydany został rozkaz związkowy o składkach, a rozkaz taki za owych czasów, był sam przez się wart tysiące, no i ukazało się ogłoszenie, uznające Komisję Tymczasową za Rząd Narodowy Polski, rząd większości.

Były to więc ciągłe zwycięstwa na ziemiach polskich, a na Wychodźtwie panowanie.

Sokolstwo w Ameryce, połączone na zjeździe pittsburskim w jednolite ciało, przystąpiło do pracy nad sposobieniem pogotowia bojowego.

Zwierzchnictwo sokole spoczywało w rękach nowego wydziału, który stanowili: Dr. T. A. Starzyński, prezes — B. Mruczek, wiceprezes, — H. S. Listewska, wiceprezeska, — A. Płutnicki, sekretarz, — F. Posłuszny, kasjer, — St. J. Zaleski, redaktor, — W. S. Rylski, naczelnik i członkowie wydziału: W. Alski, S. Zyglerowiczówna, Machnikowska i K. Olsztyński.

Działalność rozpoczęto od przeprowadzenia trzech kursów dla instruktorów wojskowych. Pierwszy kurs odbył się w Emsworth, w Pennsylwanji i rozpoczął się już dnia 20 lutego, 1913 roku. Ogółem na pierwszy apel, na listach ochotniczych, zapisało się odrazu 3500 sokołów. Do kursów, które odbywały się w ważniejszych ogniskach sokolich, stanęło 359 sokołów. Nauka to była jeszcze gorączkowa, nieunormowana, lecz braki wojskowe nadrabiała ochota. W tym czasie zdołano opracować i wydać pierwszy podręcznik wojskowy pod tytułem: „Zbiór Regulaminów i Instrukcyj Wojskowych" napisany przez Rylskiego.

Stosunek do Komitetu Obrony Narodowej przyczynił Sokolstwu w Ameryce nieco zamętu.

Urzędowe w tej mierze sprawozdanie Wydziału Związku Sokołów (na Zjazd XVI) powiada:

> „Gdy rozwój Sokolstwa był w całej pełni, Gniazda i Okręgi „zajęte wyszkoleniem Drużyn Bojowych, jak również zbieraniem „funduszu Bojowego dla K. O. N., do Wydziału dochodzi bardzo „przykra wieść, że w Komitecie Obrony Narodowej, instytucji, „która powstała z myśli sokolej, i miała przedstawiać całe Wy„chodźtwo Polskie, z powodu walk partyjnych, nastąpił rozłam. „Partja t. zw. „klerykalna" wycofała się zupełnie, pociągając za „sobą swe organizacje, pozostawiając przy K. O. N. tylko orga„nizacje narodowe. Wydział, wobec tego, stawił sobie pytanie, czy „Sokolstwo, jako organizacja bezpartyjna, ma pozostać nadal „w K. O. N. lub też się zupełnie wycofać i zbierać składki na „Fundusz Kościuszkowski. Nie chcąc zrobić mylnego kroku, po-

„stanowionem zostało, aby na dzień 29 czerwca, 1913 roku, zwoła-
„nem zostało posiedzenie pełnego wydziału, w skład którego
„wchodzą wszyscy prezesi okręgowi i na tem posiedzeniu,
„po wysądowaniu opinji przedstawicieli okręgów, zadecydować
„stanowcze postąpienie Sokolstwa w tej sprawie. Na posiedzenie
„to przybył również i reprezentant K. O. N., druh Zaleski. Za
„pozostaniem przy Komitecie Obrony Narodowej, z wyjątkiem
„jednego, wypowiedzieli się wszyscy przedstawiciele okręgów. Po
„przyjęciu rezolucji, w której Wydział Związku postanawia nadał
„stać wiernie przy K. O. N., lecz żąda, aby K. O. N. wstrzymał
„wysyłkę pieniędzy na ręce Komisji Tymczasowej, do czasu zba-
„dania na miejscu, przez ludzi najgodniejszych zaufania, że
„wszystkie pieniądze, wysyłane do kraju, na ręce Komisji Tym-
czasowej, obracane są na właściwe cele, a nie na robotę partyjną,
„jak to twierdziły niektóre pisma krajowe, dalej, aby część pie-
„niędzy, zebranych w Ameryce na Skarb Wojskowy, stanowczo
„użyć na cele Drużyn Bojowych Sokolstwa Polskiego. Wreszcie
„suggestjonował zmiany kierunku pracy K. O. N. i wprowadzenia
„paragrafów do konstytucji, zmierzających do wprowadzenia na
„Wychodźtwie stałego podatku narodowego".

Uchwała ta stwierdza, że sokolstwo, w czerwcu, roku 1913, nie idąc za secesją „klerykalną", uderzyło w sedno wszelkich kwestyj, jakie organizacja Komitetu Obrony Narodowej i stosunek tegoż do Komisji Tymczasowej i Wychodźtwa mógł nastręczać.

Żądało kontroli nad sposobem użytkowania przesyłanych do kraju funduszów, dążyło więc do położenia kresu pogłoskom, twierdzącym, że Komisja Tymczasowa obraca pieniądze na swe własne, partyjne czysto, cele. Żądało, w imię hasła o zbrojnem pogotowiu, przyznania zapomóg Drużynom Sokolim, jako tym, które nietylko równolegle ze Związkami Strzeleckimi, ale dawniej od nich do tego samego sposobią się czynu.

Gdyby w owym czasie do tych dezyderatów, skądinąd słusznych odrazu się zastosowano, uniknętoby może w następ-

stwie wielu walk, przykrości i zgrzytów. Stało się, niestety, inaczej. Komisja Tymczasowa z całą dumą Rządu Narodowego domagała się posłuchu, nie pozwalała się mieszać lada komu do swych czynności.

Kiedy między Galicją i Wychodźtwem w Ameryce gorączkowe i ożywione trwały relacje, z pod zaborów pruskiego i rosyjskiego słabe i rzadkie nadchodziły do Ameryki wieści.

Zabory te dzieliły się teraz na dwa zdeklarowane obozy.

Pierwszy z tych obozów, ugodowy, lojalny, po staremu, po dawnemu grzeszył i potykał się.

W Królestwie, z powodu trzechsetlecia panowania Romanowych (dokładnie carów - Niemców, przezywających się Romanowymi) padał deszcz orderów. Kto jeno chciał, ten odbierał wspaniały, czarno - żółto - biały krzyż pamiątkowy, tak imponujący, że i po upadku Rosji, po załamaniu się tronu carskiego, nawet po utworzeniu Armji Polskiej we Francji, trzeba było te krzyże prawosławne rozkazami zdzierać z polskich mundurów.

W Wielkopolsce obchodzono znów przyjazd do Poznania cesarza Wilhelma i korna ugoda znów kłaniała się w kamerjunkierskich mundurach i frakach władzy, legitymującej się ciągle samym Panem Bogiem, no i znów lud wielkopolski błogosławił gwizdaniem polskich dostojników i znów poglądał w niebo, zali stamtąd nareszcie nie padnie grom w ziemskich bałwanów i zali nie przetrąci choćby prusko-polskiej infuły.

Tak, bo drugi z tych obozów, ten krnąbrny zawsze, nieusłuchany, nie znający się na dyplomacji, ten drugi obóz konspirował. Konspirował narodowo i konspirował socjalistycznie. Była to robota twarda, ciężka, o której słabe pojęcie mieli galicyjscy rodacy. To, co pod Austrjakiem było w ostateczności tylko dowodem przywiązania do „mądrego i sprawiedliwego monarchy“. jak twierdził „jowialny“ prezes Koła Pol-

skiego w Wiedniu, to, co było przecież tylko mnożeniem, na wszelki wypadek, rycerzów, idących obok austrjackich wojsk, — toż samo w Królestwie Kongresowem, w Wielkopolsce, na Górnym Śląsku było zdradą stanu, było więzieniem, było katorgą, było szubienicą.

Zapał we wszystkich zaborach był wielki, lecz jakże niewspółmierna wartość ofiary.

Lecz to nie odstraszało ani Królewiaków, ani Wielkopolan, ani Ślązaków. Robota więc szła. Szła zarówno w sokolich ogniskach, jak i szła pośród młodzieży, hołdującej strzeleckim znakom. Było i tutaj rozdwojenie takie samo, jak między Radą Narodową i Komisją Tymczasową, lecz cel był wspólny. pragnienie równie gorące, choć odmiennemi zmierzające drogami.

Juści nie było takiego argumentu, coby szczeremu Wielkopolaninowi, albo Ślązakowi mógł dowieść, że największym wrogiem polskości jest Moskwa. Boć ten Wielkopolanin, ten Ślązak wiedział, że, zanim Austrja odbierze Rosji polskie ziemie, to Prusak, to Niemiec ostatnią piędź ziemi polskiej wydrze z pod nóg swemu prawowitemu współobywatelowi-Polakowi. Na Moskali iść, — zgoda, ale najpierw trzeba Niemców napsuć, bo inaczej nie poradzi.

W zaborze pruskim słabo się więc przedstawiało hasło o uznaniu Rosji za największego z trzech wrogów. Ale i na terenie Kongresówki nie wszystkim imponowała proaustrjacka tendencja.

Wiedeń był podnóżkiem Berlina, służką i pachołkiem, Wiedeń knował z Rusinami, potrzebował może polskich granatów do skotłowania moskiewskich szeregów, ale ten sam Wiedeń miał w stosunku do Polaków tyle zbrodni na sumieniu, tyle niegodziwości, tyle oszustw, że nawet era „liberalizmu" austrjackiego, a dokładniej era „bezsilności" austrjackiej nie mogła budzić zaufania.

Trudno się zresztą było wyznać przeciętnemu śmiertelnikowi w powodzi tych wszystkich argumentów, tem trudniej, że o tem w dwu zaborach, stanowiących właściwie ośmdziesiąt procent dawnej Rzeczypospolitej, nie wolno było ani rozprawiać, ani się nad tem zastanawiać.

Biegły więc wszelakie pogłoski, wieści przesadzone, ulotki, oszczerstwa raz w lewo bijące, raz bijące w prawo, układały się w fantastyczne dociekania, rozpłomieniały jednych, drugich ziębiły, trzecim tryskały sarkazmem na ustach.

Tyle już podobnie gorączkowych dni przeżyto, tyle razy spodziewano się, wyczekiwano nadaremnie.

Tak nadszedł rok tysiąc dziewięćset czternasty!

ROZDZIAŁ PIĄTY

W PRZEDEDNIU WOJNY. — PRZYPŁYWY I ODPŁYWY W STOSUNKU DO POLITYKI PAŃSTW ZABORCZYCH. — POGOTOWIE BOJOWE. — OSŁABIENIE KOMISJI TYMCZASOWEJ. — JEJ OBRACHUNKI JEJ ZABIEGI I PORAŻKI. — ŚWIADECTWO HISTORYKA. — PRZEDWOJENNE ODRĘTWIENIE. — DZIAŁANIA WYCHODŹTWA W AMERYCE. — CORAZ SILNIEJSZY ROZŁAM. — WYSŁANIE DELEGATÓW DO EUROPY. — PRACA TWÓRCZA. — WOJNA STANÓW ZJEDNOCZONYCH Z MEKSYKIEM. — OSTATNIE DEKLARACJE. — TAK SAMO, JAK W POLSCE, TAK I W AMERYCE, WSZYSCY O WOJNIE PRZYSZŁEJ MÓWIĄ, NIKT SIĘ JEJ NIE SPODZIEWA.

Rok wielkiej wojny europejskiej, na ziemiach polskich, rozpoczął się pod znakiem głodu, który dotkliwie dał się uczuć ludności zaboru austrjackiego. Przyczyną tego głodu była austrjacka mobilizacja, która, w roku poprzednim, oderwała była od pracy znaczny zastęp robotników rolnych, a tem samem zmniejszyła dotkliwie zbiór ziemiopłodów w roku nieurodzaju. Ale ta klęska nie osłabiła gorączkowego życia politycznego, które we wszystkich częściach Polski, bądź samorzutnie, bądź pod wpływem nowych wydarzeń, wpadło w stan gorączkowy.

Kongresówka nadewszystko przebywała okres uporczywej, zajadłej walki parlamentarnej z powodu rozważania w Petersburgu sprawy samorządu miejskiego, od tak dawna Polakom obiecywanego. Ów niesłychany przywilej, zezwalający ludności na gospodarowanie własnym dobytkiem, starano się

w stolicy Rosji przekuć na nowe ogniwo łańcucha, który tę połać Polski miałby jeszcze mocniej do rydwanu rosyjskiego umocować. W tej myśli usiłowano zakazać używania języka polskiego w samorządzie, a nadewszystko poddano obszar gubernji Suwalskiej wyjątkowym przepisom rusyfikacyjnym, zaznaczając, że tam język polski jest niedopuszczalny z uwagi na ludność pochodzenia litewskiego.

Walka o samorząd ciągnęła się przez całe miesiące i przez całe miesiące zaprzątała energję polityki wewnętrznej w Kongresówce. Zakończyła ją interwencja cesarska, która, już uchwalony przez Radę Państwa projekt rusyfikacyjny, przekazała do ponownego rozpatrzenia.

Galicja, w tymże samym czasie przeprowadzała gorączkowo reformę wyborczą, szukając w niej daremnie zgodniejszego pożycia z ludnością rusińską. Reforma została uchwalona z nielada zapałem i przy znamiennym akompanjamencie procesu, wytoczonego we Lwowie szpiegostwu i propagandzie na rzecz Rosji.

Pod Prusakiem działo się Polakom jeszcze gorzej. Sejm pruski (marzec 23 i 24, 1914) z całych sił poparł jaknajdalej idące projekty kolonizacyjne, zapowiadając Polakom bezwzględne wynarodowienie i wyzucie ich z posiadanej ziemi. Hakata pruska prześladowała gorliwie każdy cień oporu, każdy ślad buntu. Obok policji, sądów, administracji państwowej, nawet niemiecki kler katolicki coraz bezczelniej drwił sobie z przykazań nietylko ludzkich, ale i boskich. W tymże samym miesiącu marcu, w Berlinie, w dzielnicy Moabit, zamieszkałej przez 70.000 Polaków, w miejscowym kościele katolickim, św. Pawła, miała odbyć się pierwsza komunja dziatwy polskiej. Kler usiłował tę ceremonję zamienić w święto niemieckie. Kiedy Polacy, zebrani w kościele, zostali sprowokowani rozpoczęciem niemieckiego kazania, zaintonowali pieśń polską. Czyhająca na to policja berlińska wpadła do kościoła

i pięściami rozpędziła, modlących się, Polaków. Nie potrzeba chyba przypominać, że działo się to za całkowitą zgodą kleru niemieckiego, katolickiego, który zresztą bezkarnie i oddawna już był narzędziem protestanckiego rządu pruskiego.

Echa tego zajścia wstrząsnęły do głębi wszystkich Polaków. Młodzież Warszawskiego Uniwersytetu wyprawiła przed niemieckim konsulatem generalnym demonstrację. Rząd rosyjski pośpieszył z uroczystemi przeprosinami, a pochwyconych młodzieńców skazał na więzienie.

Skargi oczywiście popłynęły do Stolicy Apostolskiej, lecz skargi daremne. Stolica Apostolska nie liczyła się z Polakami oddawna. Od czasów Piusa IX, ostatniego obrońcy ujarzmionego narodu polskiego, w Watykanie królowała polityka uległości dla doczesnych mocarzów. Spór Watykanu z Francją ostatecznie utrwalił wpływy niemieckie w Rzymie papieskim. Niemcy mieli głos, Niemcy mieli rację, mieli posłuch. Jakby na zadokumentowanie „tej ojcowskiej" miłości dla Polaków, Watykan, po śmierci znanego wroga śmiertelnego Polaków, kardynała Koppa, w kilka tygodni po pogromie dziatwy polskiej w Berlinie, „najmiłościwiej" zamianował kardynała Bertrama, równie stawiącego nienawiść do polskości ponad wszelkie artykuły wiary katolickiej i nauki Chrystusowej.

Demonstracja studentów warszawskich miała bardzo silny rezultat. Nadewszystko dokuczyła „orjentacji" proaustrjackiej, jako, pośrednio opartej o sojusz z Niemcami. A następnie ocknęła znów opinję publiczną zachodu Europy. Skwapliwość, z jaką władze rosyjskie ukarały demonstrantów, zwróciła uwagę Francji, że konsula generalnego niemieckiego w Warszawie, p. barona von Brück, przepraszały władze rosyjskie, a w szczególności... generał - gubernator do spraw cywilnych p. von Essen, szef żandarmów p. von Uthoff, gubernator p. von Korf, dowódca okręgu wojskowego, p. Rausch von Traubenberg, prezydent miasta p. von Miller, policmajster p. von

Meyer i jego pomocnik p. von Balk, którzy łącznie reprezentowali nad Wisłą tych prawdziwych (istinnych) „ruskich ludiej“„,

Była to zresztą tylko wymowniejsza jeszcze ilustracja do słynnej broszury Stefana Gorskiego „Niemcy w Królestwie Polskiem“, broszury, która rzucała promień światła na osadnictwo niemieckie w zaborze rosyjskim i tem samem na rozgałęzienie niemieckiego szpiegostwa. To dziełko Gorskiego ponoć nietylko Francję przeraziło, lecz i niemałego alarmu przyczyniło w stolicy Rosji.

Wrogie ku Niemcom usposobienie więc nietylko nie ucichło, lecz wzrastało. Zabór pruski dostarczał ku temu codzień obfitego materjału. Śladów antipolskiej roboty ze strony Niemiec nie brakło nawet we wspomnianym polakożerczym statucie samorządu w Królestwie. Twierdzono, może nie bez słuszności, że Berlin poruszył wszystkie sprężyny nad Newą, aby nie dopuścić do ustępstw językowych dla Polaków w zaborze rosyjskim, aby w tym zaborze, przeciwnie, prąd hakatystyczny miał całkowite i bezwzględne echo u Moskali.

Więc chociaż w Kongresówce nie brakło również dokumentów, na czem polegają „słowianofilskie“ tendencje Rosji, chociaż i tutaj życie powszednie dostarczało obfitych przykładów tępienia wszelkiego śmielszego odruchu narodowego polskiego, jednak to wszystko bladło wobec prusackiej niegodziwości.

Skazanie takiego Baudouin de Courtenaya za broszurę o samorządzie lub usunięcie z listy adwokatów mecenasa Suligowskiego, (tego samego, który w Washingtonie zgrzeszył lojalnością) za odmówienie złożenia przysięgi w języku rosyjskim, porachunki z „socjalistami“, czy ów sławetny ukaz carski, dziękujący ludności miasta Warszawy za wiernopoddańcze uczucia i zezwalający najłaskawiej, aby stało się zadość „pragnieniu“ tej ludności i aby nowy most na Wiśle nazywał

się... „Mostem Mikołaja II“, wszystko to nie zdołało przekonać mieszkańców zaboru rosyjskiego do hasła, że największym wrogiem polskości jest Rosja.

Każdy dzień bowiem, każda godzina prawie niosła świadectwa zawziętości ślepej, głupiej ze strony germaństwa, każda godzina stwierdzała, że Berlin wydał wyrok zagłady na polskość i Polaków.

Podczas, gdy Austrja podtrzymywała organizacje wojskowe polskie, budując na nich poważne nadzieje na przypadek wojny z Rosją, podczas, gdy wśród tych organizacyj rozbrzmiewał coraz zawzięciej okrzyk: „na Moskala“, w Berlinie drwiono sobie wprost z tego austrjackiego planu i nie myślano zaniechać prowokacyjnych wystąpień.

Zaraza berlińska dosięgnęła nawet Niemców austrjackich. Oto, dokładnie w dniu 28 czerwca, 1914 roku, w chwili, kiedy wojna istotnie była już uknuta między Wiedniem i Berlinem, w Białej, na Śląsku, Niemcy rzucili się na, świętujących swój zjazd, sokołów polskich. Na tę nową bezczelność zareagował Lwów i Kraków. Młodzież polska demonstrowała przeciwko Niemcom i niemczyźnie z całem oburzeniem i w taki sposób, że ponownie nastąpiła jakby wewnętrzna reakcja w stosunku do najbliższych wskazań na przypadek wojny...

Równie silnie, i również prawie w wigilję wypowiedzenia wojny, oddziałała na polską opinję nowina, która przyszła z odbywanej w Malmoe (Szwecja) Wystawy Bałtyckiej. Na tej wystawie Niemcy zbudowali pawilon, zaopatrzony w nadpis „Polnische Wirtschaft“ i w pawilonie tym odtworzyli izbę, pełną brudu, śmiecia i niechlujstwa, jako obraz tego, czem, w ich pojęciu, była polska cywilizacja, no i jako usprawiedliwienie niemieckiej racji stanu, która musiała radykalnie z temi polskiemi śmieciami się rozprawiać. Szwedzka dla germaństwa powolność zezwoliła na tę potwarczą demonstrację. Pol-

skę bezczeszczono nawet w szrankach międzynarodowej, pokojowej manifestacji.

Był to nowy policzek, była to nowa nikczemność, na jaką istotnie stać tylko było zadufaną, porosłą w siły, pruską nędzę umysłową.

A działo się to w obliczu wojny, w chwili, kiedy tym razem chmury miały rozpętać niesłychaną w dziejach nawałnicę. Działo się to w momencie, kiedy raczej interesem Niemiec było uśpienie czujności polskiej, austrjackie wykorzystanie polskiej agitacji.

Berlin, jak to powiedzieliśmy, pogardzał takiemi rachubami. Zakuty w zimny rachunek, gotujący się do wojny od dziesiątków lat, doszedł do przeświadczenia, że w nowoczesnych warunkach, żołnierz w szeregu jest tylko bezwładnem narzędziem, że minęły na wieki czasy wartości ruchawek, buntów czy oporów, bo na nie istnieje radykalny sposób w postaci terroru, bo dobrze uregulowana, potężna machina wojenna sama przez się miażdży indywidualność jednostek. Tam, gdzie idzie fala armji, gdzie tysiące dział zieje żelazem, gdzie w gruzy padają całe miasta, tam można drwić sobie z takiego czy innego usposobienia ludności, tam Polacy nawet, uwięzieni w szeregach, muszą automatycznie być równie dobrymi żołnierzami niemieckimi, jak prawdziwi Niemcy, tam szkoda czasu na paktowanie i szachrowanie z jakiemiś powstańcami.

I Berlin, zamiast podniecać nadzieje polskie formacjami strzeleckiemi czy sokolemi, zamiast tolerować to, co, według pruskiego wyobrażenia politycznego, było samo przez się zdradą stanu, Berlin rzucił chmarami szpiegów do krajów ościennych, Berlin przygotowywał sobie zawczasu, w krajach nieprzyjacielskich, nietylko przyszłe swe obozowiska, nietylko pozycje dla armat, ale prowadził dokładne spisy wszystkich miejscowych zapasów, wszystkich bogactw do zrabowania,

wszelkiego dobytku do wywiezienia czy zniszczenia. I Berlin nadto prowadził propagandę zaciekłą, piekielnie chytrą.

Pod wpływem tej propagandy niemieckiej, opinja wszechświatowa nie miała dość słów potępienia dla zgangrenowanej, gnijącej żywcem, Francji, tego kraju zmaterjalizowanego, wyzutego ze wszelkich szlachetnych uczuć.

I pod wpływem tej propagandy, cała prasa polska, od morza do morza, była nieświadomem narzędziem polityki niemieckiej. Kiedy dzisiaj pogląda się na stosy czasopism polskich z przedwojennej epoki, wprost uwierzyć trudno, jak lekkomyślnie służono u nas polityce niemieckiej, z jaką łatwowiernością rozpowiadano bajdy o Francji i Francuzach, no i po lewicy, ale i więcej jeszcze po prawicy naszej. Ileżby stąd ironji, złośliwości dało się rzucić na tych dzisiejszych, współczesnych, tak niby przekonanych głęboko „frankofilów", gdyby im własne przypomnieć poglądy.

Propaganda ta była tem silniejsza, że miała w Polsce grunt niejako przygotowany. Klerykali polscy boczyli się na Francję za jej bezbożność, za zerwanie z Watykanem. Religję łączyli z polityką, okiełzanie rzymskich intryg dyplomatycznych poczytywali za wyrzeczenie się katolicyzmu, zerwanie ze świeckiemi wpływami papiestwa, za zerwanie z chrystjanizmem, za bałwochwalstwo.

Narodowcy nie mogli wybaczyć Francji aljansu z Rosją i nie pojmowali tragizmu tego aljansu, nie chcieli wiedzieć, że Francja z nikim innym aljansu, onego czasu, zawrzeć nie mogła i że za aljans ten płaciła miljardami, płaciła, jak mówiono w Paryżu, tej najkosztowniejszej na świecie prostytutce, płaciła carskiej Rosji.

Lewica polska miała Francję za ostatni wyraz kapitalizmu, za raj dla wszelakiego burżujstwa, no i za bankiera caratu, łożącego pieniądze na utrwalenie panowania knuta i katorgi.

Marzycielstwo nawet polskie żywiło do Francji głębokie urazy, za powstania, których Francja nie miała siły poprzeć, za zdradzanie sprawy polskiej, za Napoleona nawet, który „nie dotrzymał przyrzeczeń“, który całej nie odbudował Polski wówczas, kiedy tyluż Polaków walczyło pod jego sztandarami, ilu równocześnie zabijać się dawało za cara Aleksandra I, za pruskiego króla, za cesarsko-austrjackie plany.

Ta propaganda była jedynym czynnikiem, który wspierał proaustrjacką orjentację, a raczej, który niejako osłabiał prąd antiniemiecki. Politycy ówcześni, wierzący Habsburgom, twierdzili, że, pomimo wszystko, trzeba zęby zacisnąć, przejąć się racjami państwowemi i, za wszelką cenę, front antirosyjski umacniać.

Było to wszakże zadanie bardzo trudne, bardzo przykre nawet. Tacy pp.: Jędrzejowicz i Tchórznicki, posłowie polscy, którzy, w maju roku 1914, zabierali głos w komisji spraw zagranicznych delegacji austrjackiej, musieli zdobyć się na nielada samozaparcie się swych polskich uczuć, aby wykrztusić, że „z największem poświęceniem, ze względu na mocarstwowe stanowisko monarchji austrjackiej“, chylą głowy przed sojuszem z Niemcami.

Daleko więcej utrapienia mieli z tem ludzie, zgrupowani dokoła sztandaru Komisji Tymczasowej. Ratowała ich jednakże od rozbicia nienawiść, którą do Rosji, do państwa carów rosyjskich żywiła cała lewica polska, ociekająca jeszcze krwią po ostatnich zapasach.

Równolegle do tych wydarzeń szła w społeczeństwie polskiem praca nad spotęgowaniem sił narodowych wogóle, a z drugiej wytworzeniem pogotowia bojowego.

Sokolstwo, a zwłaszcza sokolstwa galicyjskie, rozwijało bardzo energiczną działalność. Teraz, mając już za sobą poparcie polityczne Rady Narodowej, odłam w Drużynach Bartoszowych, a nadewszystko mając, że tak powiemy, konkurenta za-

biegliwego i czujnego w postaci organizacyj strzeleckich Komisji Tymczasowej, miało i pomoc, i zachętę, i ostrogę do działania. Praca wojskowa w sokolstwie szła mocna i coraz bardziej celowa. Nie była to już sportowa zabawa w wojsko, nie było to jedynie hartowanie zdrowego ducha w zdrowem ciele, lecz pogłębiona nauka wojowania, nauka nie samej służby frontowej, ale nauka początkowa i taktyki i strategji bodaj.

Z niemniejszym zapałem, a nawet z większą zaciętością działały organizacje strzeleckie. Ruch zwiększał się, przezwyciężał trudności i postępował naprzód. Może nie w tak szybkiem teraz tempie, jak w roku poprzednim, lecz nie ustawał. Kulą u nogi organizacyj strzeleckich była ta instytucja, która pozwoliła im rozwinąć skrzydła do lotu, a mianowicie Komisja Tymczasowa Stronnictw Niepodległościowych.

Doskonale to twierdzenie objaśnia Sprawozdanie Polskiego Skarbu Wojskowego, za czas od dnia 1 września, 1912 roku do dnia 31 sierpnia, 1913 roku (Lipsk 1913).

Sprawozdanie to dotarło do szerszej publiczności dopiero w styczniu roku 1914 i, chociaż obejmowało ono czasy już minione, atoli w przesłankach swoich i napomknieniach ujawniało szczegóły, które rzucają światło na początek roku wojny.

A więc ze sprawozdania tego wynika nadewszystko, że liczba składek na Skarb Wojskowy w zaborze austrjackim jest niewspółmierna do doniosłości zadań tego Skarbu, że ludność zaboru austrjackiego nie pojmuje jeszcze ważności dążeń tej organizacji. W Królestwie Polskiem, i wogóle pod Moskalem, Skarb napotkał na wielkie przeszkody, bo narodowa demokracja jest zajęta walką wewnętrzną tylko, bo stronnictwa niepodległościowe poniosły dotkliwe straty podczas rewolucji rosyjskiej i nadomiar, wskutek terroru rosyjskiego, uległy częściowej demoralizacji. Plon tutaj był wątły. Lecz i w zaborze pruskim, sprawozdanie stwierdza, że stronnictwa niepodległościowe niezdołały zadzierzgnąć węzłów bezpośrednich

z właściwemi sferami polskiemi. Zawiodła, według tego sprawozdania, ofiarność Polaków we Francji, no i właściwie jedna tylko Ameryka, jedno Wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych stanęło na wysokości zadania, „przeszło ofiarnością swą Galicję“ nawet.

W ogólnym wyniku sprawozdanie to kwituje z odbioru sumy 469.705 koron austrjackich i 59 hallerzy.

Pomimo tych sceptycznych wyznań Sprawozdania Skarbu Wojskowego, należy przyznać, że Komisja Tymczasowa dała dowód bardzo niezwykłej sprężystości. Wszakci pierwsze zebranie stronnictw niepodległościowych odbyło się zaledwie w dniu 25 sierpnia, roku 1912, no a istotna praca Skarbu rozpoczęła się dopiero w grudniu tegoż roku, pod wpływem Wojny Bałkańskiej i rozlegających się nakazów mobilizacyjnych.

Był to więc plon bardzo poważny. Miarą dlań może służyć równorzędny bilans, tak zwanego, Skarbu Narodowego (rapperswylskiego), gromadzonego przez reprezentantów popowstaniowej Emigracji, w Szwajcarji i Francji.

Owóż, według Dwudziestego Pierwszego Sprawozdania tego Skarbu Narodowego, za rok 1913, sprawozdania, ogłoszonego w miesiącu maju roku 1914, całoroczne składki za rok sprawozdawczy wyniosły raptem 505 franków francuskich. Czyli, że „cała Polska“, pod wpływem „zabiegliwości“ kierowników tego Skarbu, powiększyła „skarb“ o całe sto dolarów! Cały zaś Skarb Narodowy Polski, ciułany przez dwadzieścia i jeden lat, w przededniu wybuchu wojny (według twierdzenia „Bulletin Polonais“, Nr. 310, maj. 1914), wynosił zaledwie 350.971 fr. i 4 centimy francuskie.

Innemi słowy, „socjaliści“, w ciągu niespełna dziesięciu miesięcy, zebrali o sto tysięcy franków więcej, aniżeli „patrjoci“ przez lat dwadzieścia i jeden! No, a licząc dalej, do chwili wybuchu wojny, zebrali niemal dwa razy tyle.

Pozwoliliśmy sobie wyrazić zdanie, że stempel Komisji Tymczasowej był kulą u nogi dla organizacyj strzeleckich. A to w tej myśli, że nadawał tym organizacjom charakter partyjny i odstręczał od nich.

Stronnictwa narodowe wytężały wszystkie siły, aby odciągnąć młodzież z pod wpływu Komisji Tymczasowej. A chociaż łojalne, w stosunku do Austrji, stanowisko Komisji Tymczasowej nie pozwalało na zbyt otwartą walkę, jednak ta coraz bardziej się zaostrzała.

Głównym argumentem stronnictw narodowych było, że dążenia czysto narodowe muszą iść dalej, niż jednostronny program Komisji Tymczasowej, przewidujący jedynie zbrojne wystąpienie przeciwko Rosji, bez uzyskania, ze strony Austrji, należytych gwarancyj, a dalej argumentem dodatkowym, że fundusze, gromadzone na cele wojskowe, są używane częściowo na propagandę socjalistyczną, że funduszami temi rządzą tylko socjaliści, że owe „stronnictwa niepodległościowe" są wyłącznie tą samą polską lewicą, która, po pogromie swym w szeregach ogólnorosyjskich i niepolskich rewolucjonistów, chciała przelicytować kierunki zawsze i wskroś narodowe.

Na tem tle toczona walka mocno poderwała Komisję Tymczasową, zaczęła uszczuplać jej środków, osłabiać napływ składek i odbierać jej wpływy.

Rada Narodowa, która zdołała wytworzyć poważną agitację, wzmogła się na siłach. Na tle sfer poselskich Sejmu Galicyjskiego przeprowadziła zasadniczą swą rekonstrukcję, wciągnęła do pracy odłamy zachowawców i ludowców, nie bacząc może, iż to właśnie wzmocnione kolisko stanie się, w krytycznej chwili, jej słabością, bo skaże ją na przymus schylenia głowy przed czysto proaustrjacką orjentacją.

Niemniej Rada Narodowa zdecydowała się na program bardzo zbliżony do Komisji Tymczasowej, bo oparty na postulacie, że chwilę konfliktu europejskiego należy wyzyskać

jako moment odpowiedni do zdobycia dla Polski bytu samodzielnego.

Wszelka niechęć do militaryzowania sokolstwa w łonie Rady Narodowej ustała, zamieniła się nawet w dążność połączenia sokolstwa z Drużynami Bartoszowemi i wytworzenia w ten sposób wspólnej komendy. Komitet Obywatelski jednak, sformowany przy Radzie Narodowej w tym właśnie celu, przeprowadzić tego połączenia nie zdołał.

Ścisły i bardzo przedmiotowy obraz owoczesnych stosunków, w przededniu wybuchu wojny, znajdujemy w pracy Aleksandra Ładosia „Legjony“ (Fryburg, 1916). Dzisiejszy dyplomata polski, a, w pierwszych czasach wojny, uczestnik podobno polskiego ruchu zbrojnego po stronie Austrji, w następujący sposób charakteryzuje dzieje i dążenia organizacyj wojskowych polskich w Galicji.

„Zmiana stosunku grup narodowych do niepodległości i wal-
„ki zbrojnej stała się czynnikiem attrakcyjnym dla tych grup,
„które, zasiadając w Komisji Tymczasowej Skonfederowanych
„Stronnictw Niepodległościowych (a następnie Komisji Skonfe-
„derowanych Str. Niepodl., gdyż, na zjeździe, wiosną roku 1914,
„zmieniono jej nazwę oficjalną, usuwając przymiotnik „Tymcza-
„sowa“. Połączono wówczas także Polski Skarb Wojskowy z Ko-
„misją S. S. N.), nie były zgoła zadowolone z kierunku i sposobu
„prowadzenia akcji przez jej socjalistyczną większość.

„Zwłaszcza zaś, gdy z wiosną roku 1914, przesilenie bałkańskie
„dobiegło końca i konflikt europejski przestał, zdawało się, bez-
„pośrednio grozić, ustały główne powody, skłaniające grupy na-
„rodowo - niepodległościowe do pozostawania w K. S. S. N., w któ-
„rej hegemonja żywiołów socjalistycznych stawała się coraz tru-
„dniejsza do zniesienia. Do powiększenia niezadowolenia i przy-
„śpieszenia rozwiązania, przyczyniły się też bardzo błędy takty-
czne i niefortunne kroki nazewnątrz, czynione przez K. S. S. N.,
„a raczej jej większość, jak osławiony memorjał do konferencji
„ambasadorów w Londynie, broszura o ruchu niepodległościo-
„wym, wydana po rosyjsku i t. p., a także gospodarka finansowa

„Polskiego Skarbu Wojskowego, przeciwko której podnieśli po-„ważne zarzuty delegaci, wysłani przez Związek Narodowy Polski „z Ameryki Północnej.

„Rezultatem tych wszystkich przyczyn, do których dołączyło „się jeszcze systematyczne forytowanie przez K. S. S. N. i Polski „Skarb Wojskowy Strzelca i Związków przed Drużynami Strzelec-„kiemi, nie znajdujące wcale uzasadnienia ani w ilości członków, „ani w jakości pracy tych organizacyj, — było wystąpienie repre-„zentantów Narodowego Związku Robotniczego, Narodowego Związ-„ku Chłopskiego i grup inteligencji narodowo - niepodległościo-„wej z Komisji oraz usunięcie się obozu zarzewiackiego i Drużyn „Strzeleckich z pod jej wpływu i kierownictwa.

„Ponieważ zaś przedtem, już po rozłamie w Stronnictwie Lu-„dowem, spowodowanem aferą Stapińskiego, grupa „Piasta", sta-„nowiąca znaczną większość tego stronnictwa, z Komisji S. S. N. „również wystąpiła, a pozostała w niej jedynie grupa Stapińskie-„go, ponieważ dalej wnet potem i Związek Narodowy Polski Ame-„ryki Północnej, po wysłuchania sprawozdania swoich delegatów, „zerwał z Komisją S. S. N stosunki, — Komisja ta, z wiosną ro-„ku 1914, straciła zupełnie znaczenie, jako organizacja między-„partyjna i stała się emanacją jednej tylko partji socjalistycznej „i grup bardzo do niej zbliżonych".

Uzupełniając powyższe słowa Aleksandra Ładosia, należy dodać, że, na początku czerwca roku 1914, Komisja S. S. N. składała się dokładnie z Polskiej Partji Socjalistycznej, z grupy Ludowców Stapińskiego, Polskiego Stronnictwa Postępowego (Lisiewicz) i Związku Chłopskiego z Królestwa. A nadto trzeba podkreślić, że, chociaż K. S. S. N. straciła swe znaczenie międzypartyjne, politycznie przecież odegrała bardzo poważną rolę, bo stała się czynnikiem dodatnim i twórczym dla rachub obrony austrjackiej.

Jak to kategorycznie stwierdza Ładoś, Komisja S. S. N., w wirze i gorączce starć, doprowadziła do tego, że:

„zatraciło się prawie zupełnie stanowisko grup narodowo-nie-„podległościowych. Niepodległościowość utożsamiała się niemal

„z austrofilstwem i nabrała zupełnie wyraźnie cech wyłącznie „antirosyjskiej“ orjentacji. Taki charakter ruchu niepodległościo-„wego odpowiadał zapewne intencjom rządu wiedeńskiego, podo-„bał się bardzo, idącym na rządowym pasku, stronnictwom bloku „namiestnikowskiego, zgadzał się wreszcie z przekonaniami socja-„listyczynej większości K. S. S. N., ale nie odpowiadał z pewno-„ścią zapatrywaniom grup narodowo-niepodległościowych. Grupy „te, nawet te, które godziły się zasadniczo na stanowisko anti-„rosyjskie, chciały widzieć polski ruch niepodległościowy zupeł-„nie niezależnym od któregokolwiek z rządów zaborczych, i z nie-„chęcią patrzyły na zagalopowanie się Komisji S. S. N. w kie-„runku Wiednia, a nawet Berlina“.

„Po tych przemianach“ — pisze dalej Ładoś, — „to jest po „wystąpieniu z Komisji szeregu organizacyj, — K. S. S. N. jeszcze „wyraźniej akcentować poczęła swoje austrofilstwo bez zastrze-„żeń, a wyjazd Związków Strzeleckich, pozostających pod komendą „Józefa Piłsudskiego, na zjazd Jungschutzów i Schutzenvereinów „do Wiednia i udział ich w defiladzie tamże, był zewnętrznym „i bardzo charakterystycznym tego wyrazem“.

Świadek naoczny, uczestnik i kronikarz tych wydarzeń, tak reasumuje ostatnie dni przedwojenne naszych organizacyj wojskowych w kraju:

„Wystąpienie z K. S. S. N. żywiołów narodowo-niepodległo-„ściowych i ludowców z grupy „Piasta“ dało możność nawiązania „pewnych stosunków między niemi, a obozem narodowym. Jak-„kolwiek do porozumienia zupełnego nie doszło, walka między „tymi obozami znacznie złagodniała, — a zdawało się, że porozu-„mienie ich jest tylko kwestją czasu.

„Równocześnie dokonywało się pewne zbliżenie między Dru-„żynami Strzeleckiemi, a Sokołem i Drużynami Bartoszowemi. „Urządzano wspólne ćwiczenia, wydawano łącznie pismo, poświę-„cone sprawom polskiego militaryzmu i t. d. i tu jednak do defi-„nitywnego określenia wzajemnego stosunku i stworzenia wspól-„nej komendy nie doszło.

„Sfery rządowe, dotąd ruchowi zbrojnemu przychylne, nie-„chętnie patrzyły na owo nowe ugrupowanie. Zaczęły się tedy „drobne szykany i przeszkody, odbieranie karabinów, pożyczo-

„nych do ćwiczeń, a nawet zakupionych przez organizacje (np. „w Drużynach Bartoszowych), zakaz chodzenia i maszerowania „z bronią przez miasto i t. p. Wreszcie wystąpił rząd wiedeński „z projektem utworzenia państwowego związku towarzystw strze- „leckich, do którego należeć by miały wszystkie galicyjskie, pol- „skie i ruskie (ukraińskie) organizacje, stanowiąc związek krajo- „wy. Z propozycją tą przyjechał do Lwowa major Mniszek, ale „konferencja, zwołana przez marszałka krajowego, Niezabitowskie- „go, dnia 9 czerwca, 1914 roku, nie wydała, wobec oporu wszyst- „kich organizacyj, żadnego rezultatu, — obrady odroczono aż do „przedyskutowania statutów projektowanego związku przez po- „szczególne organizacje".

W tem miejscu Ładoś objaśnia, że na statucie państwowego związku towarzystw strzeleckich, dającym możność rządowi powoływania członków tych towarzystw w szeregi pospolitego ruszenia, opierały się polskie organizacje Strzelca, Związków i Drużyn strzeleckich. I tem samem, Ładoś podkreśla, że szykany i przeszkody ze strony Austrji były wymierzone przeciwko tym organizacjom wojskowym, polskim, które szły pod kierunkiem narodowym, niezdecydowanym na wprost proaustrjacki program.

Aż nadeszło lato roku 1914. Był to czas głuszy całkowitej przed burzą, atmosfera ociężała przytłumiła energję, nikt się wojny nie spodziewał.

„Po gorączkowym okresie przesilenia bałkańskiego, — pisze „dosłownie Ładoś, — „ruch niepodległościowy przycichł, — nawet „organizacje militarne nie pracowały z taką gorliwością i zapa- „łem jak dawniej. Zamordowanie następcy tronu minęło prawie „bez wrażenia, — nikt nie przypuszczał, aby stać się mogło po- „czątkiem europejskiej zawieruchy. Po tylu pokojowo zakończo- „nych naprężeniach, nikt w szybki wybuch wojny nie wierzył.

„Młodzież akademicka rozjechała się na wakacje, ruch w or- „ganizacjach militarnych niemal ustał. Tylko dwa kursy wakacyj- „ne Związków i Drużyn, przeznaczone głównie dla uczestników „z Królestwa, skupiały pewną ilość niepodległościowej młodzieży.

„W takim to czasie, w okresie rozbicia się dawnych związków „(K. S. S. N.), a nie utworzenia jeszcze nowych, w chwili osłabienia tętna ruchu niepodległościowego i prac organizacyj mili„tarnych, gdy młodzież, kierująca zwykle pracami tych organizacyj „i decydująca o ich stanowisku, opuściła przeważnie Lwów i Kra„ków, główne tych prac centra, przyszła wiadomość o ultimatum „Austrji wobec Serbji, a wnet potem o wybuchu wojny".

Wszystkie te przeżycia i tarcia miały przecież nietylko swe odbicie, lecz, w pewnych, razach, i źródła na drugim krańcu świata, tam mianowicie, kędy Wychodźtwo nasze tworzyło tę „Czwartą Dzielnicę Polski", kędy myśl o wyzwoleniu ojczyzny biła pełnym, a wolnym od wszelkich ubocznych kalkulacyj, tętnem, dążąc instynktownie do przyszłych swych wielkich poczynań.

Po pamiętnym Sejmie Związku Narodowego Polskiego, który zdawał się tak wydatną zapewniać pomoc i współdziałanie Komitetowi Obrony Narodowej, nastąpił powolny, lecz już bezwzględny odwrót. Wielkie organizacje Wychodźtwa, jedna za drugą, zaczęły się cofać, zaczęły usuwać się nietylko z pod wpływów K. O. N., lecz i odmawiać temuż wszelkiego współdziałania.

Główna przyczyna tego odsuwania się leżała bodaj w tem, że w pierwszem uniesieniu, przez nieświadomość, przez brak dokładnych informacyj, poczytano Komisję Tymczasową, jej zjazd w Zakopanem za wyraz zbiorowej woli wszystkich stronnictw politycznych.

Wychodźtwo spostrzegło się, że przez Komitet Obrony Narodowej poddaje się władzy lewicy tylko, że przykłada rękę do umocnienia wpływów, z któremi podotąd nie miało po większej części nic wspólnego. Co więcej, potężne organizacje polskie uczuły się niejako osłabione w powadze swej, podporządkowane gromadce działaczy z K. O. N. Działaczy

po dyktatorsku pragnących sprawować swe urzędy i bezwzględnie oddanych nakazom Komisji Tymczasowej.

Po ochłonięciu z pierwszego uniesienia, próbowano naprawić popełnione błędy, czy też popełnioną nieostrożność i starano się wprowadzić do statutów K. O. N. szereg zastrzeżeń. Tych przecież w czyn zamienić nie zdołano. Rezolucja zjazdu pittsburskiego była tarczą dla tych, którzy chcieli uważać Komitet Obrony Narodowej za ekspozyturę amerykańską Komisji Tymczasowej S. S. Ci trwali niewzruszenie przy rezolucji pittsburskiej, powiadającej dosłownie:

„poddajemy się pod bezwzględną dyrektywę Zjednoczonych „Niepodległościowych Partyj w Polsce, reprezentowanych przez „swych delegatów na zjeździe w Zakopanem, jesienią roku 1912, „i tworzących obecnie Polski Skarb Wojskowy".

Właściwie już w styczniu (dnia 12) 1914 roku, po odbytym zjeździe reprezentantów K. O. N., udział w tym Komitecie Związku Narodowego Polskiego, a dalej Związku Polek i Związku Sokołów był niejako przesądzony. Szło raczej jedynie o zdobycie dosadniejszych argumentów, mających ugruntować czynione K. O. N. zarzuty, szło także o uczynienie beznadziejnego, lecz taktycznego gestu, proponującego reformy i stawiącego warunki.

W tej myśli Związek Narodowy wysłał do Polski dwu swoich delegatów, w osobach najwyższych urzędników swych: cenzora Karabasza i wicecenzora Rakoczego. Delegaci objechali wszystkie trzy zabory, przeprowadzili szereg konferencyj, starając się nie pominąć nikogo z wybitnych osobistości. W powrotnej drodze zatrzymali się w Paryżu i tutaj również zetknęli się z reprezentantami różnych kierunków, a nadewszystko z dostojnikami Emigracji.

Rezultat tych badań wypadł w pojęciu Karabasza całkowicie ujemnie, podczas gdy Rakoczy był mniej stanowczy.

Należy pamiętać, że zadanie delegatów było wogóle bardzo trudne i tem trudniejsze, że nie znali oni dostatecznie stosunków, nie znali ludzi, z którymi konferowali, że stąd musieli podlegać nieraz przelotnym wrażeniom.

Co najważniejsze zaś, że te wrażenia musiały stwierdzać co kroku dobrą wiarę, boć nawet tam, kędy światopoglądy nie odpowiadały przekonaniom delegatów, w ostateczności napotykano na głębokie i szczere przeświadczenie o słuszności własnej racji.

Ostatni etap delegatów, odprawiony w Paryżu, zdecydował, zawyrokował. Tak nawet silnie podziałał, że, nie bez kozery, kiedy w dwa lata później interpelowano na Sejmie Związku N. P. w Schenectady cenzora, padło charakterystyczne zapytanie ze strony opozycji:

„Czy pan cenzor, po przyjeździe do Europy, wyrobił sobie tę orjentację w Paryżu, czy po powrocie?“ — Na pytanie to ówczesny cenzor-zastępca, Rakoczy, odpowiedział wprawdzie: „Ja miałem tę orjentację już u mojego ojca, w Galicji“ — ale bezstronność nakazuje stwierdzić, że przynajmniej w Paryżu dopiero ta właśnie orjentacja ujęta została w formę zasadniczego oświadczenia delegatów. Tam bowiem delegaci mogli otrząsnąć się z różnorodnych i sprzecznych wrażeń i, w perspektywie oddalenia, po przeprowadzeniu dodatkowych konferencyj, ogarnąć całość kwestji i wypowiedzieć się przeciwko Komisji Tymczasowej, a więc przeciwko jej ekspozyturze w postaci Komitetu Obrony Narodowej.

Związek Narodowy Polski uczynił jeszcze ostatni wysiłek, aby zdobyć wpływ na Komitet O. N. przez wprowadzenie doń odpowiedniej liczby przedstawicieli, lecz gdy przewodniczący K. O. N. nie zgodzili się na wydarcie sobie władzy — zerwał wszelkie węzły i zajął wrogie względem K. O. N. stanowisko. Cios ostateczny w tym kierunku zadało sprawozdanie delegatów: Karabasza i Rakoczego.

Za przykładem Z. N. P., jak powiedzieliśmy, poszedł Związek Polek, sokolstwo zaś wisiało przy Komitecie Obrony Narodowej już na bardzo wątłej nici.

Równocześnie prawie Rada Narodowa w Ameryce, opierająca się na sferach klerykalnych, zaczęła poważne czynić postępy, wspierana usilnie teraz przez główną swą centralę w Galicji. Objawiała przytem tak gorączkową czynność, że w pewnej chwili o mało co nie spowodowała na własną rękę organizacji skautów i tem samem o mało co nie podcięła skrzydeł Sokolstwu w Ameryce.

Sokolstwo zaiste znalazło się w położeniu nad wyraz ciężkiem. Ono wszak było inicjatorem Zjazdu pittsburskiego, pod jego sztandarem narodził się Komitet Obrony Narodowej, ono z całych sił pracowało nad rozkrzewieniem szczytnych haseł, rzuconych w pamiętnej odezwie:

> „I oto niema już dziś pomiędzy nami niezgody i nienawiści, „niema obozów i partyj, niema pierwszych i drugich, są tylko „Polacy“... „Gotują się do śmiertelnych zapasów państwa roz„biorcze, gotujmy się i my, Polacy, bez względu na to, gdzie „mieszkamy, a gdy godzina wybije, oddajmy wszystko“.

Innemi słowy, sokolstwo z całych sił chciało i pragnęło pójść za tem hasłem, nie chciało pytać o stronnictwa i partje, miało silną wolę iść tam, kędy rozgorzeje walka, kędy zacznie się czyn bojowy.

Z natury swej Sokolstwo w Ameryce żywiło uczucia głębokiego braterstwa dla Sokolstwa w Macierzy. Owóż niemiłą dlań było niespodzianką nowina, że Komisja Tymczasowa nie utrzymuje węzłów z sokolstwem, że nie łoży, w równej mierze, na cele wojskowości w sokolstwie krajowem, że przeciwnie, wspiera rozmaite organizacje, krom tej najstarszej, tej. która była od lat pionierką, krzewicielką wśród młodzieży

wiary w moc ducha narodowego, wiary w prężność własnych muskułów, zamiłowania do karności, do żołnierki.

Lecz to odstręczanie się Komisji Tymczasowej od sokolstwa krajowego, czyli tego ostatniego od Komisji, Sokolstwo amerykańskie rade było przypisywać raczej nieporozumieniu tylko. Usiłowało to nieporozumienie załagodzić z początku, wpłynąć na to, aby potężna idea mobilizacji sił polskich, mających gotować się do walki o niepodległość, dążyła bodaj do zgody i jedności, jeżeli, jak się w Sokolstwie amerykańskiem dowiedziano, nie była punktem wyjścia tej mobilizacji.

A dalej przewodnictwo Sokolstwa amerykańskiego wyczuwało słusznie, że płomienne odezwy i apele tak mocno podnieciły młodzież, tak rozbudziły jej fantazję, że niepodobieństwem było, bez spowodowania groźnego dla organizacji sokolej rozłamu, ważyć się na wyrzeczenie się Komitetu Obrony Narodowej, na raptowne zerwanie z nim węzłów.

Młodzież polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, o czem się nazbyt często zapominało, choć pod sokolim chodząca znakiem, była z innej ulepiona gliny, aniżeli młodzież sokola w kraju. W Ameryce młodzież nie politykowała, nie rozumiała się na owych odcieniach partyjnych, które dzieliły młodzież w Polsce, nie odróżniała patrjoty z lewicowem zabarwieniem od patrjoty z zabarwieniem prawicowem. Przejęta odezwą, pod którą widziała podpisy conajwiększych dygnitarzy Wychodźtwa, uwierzyła święcie w jedność, no i nie umiała sobie wyobrazić, aby odważono się nadużyć hasła jedności w chwili nawoływania do walki o niepodległość. Młodzież polska w Ameryce posiadała nadto jedną, wielką, nieznaną w kraju cnotę, a mianowicie cnotę posłuchu, cnotę gotowości pójścia za przewodem z zewnątrz. Nie w Ameryce, lecz tam, w Polsce ukochanej, są wodzowie, są naczelnicy, bo Ona, Polska tylko na swej ziemicy począć ich może, i powinna, i musi.

Więc podczas gdy, jak się to mówi na Wychodźtwie, w „starym kraju“ od rozpoczęcia ruchu militarnego, odrazu uwypukliły się ambicje osobiste, podczas gdy tam odrazu zaczęły się swary o pierwszeństwo, o tytuły, o rangi, o władzę nad szeregami, w Ameryce była tylko dążność do karnego usłuchania rozkazów. W Polsce zanim się narodzili żołnierze, już byli wodzowie, w Polsce oficerowie najpierw byli oficerami, zanim nauczyli się być żołnierzami, w Ameryce zaś rosła w liczbę karna masa bezimiennej młodzieży, gotowa zaprzysiądz każdemu „prawdziwemu“ porucznikowi.

Stąd zwierzchnictwo Sokolstwa w Ameryce musiało być bardzo ostrożnem, bardzo czujnem. Mrowie sokole zostało pobudzone do działania. Uniesienie patrjotyczne było napięte bardzo silnie. Każdy niebaczny, zbyt pośpieszny zwrot mógł jednych zdemoralizować, drugich zaś rzucić w odmęt secesji.

I nie dość na tem. Sokolstwo, jako takie, wierzyło jeszcze w możność zreformowania Komitetu Obrony Narodowej, w zamienienie go w niezależną od Komisji Tymczasowej organizację. Temu trzeba przypisać, że najdłużej ze wszystkich narodowych organizacyj Wychodźtwa pozostało w łączności z Komitetem Obrony Narodowej.

Temi poglądami kierowane, przewodnictwo Związku Sokołów, na plenarnem posiedzeniu delegatów K. O. N. (dnia 11 stycznia, 1914 roku) przedłożyło ultimatum, żądające cofnięcia płatnych posad dla urzędników wybieralnych w Komitecie Obrony Narodowej, bezwzględnej kontroli Związku Sokołów nad czynnościami K. O. N., wstrzymania wszelkich wysyłek pieniędzy do kraju, chyba w przypadku nagłej potrzeby, obrócenia części dochodów K. O. N. na rzecz Drużyn Bojowych Związku Sokołów, i nakoniec wprowadzenia zmian regulaminowych dla podatku stałego.

Ultimatum sokole odniosło ten zaledwie skutek, że K. O. N. wyasygnował na Drużyny Bojowe sumę 2.000 dolarów.

Takie załatwienie sprawy nie mogło zadowolić sokolstwa, zwłaszcza wobec stanowiska Związku Narodowego Polskiego, naczelnej wówczas organizacji Wychodźtwa. Niezależnie więc od delegatów Związku: Karabasza i Rakoczego, Wydział Związku Sokołów, na posiedzeniu swem, dnia 3 kwietnia, postanowił wysłać do Europy prezesa Związku Sokołów, D-ra Starzyńskiego, celem zbadania na miejscu Komisji Tymczasowej S. S. i temsamem położenia kresu nieporozumieniom z Komitetem Obrony Narodowej.

Wyjazd delegata sokołów został jednak opóźniony. Wpłynęły na to prace organizacyjne i nawał spraw, wymagających obecności prezesa.

Sokolstwo amerykańskie bowiem, w konsekwentnem swem dążeniu do wyszkolenia bojowego swych szeregów, utworzyło kursy dwumiesięczne skautingu, gimnastyki i wojskowości przy Kolegium Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs. Kursy te miały na celu wyrobienie nieodzownych instruktorów, którzy mieli w gniazdach sokolich prowadzić początkową naukę. Na kursy te zapisało się 64 sokołów. Grono nauczycielskie składali: Rylski, Bartmański, Flaczkiewicz, Samulski i, wydelegowany przez Skaut amerykański, instruktor, William A. Perry.

Zanim przecież ten kurs rozpoczął się i pracować zaczął, wybuchła wojna Stanów Zjednoczonych z Meksykiem.

Na pierwszą o tej wojnie wiadomość, Sokolstwo amerykańskie zapałało ochotą do walki.

Wojna z Meksykiem, a więc, obok sposobności pozyskania sobie władz amerykańskich, jedyna okazja do zdobycia nareszcie tak upragnionej sztuki wojskowej, wyrobienia odrazu zastępu instruktorów, zahartowanych w boju żołnierzy. Boć i w Stanach Zjednoczonych nie wszędzie przychylnie poglą-

dano na ćwiczące się oddziały sokole, na parady z karabinami, na to ochotnicze wojsko, nadużywające praw gościnności. Tedy ruszenie na wojnę z Meksykiem najpierw kładło kres wszelkim, na przyszłość, podejrzeniom, dowodziło, że sokoli każdej chwili gotowi są stanąć przy sztandarze gwiaździstym, a obocześnie pozwalało sokołom roić o spotęgowaniu ruchu wojskowego i zaprawieniu go do nowoczesnych warunków bojowych.

Po naradzie, Wydział Związku Sokołów wystosował telegramy do sekretarza wojny, Garrisona, i do kongresmana A. J. Barchfielda, ofiarując oddział ochotników polskich na wojnę z Meksykiem.

Na telegramy te posypały się odpowiedzi z Washingtonu. Z pośród nich przytaczamy dwie, jako najbardziej znamienne i takie, które pozostały nie bez wpływu na przyszły do Sokolstwa Polskiego stosunek władz federalnych.

Kongresmann, Barchfield, nadesłał następujący telegram na ręce prezesa Związku, D-ra Starzyńskiego:

„Washington, D. C. dnia 23 kwietnia, 1914 roku.

„Byłem u sekretarza wojny, Garrisona, w sprawie waszej wizyty w Washingtonie, aby ofiarować służbę waszej szlachetnej, „patrjotycznej organizacji w razie zajścia potrzeby, która powołałaby do służby taki szlachetny zespół patrjotów. Pan sekretarz „wojny odesłał mnie do generała Witherspoon, szefa sztabu, który „bardzo był zadowolony z Waszej patrjotycznej ofiary i aplikację „waszą przekazał Generałowi-Adjutantowi armji, gdzie przejrzana „będzie z największą uwagą podług akcji Kongresu, jaka liczba „ludzi powołana będzie w pole. W tej chwili nic nie może być „zrobione i będzie zbytecznem dla was, również niedogodnem dla „Sekretarza wojny, dysputować o przygotowaniach, gdyż jest on „zajęty przez cały czas różnymi, pełnych odpowiedzialności pro„gramami, które muszą być załatwione natychmiastowo. Zapewnia„ją mnie o najwyższem uznaniu dla waszej szlachetnej, patrjotycz„nej organizacji i ta otrzyma pełne uwzględnienie, gdy okazja

„nadejdzie. List do was od generała Witherspoon, szefa sztabu, „w drodze.

„Osobiście pragnę podziękować Tobie, jako głowie tej szla-„chetnej organizacji, za jej patrjotyczne starania w naśladowaniu „chwalebnych zadań, położonych przez tak odznaczonych patrjo-„tów rewolucji, jak Pułaski i Kościuszko.

A. J. Barchfield".

Generał-Adjutant armji amerykańskiej, H. Stestland odpowiedział, ze swej strony, komunikatem urzędowym, pełnym zastrzeżeń dyplomatycznych:

„*Washington. D. C. dnia 25 kwietnia, 1914 r.*

„Jestem upoważniony przez Sekretarza wojny do potwierdze-„nia odbioru waszej depeszy z dn. 23 kwietnia, w której ofiaruje-„cie powołanie oddziałów sokolich do służby w Meksyku. W od-„powiedzi pragnę poinformować was, że, gdy będzie potrzebnem „dla Stanów Zjednoczonych powołanie sił ponad regularne zało-„żenie, to pierwsze oddziały, które będą powołane, są to zorgani-„zowane milicje różnych Stanów. Organizacje wolontarjuszy nie „będą kreowane w początkowej dobie nad zwykłe siły i zorganizo-„waną milicję. W razie powołania do służby tych Narodowych „Gwardyj, będzie obowiązkiem Departamentu Wojny utrzymanie „ich w jaknajlepszym stopniu wymaganej kondycji wojennej przez „przyjmowanie zgłoszeń już przygotowanych wojskowo formacyj, „aniżeli przez kreowanie zupełnie surowego materjału.

Z wielkim szacunkiem
H. Stestland, Generał-Adjutant.

Tekst powyższych korespondencyj podajemy według urzędowego sprawozdania Związku Sokołów, zamieszczonego w Nr. 19 (z dnia 7 maja, 1914 roku) „Sokoła Polskiego", wychodzącego w Pittsburgu.

Ta cała niedoszła wyprawa Sokołów Amerykańskich na Meksyk, która niemało sprawiła hałasu, w społeczeństwie pol-

skiem nie zawsze należycie zrozumiana i oceniona, miała w istocie poważny wpływ moralny. Polski gest powitany był z uznaniem przez całą prawdziwie amerykańską prasę. Zjednał sympatję imieniowi polskiemu, przekonał podejrzliwych, że, jeżeli Polacy marzą o walce o niepodległość swej pierwszej ojczyzny, to równie i w każdej chwili gotowi są okupić krwią swe prawa obywatelskie w ojczyźnie przybranej.

Delegat Sokolstwa, Dr. Starzyński, wyjechał do Europy ze znacznem opóźnieniem i tak, że minął się już w drodze z powracającymi z Polski delegatami Związku: Karabaszem i Rakoczym.

Dr. Starzyński wybrał drogę nieco odmienną, bo zaczął od konferencji w Paryżu, a skończył na konferencjach w Polsce. Głównym momentem pobytu Starzyńskiego była tajna narada w Krakowie, odbyta ze wszystkimi reprezentantami, istniejących na ziemiach polskich, Związków Sokolich i utworzenie ostateczne jednego wspólnego kierunku. Moment ten byłby niezawodnie miał doniosłe znaczenie, gdyby nie wybuch wojny. Bądź co bądź moment ten zaważył na opinji D-ra Starzyńskiego, którą był przywiózł do Ameryki. Opinja ta wypadła jednak naogół łagodniej.

Dr. Starzyński, w sprawozdaniu swem, nie zawahał się przyznać, że

„Obejmując całokształt roboty Komisji Tymczasowej S. S., „jakkolwiek z niektóremi szczegółami roboty godzićby się nie można, jednakowoż biorąc takową jako całość, trzeba przyznać, że „robota była dobra, choćby tylko dlatego, że rozbudzała w społeczeństwie polskiem militaryzm i wiarę, że tylko siłą rozumu „i karabinu można wolność zdobyć. I, dzięki tej właśnie rozbudzonej wierze we własne siły, wyciągnęła społeczeństwo polskie „z apatji i bezradności, w której się znajdowało społeczeństwo „przed erą Komisji Tymczasowej S. S. a oparło na przekonaniu, że „należy się bezwzględnie militarnie przygotowywać na wszelką

„ewentualność. Pozostała tylko niezgoda co do samej orjen-
„tacji, lecz to, w mojem przekonaniu, jest tak mała sprawa, że nad
„takową nie warto się narazie zastanawiać, gdyż mam silne prze-
„konanie, że, gdy społeczeństwo polskie będzie odpowiednio mili-
„tarnie przygotowane, to właściwa orjentacja sama się znajdzie".

(Tekst powyższy podajemy według Urzędowego Protokółu ze Zjazdu Walnego Związku Sokołów Polskich w Ameryce, odbytego w dn. 6 — 8 września, 1914 roku, w Buffalo).

Pomimo wszakże tej tak pojednawczej opinji, Dr. Starzyński, w ostatecznej konkluzji, stawił żądanie, zmierzające do gruntownego zreformowania Komitetu Obrony Narodowej, t. j. poddania go kontroli ogólniejszej i uniezależnienia całkowitego od Komisji Tymczasowej.

Pojednawczy ten skądinąd referat D-ra Starzyńskiego celu już nie osiągnął. Rozłam Wychodźtwa wszedł w okres bardzo gwałtownego kryzysu.

Rozłam ten podzielił Wychodźtwo na trzy obozy: bo na zwolenników Rady Narodowej, której z sukursem przybył sam T. Cieński, prezes Galicyjskiej Rady Narodowej, który był zjechał do Ameryki razem z sekretarzem Rady, Węckowskim, dalej na wyznawców Komitetu Obrony Narodowej i wreszcie na narodowców, którzy, ze Związkiem Narodowym na czele, zajęli stanowisko obu tym prądom niechętne.

Innemi słowy, Wychodźtwo podzieliło się: na skrajną prawicę w postaci klerykalnej Rady Narodowej, na skrajną lewicę w Komitecie O. N. i na centrum, nie chcące pójść ani pod komendę „socjałów", ani pod rozkazy „kropidlarzy".

Ogłaszane przez delegatów Związku: Karabasza i Rakoczego rewelacje z odbytych w Polsce narad, a zwłaszcza potępiające Komisję Tymczasową oświadczenie Włodzimierza Tetmajera, jako jednego z byłych uczestników tej Komisji, rozpętały burzę. Zaczęły się sypać nietylko polemiki, nietylko argumenty, lecz nadewszystko kalumnje, oszczerstwa, po-

twarze. Od dysputy zasadniczej rzucono się do napaści osobistych. Na obronę zaczęto powodować pisanie jakichś listów z kraju. Listy te pisane zapalczywie dopełniły miary wzajemnego zacietrzewienia. Pismo, naprzykład, takiego Michała Sokolnickiego w obronie Komisji Tymczasowej, a raczej obelgi, rzucone na ludzi odmiennych zapatrywań, było wprost śmiertelnym ciosem dla wszelkiego usiłowania, zmierzającego bodaj do ocalenia politycznej miary między obozami.

Na wyrażenia się, że delegaci Związku N. P. „prowadzili konszachty za plecami niepodległościowców z agentami rządów zaborczych“ (mając na myśli Korytowskiego i Dmowskiego) zaiste mógł się był zdobyć człowiek nie tyle partyjny, lecz całkowicie apolityczny, nie rozumiejący, że wszelka przesada, zwraca się w ostatku przeciwko źródłu, z którego wychodzi. Jakoż z tego pamiętnego listu M. Sokolnickiego w Ameryce, na Wychodźtwie, przybyło odrazu zwolenników Dmowskiemu, a nieprzyjaciół Komitetowi Obrony Narodowej.

Odprawione, w ciągu miesiąca lipca, narady i zebrania w różnych obozach przyczyniły znów palnego materjału.

W ostatnich dniach tegoż miesiąca, sokolstwo zdobyło się raz jeszcze na pojednawczy list do swoich reprezentantów w Komitecie Obrony Narodowej, przedłożyło mu swój memorjał. Zdawało się, że większość zrozumie, że, jeżeli niepodobna ocalić Komitetu Obrony Narodowej dla Komisji Tymczasowej, to przynajmniej trzeba się kusić o ocalenie go dla Wychodźtwa. Stało się inaczej. Podrażnione i pohańbione godności osobiste uczuły się na wieki obrażone.

Równocześnie prawie wszystkie po kolei wielkie organizacje Wychodźtwa, do wczoraj łożące fundusze na K. O. N., przystąpiły do gromadzenia własnych środków na cele ogólnonarodowe. Związek Narodowy Polski zapoczątkował wówczas swój „Fundusz Niepodległościowy“ i własny „Niepodległościowy Wydział“, — Związek Polek zbierał na „Fundusz

Bojowy", — sokoli zaś ciułali „Fundusz Kościuszkowski", szereg innych zrzeszeń Wychodźtwa założyło również oddzielne rubryki składkowe, jak „Skarb Narodowy" Zjednoczenia Rzymsko - Katolickiego i wiele innych.

Rozłam więc doprowadził do całkowitego skłócenia, do rozbicia na cząstki i cząsteczki pracy narodowej Wychodźtwa.

W takiej to chwili zaskoczyła Wychodźtwo wielka wojna europejska. I wojna ta, która tam, w Polsce, siłą wypadków uczyniła zależnym od siebie stosunek stronnictw, przypływy i odpływy w orjentacjach, taż sama wojna na Wychodźtwie zaogniła w następstwie relacje międzypartyjne. Tam, w ten czy inny sposób, ryk armat, szalejąca w kraju pożoga wojenna głuszyły niejako polityczne spory, tutaj zaś, na Wychodźtwie, szła zapalczywa kłótnia i trwoniła najlepsze siły, zaprzątała najlepsze umysły.

Taksamo, jak i w kraju, tak i na Wychodźtwie, choć o możliwości przyszłej wojny europejskiej rozprawiali wszyscy, choć niby już się do niej byli gotowali, jednakże wybuchu tej wojny się nie spodziewali. Zaskoczyła ona wszystkich i w Polsce i w Ameryce, zaskoczyła nieprzygotowanych i podzielonych, a więc zastała nas słabych. Nikomu wówczas ani się śnilo, że każda sekuda, każda minuta zbliża nas do przełomowej epoki, która rozstrzygnie o najświętszych, najgorętszych naszych pragnieniach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

POLACY WE FRANCJI. — NIEDOBITKI DAWNEJ EMIGRACJI. — MŁODE WYCHODŹTWO. — UKŁAD KOLONJI POLSKIEJ I JEJ PRZEDSTAWICIELSTWO. — POLSKA PROPAGANDA. — SOKOLSTWO WE FRANCJI I ORGANIZACJA STRZELCA. — ROBOTA SZALEŃCÓW I SZKODNICTWO POLITYCZNE POLSKIE. — STOSUNEK FRANCJI OFICJALNEJ DO SPRAWY POLSKIEJ. — NIECHĘĆ POLAKÓW DO FRANCUZÓW. — CHWILA WYBUCHU WOJNY. — OSTATNIA NOWINA Z POLSKI.

Obraz polskich przedwojennych stosunków byłby jednak chybiony, gdyby w nim zabrakło tego mianowicie odcienia, któremu sądzonem było pójść w przedniej straży ruchu polskiego po stronie aljantów, gdybyśmy pominęli stosunki polskie przedwojenne we Francji, a więc na ziemi, kędy narodziła się i zorganizowała pierwsza, od czasów Rewolucji roku 1830-go, Polska Armja.

Podstawą a raczej punktem wyjścia nielicznej zresztą, bo sięgającej razem coś zaledwie dwudziestu tysięcy głów, Kolonji Polskiej we Francji, była Emigracja. To znaczy potomkowie Emigracji roku 1830 i 1831, niedobitki kampanji krymskiej i wojny rosyjsko - tureckiej (1854 i 1877)), no i szczątki emigrantów roku 1863.

W przededniu wojny było ich atoli już bardzo niewielu. Kilku przewodników wybitnych, gromadka ubogich, z łaski ofiarności dogorywających weteranów, mała liczba synów emigrantów, czujących prawdziwie po polsku, i dość znaczny

zastęp ludzi sfrancuziałych całkowicie, zachowujących nazwiska polskie z racji jakowychś pretensyj rodowych do legitymowania się wartością szlacheckiego tytułu, hrabskiego, urojonego pochodzenia i wogóle jakowejś pychy, często przy niepoczesnem nazwisku.

Naczelne stanowiska w instytucjach emigracyjnych sprawowała tylko garstka ludzi, która na zmiany dzieliła między sobą wszystkie po kolei godności prezesów, wiceprezesów, sekretarzy i członków zarządu. Ten sam dygnitarz, który był w jednej instytucji prezesem, w drugiej był sekretarzem, w trzeciej wiceprezesem czy wpływowym członkiem rady i przeciwnie.

To znaczy, że gdy się ogarnęło zresztą bardzo szanownych i uczciwych ludzi, takich jak Józef Gałęzowski, Wacław Gasztowtt, Eugenjusz Korytko, to z dodaniem kilku niedobitków szwajcarskiej kolonji, miało się reprezentację i Szkoły Batignollskiej, i Muzeum Rapperswylskiego, i Związku Wychodźtwa i Skarbu Narodowego i kilku innych pomniejszych organizacyj. Były tylko różne nadpisy, różne pieczątki, lecz w istocie ludzie byli ciągle ci sami.

I z tego nie należy wyciągać ujemnych przesłanek. Emigracja żyła dniem wczorajszym, żyła przeszłością, miała swoje własne placówki i tych placówek zazdrośnie strzegła i chroniła. Na punkcie politycznych poglądów Emigracja trwała przy hasłach niepodległości i stąd nie szła na żadne kompromisy. Wpływ jej na francuskie czynniki, z natury rzeczy, osłabł całkowicie, nie znajdując dla się odzewu. Wpływ zaś na Polskę zupełnie powoli zanikł. Kraj miał swoich własnych kierowników. Emigracja więc w dążeniach, rada nie rada, zbliżyła się do następców ruchu wszechpolskiego, to jest do narodowej demokracji i z nią pozostawała w pewnej komitywie. Dalej z powodu braku w swem łonie, żywiołów młodych, równie, jak ojcowie, energicznych i żyjących dniem dzisiejszym także,

zasłużyła sobie na miano „mamutów“. Mianem tem obdarzył ich szczerze i otwarcie były prezes Związku Narodowego Polskiego, M. B. Stęczyński, na zjeździe w Rapperswylu, w roku grunwaldzkim. Żart ówczesny, przyjęty zresztą pogodnie przez zgromadzenie emigranckich staruszków, przylgnął w następstwie do nich całkowicie.

Tedy działalność Emigracji polegała na podtrzymywaniu coraz bardziej upadających instytucyj emigracyjnych, na poglądaniu zgóry na nowoczesną emigrację polityczną, naukową czy zarobkową oraz na redagowaniu, od czasu do czasu, manifestów.

Życie Emigracji kołatało się już tylko, szło od jednego sprawozdania w Bibliotece, do drugiego w Skarbie, od rocznicy powstania styczniowego, do rocznicy rewolucji listopadowej.

Jednakże to, że tak powiemy, „nieliczenie się“ z Emigracją przez czynniki polityczne polskie, to coraz większe jej pomijanie sprawiło, że Emigracja, do ostatnich czasów nietylko niechętna, lecz aż wroga wszelkim nowożytnym prądom społecznym i politycznym, nieraz poniewierająca za byle co wszelką „socjalistyczną“ robotę, zaczęła łagodniej poglądać na tych, którzy się do niej zbliżali. I tak, dzięki zbliżeniu się uczuciowemu do Emigracji takiego, naprzykład, Sieroszewskiego do Wacława Gasztowtta, został zadzierzgnięty węzeł przyjaźni a z nim niezwykła powolność organu Emigracji, francuskiego „Bulletin Polonais“, dla poczynań Komisji Tymczasowej i jej sprawozdań, z widocznym odwrotem od swych przysięgłych sympatyków wczorajszych, jakimi byli niegdy Dmowski, Rawita - Gawroński, Grabscy, Stroński i tym podobni działacze narodowo - demokratyczni.

Zwrot ten nastąpił względnie łatwo. Należy pamiętać o tem, że Emigracja we Francji składała się prawie wyłącznie i jedynie z uchodźców z pod zaboru rosyjskiego, że na tułaczkę

skazał ją tylko zatarg z rządem rosyjskim, że przeto cały duch Emigracji polskiej we Francji był najpierw antirosyjski, a dalej dopiero „niepodległościowy“. Emigracja zawsze uważała Rosję za najstraszniejszego z wrogów, sama wszak ci była ofiarą tego wroga. Stąd, gdy zjawiły się hasła Komisji Tymczasowej tak jasno i wyraźnie wypowiadające wojnę temu właśnie wrogowi najpierwszemu Emigracji, musiały one wzbudzić i sympatję i powolność.

Zresztą wśród Emigracji polskiej we Francji było bardzo słabo rozwinięte pojęcie o tem, co się dzieje lub działo kiedykolwiek w dwu innych zaborach. Za wyjątkiem garstki ludzi wyjątkowo wykształconych i znających wskroś historję, ogół byłby bardzo zdziwiony, gdyby mu był kto starał się wytłumaczyć, że, do roku 1848, najstraszniejszym wrogiem i najzłośliwszym gnębicielem Polaków była Austrja. Każdy prawy emigrant czy potomek emigranta miał sobie wpojoną nienawiść do Moskala i tego Moskala poczytywał za bezpośredniego sprawcę wszystkich nieszczęść i swojej własnej niedoli.

Ten stosunek, skądinąd naturalny, sprawił, że Emigracja, pomimo całkowitego zżycia się z Francją, pomimo tego, że chcąc się zupełnie gruntownie z wybitnym patrjotą rozmówić, trzeba było uciekać się do języka francuskiego, — że ta Emigracja uczuwała silną niechęć do Francji, a raczej do wszystkiego, co we Francji było władzą, przewodnictwem, wpływem.

Francja oficjalna, skuta aljansem z Rosją, stroniła od Polaków, bała się wprost zadawania z powstańcami, gotowymi zawsze i o każdej porze do antirosyjskiej manifestacji. Pięść zresztą ambasady była twarda i czujna. Z tą pięścią solidaryzowała się zawsze skwapliwie i ambasada niemiecka i wtórowała jej pocichu ambasada austro - węgierska, ta „sympatyczna“. Francja oficjalna wypłacała zapomogi polskim weteranom, Francja wspomagała pocichu polskie instytucje, no

i miała do licha wymówek za to, że pozwala na manifestacje, że udziela schroniska rewolucjonistom wszelakim, a zwłaszcza polskim. Aljans z Rosją wisiał ciągle na włosku. Trzeba go było podtrzymywać za wszelką cenę, aby znów nie wpaść w to straszne „osamotnienie polityczne", które groziło wydaniem Francji na pastwę Niemiec.

Od Polaków przeto stroniono. Nawet tam, gdzie szło o uczczenie jakowejś oderwanej polskiej zasługi, nawet tam takie wyróżnienie musiało dźwigać piętno prawnopaństwowej przynależności i posiadać zgodę i poparcie odnośnej ambasady. Więc tylko jako „austrjacki artysta", jako Albert von Kossak, mógł uzyskać krzyż francuski Wojciech Kossak, tylko, jako „pianista rosyjski", polecany przez Izwolskiego, ambasadora, otrzymał takież wyróżnienie, pianista polski, August Radwan.

Polscy dygnitarze wszelacy, polscy arystokraci, jeżeli zażywali we Francji jakichś honorów czy wyróżnień, to tylko i ciągle pod stemplem swego rosyjskiego, austrjackiego lub niemieckiego poddaństwa.

I działo się więc, że taki Wacław Gasztowtt, który przez lat trzydzieści był profesorem w Kolegjum Condorcet, że po trzydziestu latach nie mógł uzyskać krzyża legji honorowej, nagrody udzielanej automatycznie za wysługę lat, bo to nie podobałoby się rosyjskiej ambasadzie, bo Wacław Gasztowtt był przez trzydzieści lat nieprzejednanym wrogiem Rosji równocześnie.

Drażniło to wszystko bardzo mocno Emigrację, bo takich przykładów było bardzo wiele. Emigracja zaś nie wchodziła w tragizm położenia politycznego Francuskiej Rzeczpospolitej, skazanej na pakt z caratem, widziała jeno własną w tem krzywdę, widziała w tem pognębienie imienia polskiego. uo i z tego czerpała swoją niechęć i swój sarkazm.

Równocześnie Emigracja spoglądała sceptycznie na nowoczesne wychodźtwo, na tych przybyszów, którzy, nie oglądając się na przeszłość, rozpoczynali własne, nowe życie, szukali tutaj stosunków, usiłowali zbliżać się do społeczeństwa francuskiego, nowe zacieśniać węzły, budzić uśpione sympatje.

Mozolna, niewdzięczna była to praca. Nadewszystko co kroku przeszkadzał robocie tenże przykry „aljans", a dalej równie mocno przeszkadzały wspomnienia Francuskiej Komuny.

Nie wszystkim może wiadomo, że, kiedy po pogromie francuskim przez Niemców, dokonanym w roku 1872, wybuchła we Francji Komuna, a więc straszna wojna domowa, zapoczątkowana przez ruch anarchistyczny, do Komuny tej przystąpiło mnóstwo Polaków - Emigrantów roku 1863, którzy, podczas wojny prancusko - pruskiej, zachowali przykładną neutralność... Wodzem Komuny Francuskiej był Polak, generał Dąbrowski, na pohańbienie pamięci znakomitego wodza legjonów, Henryka Dąbrowskiego. Cały zastęp Polaków pełnił obowiązki komunistycznych oficerów... Polacy prowadzili Francuzów na Francuzów, walczyli na ulicach Paryża, palili miasto, wiedli zanarchizowane tłumy na wojska republikańskie.

Kiedy Komuna upadła, kiedy ta straszna rewolucja, poczęta w obliczu zastępów niemieckich, ucichła nareszcie, — we Francji zerwał się okrzyk oburzenia na Polaków, na tych Emigrantów, tych patrjotów polskich, którym, po powstaniu roku 1863, Francja udzieliła przytułku, którym zapewniła utrzymanie, byt, a którzy taką jej odpłacili niewdzięcznością, którzy przyłożyli rękę do bratobójstwa, zachowując neutralność podczas pruskiej inwazji.

Trzeba więc było i z tą niechęcią się spierać i tę przezwyciężać trudność.

Nowoczesna Emigracja polska, przed wybuchem wojny, składała się z żywiołów bardzo różnorodnych. Byli śród niej i uciekinierzy polityczni, artyści, studenci, rękodzielnicy, pracownicy rolni, arystokraci, plutokraci, hulacy i poważny zastęp górników.

Jedni z nich żyli życiem łatwem. Więc zadawali się ze swemi ambasadami, byli Polakami rosyjskiego czy austrjackiego pochodzenia, udawali, że nie wiedzą, gdy ich ogłaszano za Rosjan tylko, no i bytowali sobie dostatnio, drwiąc z sumienia narodowego.

Drudzy dobijali się za wszelką cenę sławy, wiedzy, majątku. Trzeci szukali tylko przyjemniejszych warunków bytowania. Inni jeszcze uczyli się, studjowali, a jeszcze inni zarobkowali tylko i tylko dlatego mieszkali we Francji, że gdzieindziej nie mogli roić o takiej swobodzie, o podobnej wolności i niezależności.

Ponieważ zaś wielu z tych wychodźców nowoczesnych przywoziło ze sobą do Francji pewne, nabyte już zdolności organizacyjne, tedy, przy tolerancji francuskiej, powstawały tutaj ciągle i ciągle zapadały się, różnorodne bardzo zrzeszenia i instytucje. Bywało ich bardzo wiele, tak wiele nawet, że czasem liczyły tylu członków, ile bywało godności do obsadzenia w Wydziale.

Były więc we Francji koła młodzieży różnorodnych kierunków, ekspozytury wszelakich stronnictw i poglądów, były artystyczne towarzystwa, społeczne, ratunkowe, dobroczynne i wszystkie razem wzięte bardzo ubogie, świadczące raczej ciągle o rozbiciu sił niż o ich łączeniu.

Przyczyną i niewątpliwą tego rozbicia się Kolonji Polskiej we Francji był nadmiar inteligencji, nadmiar jednostek wybitnych, zarażonych ostrym indywidualizmem, niezdolnych do karności społecznej, niezdolnych do podporządkowania się woli zbiorowej.

Z tego powodu w towarzystwach i zrzeszeniach ciągle wrzało, ciągle tam kogoś obalano, zwalczano, sądzono sądem honorowym, potępiano czy nawet usuwano.

Polityczna reprezentacja była równie osobliwa.

Kilku ludzi pisało się za całą frakcję, jeden człowiek bywał całem „biurem", całym „zarządem" i jeden taki człek straszył nagłówkiem papieru i pieczątką całą Polskę, całe Wychodźtwo Polskie w Ameryce.

W tym kierunku ukształtowanie kolonji i system jej działania odpowiadał całkowicie systemowi Emigracji.

Więc, jak powiedzieliśmy, kto porozumiał się z Józefem Gałęzowskim, Gasztowttem i Korytką, ten w istocie miał przed sobą zdanie wszystkich instytucyj emigracyjnych.

Tak samo dalej, kto chciał mówić z Radą Narodową, ten miał jednego jedynego Kazimierza Woźnickiego, który był przewodnikiem politycznym, pierwszym urzędnikiem i swoim własnym woźnym.

Kto chciał się porozumieć z Polską Partją Socjalistyczną, ten szedł do Hieronimki i mógł nawet nie widzieć D-ra Motza. Kto wolał Socjal Demokratów, ten szedł do Stróżeckich. Ultralojalizm prorosyjski reprezentował Kazimierz Waliszewski, trójugodę cała arystokracja, środek narodowy sokoli z górnikami, młodzież narodowo-demokratyczną reprezentował student Klimonda, młodzież postępową znów p. X. lub Y. i t. d. Była naturalnie jeszcze „reszta", lecz ta reszta albo musiała się stosować do pojedyńczych ludzi, albo zakładać sobie swoje własne placówki.

Praca śród Francuzów szła bardzo ospale i bardzo powolnie. Utworzony Komitet Francusko-Polski nie zdołał nigdy zyskać ani pomocy materjalnej ze strony bogatych rodaków, ani też nie zdołał ogarnąć szerszego koliska francuskiego. Komitet Francusko-Polski składał się ciągle i głównie z kilku polskich nazwisk i z kilku tych samych Francuzów. Ci ostatni

zresztą bardzo często ten Komitet uważali dla siebie za szczebel tylko. Literat, pisarz francuski, nie mogący wypłynąć na powierzchnię, w tym Komitecie szukał popularności dla swego nazwiska, szukał wydawcy dla swej pracy, szukał poprostu zapomogi pieniężnej na studja o Polsce i Polakach. Jeżeli spotykał go zawód, a spotykał często, bo Komitet był ubogi, przeto usuwał się na stronę, zaczął zbliżać się do czeskich działaczy lub rumuńskich zagadnień politycznych. Nikomu się nie śniło wówczas, że udział w Komitecie Francusko-Polskim będzie tytułem do orderów polskich...

Pionierami Komitetu tego byli ciągle i tylko: Woźnicki, Władysław Strzembosz, Kozakiewicz, Gąsiorowski, a z Francuzów bracia Leblond, George Bienaimé, Dr. Nicaise, Muret i na tem koniec. Reszta bytowała przy Komitecie w miarę nastręczającej im się korzyści, wywyższenia, czy w miarę niemożności opędzenia się przed składkową listą.

Propaganda na rzecz Polski była nikła. Na propagandę nie było środków. Wydawano sporadycznie czasami donioślejsze broszury, jak naprzykład, ankieta Sienkiewicza w sprawie wywłaszczenia, ale zresztą ogólny plon propagandowy był dyletancki, był bezprzedmiotowy. W języku francuskim nie było już ani Historji Polski, ani takiej książki o Polsce współczesnej, któraby zdolna była pouczyć cudzoziemca o tem, czem była Polska pod zaborami, jakie jest jej zaludnienie, bogactwa naturalne, dorobek cywilizacyjny.

Kiedy, na dwa lata przed wojną, w łonie Towarzystwa Literacko-Artystycznego, skupiającego dygnitarzy całej kolonji, powstała myśl wydania takiej księgi, to na zebraniu, reprezentującem, mniej więcej, około pięćdziesiąt miljonów majątku osobistego, nie zdołano uzyskać ani grosika na pierwszy fundusz wydawniczy.

I w tem bodaj leżała cała beznadziejność wszelkiego we Francji działania.

Nigdzie skąpstwo ludzi zamożnych i możnych na cele społeczne i narodowe polskie nie było większe i nigdzie, procentowo, nie było więcej bogatych Polaków. Kiedy się pogląda dzisiaj spokojnie na te sławetne „listy ofiar“ we Francji, napstrzone szumnemi nazwiskami, na te dziadowskie składki, rzucane niby ochłapy, przez porastających w tłuszcz sybarytów polskich, to doprawdy należy raczej zdumiewać się, że we Francji coś czyniono, że pomimo tego objawiano ochotę do społecznego łączenia się, że nie dano się unieść skrajności.

Na kilka lat przed wojną, zaczął się masowy napływ górników polskich z Westfalji. Ruch ten zapoczątkował szczęśliwie książę Witold Czartoryski, za podszeptem swego sekretarza, Skrochowskiego. Celem tego ruchu było ocalenie mrowia górników polskich, których liczba w Westfalji dochodziła do blisko 300.000, przed wzrastającą ciągle germanizacją.

Ponieważ zaś równocześnie kopalnie francuskie, cierpiące ciągle na brak rąk do pracy i posługujące się żywiołem tak bardzo zanarchizowanym, jakim była masa wszelakich wędrownych Hiszpanów, Włochów, Kabylów, Marokańczyków, Niemców i t. d. skłonne były do układów i jadnajdalej posuniętych ustępstw dla żywiołu polskiego i takiego, który przedstawiał nawet polityczno-narodową wartość, przeto myśl szybko przeistoczyła się w czyn.

Kolonje górników polskich we Francji północnej, w departamencie pogranicznych Nord i Pas-de-Calais, zaczęły się bardzo szybko rozrastać. Do Francji zjeżdżał lud polski stęskniony do swobody organizowania się, do mowy ojców, do szkolnictwa polskiego. Kopalnie zapewniły im to szkolnictwo. Książę Witold Czartoryski dopomagał finansowo. Górnicy rzucili się do zakładania stowarzyszeń polskich.

W tym samym czasie, pod wpływem tworzących się we Francji i w Księstwie Luksemburgskiem gniazd sokolich, So-

kół paryski, liczący już kilkanaście lat istnienia, powziął chwalebną inicjatywę utworzenia Zachodnio - Europejskiego Związku Sokolego. Zwołano walny zjazd, zjechali reprezentanci górników polskich i Związek utworzono, połączono się w jedną organizację.

Kiedy zaś, po rychło zaszłej śmierci ks. Witolda Czartoryskiego, brat zmarłego, ks. Adam Czartoryski, postanowił dalej rozpoczęte prowadzić dzieło i jeszcze silniej współdziałać pracy społecznej śród polskich górników, wówczas reprezentantem swym dla tych spraw mianował prezesa tegoż Związku, Wacława Gąsiorowskiego. W ten sposób Związek Zachodnio-Europejski, posiadł był wyjątkowy wpływ i doszedł do wyjątkowego znaczenia, ileże, krzewiąc ideję sokolą, równocześnie opiekował się szkołami, powodował zakładanie tych szkół, nieść mógł, obok pomocy materjalnej, opiekę u władz kopalnianych i obronę interesów najżywotniejszych naszych górników.

Gniazda sokole górnicze rozwijały się, rosły, zakreślały coraz szersze koliska. Gniazdo paryskie, złożone prawie wyłącznie z zastępu cichych pracowników, przodowało temu ruchowi, było jego macierzą i ostoją. Zarząd Związku Zachodnio-Europejskiego Sokołów pracował bezpłatnie. Urzędnicy, w osobach: Gąsiorowskiego, prezesa, — Derezińskiego, wiceprezesa, — Szawklisa, skarbnika — Wiwegera, naczelnika, — Brzoskiewicza, sekretarza generalnego, nie pobierali żadnego wynagrodzenia, łożyli nadto na wszelkie koszty i wydatki, ze sprawowaniem ich obowiązków związane. Podnosiło to niezmiernie ich wpływ na sokolstwo.

Oczywiście i do tego Związku przeniknęły apele i wezwania, nawołujące do tworzenia organizacji wyszkolenia bojowego. To wyszkolenie przecież nie zdołało się rozwinąć i dlatego, że w Paryżu, rozrzuceni na wielkiej przestrzeni,

Polacy, nie mogli się dość często zgromadzać. Na prowincji zaś, śród górników, praca sokola przechodziła jeszcze pierwsze szczeble sokolego ordynku. Zapał atoli i rozmach był już tak wielki, że na zlocie związkowym, odbytym w Barlin, (departament Pas-de-Calais) w ostatnich dniach maja, roku 1914, widok karnych zastępów sokolich wywołał entuzjazm, podziw, a nawet niepokój miejscowej ludności francuskiej, która była zaskoczona wojskową sprawnością tych przybyszów z Niemiec... Dopiero, kiedy wyjaśniono, że te zastępy, na przypadek wojny, pójdą równie ochotnie, jak Francuzi, na Niemca, dopiero znikły wszelkie chmury. Nikt podobno wówczas nie przypuszczał, że to zapewnienie tak rychło się sprawdzi.

Związek Zachodnio - Europejski Sokołów utrzymywał pewną łączność z Sokolstwem krajowem, lecz była to łączność bardzo słaba. Macierz sokola okazywała małe zainteresowanie temu najmłodszemu ze Związków. Ten ostatni zaś miał mnóstwo zagadnień własnych, sięgających poza ramy haseł sokolich.

O „orjentacji“ Sokolstwa we Francji zdecydowało samorzutnie jego pochodzenie. Główny rdzeń górników polskich wywodził się z Westfalji, a pośrednio z Wielkopolski i Śląska pruskiego. I rdzeń ten wyciągnął tutaj pod hasłami walki z germańtwem, walki z prześladowcami pruskimi. Między górnikami znajdowało się bardzo wielu, których nazwiska zapisały się w dziejach gwałtów niemieckich. Byli tutaj działacze tacy, jak Stefan Rejer, była cała rodzina Drzymałów i wielu innych cogorętszych prowodyrów górniczych, których modlitwą i wyznaniem wiary była nadewszystko „Rota“ Konopnickiej. Do tej podstawy wychodźtwa górniczego przyłączyły się oderwane garstki górników ze Śląska austrjackiego, które z początku usiłowały tworzyć własne koliska, bardziej zajęte posiewem socjalistycznych zawołań, aniżeli ży-

ciem narodowem, lecz te stopniowo topniały i ulegały wpływowi i przykładowi uczciwego, zrównoważonego, garnącego się do oświaty, oszczędnego ludu polskiego, który przywędrował z Westfalji.

Związek Sokolstwa musiał pójść za tym przemożnym wpływem, tembardziej, że ten kierunek zapewniał Sokolstwu całkowitą powolność ze strony społeczeństwa i władz francuskich. To znaczy, że Związek trwał na gruncie tradycyjnego z Francją braterstwa i walki z germanizmem nadewszystko, dążył do unarodowienia, ocalenia dla polskości setek całych dziatwy polskiej i do zdobywania dla kolonji polskich coraz większych przywilejów. Należy przyznać, że w tym kierunku kopalnie francuskie i władze miejscowe okazywały jaknajdalej idącą tolerancję.

Ruch ten zaniepokoił bardzo sfery niemieckie, które, ze swej strony, usiłowały go pokrzyżować za pomocą propagandy. Emigracja górników z Westfalji nietylko bowiem zaczęła grozić podwyższeniem płacy za robociznę, podwyższeniem kosztów eksploatacji, ale, co więcej, wytwarzała, po stronie francuskiej, ogniska polskie, o uczuciach politycznych, nie nastręczających już żadnej wątpliwości.

Komisja Tymczasowa, choć miała we Francji swych rzeczników i zwolenników, jednakże poważniejszej akcji rozwinąć nie zdołała, a to znów z racji tych samych trudności, wynikających z rozproszenia Polaków. Jedynie w dzielnicy łacińskiej Paryża, kędy skupiała się młodzież studencka i artystyczna, udało się zorganizować kursy Strzelca i prowadzić je, przy nielicznym zresztą udziale szeregowych. Dopiero przyjazd do Paryża, w roku 1914, Józefa Piłsudskiego, jego odczyt o wyszkoleniu wojskowem i osobista interwencja, ożywiły nieco pracę. Całokształt jej atoli mógł dążyć tylko do ugruntowania raczej wpływu politycznego. Sam stempel pa-

ryski znaczył tutaj więcej, aniżeli liczebność zastępu strzeleckiego, formującego się na ziemi francuskiej na podłożu orjentacji, wpadającej w zasadniczy konflikt z polityką francuską.

Niemniej, pośród wyznawców paryskich Strzelca, nie brakło i ochoty i zapału, a nawet gromkich zaręczeń. Pożycie z Sokolstwem było tutaj zgodne, pojednawcze. Niewiele o sobie nawzajem wiedziano, działano zresztą na dwu odmiennych krańcach. Sokolstwo gromadziło rękodzielników paryskich, skromnych pracowników i górników, w Strzelcu zaś przeważnie rządziła postępowo - lewicowa inteligencja studencko-artystyczna. Przewodzili jej Strug, Sieroszewski i Długoszowski.

W końcu lutego, 1914 roku, powstał tygodnik polsko-francuski „Polonia". Powstał z inicjatywy prywatnej, bez niczyjej pomocy. Założyli go Dereziński i Gąsiorowski, stawiąc sobie za program pracę społeczną, dążenie do odrodzenia węzłów francusko-polskich i uroczyście wyrzekając się myśli służenia partyjności. Czasopismo to ani spodziewało się, że, w tak krótkim czasie, przypadnie mu w udziale ciężki obowiązek jedynej mównicy polskiej na Zachodzie Europy, podczas wielkiej wojny, że będzie musiało odegrać tak odpowiedzialną rolę po stronie aljantów.

Lecz niepodobna zdać sobie sprawy z całokształtu stosunków polskich we Francji, bez przypomnienia, że, poza wszelkiemi prądami i kierunkami, całą Kolonję Polską, łącznie z Emigracją toczył robak anarchji społeczno-politycznej.

Tak samo, jak niegdy za czasów Mickiewicza i generała Bema, tak samo, jak w epoce po powstaniowej, tak i do ostatnich czasów przedwojennych krzewiła się bezkarnie anarchja, złość mała, obłęd wygnańczy, który co chwila wywoływał zgrzyty smutne, bolesne.

A więc tutaj zapalczywy „emigrant“, któremu nie udzielono zapomogi, powoływał przed kratki sądowe wydział Towarzystwa „Czci i Chleba“, dowodząc złodziejstwa i zmuszając do tłumaczeń przed francuską sprawiedliwością Władysława Mickiewicza. Ówdzie taki szaleniec, jak Hempel, podczas obchodu żałobnego na grobie Juljusza Słowackiego, pluł na trupy polskie i lżył nieśmiertelne imię poety. Gdzieindziej wydawano wyroki i ogłaszano za sprzedawczyków i „szpiegów“ ludzi wybitnych. Jeszcze gdzieindziej rozbijano całe stowarzyszenia, pogrążano najlepsze cele w jałowym sporze o literę statutu.

Leży oto, naprzykład, przed naszemi oczyma Nr. 6 „Sprawy robotniczej“, zaopatrzony w datę dnia 1 września, 1913 roku, a stanowiący utwór jednego z takich obłąkańców, niejakiego Augustyna Wróblewskiego. Numer ten ogłasza „Czarną listę agentów prowokatorów polskich“, wylicza sześćdziesięciu jeden takich „agentów - prowokatorów“, wskazując na popełnione przez nich „zbrodnie“. Warto zaiste na tę „listę“ rzucić okiem, aby mieć pojęcie o konwulsjach Kolonji Polskiej we Francji.

Cytujemy dosłownie:

„Jodko-Narkiewicz, przezwany *Jowiszem*, redaktor „Przedświ-
„tu“, jeden z głównych przewódców frakcji prawicy P. P. S.,
„członek „Komisji Tymczasowej“ i jeden z rozporządzicieli „Skar-
„bem wojennym polskim“. Adres: Księgarnia nakładowa „Książka“
„w Krakowie, Rynek Główny, 44. — Pisał do Ochrany o wrogach
„partyjnych, o Aug. Wr. ale też i Komisji Tymczasowej i Strzel-
„cach.

„Hr. Stanisław Tarnowski, prof. Uniw. Jagiell., prezes Aka-
„demji Umiejętności, uczony, urzędnik IV rangi, obsypany orde-
„rami i łaskami cesarskiemi, osobistość bardzo wpływowa i sza-
„nowana w całej Polsce. Skrajny konserwatysta, klerykał, egoista,
„blagier i człowiek zupełnie zły w charakterze. Posyłał do władz
„austrjackich i rosyjskich donosy na rewolucjonistów, między in-
„nymi gorliwie się w nich zajmował osobą Aug. Wr.

„Prof. Estrejcher, stary, zmarły i syn jego, obecnie profesor, „Dr. St. Estrejcher w Krakowie, pisywali do władz austrjackich „donosy na rewolucjonistów, między innymi na Aug. Wr.

„Adwokat Patek, znany obrońca warszawski w sprawach poli„tycznych, kochany i ceniony w szerokich kołach. Kolega szkolny „dyrektora kancelarji general-gubernatora, stąd miał wpływy już „w 1906 roku, ale i wtedy był na dwie strony, a potem dawał „donosy i opinje do władz rosyjskich o wszystkiem, co wiedział, „a wiedział bardzo dużo, bo przed nim setki rewolucjonistów „zwierzały się z całą otwartością.

„Roman Dmowski, redaktor „Głosu Warszawskiego", były pre„zes Koła Polskiego w Dumie, wódz Narodowej Demokracji, znany „ze swego egoizmu, przewrotności i płytkości moralnej. Pisywał „do Ochrany donosy na wrogów osobistych i partyjnych.

„Biskup Zdzitowiecki, w Królestwie Polskiem, pisywał donosy „do władz rosyjskich na rewolucjonistów.

„Dr. Zofja Daszyńska-Golińska, znana literatka i autorka dzieł „naukowych i społecznych. Dyktowała mężowi i pisała sama donosy „do Ochrany dla zarobku, donosiła, między innymi, na Aug. Wr".

Oto „wyjątki" z „Czarnej Listy", ogłoszonej przez sławetnego Augustyna Wróblewskiego w Paryżu. Na liście tej znajduje się sześćdziesiąt i jeden nazwisk, a śród nich 98 procent stanowią nazwiska znane ludzi, działających bądź po prawicy, bądź po lewicy, bądź pędzących apolityczny żywot i ludzi stojących dzisiaj na szczytach rządu Rzeczpospolitej... Co więcej, w tej samej „Czarnej Liście" widnieje kilka nazwisk niepoczesnych, podejrzanych, takich bodaj, które istotnie można pomawiać było o jakoweś nieczyste konszachty...

Tego rodzaju „robota" hulała sobie we Francji całkiem bezkarnie i, pomimo swej głupoty bezdennej i śmieszności, czyniła wprost straszne spustoszenia. Takie kalumnje bowiem nietylko miały pod ręką sławętną „Drukarnię Polską" Haymana, który śmiał się w kułak z takich „figlów", nietylko miała „towarzyszów sztuki drukarskiej", gotowych do składania takich bredni, lecz miała i we Francji i poza jej

granicami legjony naiwniaków, godzących się zgóry na powagę drukowanego słowa.

Poza takimi szaleńcami, takimi obłąkańcami, śród Kolonji Polskiej, poniewierał się jeszcze inny odcień pomylenia. Tworzyli go grafomani i obłąkańcy polityczni.

Tułactwo bowiem nietylko o niedolę materjalną przyprawiało, ale i o cierpienia moralne i o zboczenia umysłowe.

Byli więc, którzy samodzielnie chcieli Polskę ratować i przeprowadzali własną akcję dyplomatyczną. A ponieważ śród nich bywali i ludzie bogaci, płacący za ogłaszanie swych elukubracyj, rozsyłający broszury, memorjały, telegramy do dygnitarzy całego świata, tedy i z tego powodu sprawa polska przechodziła we Francji istne męki Tantala...

Był oto taki „Książę Korab“, który wydawał olbrzymie księgi w języku francuskim, a w księgach tych, śród traktatów politycznych i procesowania się z Watykanem, pouczał dosłownie, jak się tańczyć powinno walca, jak należy grać w ruletę, jak się ślizgać, a jak podawać rękę. Był w Anglji i usiłował działać we Francji głośny „Książę Zbawca-Rydelski“, inaczej były podoficer pruski, prostak, niejaki Riedel, który, śród biedactwa wyrobniczego w Manchester, udawał potomka Piastów i kandydata do tronu, no i żył ze składek swych „poddanych“. Był znów „hrabia“, co ogłaszał konkursy międzynarodowe, na wynalezienie sposobu pogodzenia papieża z carem rosyjskim i wychrzczenia całej Rosji na katolicyzm. I było pełno wszelakich polityków-amatorów, płodzących, przy każdej sposobności, różnorodne „tajne“ dokumenty.

Trudno sobie wyobrazić, ile we Francji ukazało się takiej jałowej, ośmieszającej nas, a nawet kompromitującej naszą sprawę bibuły.

Każdy taki polityk przytem, dla nadania sobie powagi, usiłował legitymować się swemi wpływami, znajomością przedmiotu, wielkością swego rodu, podszywał się pod nieistniejące stronnictwa, no i tem samem wprowadzał w błąd dyplomatów, a często wrogim nam rządom dostarczał upragnionych argumentów do systematycznego niweczenia polskich „pretensyj".

Widzieliśmy na własne oczy telegram kancelarji przybocznej króla angielskiego, dziękujący owemu „Zbawcy-Rydelskiemu" za uczucia, wyrażone przez „księcia" imieniem „narodu polskiego"! Oglądaliśmy depesze, wysyłane przez takich „wolnych strzelców" do wszystkich dworów, do różnego gatunku dygnitarzy, i zawsze uroczyście, pieczętujących się opinją „większości" Polaków. Widywaliśmy wyprawiane orędzia, ofiarujące koronę polską, zapowiadające walkę lub sojusz, kawałkujące ziemie polskie i czyniące, na zmiany, rozmaite obietnice.

Kolonja Polska, w zdrowem swem środowisku, zwalczała te wystąpienia, tę partyzantkę roboty apolitycznej. Nie zawsze przecież mogła zwalczać, bo najczęściej dowiadywała się o złem zapóźno. Maniacy ignorowali z zasady rodaków, wypracowania swe słali w najgłębszej tajemnicy, zadawali się jedynie z dostojnikami obcych krajów, płodzili swe utwory w sekrecie. Z drugiej strony zaś, ponieważ między tymi obłąkańcami, jak powiedzieliśmy, nie brakło ludzi bogatych, przeto ci, szukając pomocy redakcyjnej, technicznej przy wydawaniu swego dzieła, kusili pieniędzmi ubóstwo inteligentne w Paryżu... Ubóstwo potrzebowało gwałtownie grosza, no i stąd wytwarzała się atmosfera przyzwolenia, uśmiechu politowania dla politycznego szkodnictwa.

Zresztą zamęt na punkcie politycznym wodził na pokuszenie nawet takich, którzy siaką taką równowagę umieli zachować.

Leży oto przed nami pismo jednego z bardzo ruchliwych patrjotów polskich nad Sekwaną, pismo wystosowane do sekretarza generalnego Towarzystwa Literacko-Artystycznego, w przededniu uroczystego przyjęcia, zorganizowanego dla profesora Ignacego Chrzanowskiego. Owóż w liście tym ów „patrjota" prosi, czyby „Jeszcze Polska nie zginęła" nie można było zastąpić „innym kawałkiem", bo inaczej ani hr. S., ani p. H., wybitny człek, nie mogliby przyjść, bo o tem gotówby się zaraz ukazać jakiś artykuł w rosyjskiej gazecie petersburskiej „Nowoje Wremia"? Ponieważ sekretarjat pomienionego Towarzystwa na „inny kawałek" się nie zgodził, przeto uroczystość się odbyła bez udziału tych panów i bez żadnych złowrogich następstw nawet dla rosyjskich poddanych.

Możnaby zaiste niemałą sensację wywołać przez ogłoszenie autografu tego pisma i zdumieć mocno rodaków własnoręcznym podpisem owego ruchliwego, a tak potem odznaczonego „patrjoty". Godzi się mieć wzgląd, że był jednym z tysiąca pogrobowców wolności, ludzi nie złych, jeno słabych.

Pamiętamy drugi, równie charakterystyczny fakt. Na kilka tygodni przed wojną, Wacław Gasztowtt, w numerze majowym, swego francuskiego „Bulletin Polonais" ogłosił bardzo ostry artykuł, charakteryzujący zmarłego generał-gubernatora warszawskiego, Skałłona. Przypadek zdarzył, że tuż odbywało się wyjątkowo uroczyste zebranie polskie w Paryżu, zebranie, skupiające przedstawicieli Emigracji z arystokracją rodową, pieniężną i artystyczną polską. Owóż na tem zebraniu, kędy widniał stary frak sędziwego profesora, Gasztowtta, przysunął się frak znanego arystokraty polskiego, barona X., i zaczął prawić morały polityczne z powodu generała Skałłona. Profesor się wił, tłumaczył, onieśmielony obecnością

tylu naraz wielkich panów. I arystokrata ten wierzył święcie, że czyni dobrze, biorąc w obronę rosyjskiego generała, którego znał z warszawskiego klubu myśliwskiego, z karciarskich jego zabaw i gwardyjskiej hulatyki. Zdawało się temu panu, że on, pogrążony tylko w sybarytyzmie, w życiu pustem, ma istotnie coś do powiedzenia takiemu zasłużonemu i poważnemu człekowi, jakim był niezaprzeczenie prof. Gasztowtt. Ten sam arystokrata, w następstwie, kiedy tylko Rosja cesarska zaczęła padać w gruzy, przechylił się na stronę orjentacji mocarstw centralnych, zapominając raptem o swej przedwojennej lojalności...

Ostatnie tygodnie, poprzedzające wojnę światową, były zupełnie podobne do przeżywanych dotychczas.

Przejazd przez Paryż delegatów Wychodźtwa Polskiego w Ameryce ożywił na krótko atmosferę w pewnych drobniutkich kółkach. Oczywiście w tych, do których delegaci sami się zgłosili. Naogół, jak to powiedzieliśmy, Kolonja Polska we Francji żadnej reprezentacji centralnej nie miała. Każdy na swój sposób, i jak mu się podobało, coś reprezentował na własną rękę. Stąd delegaci amerykańscy musieli jedynie szukać pojedyńczych ludzi i z nimi konferować.

Zamordowanie arcyksięcia austrjackiego już było przebrzmiało. Nie zajmowano się prawie tem zdarzeniem. Prezydent Rzeczpospolitej, Poincaré, był w drodze do Petersburga, aby złożyć dworowi rosyjskiemu powinną wizytę. Napływ cudzoziemców do Francji, a szczególniej Polaków, był bardzo liczny. Miejsca kąpielowe i kuracyjne były przepełnione.

„Kolonja Polska" w Paryżu mocno była przerzedzona. Staruszkowie Emigracji, co zasobniejsi, wyciągnęli na letniska, wyjechała młodzież artystyczna, na wywczasy ruszyli nawet skromni pracownicy. Śród Kolonji Polskiej, jak się mówi, nie było „nikogo".

Co więcej, siły organizacyjne Kolonji Polskiej utraciły Żeromskiego, który, po dłuższym pobycie we Francji, powrócił do Polski. Do Polski również z powrotem wyciągnęli: Sieroszewski, Długoszowski i Strug, gorliwi wyznawcy organizacji Strzelca. Ten ostatni więc zapadł w całkowite odrętwienie.

Na horyzoncie stosunków francusko-polskich rozległ się znów jeden więcej zgrzyt. Oto propaganda rosyjska wyprawiła do Francji delegację młodzieży szkolnej... z Warszawy. Do stolicy Francji zjechała poważna gromadka uczniów gimnazjów rosyjskich, gromadka młodzieńców-Rosjan i ta gromadka była podejmowana, jako przedstawicielka rosyjskiej młodzieży z rosyjskiego miasta, z Warszawy...

Z tego przedwojennego faktu liczba szczerych Francji zwolenników się nie powiększyła...

Wogóle, aby zdać sobie dokładnie sprawę z roli, jaką odegrała Kolonja Polska we Francji, podczas wojny, a w szczególności w dziele tworzenia Armji Polskiej we Francji, należy uprzytomnić sobie i zrozumieć, że Kolonja Polska we Francji nie była bynajmniej wyznawczynią profrancuskich uczuć.

Emigracja, jak to wspomnieliśmy, uczuć tych żywić nie mogła. Wychodźtwo młode, przeważnie intelektualne, przeczulone i wrażliwe również zrażało się do Francji tak dla względów politycznych, jak i z powodu własnej swej bezsilności. Artyści polscy, bardzo nad Sekwaną liczni, pozbawieni poparcia ambasad, a więc pomijani w nagrodach i odznaczeniach, pomstowali. Arystokraci, zachowawcy, mieli znów pretensje do Francji za katolicyzm, za rozdział kościoła z państwem. Jednym zresztą nie podobał się ustrój, drugim polityka, trzecim obyczajowość, a wszystkich podobna żarła niemoc własna, piętno austrjackie, rosyjskie czy niemieckie, którem w ważniejszych, urzędowych relacjach musieli się legitymować.

Polacy, jako narodowość, we Francji już oficjalnie nie istnieli. Rządy zaborcze zniewoliły Francję do zapisywania Polaków według ich niewolnictwa. Pewne ustępstwa, które przyrzekał w tym kierunku poczynić, na kilka lat przed wojną, minister Pichon, upadły razem z jego dymisją.

Potomkowie rodów polskich, z bardzo rzadkiemi wyjątkami, obchodzili i we Francji wszelakie święta dworskie i galówki, kłaniali się nisko i uroczyście ambasadorom w dni urodzin, czy imienin wszelkich Wilhelmów, Mikołajów i Franz-Józefów.

Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, że Kolonja Polska we Francji w czambuł Francję potępiała. Owszem, każdy, według swego upodobania, miłował nadewszystko Paryż i Francję także. Jedni bowiem lubili łatwość bytowania we Francji, drudzy kochali się w dziełach sztuki francuskiej, trzeci przepadali za francuską kuchnią, inni jeszcze szukali we Francji epoki Ludwika XV czy Napoleona, tamtych pociągało tętno życia bulwarowego, innych międzynarodowość Paryża, ale bardzo mało było takich, którzyby żywili cześć i przyjaźń dla ludzi żywych francuskiego zawołania.

Poważny wpływ, jakby się zdawało, powinienby był wywierać ustrój republikański Francji, jej wysoce humanitarne i szlachetne prawa, potęga opinji publicznej, polityczna karność i istotne, a nie, jak gdzieindziej, papierowe tylko, poszanowanie wolności i przywilejów obywatelskich. Wszak ci nigdzie bodaj na świecie, w czasach przedwojennych, nawet obcy przybysz nie zażywał takich swobód, jakie mu zapewniała Francja. Wszak ci to nadewszystko powinno było wpływać na wychodźców polskich, którzy tutaj, we Francji, od rozbiorów Polski, mogli jednakże zawsze otwierać swe kuźnie polityczne, przygotowywać rewolucje, a bodaj nawet w anarchistyczne zwierać się kółeczka i urągać potędze trzech ol-

brzymich cesarstw. Wszak ci tutaj dopiero winienby się był kształtować i krystalizować polski republikanizm, bodaj jako reakcja przeciwko trójcesarskim gnębicielom.

Niestety, Kolonja Polska we Francji, była i pod tym względem jeno wiernem odbiciem własnego społeczeństwa. Ustrój republikański Francji nie nauczył jej niczego i nie przekonał. Pojęcie republikanizmu polskiego było zawsze tak mocno zachwaszczone obrazami majestatu królewskiego, że i dotychczas podobno jest i w Rzeczpospolitej Polskiej wątłem i chorowitem i czemś tak osobliwem, czego zdrowo myślący cudzoziemiec ani rusz pojąć nie może.

Ruch ewolucyjny francuski również nie pociągał Kolonji Polskiej. Ruch ten przedstawiał się jako rezultat wolności, jako to, co narazie w Polsce powinno ustąpić wobec wielkich zagadnień o wyzwoleniu. Hasła o braterstwie robotników, o wspólności celów proletarjatu ogólnoświatowego raczej przerażały większość Kolonji Polskiej, raczej odstręczały.

Może najwięcej uwagi i szacunku miała dla Francji nieliczna lewica Kolonji Polskiej, może i dlatego, a nawet z pewnością, podczas wojny, ta lewica, choć ciągle gotowa iść za rozkazami swej głównej kwatery, nie mogła się zdobyć na otwarte wypowiedzenie się za mocarstwami centralnemi. W sumieniu swem bowiem spocjalistycznem napotykała na nieprzezwyciężony opór.

Prawda, tuż pod ręką, Kolonja Polska we Francji miała promienne dzieje odwiecznego braterstwa franko-polskiego. Co kroku znajdywała ślady, przypominające momenty wzniosłe, kiedy naród narodowi przyjaźń ślubował, kiedy jeden rozkaz wiódł na boje Polaków i Francuzów. Dzień powszedni jednak, dzień polityki zimnej, oschłej, rachującej nie sentymenty, lecz siły, gasił te wizje.

Polski i Polaków nie było dla Francji zewnętrznej, oficjalnej. Na głuchej prowincji, po wsiach i miasteczkach ko-

latały się jeszcze słuchy o bratnim narodzie. W mrokach gabinetów ministerjalnych podobno również snuła się mara polska, lecz była ona tajemnicą tych gabinetów. Żaden wybitniejszy urzędnik, żaden działacz francuski nie śmiał już o Polsce mówić...

Nowi przybysze z nad Wisły nad Sekwanę, bywali na te stosunki bardzo wyrozumiałymi. Po pewnym czasie jednak i ich ogarniała niechęć. Z ust współrodaków, z ust szronem okrytych emigrantów, co chwila słyszeli bolesne opowieści, zgryzotą nacechowane przykłady o pognębieniu zawołania polskiego. Tutaj Gasztowtt sypał ironją, tam Mickiewicz siał anegdotami o francuskiej ignoracji, o francuskiej zdradzie. Hen, w oddali, widniały postacie wielkich rzeczników polskiej sprawy. Były to wszakże wspomnienia. Pokolenie rządziło nowe, inne, obojętne, unikające zadawania się z ludźmi, pogrzebanymi żywcem.

Prasa francuska, ta wpływowa, wtórowała usłużnie sferom oficjalnym. Polacy dla tej prasy istnieli jeszcze o tyle, o ile można było równocześnie pruskie lub niemieckie potępić gwałty. O Polakach w zaborze pruskim pisano więc czasami, pozatem unikano polskich tematów. Zresztą wymagał tego nawet interes wydawnictw. Rosja ogłaszała pożyczki swe we Francji, Rosja płaciła tysiącami za ogłoszenia, niepodobna było pisać o Polsce bez narażenia się na utratę zyskownych inseratów.

Skrajna lewica francuska i jej czasopisma bywały nawet bardzo łaskawe dla sprawy polskiej. Ta łaskawość w rezultacie pożytku nam nie przynosiła. Sympatje dla ujarzmionego narodu łączono z sympatjami dla panrewolucjonizmu wogóle, gotowano nas w jednym saganie ze wszelakiemi krzywdami polityczno-społecznemi i tem samem zacierano, bagatelizowano poniekąd naszą walkę o niepodległość, łączono ją

z kwestją samowładztwa w Rosji, z pognębieniem rosyjskiego proletarjatu i z ideami międzynarodówki.

A ta garść sympatyków naszych? Jak rzekliśmy składała się z ludzi, nie posiadających żadnych wpływów politycznych i społecznych. Z ludzi skromnego autoramentu, z nie mających nic do stracenia na swem stanowisku miernot, z wątłych jednostek, szukających oklasku za szumne i strzeliste komplementy. Kilku z nich było wyjątkowo dzielnych i bezinteresownych, ale i to wówczas jeszcze przeważnie bezsilnych.

Kładziemy na te fakty nacisk, bez tego nacisku bowiem niepodobna byłoby ocenić tragicznego szamotania się Kolonji Polskiej czasu wojny, ani też walki stoczonej przez tych, którzy wierzyli w posłannictwo Francji, w jej zawsze jednakową, choć ukrywaną przyjaźń.

Reasumując to, cośmy powiedzieli, stwierdzamy, że Kolonja Polska we Francji, zarówno, jak i Francja sama, wojny się nie spodziewała, — że Kolonja Polska żadnego, zasługującego na tę nazwę, pogotowia bojowego czy wojskowego wyszkolenia nie miała, — że czasy przedwojenne przytępiły śród Kolonji Polskiej sentymenty profrancuskie, — oraz, że, ze strony Francji oficjalnej, odnośnie sprawy polskiej, panowało głuche milczenie.

Były więc wszystkie dane po temu, aby Kolonja Polska we Francji, w chwili wybuchu wojny, poszła była za przykładem Polaków w czasie wojny francusko-niemieckiej w latach 1871-72, i w głównej swej masie dochowała neutralności.

Stało się przecież inaczej.

Polacy we Francji pierwsi zdobyli się na czyny, które nie miały żadnej łączności z tą czy inną polityką prozaborczą, dzielnicową lojalnością, czy z tem, co chciało wrogów naszych dzielić na „większych“ i „mniejszych“.

Polacy we Francji, powiedzmy bezstronnie, byli wybrańcami losu. Mogli walczyć z jednym z najeźdźców, nie ślubu-

jąc drugiemu wierności. Z podniesionem czołem mogli stawać po stronie potężnej cywilizacji zachodu, po stronie tego, co w bytowaniu ludów współczesnych jest podniosłem, co jest prawem człowieka i obywatela.

Oni, bardziej przez los ślepy faworyzowani, niż przez zmysłu politycznego bystrość, mieli, w razie zwycięstwa francuskiego, wszystko do zdobycia, w razie klęski, mieli zapewnioną cześć i poszanowanie.

Polacy we Francji stali się wskrzesicielami tradycyj polsko-francuskich i byli istotnymi twórcami Armji Polskiej we Francji.

Tak samo, jak Wychodźtwo Polskie w Ameryce, tak i Polacy we Francji nie mieli żadnych uplanowanych sposobów działania. Szli za instynktem zawziętych jednostek, niekiedy opierali się, buntowali, ale szli i dotarli. Wskazówek od naszych dygnitarzy politycznych nie otrzymali żadnych. Przeciwnie, siłą swą zmuszali tych dygnitarzy do pójścia w ich ślady.

Byli oni, tak samo, jak Wychodźtwo Polskie w Ameryce, podzieleni, tak samo opuszczeni przez krajowe kuźnie, i tem słabsi od Amerykańskiego Wychodźtwa, że liczebnie znaczyli mniej, niż pierwsza z brzegu drobna, ale chociaż skupiona w parafjach, osada polska w stanie Maryland lub Wisconsin. Mieli zaś tylko organizacje bez członków lub zrzeszenia bez grosza pieniędzy w kasie. Byli tłumem inteligentów, a więc tłumem trudnym do kierowania, do zbiorowego działania niezdolnym.

Wybuchła wojna.

Nadeszła chwila przełomowa.

A na tę wojnę, na tę wiekopomną godzinę, jako jedyny drogowskaz polskiej myśli politycznej, wraz z ostatniemi dziennikami z Polski, nadeszła wiadomość, że rodacy wyprawili do papieża list po łacinie, skarżąc się, że klecha nie-

miecki, niejaki Sondermann z Gherte, chrzci dzieci polskie po niemiecku i po niemiecku udziela ślubów Polakom, no i błagając, aby Watykan wrócił nareszcie Polakom, wydarte im prawa kościelne.

To była ostatnia z Polski nowina, która przybyła do Francji na chwilę wybuchu wojny.

Polacy we Francji nie zwrócili na tę wiadomość „polityczną" uwagi, rozumiejąc, że i prawa kościelne Polska może osiągnąć, ale także tylko własnemi pięściami, do zażycia których łacina jest wcale niepotrzebna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WOJNA. — CUDZOZIEMCY WE FRANCJI. — NARADY SOKOLSTWA. ZAWIĄZANIE KOMITETU WOLONTARJUSZÓW POLSKICH. — NIEDOLA POLAKÓW. — DZIAŁANIA PRAWNE, CHOĆ BEZPRAWNE. — PIERWSI OCHOTNICY. — PIERWSZA WALKA Z OPOZYCJĄ. — KĄT HISTORYCZNEGO OCENIANIA DZIAŁAŃ. — DEKLARACJA POLITYCZNA KOMITETU WOLONTARJUSZÓW. — PROKLAMACJA WIELKIEGO KSIĘCIA MIKOŁAJA. — POD WRAŻENIEM CHWILI. — WIZYTA PAMIĘTNA U AMBASADORA ROSYJSKIEGO. — PROJEKTY NASZYCH LOJALNYCH. — DALSZA PRACA ORGANIZACYJNA. — ZWROT DO WYCHODŹTWA POLSKIEGO W AMERYCE.

W ostatnim tygodniu miesiąca lipca, roku 1914, rozproszone dotychczas chmury na horyzoncie polityki europejskiej, zaczęły z przerażającą szybkością zwierać się i grozić nawałnicą.

Dyplomacja układała jeszcze jakoweś bardzo zawiłe memorjały i noty, rozprawiała o utrzymaniu pokoju za wszelką cenę, lecz sztaby generalne równocześnie zdwajały energje. Chrzęst broni rozległ się nad Dunajem i powoli ogarniał coraz to inne kraje.

W miesiąc po morderstwie austrjackiego arcyksięcia, wystąpiła nagle austrjacka pomsta, habsburgska duma na pokaranie, na ujarzmienie krnąbrnej Serbji, na zgniecenie jednego więcej ludu słowiańskiego. Dokładniej mówiąc, czyjaś ręka zbrodnicza dała znak do rozpętania szalonej, wściekłej a oddawna przygotowywanej wojny.

Kiedy od strony Bałkanów doszły do Francji pierwsze zwiastuny wojny, mniemano, żeć na Wschodzie Europy, w tem siedlisku przemocy i niezgody, rozegra się znów jeden więcej krwawy dramat, że, w najgorszym razie, dwa współzawodniczące ze sobą o wpływy na Bałkanach mocarstwa, że Austrja i Rosja załatwią swoje własne porachunki. Złuda była krótka. Austrja była tylko lennikiem, chciwego zwycięstw i podbojów germaństwa. Cesarstwo Niemieckie było gotowe do wojny i chciało wojny. Chwila nadeszła wyjątkowo sposobna, taka, którahy się mogła nigdy nie powtórzyć. Zapasy wojenne przepełniały magazyny. Posiew militaryzmu wytworzył pokolenie butne, harde, pewne siebie, wierzące w rację siły własnej. Kalkulacja wojskowo - dyplomatyczna przekonała Austrję. Monarchje centralne ruszyły. Ruszyły pod hasłami zagarnięcia całej środkowej Europy, opanowania wszystkich europejskich rynków zbytu, okiełzania Bałkanów, dotarcia przez Ukrainę do Morza Czarnego, do wydarcia Francji nagromadzonych bogactw, do ujarzmienia Belgji, do sprowadzenia Rosji do znaczenia azjatyckiego państwa, do wyrąbania sobie drogi do Bagdadu.

Plany były szczegółowo opracowane. Cel, cel świetny, wróżący na wieki całe triumf idei pangermanizmu, triumf „rasy wyższej“ nad Pigmejami Europy. No a powód, powód do wojny jedyny w swoim rodzaju, bo tchnący świętem oburzeniem na morderców, którzy ważyli się zgasić życie austrjackiego arcyksięcia.

W dniu 29 lipca, roku 1914, we Francji zaprzestano się łudzić. Czyniono jeszcze i do ostatniej chwili beznadziejne kroki, aby znaleźć punkt wyjścia, aby możny i zażywający błogosławieństwa pokoju kraj ocalić przed pożogą, bodaj kosztem zachowania neutralności. Na pierwsze wspomnienie o francuskiej neutralności, już nie Austrja, lecz Niemcy od-

powiedziały żądaniem kapitulacji natychmiastowej francuskich pogranicznych fortec.

Więc na poskromienie Serbji, Niemcy wydali wyrok i na Francję, — albo dobrowolne niewolnictwo albo wojna, a po tej wojnie... także niewolnictwo.

We Francji bytowało mnóstwo cudzoziemców, należących do sfer intelektualnych. Pomiędzy tymi cudzoziemcami były krocie takich, którzy nietylko nie zajmowali się, jak przybysze z Niemiec, szpiegostwem, lecz przeciwnie, czuli się niejako skutymi węzłami wdzięczności dla gościnnej ziemi francuskiej.

Kiedy więc we Francji zagadano z lękiem i trwogą o nadchodzącej wojnie, kiedy stało się widocznem, że Francja ma być pastwą brutalnego, niczem nieusprawiedliwionego napadu, wówczas ci właśnie cudzoziemcy zaczęli gromadami manifestować swe sympatje dla Rzeczypospolitej i zapowiadać swą gotowość bronienia trójkolorowego sztandaru.

Już w dniu 30 lipca, ukazały się oświadczenia ze strony kolonji włoskiej, amerykańskiej, greckiej, rumuńskiej, wreszcie skandynawskiej i czeskiej. Zapał był olbrzymi.

Strzeliste, szlachetne, pełne zapału i oburzenia odezwy, wydane przez te cudzoziemskie organizacje, poruszyły Polaków, poruszyły nadewszystko Sokolstwo polskie we Francji.

Tegoż samego dnia, wieczorem, mieszkanko prezesa Związku Sokołów wypełnili druhowie paryscy, którzy zbiegli się samorzutnie, żądając, aby czynić także, aby nie zabrakło imienia polskiego w tym ruchu, zrywającym się na obronę nie Francji tylko, lecz całej zachodnio - europejskiej cywilizacji, której my, Polacy, „zawdzięczamy naszą odporność, siłę moralną naszą“.

Na tem zebraniu, w dniu 30 lipca, roku 1914, zapadła uchwała, że, w razie wybuchu wojny, należy natychmiast podjąć inicjatywę i zapoczątkować śród Sokołów najpierw,

a śród Polaków wogóle, ruch wolontarski, pod hasłem: „Na Niemca". Dla powzięcia ostatecznych decyzyj uchwalono zebrać się nazajutrz rano.

Następnego dnia, w piątek, dnia 31 lipca, do prezesa Związku dotarły, niby echo bratnie, pierwsze listy od Sokołów-górników z departamentów północnych Francji. Już i tam, w niektórych środowiskach kiełkowała myśl czynu. Za listami przybył Jan Danysz, znany i zasłużony uczony polski, pracownik Instytutu Pasteura, człowiek o przekonaniach ultra - postępowych, z zapytaniem, czyli Sokolstwo Polskie zamierza wystąpić czynnie po stronie Francji i, ze swej strony deklarując całkowitą swą pomoc i współdziałanie. Sokoli zgromadzili się licznie. Naczelnik Związku, Sekretarz i Skarbnik byli obecni, brakło jedynie wiceprezesa, który był wyjechał na kurację.

Należało czynić, należało działać. Przybycie Danysza dodało przewodnictwu otuchy.

Szło tu przecież nie o samą sokolą decyzję, szło o posunięcie polityczne niezmiernej wagi i doniosłości. Trzeba było koniecznie pomyśleć o naczelnej organizacji, któraby jeszcze kilka nazwisk z poza Sokolstwa objęła i wpłynęła tem samem na rozszerzenie ruchu.

Aliści narada, poprzedniego dnia odbyta, lotem błyskawicy już była obiegła kolonję paryską. Za Sokołami, za Danyszem, do prezesa Związku przybyło kilka osób postronnych, szukając dla siebie może dyrektywy, może szukając tylko potwierdzenia nowiny.

W trakcie najgorętszych narad wpadł na zaimprowizowane zebranie, znany z czasów rewolucji rosyjskiej w Warszawie (1905) Stanisław Kucharski, ex - ksiądz, socjal - rewolucjonista i niedawno zapalczywy agitator. W jednej chwili zaatakował z całą gwałtownością intencję organizacji ochotników, jako niepożyteczną ofiarę, jako nie mające sensu wystąpienie

wobec potęgi austro - niemieckiej, która musi zmieść i zmiecie odrazu strupieszałą, zgangrenowaną Francję.

Chwila była tak poważna, że intruzowi niepodobna było głosu odebrać. Wystawiał obraz francuskiej niemocy i obraz przygotowania wojennego Niemiec. Ostrzegał przed lekkomyślnem rzucaniem krwi polskiej na szalę, skazaną na pewną przegranę. Polska, sprawa polska może tylko zyskać coś na sojuszu z Austro - Niemcami. Zresztą Polacy we Francji są taką marną garścią, że nie mają prawa zapoczątkować ruchu, rozpoczynać gry politycznej tego pokroju.

Pamiętne wystąpienie Kucharskiego nacechowane było taką złosliwością, taką ironją, że, choć niby trzeźwe, niby rzekomo zalecające ostrożność, niby oparte na dowodach, raczej bunt ocknęło wewnętrzny, raczej uporem przejęło zebranych sokołów.

— Tworzymy natychmiast Komitet Wolontarjuszów Polskich, — orzekła jednomyślna decyzja.

— Do Komitetu, poza przedstawicielstwem Sokołów, wezwiemy jeszcze kilka osób, aby nadać tej organizacji cechę ponadpartyjną, — orzekła następna decyzja.

Trzeba więc było tworzyć, trzeba było działać. Lecz z czego tworzyć i jak działać?

Na dalszej poufnej naradzie z Danyszem, prezes Związku omawiał wszelakie kandydatury, lecz napróżno. W Paryżu nie było wielu wybitniejszych ludzi. Ten wyjechał i tamten wyjechał. W rezultacie postanowiono, aby oprócz prezesa Związku i Jana Danysza, zaprosić D-ra Bolesława Motza, socjalistę i Bronisława Kozakiewicza, obywatela tak bezpartyjnego bezwzględnie, że ze wszystkimi będącego zawsze w zgodzie. Komitet Wolontarjuszów miał się więc składać z czterech osób.

Kozakiewicz przyjął mandat skwapliwie, jako jedno więcej odznaczenie. Dr. Motz przyjął go chętnie i z całem poczuciem wielkiej odpowiedzialności. Ten ostatni akces był bardzo

pożądany, ileże Dr. Motz, tak z racji swego zawodowego stanowiska, jako zdolny i zażywający miru lekarz i urolog, jak i z racji wpływu, wywieranego na sfery socjalistyczne i postępowe. miał znaczenie i był autorytetem. Była to rzecz ważna, boć w Paryżu istniała organizacja Strzelca, a z nią przychylność dla proaustrjackiej orjentacji.

Rozpoczęła się więc praca przygotowawcza. Dziwna, osobliwa praca. Na siedzibę Komitetu Wolontarjuszów wybrano lokal „Polonii" i kwaterę Towarzystwa Literacko - Artystycznego, przy ul. Notre - Dame de Lorette, numer 10. Trzeba dalej było upoważnienia władz wojskowych, trzeba było układu z temi władzami, no i potrzeba było pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy.

Wypadki tymczasem szły szybko. Cała Francja wpadła w gorączkowy stan. Ukazały się ogłoszenia mobilizacyjne. Rzeczpospolita francuska zdobyła się jeszcze na heroiczne postanowienie: oto, aby usunąć możliwość starcia pogranicznego, cofnęła swe wojska w tył, o dziesięć kilometrów od granicy własnej, w głąb Francji. Ustąpić chciała z drogi pysze niemieckiej, któraby mogła przyczepić się do pogranicznego patrolu.

Był to wysiłek daremny. Niemcy szli już ławą.

Nastąpiły dni zamętu i paniki powszechnej. Naraz zaniechano przyjmowania w sklepach papierowych pieniędzy. Banki zamknięto.

Zakłady przemysłowe, fabryki, środki komunikacyjne wpadały w febrę powszechnej mobilizacji.

W dniu 2 sierpnia, w czasopismach paryskich, ukazała się pierwsza wiadomość o utworzeniu Komitetu Wolontarjuszów Polskich, Komitetu, złożonego z prezesa Związku Sokołów, Gąsiorowskiego, oraz z Jana Danysza, D-ra Motza i B. Kozakiewicza.

Tuż za tą notatką do kwatery Komitetu ruszyły całe chmary Polaków, zaskoczonych wojną, nie wiedzących, jak sobie dać radę, gdzie znaleźć, utraconą wskutek zamknięcia warsztatu, pracę, jak uchronić się przed deportacją.

Rząd francuski równocześnie z ogłoszeniem mobilizacji, nakazał natychmiastową i przymusową registrację wszystkich, przebywających na ziemi francuskiej cudzoziemców oraz osadzenie wszystkich poddanych niemieckich i austrjackich w obozach koncentracyjnych.

Jak powiedzieliśmy wyżej, we Francji, czasu letniego sezonu, było mnóstwo całe Polaków, którzy zjechali byli na wczasy, wypoczynek, rozrywki. Pośród nich wielu było pochodzących z zaboru pruskiego i austrjackiego. Otwarta na kilka tygodni przedtem, wystawa w Lyonie ściągnęła i była naszych rodaków i to w większej, niż zazwyczaj, liczbie. Wszyscy ci Polacy, za całą legitymację posiadali paszport austrjacki, pruski, lub rosyjski. Nie dość na tem, śród Kolonji Polskiej było przecież mnóstwo górników z Westfalji, ze Śląska, z kopalń w Karwinie i Cieszynie, było nadto wielu, wielu inteligentów, artystów, panków i całych panów, zniewolonych do pieczętowania się Austrją czy Prusami. Co więcej jeszcze, Kolonja Polska we Francji, w młodym swym odłamie, miała wogóle zastęp ludzi, nie uznających paszportu, skazanych na przymus bytowania bez żadnej legitymacji. Sam prezes Związku Sokołów nie miał papierów, choć był członkiem Komitetu Wolontarjuszów...

Przepisy registracyjne były tymczasem bezwzględne, surowe, nie skłonne do żadnych ustępstw, Francja musiała gotować się do walki na śmierć i życie, musiała więc usuwać wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wątpliwość.

Reprezentacji żadnej innej, zdolnej w takiej chwili wziąć rodaków w obronę, nie było.

Był zato Komitet Wolontarjuszów Polskich. Do tego Komitetu zaczęły się zbiegać tłumy, już nie ochotników samych, lecz wogóle ludzi, pozbawionych naraz środków do życia, głodnych, wylękłych, zagrożonych deportacją.

Tu rejent ze Lwowa, bogaty człek, pokazywał z płaczem akredytywę bankową na dwadzieścia tysięcy koron austrjackich i żebrał o ratunek, o kilka franków na chleb. Tam biedak który uciekł przed wzburzeniem tłumu, co go poczytywał za Niemca, błagał o opiekę. Ówdzie dama w jedwabiach zaprzysięgała swą polskość.

Komitet Wolontarjuszów zaś nietylko nie posiadał środków materjalnych, ale i żadnych wpływów u władz, żadnych stosunków, no i dźwigał na sobie obowiązek zorganizowania ochotników.

Pieniędzy nie było wcale. Ci nawet, którzy posiadali oszczędności czy kapitały w bankach, nie mogli ich wydostać a byliby, w onym tragicznym momencie, złożyli niezawodnie poważne ofiary.

Tymczasem zamęt wzrastał. Paryż a z nią Francja wyludniała się. Codnia krocie rezerwistów szły i nikły w obozach. Pozostałą ludność ogarnęło chorobliwe zdenerwowanie. Każda twarz młodzieniaszka, zdolnego pod karabin mężczyzny, a nie odzianego w uniform wojskowy, wywoływała oburzenie, indagacje uliczne, pomruk tłumów. Wieści o wykrytych szpiegach, o pierwszych zdradach, o przygotowaniu przez szpiegów na ziemi francuskiej pozycyj dla armat niemieckich, łączyły się z pierwszem ukazaniem się aeroplanów nieprzyjacielskich nad Paryżem.

Tymczasem w brudnych izdebkach Komitetu Wolontarjuszów, tłoczyły się tłumy od rana do wieczora.

Komitet pracował, pracował bez upoważnienia władz, bez żadnego z niemi porozumienia.

Danysz obiecywał jakoweś kroki poczynić, lecz nie było z kim pertraktować, nie było się z kim układać. I kto by tam mógł i miał czas zajmować się taką wątłą garstką Polaków, w chwili, gdy od każdej minuty zależał może byt i niepodległość całej Francji, w chwili, gdy pułki francuskie, wystrojone, jak na paradę w czerwone kepi, w czerwone spodnie, ani dostatecznie uzbrojone, ani mające wyobrażenia o wyekwipowaniu niemieckiem, ciałami własnemi grodziły drogę pędzącemu naprzód huraganowi nieprzyjaciół.

Komitet Wolontarjuszów przecież pracował bez wytchnienia. Pracować musiał, choć de facto nie miał żadnego po temu prawa.

Ponieważ drukarnie były wogóle zamknięte, wskutek mobilizacji, przeto Komitet zaprzągł kilku, będących pod ręką, artystów - malarzy i ci, ręcznie sporządzili zapas afiszów, wzywających Polaków do szeregu.

Afisze te odrazu znalazły prawo obywatelstwa, choć bez stempla i bez żadnego upoważnienia.

Dalej, kiedy pomiędzy kandydatów na ochotników, zaczęły wciskać się coraz gwałtowniej, tłumy całe rodaków, zagrożonych wywiezieniem ich do obozu koncentracyjnego, żądając i jęcząc o świadectwo, że, choć, poddaństwa austrjackiego, szczerymi są Polakami, — wówczas, dla odczepienia się od tych nieszczęśliwych, — Komitet zaczął wydawać... „dokumenty polskości“...

A ponieważ Komitet Wolontarjuszów nie miał ani pieczęci, ani papieru listowego, przeto użyto zapasu papieru z nadpisem w języku polskim i francuskim: „Polski Zachodnio - Europejski Związek Sokoli“. A ponieważ nie było pod ręką pieczęci Związku, więc wyciskano pieczęć „Redakcja Polonii“.

Pierwsi rodacy, którzy te zaświadczenia ponieśli do komisarjatów policji paryskiej, zostali wyśmiani... Juści były to

nie świadectwa, lecz jakieś dziwaczne, cudaczne madrygały, lakonicznie stwierdzające czyjąś polskość i upstrzone osobliwemi nadpisami „Związek Sokoli“, „Polonia“, „Redakcja“, „Zachodnio - Europejski“.

Ale wątpliwość w tym kierunku trwała tylko dwadzieścia cztery godziny. Po dwudziestu czterech godzinach, urzędnicy francuscy, sprawdzający listy cudzoziemców, na pierwsze słowo „Polak“, zapytywali już: „A gdzie jest świadectwo tych Sokołów z Polonii“?

W ten sposób Komitet Wolontarjuszów posiadł prawo i przywilej występowania w obronie Polaków, poddanych austrjackich i niemieckich, i rozstrzygania o ich prawomyślności narodowej polskiej.

Przywilej ten, podkreślamy, dał mu przypadek, dała mu energja brania władzy tam, gdzie niema kogo o nią pytać, gdzie niema czasu na pytania.

Tak samo i nieinaczej uzyskał Komitet Wolontarjuszów Polskich swój patent na organizowanie ochotników, na opiekowanie się nimi w następstwie i na urzędowy swój mandat.

Ochotników zaczęły się zgłaszać chmary całe. Nadewszystko stanęli Sokoli z naczelnikiem Związku, Wiwegerem, z prezesem gniazda w Barlin, Kazimierzem Trzebiatowskim, na przedzie.

Zapał przecież nie był równomierny, bywał nawet aż nadto często udany.

Krom tych, którzy szli z istotnego porywu, byli tacy, którzy zgłaszali się dlatego, aby posiąść kartę ochotnika, aby tą kartą okupić sobie spokojne bytowanie we Francji, aby uwolnić się przy superrewizji, aby później symulować chorobę, aby w ten sposób ujść przed powołaniem do wojska rosyjskiego.

Ambasada rosyjska wszakże równocześnie rozlepiła wezwania do rezerwistów swoich i temi wezwaniami ogarniała poważny zastęp Polaków.

Byli więc i tacy, i jakże liczni, jakże dziś zawstydzeni, którzy zgłaszali się lojalnie do rosyjskiej ambasady z biletami wojskowymi i szli pod jej rozkazy, nie chcąc ani wiedzieć, ani słuchać o Komitecie Wolontarjuszów, o ofiarnem pójściu tylko za hasłem polskiego imienia.

Byli znów i zatraceńcy różnego autoramentu. Szumowiny wszelakich warstw, włóczące się zazwyczaj bez jutra, żyjące z łaski, z datków, z odczepnego. I ci się także zgłosili. Między nimi byli ludzie niepozbawieni może szlachetniejszych uczuć. Wojna mogła być dla nich przekreśleniem procesu o fałszerstwo weksIu, o sprzeniewierzenie, zmazaniem winy, odkupieniem grzechu młodości.

Dziwnym zaiste i niezwykłym bardzo był ten pstry tłum ochotników naszych. Tutaj inżynier, który zjechał był do Francji organizować towarzystwo akcyjne do eksploatacji źródeł naftowych, tutaj artysta, tam literat początkujący, a tu rzemieślnik, robociarz szczery, tutaj do paranteli z magnatami, przyznający się jegomość, ówdzie „chodzik“ paryski, student uniwersytetu i kupczyk, skromny parobek rolny i urodzony burżuj.

W tej pierwszej gromadzie, z której dopiero w przyszłości miał się wytworzyć typ ochotnika polskiego w wojsku francuskiem, typ przyszłego instruktora i pioniera Armji Polskiej, były wszystkie warstwy, wszystkie wyznania religijne i społeczne, wszystkie złe i dobre żywioły.

Jedna cecha łączyła z początku wszystkich tych ochotników. Na imię jej było wielka bieda. Ubóstwo raptowne. Wykolejenie. Stracenie gruntu pod nogami.

Trzeba było nagwałt te szeregi ratować, trzeba było je organizować, trzeba było je zająć, uchronić przed rozproszeniem.

Pierwsza wiadomość, którą zdołano otrzymać z centralnego biura rekrutacyjnego francuskiego, na Placu Inwalidów, mówiła, że kwestja przyjmowania ochotników - cudzoziemców będzie zdecydowana dopiero po ukończeniu mobilizacji francuskiej, a więc w końcu miesiąca sierpnia. Było przeto jeszcze całe trzy tygodnie czasu... Gdyby przez te trzy tygodnie było zostawić ochotników ich własnemu losowi, znaczyłoby rozbić całkowicie organizację.

Wówczas wpadnięto na myśl zapoczątkowania ćwiczeń wojskowych. Wynajęto salę gimnastyczną niejakiego Georgea na ulicy Tournon i tam urządzono zbiórki dwa razy dziennie. Dalej ułożono się z kuchnią jakiejś restauracyjki i zaczęto ochotnikom dawać „bony“ na żywność.

Tymczasem praca w Komitecie Wolontajuszów przechodzić zaczęła granice możliwości. Danysz i Motz czynili starania o umocowanie prawnej strony Komitetu, mieli jednak swe własne obowiązki. Kozakiewicz był z natury swej słabą siłą roboczą. Od świtu do nocy siedzieć musiał prezes Związku z sokołami i przygodnymi współpracownikami, którzy raczej z ciekawości, z ochoty do politykowania garnęli się do Komitetu. Stąd postanowiono powiększyć Komitet i, na przedstawienie prezesa, powołano jeszcze Antoniego Szawklisa, zasłużonego sokoła a kasjera Związku.

Kiedy zaś ciągle ta strona prawnego istnienia Komitetu Wolontarjuszów nastręczała coraz więcej obaw, zgłosił Jan Danysz i przedstawił Bolesława Bronisławskiego, inżyniera, jako kwalifikującego się na członka Komitetu Wolontarjuszów z racji na jego rozległe, śród Francuzów, stosunki. W ogólnym zgiełku, sokoli na ten akces się zgodzili, nie czyniąc żadnych ze swej strony uwag, co do osoby Bronisławskiego.

Lecz, po za tym sukursem, przybył Komitetowi Wolontarjuszów, ten bodaj najdzielniejszy, bo w osobie wiceprezesa Związku Sokołów, który, zaskoczony w Vichy, zdołał się stamtąd wydobyć, choć poddany niemiecki, i do roboty stanąć. Komitet składali więc teraz: Danysz, Gąsiorowski, Motz, Kozakiewicz, Szawkłis, i Bronisławski a nadto Jan Dereziński, który, choć nie zatwierdzony oficjalnie, był jednym z najbardziej wpływowych i czynnych członków Komitetu.

W tydzień, po zawiązaniu Komitetu Wolontarjuszów, wobec coraz gwałtowniejszej potrzeby przyjścia z pomocą rodakom, pozbawionym środków do życia, wskutek wojny i mobilizacji, przy interwencji Związku Sokołów, powstał w Paryżu Komitet Pomocy Obywatelskiej. Komitet ten został zaopatrzony, o czem niżej, przez Komitet Wolontarjuszów i odtąd, przez cały czas wojny, zabiegał o chleb, o pracę, o ratunek w chorobie dla rodaków opuszczonych, odciętych od kraju, steranych wiekiem lub niedolą.

Z powyższych słów wnioskowaćby można było, że tak czy owak, Komitet Wolontarjuszów zdołał odrazu pokonać wszelkie trudności, że, pomimo tej niechęci do Francji, tak mocno się objawiającej śród Kolonji Polskiej, był wolen od wszelkich politycznych czy orjentacyjnych starć.

Tak przecież nie było.

Proaustrjacka orjentacja czy tylko przeświadczenie o niechybnem zwycięstwie niemieckiego oręża było bardzo silnem i bardzo mocno propagowanem.

Walkę początkową przytłumiła narazie panika, lęk przed wzburzeniem francuskiem, lecz agitacja i ostra była przeciwko Komitetowi Wolontarjuszów. Ci nawet, którzy błagali o świadectwo polskości i, dzięki tylko stemplowi Wolontarjuszów, korzystali z pełnej swobody, ci nawet gryźli i to mocno i podkopywali ruch ochotniczy.

Pamiętnem zostanie przykre zajście w Komitecie, wywołane przez jednego z żyjących dotąd „kontrolerów" opinji publicznej polskiej, gdy w biurze Komitetu, po otrzymaniu świadectwa, zagadnięty został przez poległego w następstwie ofiarną śmiercią inżyniera Szuyskiego o datek dla żołnierzy, o parę franków dla idących na wojnę. Ów „kontroler" bluznął obelgami...

Zwolennicy Strzelca, stronnicy Komisji Tymczasowej podzielili się także w Paryżu. Gorętsi z nich zdołali wyrwać się do Szwajcarji. Chytrzejsi a „poddani" rosyjscy, zwrócili się do ambasady rosyjskiej. Ambasada wypłacała zapasowym pieniądze na drogę do Rosji. Ci chytrzejsi zgarniali spokojnie srebrniki rosyjskie i także skręcali na Szwajcarję. Zresztą tym, którzy szli za „Komisją", którzy czynem dowodzili swych przekonań nikt tego we Francji za złe nie brał. Tak myśleli, tak wierzyli, więc dobrze, że tak swych przekonań dowiedli.

Daleko trudniejszą była sprawa z takimi, którzy tutaj, po stronie francuskiej, bytując, usiłowali rozbić organizację Wolontarjuszów, zniweczyć rozpoczęty ruch polski. Sprawa była trudna dlatego, żeć niepodobna było na te wystąpienia reagować, że niepodobieństwem było o tem mówić głośno, boć ci zapaleńcy byli Polakami, boć szło tutaj o godność polskiego imienia.

W tych przełomowych czasach wystarczało mrugnąć okiem, aby ubezwładnić człowieka innego prądu. Tego nie uczyniono nigdy. Do ostatnich dni wojny podziewali się bezkarnie wrogowie zawzięci, nieprzejednani Francji i Francuzów, burzyciele, a raczej tylko ludzie małego lotu, ciemni, niedorośli do epoki, którą przeżywali.

Więc od pierwszego dnia powstania Komitetu Wolontarjuszów, była wroga propaganda, było odmawianie i podmawianie ludzi nietylko w imię innej „orjentacji", lecz i w imię poprostu nieufności do Francji.

Było naprzykład, kolisko dobroczynnej pani polskiej i to hrabiny, i to kolisko bogobojne i cnotliwe, nie politykowało, lecz bolało nad losem młodzieży polskiej, rwącej się do walki w obcych szeregach, młodzieży żadnym rozkazem, krom woli własnej, krom sumienia, nieprzymuszonej. I to kolisko równie niechętnie odnosiło się do Wolontarjuszów, jak i równie nie wierzący Francuzom inni przedstawiciele „Kolonji"...

Ci bowiem przedstawiciele, coś we dwa tygodnie po zawiązaniu Komitetu Wolontarjuszów, zaczęli się zjeżdżać. Wszystko, co się stało bez nich, musiało był więc złem. Słowa potępienia sypały się zewsząd a wraz z niemi słowa ubolewania nad tymi, którzy się dali sokołom - wartogłowom opętać lub usłuchać podpisu takiego wywrotowca, jak Dr. Motz lub bezbożnika takiego, jak Jan Danysz.

W tym razie, jak zresztą w każdej ważniejszej chwili, ostateczności się ze sobą schodziły. Skrajna prawica, obóz konserwatystów, choć dla różnych powodów, też same wyznawał zasady, co kraniec lewicy polskiej.

Komitetowi Wolontarjuszów udało się przecież pokrzyżować rachuby opozycji, bo zdołał przeciągnąć na swą stronę Stanisława Markusa, który, choć zapasowy oficer rosyjski i instruktor strzeleckiej drużyny, poszedł chętnie w żołnierskim mundurze w szeregi francuskie, lecz jako wolontarjusz polski.

Z tego i dla tych podobnych powodów Komitet Wolontarjuszów od pierwszego dnia stał pod pręgierzem, stał się przedmiotem ciągłych ataków. Kąsali go najmocniej ci, których on dobywał z opresji, którzy zawdzięczali mu swobodę, możność bezpiecznego bytowania na ziemi francuskiej.

Po pierwszych dniach twórczych, kiedy uporządkowano pracę organizacyjną, która zresztą trwała od świtu do późnej nocy, — po okresie porywu, przyszła chwila zastanowienia.

Podotąd Komitet Wolontarjuszów nie miał żadnej politycznej linji. Porwało go hasło „Niemca bić", bronić Francji,

jako ostoi wolności społecznej i politycznej, jako bojowniczki cywilizacji. I to wszystko. O żadnych kalkulacjach z Rosją, o żadnych z tym czy innym zaborcą komitywach mowy nawet nie było. Sokolstwo i wszyscy, którzy poparli swymi podpisami sokolą inicjatywę, rozumieli, że po stronie Francji trzeba ocalić wszystko to, co we Francji jest przyjaźnią dla Polski, co we Francji dla Polski można zjednać. Co tam, w ojczyźnie, bracia nasi będą czynili, to ich rzecz, ich sprawa, ich turbacja. Uczynią tak, jak będą mogli najlepiej. Polacy we Francji mają dług wdzięczności do spłacenia, mają obowiązki i tych obowiązków winni dopełnić święcie.

To było całe i jedyne wyznanie wiary Komitetu Wolontarjuszów.

Aliści trzeba było to wyznanie ująć teraz w formę politycznego oświadczenia, trzeba było je utrwalić.

Komitet Wolontarjuszów zaczął deliberować i nietylko w łonie sześciu ludzi, lecz, trzymając się zasady drzwi otwartych dla wszystkich tych, którym sprawa polska była droga.

Zanim przejdziemy do politycznego oświadczenia Komitetu Wolontarjuszów, do jego działania oficjalnego, do jego pierwszych relacyj z Wychodźtwem w Ameryce, musimy położyć bardzo mocny nacisk, że przytaczać będziemy jedynie te fakty i dane, które bezpośrednio łączą się z ruchem zbrojnym, że nie możemy pisać historji Polaków po stronie aljantów w czasie wielkiej wojny. No i musimy przypomnieć, że trzymać się będziemy ściśle granicy transzy francuskich, to znaczy wypominać to tylko, co dochodziło nas z poza drugiej strony barykady.

Wszystkie poczynania wojskowe polskie na zachodzie Europy, we Francji, Belgji, we Włoszech, w Ameryce były oddzielone, odgrodzone od tego wszystkiego, co się na ziemiach polskich działo. Wieści dochodziły rzadkie, często błędne i fałszywe, Ażeby więc docenić poczynania polskie po stronie

Francji lub w Ameryce, należy brać pod uwagę, nie całość wypadków, rozgrywających się na Ziemiach Polskich, lecz jedynie te z nich, których echo dotarło do danego środowiska poprzez moskiewską cenzurę i moskiewskie wykręty, austro-niemieckie bagnety, austro - niemieckie kłamstwa, szpiegowskie biura i aljanckie rachuby.

W tym razie trzeba koniecznie zapomnieć o wielu znanych nam już z dokumentów faktach i patrzeć na te dzieje pod kątem tylko tego, co przenikało stopniowo do Francji, do Paryża, do Stanów Zjednoczonych.

Później dopiero, kiedy, pomimo wojny, Szwajcarja zamieniła się w główną kwaterę wszelakiego międzynarodowego szpiegostwa, kiedy, przez Szwajcarję można było otrzymywać choć spóźnione wiadomości, wówczas ustało to bezwzględne odcięcie, choć i tak wytwarzało się zadość plotek i bajd przeróżnych.

Polacy wszystkich trzech zaborów pozostawali długo bardzo pod działaniem kłamliwych nowin i ulegali wpływowi tych nowin. Kiedy dzisiaj przegląda się czasopisma warszawskie, lwowskie, poznańskie, krakowskie z roku 1914, 1915 i późniejsze, kiedy się czyta te, w dobrej wierze, powtarzane banialuki, to znajduje się całkowite nieraz wytłumaczenie, usprawiedliwienie dla wielu oświadczeń politycznych, dla wielu idących zadaleko deklaracyj polskich.

Temu samemu poniekąd wpływowi ulegali Polacy na Zachodzie Europy i w Ameryce. Podkreślamy wyraz „poniekąd", ileże ten wpływ był dorywczy, gdyż był osłabiany przez miejscowe znów czynniki opinji czy informacji.

Podkreślamy te prawdy, ileże one zaważyły nietylko na politycznej orjentacji Polaków we Francji i Ameryce, lecz, co nas głównie obchodzi, na zbrojnym ruchu polskim po stronie aljantów zachodnich.

Komitet Wolontarjuszów musiał zatem przystąpić do jasnego sformułowania swego celu i swego politycznego stanowiska.

Po bardzo długich naradach, przyjęto następującą formułę:

„Niżej podpisani, utworzywszy Komitet Wolontarjuszów Polskich, zaciągających się do Armji francuskiej lub zaciągających się do pracy podczas wojny z Niemcami, zobowiązują się służyć Francji podczas całego trwania wojny i w tym celu oddają się do dyspozycji władz cywilnych i wojskowych.

„Tak utworzony Komitet ma zaszczyt prosić Władze cywilne „i wojskowe o odróżnianie Niemców i Austrjaków od Polaków, „poddanych niemieckich lub austrjackich, i o traktowanie Pola„ków, jako przyjaciół Francji.

„Komitet ma na celu kontrolowanie deklaracyj Polaków. „przebywających we Francji, tak pod względem ich narodowości, „jak i pod względem ich moralności.

„Komitet będzie komunikował władzom cywilnym i wojskowym francuskim wszystkie otrzymywane deklaracje, jako też in„formacje, które posiąść zdoła.

„Komitet będzie się starał nieść pomoc rodakom, pozbawio„nym środków do życia.

„Komitet ma zaszczyt prosić Rząd Francuski o uznanie pra„wne jego egzystencji.

Paryż, dnia 8 sierpnia, 1914 roku.

Oryginał tego dokumentu, który leży przed nami, zaopatrzony jest we własnoręczne podpisy wszystkich sześciu członków Komitetu Wolontarjuszów.

Ta deklaracja polityczna została przedłożona Rządowi Francuskiemu w dniu 8 sierpnia. Komitet podczas, nie czekając na zatwierdzenie ani na odpowiedź, pracował dalej.

Aż nagle. w tydzień później, dotarła do Francji pamiętna odezwa głównego dowódcy wojsk rosyjskich, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Odezwa ta, datowana w dniu 14 sierpnia, pisana mówiąc nawiasem, świetną polszczyzną, nawet i w interpretacji francuskich telegramów wywarła piorunujące wrażenie:

Odezwa ta brzmiała dosłownie:

„Polacy.

„Wybiła godzina, w której przekazane Wam marzenie ojców „i dziadów Waszych ziścić się może.

„Przed półtora wiekiem, żywe ciało Polski rozszarpano na ka- „wały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie „godzina zmartwychwstania dla Narodu Polskiego i dla pojedna- „nia się braterskiego z Wielką Rosją.

„Wojsko rosyjskie niesie Wam błogą wieść tego pojednania.

„Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części naród polski.

„Niechaj naród polski połączy się w jedno ciało pod berłem „cesarza rosyjskiego. Pod berłem tem odrodzi się Polska swobodna „w swej wierze, w języku i samorządzie.

„Jednego tylko Rosja spodziewa się po Was: takiego samego „poszanowania praw ludów, z którymi związały Was dzieje.

„Z sercem otwartem, z ręką po bratersku wyciągniętą, kroczy „na Wasze spotkanie Wielka Rosja. Wierzy ona, iż nie zardzewiał „miecz, który poraził wroga pod Grunwaldem.

„Od brzegów Oceanu Spokojnego do mórz północnych cią- „gną hufce rosyjskie. Zorza nowego życia dla Was wschodzi!

„Niech zajaśnieje na tej jutrzni znamię Krzyża, godło męki „i zmartwychwstania narodów“!

Tak głosiła odezwa do Polaków, podpisana przez wielkiego księcia, Mikołaja.

Milcząca podotąd o Polsce i Polakach Francja powitała tę odezwę wybuchem wprost szalonej radości. Cała prasa francuska entuzjastyczny wzniosła okrzyk na cześć Polski nareszcie wolnej, nareszcie powoływanej znów do samodzielnego bytowania, nareszcie zmierzającej do połączenia swych rozszarpanych części! Jakgdyby jakaś zmowa utajona na rzecz Polski objawiła się nagle śród Francuzów. Nikt zgoła nie my-

ślał inaczej pojmować tej odezwy, ani dociekać jej przesłanek i napomknień. Rosja, car zaprzysiągł wrócić całkowitą wolność Polsce, zaprzysiągł połączyć rozszarpane jej części. Jeżeli wojna rozpętana do tego bodaj jednego doprowadzi celu, toć nie żal ofiar, nie żal cierpień. Polska będzie i musi być.

Ale nietylko prasa francuska, lecz cała Francja tak i nie inaczej odezwę pojęła.

Pamiętamy, gdy do nas, na ubogiem pięterku bytujących i skwapliwie przez otoczenie zwanych „rosjanami", pomimo wszelkich w tym kierunku protestów, zgłosiła się cała delegacja z życzeniami dla zmartwychwstałej Polski.

A kiedy mimowoli zwątpienie i sarkazm tułaczy odpowiedział na strzeliste wyrazy, wówczas ciż sami, skromni, ubodzy duchem Francuzi, wybuchnęli:

— Co? Takiego oświadczenia mieliby nie dotrzymać? Mieliby oszukać Polaków?... Niedoczekanie ich. Przecież my teraz będziemy mieli także coś do powiedzenia. My tego zobowiązania nie puścimy na marne!...

W tym zapale prostych, małych ludzi objawił się podobno zdrowy zmysł polityczny.

Nie należało ani na chwilę bagatelizować tej odezwy, trzeba było ją popierać z całych sił, uważać za akt polityczny, rozdmuchiwać zawarte w niej iskierki.

Kiedy ta odezwa wodza rosyjskiego dotarła do Komitetu Wolontarjuszów, Dr. Motz, nie skłonny do wzruszeń, płakał, — Stróżecki, rewolucjonista, i banita, i polityczny przestępca nie mógł opanować drżenia powiek. Ci „krańcowcy" podobno byli najmocniej przejęci.

Bronisławski, który zaczął w Komitecie Wolontarjuszów polityczno - reprezentacyjną rolę odgrywać, zredagował natychmiast nowe oświadczenie.

Brzmiało ono, dosłownie, jak następuje:

„Odpowiadając na pewne zadane mu zapytania, Komitet Wo-
„lontarjuszów oświadcza, że celem jego jest:

„Połączenie Polaków, pochodzących ze wszystkich trzech czę-
„ści Polski, aby zwalczać Niemców wszelkiemi środkami.

„Przekonać Polaków, uwięzionych przemocą w szeregach ar-
„mji niemieckich, że sprawa narodowa polska wymaga, aby się
„łączyli z Francuzami, i aby przeszkadzali działalności wojskowej
„Niemców.

„Wystosować wezwanie do Polaków rosyjskich, aby nie podda-
„wali się wpływowi intryg i kłamliwych obietnic Niemców, którzy
„wtargnęli na terytorjum Polski rosyjskiej.

„Skłaniać wszystkich Polaków, aby się łączyli z Armjami Ko-
„alicji przeciwko Niemcom a to w przekonaniu, że proklamacja
„Mikołaja II, zobowiązująca się do wrócenia Polsce całości tery-
„torjalnej i całkowitej autonomji, posiada już moralne poparcie
„szlachetnej Francji.

„Organizować Polaków, przebywających we Francji, w myśli
„ich zaciągnięcia się do Armji Francuskiej.

Paryż dnia 17 sierpnia, 1914 roku.

Leżący oryginał tego dokumentu znów zaopatrzony jest w podpisy własnoręczne wszystkich członków Komitetu Wolontarjuszów...

To wtóre oświadczenie polityczne Komitetu Wolontarjuszów było więc już nie tylko profrancuskie, lecz nawet prorosyjskie. Zapowiadało propagandę między Polakami zaborów austrjackiego i pruskiego, mówiło o „proklamacji Mikołaja II“, więc z księcia rosyjskiego Mikołaja robiło cara, no i używało osobliwego określenia „Polacy rosyjscy“.

Cała redakcja tego oświadczenia była już błędem, usprawiedliwionym może wrażeniem chwili, podnieceniem, no i rozmachem niedyplomatycznym, układającego to oświadczenie, Bronisławskiego.

Dla porządku należy tu nadmienić, że, dzięki zabiegliwości tegoż B., Komitet Wolontarjuszów posiadł bezpłatnie drugi lokal, w centrum Paryża, przy ul. Edouard VII, pod numerem 4. W pierwszym lokalu było biuro rekrutacyjne, wydawanie świadectw polskości, pomoc obywatelska, tutaj zaś było już niby biuro ściśle polityczne. Do tego biura zgłaszali się przeróżni rodacy raczej dla powzięcia języka, raczej na narady. Komitet Wolontarjuszów tajemnic nie czynił tak, że na jego decyzje, pośrednio a nawet bezpośrednio, wpływali i nieczłonkowie Komitetu.

Zdarzenie chciało jednak, że *to oświadczenie drugie nie ujrzało światła dziennego*, że zamieniło się w archiwalny tylko dokument.

Komitet Wolontarjuszów nie ogłosił tego oświadczenia.

Stało się to dla przyczyn następujących.

Po zredagowaniu tego fatalnego dokumentu, Dr. Motz zwrócił się szeptem do prezesa Związku Sokołów, prosząc go, aby dnia następnego, o godzinie ósmej rano, przybył doń, do mieszkania.

— W jakim celu?

— Niesłychanie ważna sprawa, lecz do nikogo ani słówka.

Prezes Związku, nawykły do tego rodzaju konspiracyjnych obyczajów, przyrzekł być. Akt polityczny wykończony i podpisany, poszedł tymczasem do biurka, gdzie miał czekać na wysłanie.

Dnia następnego, o godzinie ósmej rano, w mieszkaniu D-ra Motza, przy avenue d'Alma 10, odbyła się krótka narada, w której wzięli udział Dr. Motz, gospodarz, Curie-Skłodowska, Jan Danysz, Dr. Henryk Babiński, Wacław Gąsiorowski. Jan Stróżecki i B. Kozakiewicz.

Treścią tej narady było przedłożenie Jana Danysz.

Jan Danysz oświadczył, że kolega jego z Instytutu Pasteura, człowiek nieposzlakowanej zacności, znakomity profesor

i uczony, Miecznikow, zakomunikował mu, że ambasador rosyjski, Izwolski, radby był widzieć u siebie delegację Kolonji Polskiej w Paryżu, a to wobec ważnych wypadków, jakie się w tej chwili rozgrywają.

Po krótkiej naradzie, postanowiono iść, postanowiono szukać oficjalnego potwierdzenia dla treści proklamacji księcia Mikołaja.

Wybrano naprędce ściślejszą delegację. Do składu jej należeli: Jan Danysz, Dr. Henryk Babiński, Curie-Skłodowska, B. Kozakiewicz i Gąsiorowski.

Samochód D-ra Babińskiego czekał na dole. Zajęto miejsca i, bez żadnych przygotowań toaletowych, bez ceremonji zajechano wprost przed dom ambasady rosyjskiej.

W kilka sekund, czuwająca służba, uprzedzona już i przygotowana, wprowadziła delegację do gabinetu ambasadora rosyjskiego, Izwolskiego.

Izwolski zjawił się natychmiast. Nastąpiła prezentacja. Prezentacja nieco przykra. Okazało się bowiem, że Izwolski zna i to doskonale, aż trzech z pośród pięciu delegatów... A więc nadewszystko Curie - Skłodowską, D-ra Babińskiego, no i chodzącego wszędzie Kozakiewicza. Poraz pierwszy w życiu oglądali się z Izwolskim, prezes Związku Sokołów i Jan Danysz.

Po przedwstępnych uprzejmościach, tuż pod wielkim portretem Katarzyny II, ambasador rosyjski jaknajsłodszym tonem zagadnął niespodziewanie:

— Czemu mam przypisać przybycie do mnie panów delegatów?...

Delegaci zmieszali się takiem postawieniem kwestji. Zimny, spokojny Danysz, odparł jednak przytomnie:

— Za pozwoleniem, ekscelencjo, chyba zachodzi nieporozumienie. Właśnie myśmy chcieli dowiedzieć się, co wpły-

nęło na objawioną przez pana chęć zobaczenia reprezentacji Kolonji Polskiej?...

Tym razem ambasador się skonfudował, Ale, nie tracąc fantazji, potwierdził skwapliwie.

— Istotnie, panowie pojmują, w tak ważnym momencie dziejowym, rad byłem zobaczyć delegację...

— W takim razie — wmieszała się rezolutnie Curie - Skłodowska, — czy wolno postawić ekscelencji jedno pytanie?

— Proszę bardzo.

— Co ekscelencja sądzi o proklamacji wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, proklamacji, wystosowanej do Polaków?

P. Izwolski zafrasował się.

— Znam ją tylko z telegramów agencyj telegraficznych, żadnego innego tekstu nie posiadam... Dowiedziałem się o niej z dzienników. Od rządu mego nie otrzymałem żadnych w tym kierunku objaśnień i wskazówek...

— Więc proklamacja ta nie ma znaczenia?

— Niezawodnie bardzo nawet wielkie ma znaczenie. Oto wódz naczelny, wkracza do kraju nieprzyjacielskiego, w kraju tym spodziewa się zjednać sobie część ludności... Wydaje do niej proklamację, zapowiada, i ma prawo zapowiedzieć tej ludności swobody, które ta ludność może osiągnąć, jeżeli wkraczającej armji sprzyjać będzie. Tak sobie ja przynajmniej tę proklamację tłumaczę, jest to moje osobiste zdanie. bo od rządu mojego żadnych, powtarzam, nie odebrałem wskazówek... Lecz, za pozwoleniem, jakie panowie reprezentują organizacje...

— Śród zamętu i rozproszenia Polaków, każdy z nas przedstawia pewne kolisko, zresztą mamy tutaj właśnie prezesa Związku Sokołów...

— Więc jeszcze drugie pytanie ekscelencjo... Czy Galicja, w razie przejścia pod władanie rosyjskie, może spodziewać

się zachowania jej pełnych dzisiejszych praw i swobód konstytucyjnych?

— Mogę zapewnić najsolenniej panów, że Galicja, że cały zabór austrjacki zyska niezmiernie na połączeniu z Rosją pod względem materjalnym... Galicja jest wycieńczona podatkami, jest krajem, traktowanym po macoszemu przez biurokrację austrjacką. Połączenie z Rosją otworzy dla niej rynki zbytu, uwolni od konkurencji z przemysłem austrjackim wogóle. Biedna ta prowincja odrodzi się w jednej chwili...

Śród delegatów zaległa cisza śmiertelna. Pan ambasador skręcił odrazu na swój osobisty stosunek do Polski i Polaków. Wypominał swą życzliwość wielką, której dowody dał, za czasów swego posłowania do Stolicy Apostolskiej, kiedy to obsadzone zostały tak długo opróżnione biskupstwa w Polsce...

Delegaci spojrzeli po sobie. Wyczekali chwilę i zaczęli się żegnać.

P. ambasador przesadzał się w uprzejmościach.

W ostatnim momencie, nalana, obrzękła twarz pana Izwolskiego, drgnęła znów, z poza binokli mrugnęły przebiegle wyłupiaste jego oczy.

— Za pozwoleniem, a dlaczego panowie zapytywali mnie, czy Galicja może się spodziewać przyznania im tych samych co dzisiaj ustaw?

— Dlatego, że gdybyśmy mogli mieć poręczenie, moglibyśmy oddziałać na braci naszych w zaborze austrjackim! — odrzekł prezes Związku Sokołów i wyszedł z gabinetu wraz z innymi członkami delegacji.

Ta pamiętna i jedyna rozmowa delegacji polskiej z p. Izwolskim była przebudzeniem się do rzeczywistości. Rosyjski ambasador otwarcie, i bez ogródek scharakteryzował wartość dyplomatyczną owej słynnej proklamacji i podobno nie omylił się w swym sądzie.

Komitet Wolontarjuszów posiadł cenną wskazówkę. Wskazówka ta utrąciła odrazu owo drugie oświadczenie, to „niepolityczne“...

Tymczasem zapał do proklamacji wielkiego księcia śród Polaków jeszcze hulał, jeszcze wpadał w entuzjazm. Entuzjazm ten szczególniej rozpętał się śród grona arystokratów, śród grona, zaskoczonych wojną we Francji, reprezentantów większej własności i większej lojalności.

Oto, tuż po wizycie delegacji u p. Izwolskiego, zgłosił się do Komitetu Wolontarjuszów, znany w Warszawie obywatel, Roger hrabia Łubieński z propozycją, aby urządzić w kościele polskim nabożeństwo dziękczynne za powodzenie oręża rosyjskiego, zapewniając, że na takie nabożeństwo przybędzie sam ambasador rosyjski, który zresztą już wie od Łubieńskiego o tym zamiarze...

Łubieński miał nadto pod ręką szereg przejezdnych zamożnych obywateli, więc hr. H. Łubieńskiego, Badiora, hr. Skarbka, Jana Perłowskiego, Szyszłę i szereg innych.

Na domaganie się Rogera Łubieńskiego, zwołano na dzień następny posiedzenie, na które przybyli nietylko znajomi p. Ł., nietylko cały Komitet Wolontarjuszów, ale i Jan Reszke, August Radwan, baron Taube, T. Brzozowski, a nawet spora garstka bywalców zebrań w Komitecie razem ze Stróżeckim, Urbachem, Woźnickim, Strzemboszem i t. d.

Na przewodniczącego powołano prezesa Związku Sokołów. Na stół padł projekt hr. Rogera Łubieńskiego, aby dziękczynnem nabożeństwem zamanifestować lojalność względem Rosji i życzenia zwycięstwa.

Starcie było ostre, lecz krótkie. Większość olbrzymia postawiła swoje veto.

Poraz drugi, w łonie Komitetu Wolontarjuszów, stłumiony został duch, objawiającej się orjentacji rosyjskiej. Duch tem

ciekawszy, że niebawem niektórzy z tych „lojalnych“ mieli przerzucić się wprost od Rosji w stronę Niemiec i Austrji.

Podczas tych politycznych turbacyj Komitetu Wolontarjuszów, robota organizacyjna nie ustawała. Księgi zapisowe liczyły już z górą sześćset zgłoszeń do szeregów. Wysłane do gniazd sokolich wezwania osiągały skutek. Nasi dzielni sokoli - górnicy zjeżdżali do Paryża, przywożąc ze sobą groźne wieści o niesłychanym zamęcie, jaki powstał śród osad polskich, w północnych, pogranicznych departamentach Francji, bezpośrednio zagrożonych najazdem niemieckim i poddanych nieubłaganej surowości prawa wojennego.

Z innych stron Francji również nadchodziły ciągłe zapytania i zgłoszenia. Zastęp wolontarjuszów polskich rósł w oczach.

Wzamian danych pozytywnych o warunkach służby ochotniczej, o możliwości sformowania odrębnego polskiego oddziału brakło ciągle. Władze wojskowe sprawę rekrutacji ochotników - cudzoziemców odłożyły na koniec mobilizacji, mobilizacja zaś szła dalej jeszcze. Spodziewano się dopiero około 20 sierpnia posiąść jakoweś niezawodne wskazówki. Tymczasem Włosi zapowiadali formację legjonu, pod Garibaldim, Amerykanie manifestowali po ulicach, Czesi czynili wrzask reklamiarski, wypowiadając wojnę śmiertelną Austrji.

Komitet Wolontarjuszów zabiegał, aby gromada ochotników mu się nie rozproszyła. Ćwiczenia gimnastyczno - wojskowe szły dalej. A kiedy już mała stosunkowo sala Georgea nie mogła nawet jednej czwartej części pomieścić wolontarjuszów, — wówczas użalił się polskich ochotników komendat gwardji republikańskiej, na tejże ulicy mającej koszary bataljonowe, i ten pozwolił naszej młodzi nietylko podwórca ćwiczebnego, ale nawet karabinów im użyczył.

Podniosło to niezmiernie zapał i ochotę.

Nasi już się ćwiczyli, już, nie czekając, prawdziwych koszar, przechodzili przez pierwsze ognie służby wojskowej!

A między nimi było sporo żołnierzy, nawet byłych oficerów. Między wolontarjuszami rej wodził Władysław Szuyski, inżynier, syn znakomitego historyka, stary sokół, który był niedawno ze Lwowa przybył naftą handlować. Ten, pomimo spóźnionego wieku, rwał się do wojaczki i był wzorem wytrwałości dla innych. On to z groszaków zakupił jakąś czerwoną płachetkę i z niej, przy pomocy jakichś drobnych rączek, bawełniany wysztukował sobie sztandar polski.

Uwagę powszechną również zwracał Franciszek Szafraniec, oficer austrjacki a następnie z prostego szeregowca znów oficer i jeden z najdzielniejszych wolontarjuszów.

Zresztą pośród ochotników nie brakło rozmaitych komedjantów, urodzonych tchórzów czy tylko lekkomyślnych gapiów, którzy mieli następnie skryć się w mysią dziurę i wyprzeć wszelkiej z tak niebezpiecznem, jak karabin, narzędziem komitywy. Co gorsze takich, co, wyrwawszy się z granic Francji, mieli następnie obrzucać błotem organizację ochotników, szydzić i rozpowiadać bajdy o swych własnych, za piecem, czynach wojennych.

Zaledwie przecież Komitet Wolontarjuszów otrząsnął się z pierwszej nerwowości, zaledwie uregulował conajważniejsze sprawy, najbardziej palące kwestje, myśli jego zwróciły się do tej, niedotkniętej wojną Czwartej Dzielnicy Polski, do potężnego i możnego Wychodźtwa.

Liczba Polaków we Francji, co przypominamy, wynosiła zaledwie jakieś dwadzieścia tysięcy, no i między nimi znaczny odsetek takich, którzy już francuskie przyjęli obywatelstwo. Chociaż więc liczba mężczyzn w tej masie była bardzo znaczna, to przecież przy najlepszych warunkach, można było liczyć na conajwięcej półtora tysiąca ochotników. Była to garść nikła, maleńka, bezwładna i nie mogąca marzyć o spo-

wodowaniu bodaj silniejszego wrażenia. Cudzoziemcy szli tysiącami do Armji francuskiej a Polacy śród nich byli cząstką nikłą. Jakże tu układać plany utworzenia samodzielnego oddziału polskiego. Gdyby natomiast bracia nasi w Ameryce drgnęli, gdyby Sokolstwo w Ameryce powzięło decyzję, to wówczas, kto wie, może, dzięki zamętowi pierwszych dni kataklizmu europejskiego, udałoby się mocną i narodową zbudować organizację.

Sokolstwo we Francji rzuciło inicjatywę, Komitet Wolontarjuszów Polskich podjął projekt i rozpoczęła się pamiętna rozmowa między tym Komitetem a organizacjami polskiemi w Ameryce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

TELEGRAM KOMITETU WOLONTARJUSZÓW DO WYCHODŹTWA W AMERYCE. — TRAGICZNE ZAPYTANIE I ODPOWIEDŹ. — LIST OD SOKOŁÓW. — PIERWSZE STARCIE Z ROSYJSKĄ AMBASADĄ. — ZACIĄG OCHOTNIKÓW. — WYMARSZ. — MISJA GÓRNIKÓW. — ZAJŚCIA W LALLAING. — DRUGI ODDZIAŁ. — WIELKA MANIFESTACJA POLITYCZNA. — DALSZA PRACA WE FRANCJI. — KAPITAŁY KOMITETU WOLONTARJUSZÓW. — WYPRAWA SOKOŁÓW AMERYKAŃSKICH DO LEGJONÓW. — ZGON EUGENJUSZA KORYTKI. — LIST ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO. — PIERWSZE ODEZWY I PROKLAMACJE Z POLSKI. — ROTA PRZYSIĘGI. — DWA OBOZY.

Komitet Wolontarjuszów Polskich, uporawszy się z początkową organizacją ochotników, pomocy dla rodaków i opieki szczególnie nad Polakami, dźwigającymi na sobie piętno pruskie lub austrjackie, postanowił zwrócić się do Wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych.

Tam były wszak miljony Polaków, tam były środki, bo ofiarność szlachetna całych mas, tam kołatało gorące, patrjotyczne serce.

Postanowiono wyprawić kablogram, postanowiono wysłać pierwszy apel. Dla wzmocnienia przecież tego wezwania, uchwalono zaprosić jeszcze dodatkowo kilku obywateli, których nazwiska mogły być znane rodakom w Ameryce.

Udało się do tego skłonić jedynie Kazimierza Woźnickiego, który, choć odmówił udziału przy formowaniu Komitetu Wolontarjuszów, przecież tym razem uległ.

Jakoż, w dniu 20 sierpnia, na dwa dni przed wyruszeniem do obozu pierwszego oddziału ochotników, wyprawiono z Paryża, pod adresem Cenzora Związku Narodowego Polskiego, Antoniego Karabasza, telegram następujący:

„Dans impossibilité joindre patrie, decidons combattre ger-„manisme aidant Français.

„Polonais d'Amerique, venez vous joindre aux legionairs po-„lonais, acceptés par gouvernement français. Françe calme, resolue, „victorieuse, mefiez vous informations source allemande.

„Comité Volontaires Polonais 4 rue Edouard VII.

Bolesław Bronisławski
Wacław Gąsiorowski
Bronisław Kozakiewicz
Bolesław Motz
Antoni Szawklis
Direction Agence Polonaise, Woźnicki".

W przekładzie polskim, pamiętny ten kablogram brzmiał, jak następuje:

„Nie mogąc dotrzeć do ojczyzny, postanowiliśmy zwalczać germanizm, pomagając Francuzom. Polacy amerykańscy, przybywajcie połączyć się z legjonistami polskimi, przyjętymi przez rząd francuski. Francja spokojna, stanowcza, zwycięska. Strzeżcie się wiadomości ze źródeł niemieckich".

Telegram ten, wyprawiony do Ameryki z niemałym trudem i kłopotem, z racji obostrzeń cenzury wojennej, niebawem przyniósł nam odpowiedź i zapytanie kategoryczne, tragiczne, choć niezawodnie słuszne.

Oto Cenzor Związku N. P. odpowiedział dosłownie:

„Avez vous l'assurance de delivrance de Pologne. Venons en „aide. Replique.

„Karabasz — Cenzor".

To znaczy, że Komitet Wolontarjuszów otrzymał nadewszystko zapytanie, dalej zapewnienie i żądanie ponownej odpowiedzi. Telegram Cenzora brzmiał bowiem:

„Czy macie zapewnienie wyzwolenia Polski? Śpieszymy z pomocą. Odpowiadajcie".

Wyraz „replique", po polsku replika, oznaczał niezawodnie „réponse" lub „répondez", czyli odpowiedź lub odpowiedzcie.

Nadmieniliśmy wyżej, że zapytanie Cenzora Związku N. P. było tragiczne, ale i słuszne. Polacy w Ameryce ruszą, pójdą, lecz chcą mieć zapewnienie wyzwolenia Polski, chcą wiedzieć za co poniosą ofiary. I to było słuszne! Lecz było tragicznem dlatego, że Komitet Wolontarjuszów posiadał jedynie wiarę we Francję, że ufał jej uczciwości politycznej i że rozumiał, że, aby spowodować takie właśnie oświadczenie, trzeba czynem je wywołać.

Był ci to początek roku 1914! Był to czas, kiedy, gdy jedni byli olśnieni germańską organizacją bojową, drudzy i, nie bez słuszności, obrachowywali niewyczerpane środki olbrzymiej Rosji...

Tam, na terenie Polski, a więc na terenie walk, prawie że na polu bitwy, tam Polacy mogli być nawet licytowani, — ale na Zachodzie Europy, gdzież byli, ilu ich było? Kto wówczas nawet śród Polaków tamtejszych mógł sobie wyobrazić, że Polacy amerykańscy wywrą wpływ, i to poważny, na losy Polski? W to nie wierzyli nawet zapalczywi i pełni uniesień patrjoci.

Krom tego, we Francji bardzo niewiele wiedziano o współczesnych Polakach i Polsce. Myśmy sami w tym kierunku nic prawie nie czynili. Nasza propaganda równała się zeru.

I dalej, była to chwila zamętu wojennego. Wojska francuskie cofały się przed naporem potężnego wroga. Pod Pa-

ryżem, na przedmieściach Paryża sypano okopy, ustawiano kozły żelazne, robiono zasieki...

Jak tu było odpowiedzieć?

Odpowiedziano tak, jak wierzono, jak myślano, jak rozumowano.

A trzeba pamiętać, że odpowiedź na telegram Cenzora Związku wyszła nietylko od Sokolstwa Zachodnio-Europejskiego, nie od tej organizacji, którą snadnie mógłby ktoś był pomówić o orjentację, biorąc asumpt z działania sokolstwa w Polsce, nie od narodowców samych, lecz i od socjalistów, od postępowców bardzo skrajnych, od takich, którzy wreszcie bynajmniej nie radziby kiedykolwiek kłaść głowę pod ewangelję i narażać się na jakoweś, może szlachetne, lecz zdradliwe imprezy.

Jakoż odpowiedź Komitetu Wolontarjuszów, wyprawiona dnia 24 sierpnia, brzmiała:

„Croyons ferme delivrance Pologne grace appui Françe
„et Angleterre. Venez combattre Allemands. Envoyez fonds.
„Notre premier detachement parti avec Francais".

Znaczyło to w języku polskim:

„Wierzymy stanowczo w wyzwolenie Polski, dzięki po-
„parciu Francji i Anglji. Przybywajcie bić Niemców. Przysy-
„łajcie pieniądze. Nasz pierwszy oddział poszedł już z Fran-
„cuzami".

Po wysłaniu tego telegramu, nastała głęboka pauza w rozmowie Komitetu Wolontarjuszów z Ameryką. Aż przerwał ją gorący list prezesa Związku Sokołów, D-ra Starzyńskiego do Prezesa Związku Zachodnio - Europejskiego w Paryżu.

List ten bił w sedno sprawy.

Dr. Starzyński skarżył się na brak wiadomości od sokolstwa w kraju i pisał:

„Młodzież nasza czeka z wielką niecierpliwością na rozkaz „ruszenia w bój. Setkami zapytywań jesteśmy zasypywani, w któ„rych się pytają, co robić, czy mamy jakie wieści z Ojczyzny i że „tylu a tylu gotowych jest jechać. Zatem, na Boga, bądźcie łaska„wi donieść mi jaknajprędzej, co się w kraju dzieje, jakie są wia„domości i czy jest jaka szansa jakiegoś zbrojnego ruchu, aby na„szą młodzież zaspokoić.

„W telegramach zagranicznych zauważyłem, że Francja z dniem „21 sierpnia tworzy legjony cudzoziemskie. Czyby, Druhu, nie szło „co zrobić w tym wypadku? Czy nie szłoby stworzyć Legjony Pol„skie na Ziemi Francuskiej i iść, choćby na tę pruską psiąkrew, „wzamian za co, Francja zobowiązałaby się coś dla Polski uczy„nić? Z tego, co wiemy dotychczas, to wątpię, czy, narazie, będzie „można w kraju co zrobić. Francja jest jedynem z miejsc, gdzieby „można, w bardzo krótkim czasie, stworzyć Armję przynajmniej „stutysięczną z samych Polaków Amerykańskich. Na pierwsze we„zwanie stanie nas przynajmniej 15 do 20 tysięcy ludzi. Chwila „czynu przyszła, działajmy więc szybko. Macie w Paryżu szeregi „bardzo wpływowych Polaków. Stwórzcie co i dajcie hasło, a my „staniemy, jak jeden mąż, i będzie Polska Armja“...

Tak pisał prezes Związku Sokolstwa Amerykańskiego w roku 1914, w chwili kiedy nie znał jeszcze telegramów Komitetu Wolontarjuszów, w chwili kiedy ten Komitet Wolontarjuszów tracił nadzieje ocknienia a raczej zjednania Rodaków w Ameryce dla swych postulatów.

Dr. Starzyński, dla pośpiechu, załączył klucz dla kablogramu, podając szereg zdań ukrytych w niby zupełnie spokojnym komunikacie i nakazując wysłanie telegramu pod adresem, skróconym Związku Sokołów, „Palfalal Pittsburgh“.

Ta drobna okoliczność była jedną z tych, które powoli zgasiły zapał, odwlekły tworzenie Armji Polskiej.

Kablogram został wysłany natychmiast, stosownie do życzenia i wskazówki D-ra Starzyńskiego, został wyprawiony listem do Londynu, pod adresem „The Western Union Telegraph - Cable System“, 1, Old Broad street.

Brzmiał on dokładnie:

„John recovering in hospital. John coming to America. „One hundred dollars will buy that now“.

W tydzień coś z okładem, The Western Union Telegraph-Cable System, za podpisem p. G. Crightona, odesłał kablogram, oświadczając, że telegram z adresem *„Palfalal“* nie może być przyjęty, bo wogóle potrzeba dokładnego adresu, zupełnie zrozumiałego tekstu, pełnego podpisu, bo... bo... cenzura angielska na tak sformułowane kablogramy nie pozwala.

Poszedł więc list do Pittsburgha, ale tymczasem szybciej od listu następowały wypadki.

Niemcy zbliżali się do Marny, do Sekwany, do Paryża.

Propaganda niemiecka rozwinęła już skrzydła do swego zbrodniczego lotu. Ona jedna zaczęła się troszczyć nawet i o Polaków w Ameryce.

Od Wychodźtwa znów nie było żadnego znaku życia. Niewiadomo było nawet, czy ostatni telegram doszedł Cenzora Karabasza.

Równocześnie we Francji samej zaczęły się zmieniać stosunki raptownie. Niemcy zostali odrzuceni od brzegów Marny. Panika i zdenerwowanie ustąpiło teraz spokojowi i zimnej rozwadze. To, co, w pierwszych tygodniach, można byłoby uzyskać niezawodnie, to stało się teraz prawie niemożliwem do osiągnięcia.

Sen o Armji Polskiej, sen o sformowaniu polskich zastępów, pryskał, rozwiewał się, jak mgła.

Zanim zobaczymy, co się tam, za oceanem działo, zanim przejdziemy do tych zdarzeń, które skłoniły Wychodźtwo do zajęcia w ostatku stanowiska wyczekującego, do pozostawienia rodaków we Francji ich własnemu losowi, — musimy najpierw powrócić do dalszej pracy Komitetu Wolontarjuszów.

Nareszcie we środę, dnia 19 sierpnia, Komitet Wolontarjuszów otrzymał pierwszy urzędowy znak życia od francuskich

władz wojskowych, było to wezwanie do stawienia się nazajutrz w biurze szefa rekrutacji, pułkownika Rolla, w Paryskiej Komendzie Placu, w Pałacu Inwalidów a to celem otrzymania zasadniczych instrukcyj, odnośnie zaciągu ochotników do Legji Cudzoziemskiej.

O wyznaczonej godzinie, stawili się w Pałacu Inwalidów, prezes Związku Sokołów i B. Bronisławski, członek Komitetu.

Na zebranie to przybyli licznie przedstawiciele innych narodowości, które zorganizowały również oddziały ochotnicze. Byli więc przedstawiciele komitetów amerykańskiego, czeskiego, włoskiego, rumuńskiego, greckiego, finlandzkiego, żydowskiego, skandynawskiego i wielu innych. A ponieważ niektóre z tych narodowości, nie mogąc się zgodzić z własnymi rodakami, podzieliły się były wewnętrznie, przeto liczba rereprezentantów była nadspodziewanie wielka.

Po krótkiem oczekiwaniu, wszyscy reprezentanci zostali zaproszeni do sali, kędy pułkownik Roll zaczął wyjaśniać, jak mają być sporządzone deklaracje ochotnicze, w ilu egzemplarzach, jak należy prowadzić spisy a jak następnie, z gotowym materjałem, należy zgłaszać się zastępami do Pałacu Inwalidów, gdzie całe oddziały lekarzy dokonają oględzin.

Kiedy pułkownik prowadził swój wykład, naraz, we drzwiach sali, ukazała się wyniosła postać pułkownika rosyjskiego, Osnobiszyna, w pełnym uniformie bojowym.

Zjawienie się niespodziewane pułkownika Osnobiszyna wywołało konsternację śród zebranych. Osnobiszyn przecież nie dał się ogólnem poruszeniem skonfudować, wysunął się na środek sali i oświadczył uroczyście, zwracając się do francuskiego pułkownika.

— Panie pułkowniku, przychodzę z rozkazu jego ekscelencji pana ambasadora Rosji, aby zakomunikować Mu, że mój rząd zakłada stanowczy protest przeciwko przyjmowaniu na ochotników poddanych rosyjskich lub tworzeniu przez nich

jakichś oddzielnych grup narodowych... Wszyscy poddani rosyjscy winni być odesłani do biura wojskowego ambasady rosyjskiej i tam będą zapisani do służby wojskowej!!...

Groźny okrzyk i to okrzyk jednomyślny wszystkich prawie zebranych reprezentantów powitał to oświadczenie.

— Jeżeli tak, to ani jeden Polak nie pójdzie do szeregu! — ozwał się hardo głos polski.

— Ani jeden Rumun nie pójdzie! — zawtórował głos rumuński.

Wszczął się zamęt. Pułkownik francuski żachnął się.

— Proszę o spokój!

Zaczem, zwracając się do pułkownika Osnobiszyna, odrzekł mu wyniośle.

— Panie pułkowniku, jeżeli ma pan zakomunikować mi cośkolwiek, to proszę o pofatygowanie się do mego gabinetu. Tutaj odbywa się zebranie i, podczas tego zebrania, nie mogę żadnych od pana przyjmować komunikatów. Proszę bardzo, tam, na prawo, w korytarzu... Przybędę tam za chwilę...

Pułkownik Osnobiszyn wyprężył się i wyszedł do bocznego lokalu.

Między reprezentantami jednak konsternacja nie ustawała. Zaczęli zasypywać pułkownika francuskiego krzyżowemi pytaniami.

— Proszę panów o spokój!... Zaraz!... Na czem to stanęliśmy?... Proszę uważać! Proszę nie mieszać się do spraw, które do panów nie należą.

I pułkownik Roll, w dalszym ciągu zaczął, jakgdyby nic, objaśniać wymagane manipulacje przy zapisywaniu ochotników. Zakończył zaś uwagą, że deklaracja ochotnika musi być ściśle według jego zeznania sporządzona, że żadnych ograniczeń, co do szczegółów o jego pochodzeniu być nie może...

Pomimo tej przesłanki, delegaci Komitetu Wolontarjuszów, po skończonej konferencji, uważali za właściwe dotrzeć do

pułkownika Rolla i odeń stanowczych i dokładnych zasięgnąć wyjaśnień.

W gabinecie siedział pułkownik Osnobiszyn. Francuski oficer jednak nie zdawał się być skrępowany i odrzekł stanowczo:

— Proszę panów, macie wszak druki deklaracyjne. W drukach tych, zatwierdzonych przez władze, jest rubryka „narodowość", w tej rubryce wasi ochotnicy mają prawo podać taką narodowość, do jakiej istotnie się przyznają. Przynależność państwowa, w tym razie, nas nie interesuje. Pamiętajcie, panowie, że jesteście we Francji, na ziemi wielkiego poszanowania prawa i wolności...

— Lecz oświadczenie pułkownika rosyjskiego?

— Było zwrócone nie do was, lecz do mnie. Ja zaś mam wyraźne rozkazy i tych się trzymam.

Całe to zajście wywarło jednak silne wrażenie w Komitecie Wolontarjuszów. Dowodziło ono, że rosyjska ambasada. że opiekuńczy rząd rosyjski czuwa i, że zamierza wydać walkę ostrą wszelkim uroszczeniom separatystycznym... podwładnych sobie ludów.

Nastąpiła tuż, w dniu 22 sierpnia, pamiętna pierwsza prezentacja pierwszych ochotników.

Stanęło zgórą pięciuset na pierwszy ogień. Oględziny lekarskie były dosyć sumaryczne. Lekarze wojskowi raczej interesowali się stopniem zapału i skalą energji, niż zdrowiem.

Kto chciał, bez trudu, odrazu, z miejsca został zwolniony, jako niezdatny. Nie dociekano, czyli kto istotnie ma rupturę czy widzi dobrze lub źle. Skoro tylko z ust ochotnika padła uwaga, że mu dokucza reumatyzm, lekarz automatycznie za niezdolnego go uznawał.

I było takich nawet wielu, którzy stawali do oględzin lekarskich nie z impetu do wojaczki, lecz tylko w myśli otrzymania kartki o swej niezdolności, tego zaczarowanego doku-

mentu, któryby im pozwalał legitymować się Francuzom i prawić i biadać, jako chciał krew swą polską przelewać, lecz, niestety, odprawiono go, jako niezdatnego...

Alec byli inni, ci prawdziwi wolontarjusze, którzy kryli widocznie nawet braki fizyczne, ujmowali sobie lat.

Kiedy, naprzykład, przyszła kolej na Władysława Szuyskiego, ten ukrył swą pięćdziesiątkę i deklarował tylko czterdzieści kilka lat. Lekarz nie dał się wyprowadzić w pole i zaczął wątpić o wytrzymałości kandydata. Dla pewności jednak, zapytał Szuyskiego, czem się zajmuje. Szuyski zrozumiał cel zapytania, zrozumiał, że, jako inteligent, jako inżynier, a więc człowiek nienawykły do pracy fizycznej i niewygód, może być odpalonym. I nie zawahał się i odrzekł krótko:

— Jestem, jestem... tragarzem...

Lekarz spojrzał na białe, pańskie ręce Szuyskiego...

— Jesteś pan dzielnym, szczerym Polakiem! Zanim zapiszę pana na listę, pozwól niech uścisnę twoją rękę...

Prawdziwa ta scena, tegoż dnia dostała się do prasy francuskiej. Był to jakby pierwszy sygnał, pierwszy znak polskich ochotników.

W rezultacie tych oględzin lekarskich, przyjęto stu i ośmdziesięciu kilku wolontarjuszów.

Po dokonaniu oględzin, wypłacono każdemu z ochotników zadatek na żołd, w sumie kilku franków i doręczono Prezesowi Związku Sokołów rozkaz do wyjazdu nazajutrz, do koszar w Bajonnie, pod granicę hiszpańską i Pireneje.

Wymarsz z Pałacu Inwalidów tego pierwszego oddziału polskich ochotników był imponujący. Na czele jego szedł Szuyski ze sztandarem polskim, który sobie zaimprowizował. Publiczność na ulicach zdejmowała nakrycia głowy, warty wojskowe salutowały bohaterskich straceńców, za jakich uważano ich wówczas.

Dzień ten, w historji Komitetu Wolontarjuszów, pamiętny był nadto pierwszem ostrzejszem starciem, które w następstwie przyczyniło się do ustąpienia z tegoż Komitetu B. Bronisławskiego.

Wymarsz na oględziny lekarskie odbywał się z sali gimnastycznej Georgea a dokładniej z podwórca, znajdujących się naprzeciwko, koszar gwardji republikańskiej.

Owóż, w chwili, kiedy po krótkiem przemówieniu komendanta koszar i prezesa Związku Sokołów, ochotnicy gotowali się do wymarszu, Szuyski rozwinął sztandarek swój z białym orłem.

Bronisławski, nadrabiający chwilami jakąś bezwzględną skrupulatnością czy lojalnością niewiadomo dlaczego, przyskoczył do Szuyskiego, aby mu sztandar odebrać, jako niezatwierdzony przez władze, a więc mogący naruszyć powagę Komitetu Wolontarjuszów. Stary szlachcic, jakim był Szuyski targnął się i zmaltretował malutką postać Bronisławskiego. Sztandar rozwinięto i komenda w pochód dźwignęła kolumnę. No i z powodu tego sztandaru żadnego, ze strony władz francuskich, nie było niezadowolenia. Można rzec przeciwnie, władze te bodaj rade były takiej samowoli...

Drugi charakterystyczny incydent spowodowały oględziny lekarskie Szafrańca. Szafraniec, jak rzekliśmy, były oficer austrjacki, należał do najgorętszych zwolenników Komitetu Wolontarjuszów i wystąpienia czynnego po stronie Francji. Owóż, w krytycznej chwili oględzin, odpalono go z powodu braku przepisowej liczby zębów a raczej braku odpowiedniej ilości zębów sztucznych. Szafraniec z pasji aż się rozpłakał. Rodacy jacyś przyszli mu z pomocą. Nagwałt sprawiono mu te nieodzowne zęby. Ale już z pierwszym oddziałem nie poszedł...

Wyjazd do Bajonny pierwszego oddziału nastąpił w niedzielę, dnia 25 sierpnia, z dworca towarowego.

Ochotnicy nasi wyjeżdżali z szalonym wprost humorem. Wagony towarowe, w których umieszczono ich na zaimprowizowanych ławkach, wprost trzęsły się od humoru zawadjackiego. Nasi sąsiadowali z wagonami ochotników czeskich, których również wyprawiono do Bajonny.

Pożegnania były serdeczne, lecz nieliczne. Większość ochotników nie miała w Paryżu rodzin, nie miała nikogo bliskiego. Na dworcu, z Komitetu Wolontarjuszów było obecnych tylko dwu członków. Zresztą dworzec towarowy był na przedmieściach Paryża a komunikacja tramwajowa i kolei podziemnej nie działała.

Charakterystycznem było rozstanie się Szuyskiego z prezesem Związku. Szuyski się boczył w ostatnich dniach na prezesa za jakowyś drobiazg. Tu przecież pierwszy zagadał. A na wspomnienie dalszych planów, dalszej organizacji, odparł niespodziewanie.

— A wy, tutaj, siedźcie i róbcie z nas Armję Polską...

— Mówią, że za trzy miesiące będzie już po wojnie, mówią, że nie zdążą nawet was wyćwiczyć...

— Nie wierzę! Wojna potrwa. Macie w ochotnikach kadry. Z nich trzeba teraz zrobić polskie wojsko!

Na jakich warunkach pierwszy ten oddział został zaciągnięty? Jakie miał prawa, jakie przywileje?

Żadnych!

Poszedł tak, jak poszli ochotnicy innych narodowości, poszedł do Legji Cudzoziemskiej, poszedł do Bajonny, gdzie w prastarym grodzie, miano formować jeden bataljon tejże Legji, poszedł pod sztandary tych osobliwych dwu pułków, które liczyły chwilami coć sześćdziesiąt tysiący szeregowców.

Ten oddział pierwszy musztrowano w Bajonnie i stąd odrazu zaczęliśmy nazywać ochotników tego oddziału „Bajończykami“, w odróżnieniu od innych naszych wolontarjuszów.

Pierwszy ten oddział był nieliczny bardzo, zdołał zaledwie utworzyć, mniej więcej, samodzielną kompanję. Kompanja otrzymała numer drugi i została zaliczona do bataljonu „C“ pierwszego pułku Legji Cudzoziemskiej.

Między Bajończykami było wielu inteligentów, było wielu znających wcale nieźle język francuski, było bardzo wielu byłych żołnierzy i bardzo wielu sokołów. W oddziale tym był Wiwiger, naczelnik Związku, był Trzebiatowski, prezes gniazda w Barlin, był Mieczysław Rodzyński, naczelnik gniazda paryskiego, i był szereg cały conajdzielniejszych naszych druhów. Do oddziału tego poszli dwaj młodzi lekarze, Garbowski i Hufnagel, kilku malarzy i kilku żydów poczciwych bardzo, bo zapalczywie polskość swą podkreślających i odmawiających łączenia się z narodową gromadą żydowskich ochotników.

Zaopatrzenie na drogę otrzymali nasi ochotnicy bardzo ubogie. Wydzielono każdemu odrobinę papierosów, jakichś tanich przyborów toaletowych, po paczce kopert i papieru listowego i do tego wszystkiego dodano kilka, wyraźnie kilka, franków. To było wszystko, na co było stać Komitet Wolontarjuszów!

Po wyjeździe Bajończyków, rozpoczęto przygotowania do sformowania drugiego oddziału. Nastąpić to miało już w tydzień, po wyjeździe pierwszego.

Tymczasem zaczęli z osad górniczych nadciągać do Paryża ochotnicy a wraz z nimi nadchodziły wieści hiobowe o ciężkiem położeniu górników polskich w północnych departamentach Francji, wskutek poczytywania ich przez miejscową ludność za Niemców.

Należało natychmiast przedsięwziąć odpowiednie kroki, należało dotrzeć do tych rodaków, wydać im świadectwa polskości.

Z tą misją nastręczył się Bronisławski. Wyrobił sobie potrzebne przepustki, pożyczył samochodu od rodaka, który pożyczył go tem chętniej, że i tak władze wojskowe mogły mu łada chwila ten samochód zarekwirować, i wyruszył na północ. O drodze żelaznej już niepodobna było marzyć. Kolej prowadziła do frontowych pozycyj i była całkowicie i wyłącznie zajęta transportowaniem wojska, zapasów żywności i amunicji.

Bronisławski miał dotrzeć do wszystkich po kolei osad górniczych polskich i tam ponieść nietylko słowa otuchy, lecz i pośredniczyć między górnikami i władzami.

Wyprawiony w ten sposób przez Komitet Wolontarjuszów wyjechał, znikł.

Tymczasem, bocznemi drogami, zbiegali się dalej do Paryża górnicy i przywozili ze sobą złowrogie wieści o smutnym losie Polaków, branych za Niemców.

Szczególnie przykre zajście wynikło w największej osadzie polskiej w Lallaing, pod Douai. Fatalność chciała, że, na kilkanaście dni przed wybuchem wojny, do polskiego księdza, Ignacego Świądra, zjechali na wakacje znajomi jego z Galicji. Więc nauczyciel gimnazjalny p. Grzembka z żoną i nauczyciel ludowy, p. Skoczek. Ci goście z Polski zabrali się odrazu do zwiedzania okolicy, do robienia wycieczek w stronę belgijskiej granicy, kompletowania swych zbiorów fotograficznych i odbywanie długich, pieszych spacerów w ubraniach sportowych.

Zjawienie się tak inteligentnych gości w zwykłym czasie minęłoby bez uwagi, lecz tuż wybuchła wojna i wybuchła tak, że ani ks. Świąder, ani jego znajomi nawet chmur tej wojny nie postrzegli. Nie znając języka francuskiego, gazet nie czytali.

Ocknął ich dopiero rozkaz o mobilizacji i wzburzenie w Lallaing, które odrazu zagadało o szpiegach... Podejrzenie było łatwe.

Ludność rozdrażniona rzuciła się na księdza Świądra, na jego gości. Tylko interwencja miejscowego mera ocaliła ich od śmierci. Okrzyk przecież „szpiedzy niemieccy“ doprowadził do dotkliwego poturbowania księdza i jego znajomych i do zniszczenia całej mizernej chudoby tego oddzielnego pioniera polskości, jakim był bezsprzecznie zacny ksiądz Ignacy Świąder.

Górników polskich w Lallaing nie ruszono. Mieszkali oni w odosobnionej osadzie na krańcu miasteczka i byli może zbyt liczni...

Padło przecież na tych górników polskich podejrzenie. Wielu z nich deklarowało się do wojska. Nikt wszakże w ich zapał nie chciał wierzyć. Byli Niemcami, na których trzeba było zwracać bardzo czujną uwagę. Stąd młodsi i śmielsi zaczęli się wymykać chyłkiem. I na piechotę wędrować, bocznemi drogami, szukać stolicy i Komitetu Wolontarjuszów.

Stąd oddział drugi rósł szybko, powiększał się. A choć duch zaczął upadać mocno, bo wieści wojenne były złe, bo Niemcy wówczas zbliżali się szybko pod Paryż, bo ludzie niechętni, rozmaici puszczykowie odstręczali i tłumili zapał wolontarski, przecież oddział się powiększył mocno i przewyższył o wiele liczbę pierwszego.

Wymarsz drugi do Pałacu Inwalidów nastąpił dokładnie dnia 29 sierpnia, w chwili tragicznej, kiedy Paryż był już wyludniony zupełnie, kiedy panika ogarniała mieszkańców, kiedy rząd Rzeczpospolitej wyjechał do Bordeaux, kiedy życie zamarło.

Nastąpił wówczas drugi wymarsz i tym razem wymarsz zorganizowano mocno. Na czele jego kroczył sztandar polski, bardzo pięknie sporządzony przez artystę, Jana Stykę, dalej

szły olbrzymie nadpisy, głoszące, że to drugi oddział ochotników polskich idzie na walkę z germaństwem, nakoniec za emblematami tymi kroczył odział, wyjątkowo już doskonale zaprawiony do marszu, przy dźwiękach pieśni.

Oględziny lekarskie poszły szybko i sprawnie. Wielu w ostatniej chwili zabrakło serca, zabrakło ochoty. Wykreślano ich z listy bez żadnej trudności.

Tutaj, na kilka minut przed wymarszem, został wykreślony na błaganie żony, znany w następstwie niejaki Czesław Łukaszkiewicz. Pani Łukaszkiewiczowa zwróciła się do prezesa Związku, przedkładając, że zaciągnięcie się męża skaże ją na głodową śmierć. Łukaszkiewicza zwolniono natychmiast, nie przypuszczając nawet, że w najbliższej przyszłości będzie pluł w to gniazdo, w którem, pomimo dokładnej znajomości jego dawniejszych przeżyć, traktowano go poczciwie.

W Pałacu Inwalidów, prezes Związku otrzymał rozkaz odprowadzenia oddziału ochotników do koszar Reuilly, znajdujących się na krańcu Paryża. O wyprawieniu tego oddziału na prowincję narazie mowy być nie mogło. Wszystkie środki komunikacji były zajęte obsługiwaniem linji bojowej.

Pochód ochotników do koszar zamienił się w manifestację.

Przedewszystkiem, przed opuszczeniem Pałacu Inwalidów, prezes Związku razem z pikietą ochotników, udał się do gubernatora Pałacu Inwalidów, sędziwego generała Nioxa, i wręczył mu sztandar polski, jako pamiątkę od polskich ochotników. Generał Niox odebrał go ze wzruszeniem, jako symbol wyzwolenia Polski.

Sztandar ten pamiętny widnieje po dziś dzień w Pałacu Inwalidów, pośród pamiątek ostatniej wojny.

Następnie, przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła" i marsza sokołów, wolontarjusze ruszyli kolumną pod pomnik miasta Strasburga, na placu Zgody, i tam, złożyli wieńce

z szarfami narodowemi. Polska życzyła tego Alzacji i Lotaryngji, czego sama tak ofiarnie pragnęła, do czego dążyła.

Działo się to, powtarzamy, w momencie ponurym. Do Paryża dochodził już odgłos salw armatnich. Nocą słychać było chrzęst maszerujących wojsk. Miasto było wymarłe, zasłuchane w poszepcie grobowych wieści.

I stąd widok tych zuchów polskich, tych zapamiętałych Polaków, maszerujących z pieśnią na ustach, idących dobrowolnie, nieprzymuszenie na walkę, wywołał entuzjazm.

Marsowa postawa naszych ochotników, wojskowy ordynek, polskie chorągwie zdobyły przebojem serca nawet tych, dla których imię Polski było pustym wyrazem.

Ochotników obrzucano kwiatami, ściskano za ręce, przekupki pod placem Bastylji wtykały im owoce, sypały groszaki. Jakby jakaś iskra potężna szła w ślady oddziału wolontarjuszy polskich, budziła z odrętwienia zapał i wiarę w siebie.

Drugi oddział ochotników polskich zdołał więc dokonać poważnej manifestacji politycznej, manifestacji doniosłej. I dokonał jej samorzutnie, nie pytając nikogo o pozwolenie.

Oddział drugi został umieszczony w koszarach Reuilly, skąd w następstwie został wysłany na instrukcję w okolice Paryża, do Rueil i przezwany został „Rueilczykami“.

Rueilczycy byli liczniejsi od Bajończyków, liczba ich sięgła dwustu i pięćdziesięciu a nadto została znacznie pomnożona przez zaciąg Polaków w innych miastach Francji, przecież Rueilczycy byli mniej szczęśliwi, nie danem im było utworzyć ani jednej czysto polskiej kompanji, zostali pomieszani, zbełtani z różnojęzyczną masą.

W tym samym czasie. drugie biuro Komitetu Wolontarjuszów Polskich przy ulicy Edouard VII, zostało zwinięte i przeniesione do pierwszego biura przy ulicy Notre Dame de Lorette, już opustoszałego zupełnie.

Fala ochotników skończyła się. Polaków do legitymowania nie było. Kto nie zdołał wykazać się polskością, kto nie wiedział o Komitecie Wolontarjuszów, ten pokutował już w obozie koncentracyjnym, jako Niemiec lub Austrjak.

Komitet Wolontarjuszów nareszcie został uprawniony, bo oto, na dwa dni przed wyruszeniem drugiego oddziału ochotników, otrzymano, pod datą 27 sierpnia, za numerem 156,558 zawiadomienie od Prefektury Policji Paryskiej, że Komitet Wolontarjuszów Polskich został zarejestrowany.

Tymczasem apele Komitetu Wolontarjuszów, echa jego pracy i jego manifestacyj wywierały wpływ nawet na głęboką prowincję. Polacy gromadami całemi zaczęli dążyć do najbliżej sobie znanych punktów rekrutacyjnych. Zaczęto zapisywać się do wojska nawet w Abville, w Orleanie, w Tours, w Tuluzie, w Marsylji, w Blois, w Nantes.

Zapisywano się niekiedy nawet z biedy, z przekleństwa, które ciążyło na Polaku z powodu austrjackiej czy pruskiej przynależności, z nieznośnej kontroli, którą cała ludność Francji ścigała każdego zdrowego, zdolnego pod karabin mężczyznę, z ochoty do wojaczki.

Poddani rosyjscy, mając do wyboru, zgłoszenie do rosyjskiego konsulatu czyli służbę w Legji Cudzoziemskiej, woleli tę ostatnią. Ale nie wszyscy. Byli i byli, niestety, synowie ludzi wybitnych, którzy, pokręciwszy się wśród ochotników, woleli opiekę rosyjską i woleli korzystać z przywilejów rosyjskich poddanych.

Zresztą wypada tu stwierdzić, że, pomimo pogłosek o tem, że rząd francuski pozwoli rosyjskiej ambasadzie przeprowadzić przymusowy pobór poddanych rosyjskich, nigdy się na nic podobnego nie zgodzono. Kto nie chciał, ten sobie całą wojnę przesiedział, nie troszcząc się wcale o swoje wojskowe, względem Rosji, zobowiązanie. Francja nie dała się skusić i nie naruszyła zasad wolności.

Kiedy w Komitecie Wolontarjuszów zaległa cisza głęboka, naraz do Paryża pociąg wojskowy, przybywający z północy, przywiózł w kajdanach mocno potłuczonego Bronisławskiego...

Oto Bronisławski zdołał dotrzeć do Lallaing, przeprowadził stwierdzenie polskości, lecz w powrotnej drodze, kiedy wracał naokoło, przez Abville, dostał się w ręce patrolu i jakiegoś generała. Bronisławski wydał się generałowi podejrzanym a że przytem ostro chciał się tłumaczyć, tedy samochód mu zarekwirowano a jego samego, poturbowawszy mocno, jako oczywiście szpiega, odstawiono w żelazach do Paryża. Tu legitymacja poszła szybko, wzamian sprawa samochodu skonfiskowanego wlokła się przez parę lat...

Najciekawszą bodaj była finansowa strona Komitetu Wolontarjuszów.

Skąd Komitet Wolontarjuszów wziął fundusze? Kto łożył na utrzymanie tego Komitetu? Kto pokrywał wydatki?

Komitet Wolontarjuszów zebrał dokładnie razem 2.738 franków francuskich, czyli, według kursu całe... 557 dolarów.

Z tych pieniędzy oddał Komitetowi Pomocy Obywatelskiej w Paryżu 1.000 franków a wydatkował na wszystko, co dotyczyło organizacji ochotników i prowadzenia przez szereg lat... biura, dokładnie 1.738 franków czyli *357 dolarów* publicznych pieniędzy...

Głównym ofiarodawcą tej sumy był Jan Reszke, który dał Komitetowi Wolontarjuszów, w dniu 21 sierpnia całe 2,000 franków, na pozostałą sumę złożyli się pp.: Ludwik hr. Skarzyński. Henryk Trutschel, Jan Styka, Klarsfeld, Kosches i Poniatowski.

Rząd francuski, ani władze francuskie nie dały na formację ochotników złamanego grosika i wogóle nikt grosza składki na formację nie dał...

Cały ciężar nietylko formacji ochotników, ale i sprawdzania narodowości i wogóle działania Komitetu Wolontarjuszów, aż do roku 1918, kiedy w Paryżu przyszedł do władzy Komitet Narodowy Polski, jako organizacja polityczna, już hojnie przez Francję wspierana, spadł na ubogą i maleńką redakcję „Polonii". Właściciele tego czasopisma pracowali przez cały czas bezpłatnie i ponosili wszystkie koszty utrzymania biura Komitetu Wolontarjuszów...

Zresztą homeryczna lista składek na Komitet Wolontarjuszów została zamknięta już w dniu 24 stycznia, roku 1915. Pomoc materjalna z Ameryki nie nadeszła żadna! Trzeba było tylko na własne liczyć środki. W ostatku sam Komitet, choć złożony z sześciu tylko członków, topniał, rozpływał się.

Pierwszy ustąpił Jan Danysz, ten, który wprowadził do Komitetu Bronisławskiego, bodaj z racji tego ostatniego obecności. Już po dwu tygodniach istnienia Komitetu, Danysz ledwie figurował i nie zajmował się niczem.

Pomimo wszystko, Komitet Wolontarjuszów przez pierwsze dwa miesiące wojny, był niejako obrazem pojednania i zgody. Sąsiadując w tymże lokalu „Polonii" z Komitetem Obywatelskim, niosącym pomoc materjalną ubogim rodakom, trwał na gruncie apartyjnym. Wszystkich łączyła taż sama idea niesienia pomocy. Orjentacje nie istniały.

W pierwszych dniach września, po telegramach do Stanów Zjednoczonych, wyprawiono jeszcze telegramy do Warszawy, do braci naszych w Brazylji. Zawsze bez żadnego skutku.

Aż zapanowała śmiertelna głusza wrześniowa. Polacy paryscy rozjechali się. Ruch wszelki i życie, zrujnowane powszechną mobilizacją, ustało całkowicie. Do Lasku Bulońskiego spędzono mnóstwo owiec, baranów, krów, wołów, trzody chlewnej a to, przewidując możliwość oblężenia. Rząd był w Bordeaux, w Paryżu rządził generał Gallieni.

Nasi ochotnicy przechodzili dopiero początki musztry francuskiej, według wielu musztry niepożytecznej, bo wojna miała się roztrzygnąć lada godzina, lada chwila.

Paryż opustoszał. W południowych departamentach życie wrzało, nad Sekwaną jedynie wozy, ociekające krwią a rozwożące rannych po zaimprowizowanych szpitalach dudniły głośniej po ulicach.

Każdy zresztą, w ten czy inny sposób, coś dla wojny robił. Jedni sypali szańce i żłobili linje okopów, drudzy kręcili się przy ambulansach a wszyscy żyli od jednego komunikatu do drugiego.

Cały miesiąc upłynął w bezwładności ze strony Polaków, w oczekiwaniu na najbliższe wypadki. Dopiero gromadny przejazd przez Paryż górników polskich z północnych departamentów, znów ocknął szczątki Kolonji Polskiej do działania, do życia.

Osady górnicze polskie stały się przedmiotem szczególnej uwagi ze strony wojsk niemieckich. Zanim jeszcze linja bojowa francuska została pod Douai ostatecznie przerwana, do Lallaing dostało się dwadzieścia kilka samochodów bojowych niemieckich. Górnicy uciekli na ich widok do lasów. Pozostały tylko kobiety i dziatwa. Niemcy przeprowadzili śledztwo, szukali Stefana Rejera, jako przewodnika górników, szukali innych, według spisu, wreszcie, sami niepewni własnego bezpieczeństwa, odjechali. Cisza trwała jeszcze tydzień. Górnicy polscy, ci, którzy nie poszli do Legji, dalej pracowali. Aż, naraz, rozpoczęło się bombardowanie Lallaing. Lud polski rzucił się do domostw zabierać żony i dziatki i smagany pociskami, pod wodzą Rejera i nauczycielki, panny Szmidówny, ruszył w stronę Paryża. Była to wędrówka straszna, okrutna. Francuskiego języka nikt nie znał, nikt nie wiedział, co się dokoła dzieje, więc tak wleczono się od etapu do etapu, tutaj uciekinierów pędzono na podwórca więzienne, tam ich za-

wracano bagnetami. Cały dobytek tej gromady stał się pastwą ognia lub rabunku. Zresztą szczęśliwi ci, którzy z życiem uszli. Wielu bowiem, chcąc ratować chudobę, zniknęła na zawsze, bez słychu, bez znaku życia.

Ledwie się uporano z górnikami, zdołano przekonać do nich władze i wyprawić ich do środkowych departamentów, do kopalń nad Loarą, zjechali byli inni goście, których przybycie miało zadać cios ciężki rojeniom o pomocy Wychodźtwa Polskiego w Ameryce.

Oto, jako odpowiedź na telegramy płomienne, przybyło kilku sokołów ze Stanów Zjednoczonych i przybyło w przekonaniu, że zjeżdżają do „polskich legjonów".

Niechętne w Paryżu żywioły, które usiłowały podrywać robotę Komitetu Wolontarjuszów, skorzystały ze sposobności i roznamiętniły tych młodzieńców niebacznych. Rozpoczęło się wrzenie i zarzuty przeciwko Komitetowi, że tenże najwidoczniej fałszywemi wiadomościami chciał pociągnąć za sobą braci amerykańskich...

Owi druhowie ze Stanów Zjednoczonych byli oczywiście oszukani, bo, zamiast wojska polskiego, rozwierała się przed nimi czeluść Legji Cudzoziemskiej...

Ponieważ sprawa tych kilku młodzieńców odbiła się szerokiem echem i śród Wychodźtwa i wogóle była ciosem ciężkim, przeto dla tem bezstronniejszego oświetlenia, przytaczamy tutaj list otwarty D-ra Bolesława Motza, socjalisty, i bardzo ostrego przeciwnika wszelkich prawicowych tendencyj.

Dr. Motz, pod datą dnia 24 października, roku 1914, oburzony intrygami, które starano się z przybycia tych młodzieńców wysnuć, ogłosił w numerze 26 „Polonii" paryskiej, następujący list otwarty:

„W pierwszym dniu mobilizacji powstał w Paryżu Komitet, „mający na celu zarejestrowanie i przelanie grupami do Armji

„francuskiej Wolontarjuszów polskich. Powstaniu tego, o ściśle „określonym celu, Komitetu, zawdzięczamy ten fakt, że Polska, „a w szczególności Kolonja Polska, nie okryła się hańbą, którejby „dziesiątki lat nie zmyły. Coby powiedziała Francja i Anglja, od „których los nasz na przyszłym kongresie zależeć będzie, gdyby „na odsiecz Francji nie stawiła się bodaj niewielka gromadka Po- „laków wówczas, gdy z zapałem rzucili się do szeregów francus- „kich Czesi, Rumuni, Włosi i t. d.

„Owóż Komitet pomieniony zwrócił się również do naczelnych „stowarzyszeń amerykańsko-polskich, z któremi telegraficzne i li- „stowne rozpoczął pertraktacje, co do 20.000 proponowanych wo- „lontarjuszów. Między innemi Komitet, nie do prasy polskiej, „nie do ogółu Polaków, lecz do odnośnych Wydziałów wysłał na- „stępującą depeszę“:

Tutaj następuje telegram, podany wyżej a zaadresowany do cenzora Związku Narodowego Polskiego.

„Otóż treść tej depeszy odpowiada nietylko istotnemu, ale „nawet prawnemu stanowi rzeczy: wolontarjusze bowiem cudzo- „ziemscy, w wojsku francuskiem, noszą miano „legionnaires“.

„Depeszę naszą ogłoszono w polskich pismach w Ameryce. „Ponieważ jednocześnie cała tamtejsza prasa była przepełnio- „na telegramami o drużynach polskich w Galicji i legjonach, prze- „to nic dziwnego, że niektórzy nasi rodacy w Ameryce, zrozumieli, „że i we Francji istnieją już polskie legjony.

„I oto stało się, że kilku młodych Polaków, nie zasięgnąwszy „odpowiednich wiadomości, nie zażądawszy pozwolenia na wyjazd, „od swoich władz organizacyjnych, znalazło się pewnego dnia, na „bruku paryskim, z zamiarem wstąpienia do legjonu polskiego. „Dowiedziawszy się zaś o tem, że legjony polskie nie istnieją, że „polscy ochotnicy służą w Legji francuskiej, że nawet tu, we „Francji, nie wystarczyło ochotników polskich na uformowanie „jednego bodaj bataljonu, boć wojna wybuchła w czasie wakacyj- „nym, gdy młodzieży polskiej nie było, — do nie czysto polskich „legjonów wstąpić nie chcieli.

„Przypuszczamy, że młodzi ci podróżnicy, przekonawszy się, „że popełnili omyłkę, postaraliby się, w zwykłych warunkach, „o zajęcie się co prędzej własnemi sprawami, niemającemi już nic

„wspólnego z wolontarjuszami. Znaleźli się przecież ludzie lekko-
„myślni, o których zawsze nie trudno, którzy zdołali wysnuć
„z przygody gorących, lecz nierozważnych młodzieńców, że zawi-
„nił tutaj Komitet Wolontarjuszów.

„I oto cała ta, bardzo jasna i zrozumiała historja posłużyła
„kilku panom, ludziom nieznanym na terenie pracy społecznej,
„za pretekst do narobienia hałasu śród pewnej części Kolonji Pol-
„skiej, nieświadomej istotnego stanu rzeczy.

Dr. Bolesław Motz".

Czy ta bezstronna, spokojna i przedmiotowa odprawa D-ra Motza poskutkowała?

Bynajmniej. Propaganda wroga robiła już swoje, podżegała naiwnych, tam, na Wychodźtwie, ta jedna więcej bajda, wynikła z młodzieńczej nieostrożności nie mało jeszcze miała przyczynić waśni i kłamstw.

Owi pierwsi ochotnicy z Ameryki posłużyli za okazję do stoczenia walki z Komitetem Wolontarjuszów, napisali szereg listów za ocean, pod wpływem ludzi złych, no i wyjechali. Pozostał się tylko jeden z nich, sokół Papciak, który, pod nazwiskiem Górskiego, wstąpił do Legji Cudzoziemskiej i wyszedł na dzielnego żołnierza.

Po odparciu Niemców od brzegów Marny, życie powszednie, choć w odrębnych warunkach, czyniło wszelkie wysiłki, aby wrócić do jakiegoś ładu i składu.

Paryż się ożywił znów, rząd powrócił do stolicy, Kolonja Polska się ocknęła.

Nadewszystko, po dwumiesięcznej przerwie, ukazała się „Polonia", stawiąc sobie za program w numerze pierwszym, wojennym już (z dnia 17 października, 1914 roku) „triumf Francji i wyzwolenie Polski".

Ukazanie się ponowne tego czasopisma w chwili, kiedy trzy czwarte co najpoważniejszych wydawnictw francuskich, było

jeszcze zawieszonych, wywarło wrażenie na prasę francuską, która z tym jedynym głosem polskim zaczęła się liczyć, zaczęła nań zwracać uwagę.

Należało teraz już nietylko baczyć na dalszą pracę Komitetu Wolontarjuszów, lecz, co główne, trzeba było szukać wytycznej linji dla działania politycznego.

Na ten koniec nasuwała się myśl utworzenia koliska pracy politycznej, koliska, któreby stanęło na straży sprawy polskiej we Francji.

Reprezentanci emigracji polskiej dotychczas wcale prawie nie interesowali się działaniem Komitetu Wolontarjuszów, dając do zrozumienia, że nazbyt śmiele sobie bez nich poczynał. Jeden tylko Eugenjusz Korytko, od chwili powrotu swego do Paryża z wakacyj, kędy go wojna zastała, żywą Komitetowi objawiał sympatję, dodawał otuchy, choć sam mocno utrapiony widmem bratobójczej walki, na jaką skazani byli Polacy, rozszczepieni między trzy a nawet cztery armje.

Między Eugenjuszem Korytko a prezesem Związku Sokołów węzły już bliskie zacieśniły się jeszcze bardziej. Zacny ten weteran roku 1863, patrjota gorący a przytem człowiek zawsze przekładający czyn nad pustą gadaninę, troskał się o uformowanie organizacji politycznej. Konferował często i, zachęcany ciągle przez prezesa Związku Sokołów, opracowywał pierwszą proklamację.

Organizacja polityczna polska we Francji była już bliska urzeczywistnienia, gdy Korytko nagle zasłabł. Choć cierpiący, jeszcze odczytywał postulaty swej proklamacji, jeszcze konferował... Trwało to dwa dni. Nazajutrz skonał z ustami do wyrazu Polska złożonemi.

Śmierć Eugenjusza Korytki nastąpiła w dniu 18 października, 1914 r., tuż po odebraniu pierwszego pisma od Związku Narodowego Polskiego.

List ten, wogóle pierwszy list, jaki, po wysłaniu telegramów przed sześciu tygodniami, nadszedł, był datowany w dniu 2 października, 1914 roku.

List obudził poważne wątpliwości, choć niby zaczynał się od słów „poczyniłem starania, ażeby ludzi do Francji wysłać, co też zdaje się dojdzie do skutku". Cenzor Związku zapytywał, czyli w Warszawie został utworzony „rząd narodowy polski", utyskiwał na brak uwagi dla Wychodźtwa w Ameryce, stwierdzał, że otrzymał jedynie list od Gasztowtta i Korytki, lecz list nic nie mówiący o tem, „co czyni lub zamierza czynić kraj". Skarżył się, że dochodzą do Ameryki jedynie objawy łojalności w stosunku do Austrji i, na zakończenie, prosił prezesa sokołów o wiadomości.

A ponieważ, po długiej przerwie pocztowej, doszły do Komitetu Wolontarjuszów numery czasopism polsko - amerykańskich, w których na pierwszem miejscu wydrukowano telegramy tegoż Komitetu, przeto stracono już wszelką nadzieję... Telegramy zamieniono na sensację, na dzienikarską bombę, bez żadnej głębszej intencji...

Silniejsze jeszcze przygnębienie wywołały pierwsze wieści, nadchodzące z kraju, bądź za pośrednictwem dzienników polskich, idących z Warszawy przez Petersburg, bądź przez telegraficzne agencje, bądź drogą konspiracyjną.

Dokąd iść, w którą się stronę zwrócić!

Łojalność polska była podzielona na dwa fronty!

Tutaj Koło Poselskie i tam Koło Poselskie, tutaj gromada działaczy, tu ludzie posiwiali w pracy społecznej i politycznej i tam również zasłużeni, — tutaj inne hasła i tam inne!

Oto kilka wybitniejszych wzorów tych strzelistych odezw, z których każda chciała pociągnąć za sobą naród.

Koło Polskie w Dumie rosyjskiej, w dniu 8 sierpnia, roku 1914, orzekło:

„Polacy spełniają bez zarzutu swe obowiązki państwowe; bę-„dą oni je spełniać i w dobie obecnej. Ruszą Polacy do boju, wie-„dzeni czemś więcej niż poczuciem obowiązku. Pójdą oni odeprzeć „niemiecki „Drang nach Osten". Krew ich spłynie w imię słusznej „sprawy"...

Koło Polskie w Parlamencie Wiedeńskim, na sześć dni przedtem, bo już dnia 2 sierpnia, oświadczyło dosłownie:

„Gdy ważą się losy Europy, gdy nadchodzi przełom jeden „z najsilniejszych, jakie zna historja, my, Polacy tego kraju, wie-„my, rozumiemy i czujemy, że wierność dla Monarchy i dbałość „o to państwo, któremu dawaliśmy zawsze wszystko, co jego moc „wzmagało, zgodne są z interesem naszego narodu".

I po tych dwu pierwszych deklaracjach, zaczęły się sypać dalsze, spowodowane bądź, jak w Kongresówce, przez odezwę wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, bądź, jak w Galicji, przez równie piękne wynurzenia sympatji dla Polaków i Polski.

Nawet w zaborze pruskim, kędy nikomu nie starczyło odwagi na głoszenie lojalności i zachęcanie do ufności w pięść niemiecką, nawet tam ukazała się proklamacja!

Proklamacji tej nie podpisałby bodaj żaden Polak, lecz podpisali ją tak zwani, „administratorzy djecezji gnieźnieńsko - poznańskiej", podpisali ją dwaj „rzymianie": ks. biskup Edward Likowski i ks. prałat Dorszewski.

Historyczny ten elaborat rzymsko - katolicko - niemieckiej lojalności mówił:

„I Wy, moi mili, jako poddani Cesarza Niemieckiego i Kró-„la Pruskiego, powołani jesteście cząstkę tych ofiar ponieść. Mę-„żowie, Bracia, Synowie Wasi, wezwani pod broń, już walczyć za-„częli i walczyć będą przeciw sprzymierzonym wrogom Cesarstwa „niemieckiego i austrjackiego, a w szczególności przeciw najbliż-

„szemu wrogowi, przeciw Rosji. W tej walce niejeden z nich życie „swoje położy w ofierze. Niech Wam to jednak będzie pociechą, „że, w jakiejkolwiek formie przyjdzie Wam ponieść większe lub „mniejsze ofiary, złożycie je za sprawiedliwą sprawę".

Na zakończenie dwaj duchowni polscy dodali:

„Ufajcie, że gdy w tej krytycznej i wielkiej doniosłości chwili „wytrwale i mężnie stać będziemy przy Monarsze naszym, i za„chowaniem naszem przyczynimy się do zwycięstwa Jego wale„cznej armji, uzna On w szlachetnem sercu swojem nasze sprawie„dliwe wymagania i usunie to, co nam dolega. Ufajcie także, że, „przyczyniając się do zwycięstwa cesarskiej armji, dopomożemy „uciśnionym za kordonem braciom do zdobycia sobie pomyślniej„szej przyszłości.

„Że zaś w ręku Bożym są losy narodów, a w obecnej wojnie te „losy się ważą, zwracajcie się wraz z duchowieństwiem Waszem, „w codziennych Waszych modłach do Pana Zastępów, błagając Go „pokornie, aby pozwolił wojsku cesarskiemu, a więc także mę„żom, braciom i synom Waszym, wrócić po wojnie do zagród ro„dzinnych z chwałą zwycięzców".

Z tego pasterskiego listu wynikało, że i tam, gdzie Polaków nie usiłowano nawet łudzić, gdzie sobie nie zadawano trudu na wykoncypowanie pojednawczych oświadczeń, gdzie nie obiecywano nic, nawet tam lojalność służalcza się objawiała!

Za tą sarabandą rozlicznych i kłócących się ze sobą odezw i proklamacyj nadeszły do Francji pierwsze wiadomości o sformowaniu legjonu polskiego w Galicji, o rozłamie i upadku galicyjskiego sokolstwa, o bezsilności tego sokolstwa, o powszechnym proaustrjackim ruchu Polaków tej dzielnicy.

Wiadomości te nadchodziły przedewszystkiem na Warszawę. A więc nadchodziły w formie i w oświetleniu bezwzględnie wrogiem, potępiającem ruch zbrojny...

Pomimo przecież całej niechęci, jaką prasa warszawska usiłowała rozniecić w stosunku do legjonu galicyjskiego, w sto-

sunku do stanowiska, zajętego przez działaczy politycznych w zaborze austrjackim, nowiny te padły we Francji na dobrze przygotowany grunt.

Zwolennicy orjentacji śmielej teraz rozprawiali. Sympatje dla mocarstw centralnych przeciwstawiali ciągle i jedynie Rosji. Tych, którzy nie życzyli zwycięstwa orężowi austro-niemieckiemu, ogłaszali za moskalofilów.

Echa tych zgrzytów dochodziły już do szeregów wolontarjuszy, nawet między nimi wielu czuło się zawiedzionymi, otumanionymi.

Pewne orzeźwienie dopiero sprawiła rota przysięgi, którą legjoniści w Galicji byli zmuszeni złożyć.

Rota ta doszło do Paryża razem z numerem krakowskiej „Nowej Reformy“ na dzień 21 października.

Oto jej dosłowne brzmienie:

„W obliczu Boga Wszechmogącego przysięgamy, że Jego Apo-
„stolskiej Mości, naszemu Najjaśniejszemu Monarsze i Panu Fran-
„ciszkowi Józefowi Pierwszemu z Bożej łaski Cesarzowi Austrjac-
„kiemu, Królowi Czeskiemu i t. d. i Królowi Apostolskiemu Węgier-
„skiemu wierność i posłuszeństwo zachowamy, że Najjaśniejszego Pa-
„na Generałów i wszystkich innych przełożonych i starszych słu-
„chać, ich czcić i bronić, oraz nakazów i rozkazów ich w każdej
„służbie dopełniać będziemy, że przeciw każdemu nieprzyjacie-
„lowi ktokolwiek by nim był i gdziekolwiek tego Najwyższa wola
„Jego Cesarskiej Mości by po nas wymagała, na wodzie i lądzie, we
„dnie i w nocy, w bitwach, szturmach, potyczkach i przedsięwzię-
„ciach wszelkiego rodzaju, słowem na każdem miejscu, każdego
„czasu i przy wszelkich sposobnościach dzielnie i mężnie walczyć
„będziemy, że naszych wojsk, chorągwi, sztandarów i dział w żadnym
„razie nie opuścimy i z nieprzyjacielem w żadne bynajmniej po-
„rozumienia wchodzić nie będziemy, że zawsze tak, jak tego wy-
„magają po nas ustawy wojenne i jak to na uczciwych żołnierzy
„przystoi zachowywać się i tym sposobem ze czcią żyć i umierać
„chcemy.

„Tak nam Panie Boże dopomóż. Amen“.

Krakowska „Nowa Reforma“, dzięki której ta przysięga dostała się po wybuchu wojny, do Paryża, objaśniła wprawdzie, że legjoniści:

> „jeżeli zaś przysięgali nie ojczyźnie, lecz cesarzowi Austrji „i apostolskiemu królowi Węgier, to uczynili to dlatego, że równie „wielkie, jak miłość ojczyzny, żywią oni zaufanie w szlachetność „i rozum tego wspaniałego nestora monarchów Europy“.

Objaśnienie to nie osłabiło wrażenia. Legjoniści dlatego tylko przysięgali austrjackiemu cesarzowi, bo inaczej nie mogli, bo im taką podyktowano rotę. Nikt z nich miłości ojczyzny nie utożsamiał z sentymentem dla zniedołężniałego starca w koronie zaborcy. Na takie uczucia może stać było jakiegoś wyjątkowego c. k. urzędnika, lecz nigdy legjonistów i nigdy Polaków. Była to więc deklamacja zwykła równie nierozważna, jak końcowe zakończenie „Nowej Reformy“, że z tej przysięgi młodzieży „*monarsze austrjackiemu przybyło serce Jednego Całego Narodu, pod względem liczby, piątego w Europie*“. Ponieważ naród polski nigdy liczebnie piątym w Europie nie był, tedy najwidoczniej „Nowa Reforma“ kogo innego musiała mieć na myśli, zwłaszcza, że Królestwo szło „za Rosją“ a Zabór pruski ani myślał uwierzyć w list pasterski administratorów djecezji.

Zresztą, kto chciał wątpić, tego najmocniej podobno odstręczał sam układ przysięgi, tej koncepcji biurokratycznej, utworu pisanego przez chytrego rejenta, który chce na wszelkie przypadki znaleźć gotowe zastrzeżenie, który nie ufa prostemu wyrazowi takiemu, jak „honor“, jak „uczciwość“, jak „wierność“, lecz omawia każdy szczegół, przewiduje zgóry wykręty.

Wszystkie te zdarzenia i wszystkie te objawy dochodziły jednak nietylko do Kolonji Polskiej... Ukazywały się one najpierw w prasie szwajcarskiej, naogół bardzo niezaszczytną

rolę odgrywającej czasu wojny, stąd przedostały się do prasy francuskiej a, wcześniej o wiele, do gabinetów ministerjalnych i biur sztabowych.

Stanowisko Polaków we Francji stało się skomplikowanem. Agitacja wzrastała, agitacja, dowodząca już to politycznie, już to strategicznie, że sprawa aljantów jest przegrana, że interes Polski leży po stronie mocarstw centralnych, że Polacy z Austrją winni iść, jej się trzymać, bo Berlin z Wiedniem będą rozstrzygały o naszem jutrze.

Nowiny o legjonach polskich po stronie Austrji ocknęły podejrzliwość do Polaków, stały się atutem dla p. Izwolskiego i rosyjskiej ambasady. Nawet z koszar wolontarjuszów dochodziły już skargi na niezbyt przyjazne odezwania instruktorów francuskich!

Niekiedy, po stronie francuskiej, rozlegał się głos bezstronnego sądu, tłumaczący, że Austrja była jedynym zaborcą, który Polakom nadał w ostatku jakie takie prawa i przywileje, że stąd niepodobna dziwić się usposobieniu Polaków galicyjskich. Głosy te nie wiele znaczyły. Ogół francuski, oceniający wypadki ze swego punktu widzenia, rozumował inaczej. Car rosyjski przyrzekł Polakom połączenie, przyrzekł wyzwolenie, Francja tuż czuwa nad dotrzymaniem tego zobowiązania, a Polacy idą z Prusakami, razem z Niemcami, razem z tymi, których poczytywali dotąd za odwiecznych swych wrogów...

Jakże mieli sobie poczynać Polacy we Francji?

Obowiązek i rozsądek i poczucie wdzięczności nakazywały stać przy Francji a dopiero przez Francję sprzyjać stronie aljantów. Dalej nietylko nie poddawać w zwątpienie odezwy wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, lecz kompromitować nią wszelkie zakusy rusofilskie, popularyzować tę odezwę tak mocno, aby ona się zamieniła w hipotekę polityczną na przyszłym kongresie pokojowym. Polacy we Francji po-

winni za wszelką cenę ocalić we Francji całą sympatję francuską, całą przyjaźń szlachetnej Republiki i, bez względu na działania rodaków w zaborach, we Francji sprawy polskiej bronić, sprawę polską przypominać.

Myśl ta była jasna i była słuszna. Przeprowadzenie jej wszakże natrafiało na szalone, czasem prawie nieprzezwyciężone trudności.

We Francji zaprowadzona została cenzura czasopism. „Polonia" paryska została poddana również bardzo surowej rewizji i to rewizji, inspirowanej przez ambasadę rosyjską. Wyraz „niepodległość" Polski został zakazany. O Rosji wolno było pisać albo obojętnie, albo przychylnie, źle nigdy. Pewnych wypadków i zdarzeń niewolno było wcale oświetlać. Nieraz najbardziej delikatne apostrofy musiały znikać ze szpalt czasopisma. Co więcej, kładziono nacisk, aby usunięte artykuły były zastępowane, aby nie było białego miejsca, a więc śladu cenzury. Stąd i na ten zbytek „Polonia" nie mogła sobie często pozwalać.

Była to cenzura wojskowa. Sprawowali ją urzędnicy wojskowi. Do języków słowiańskich, jako specjaliści, byli urzędnicy izraelici.

Innemi słowy na jedynej w Paryżu mównicy polskiej co chwila brakło argumentów, co chwila trzeba było usta zamykać, wyrzekać się jasnego postawienia kwestji. No i trzeba było trwać, pomimo wszelkie przeciwności.

Te przeciwności się piętrzyły.

Oto, naprzykład, w dniu 13 października, słynny hr. J. Bobrinskij, wojenny generał - gubernator, zajętej chwilowo przez Rosjan Galicji Wschodniej, wygłosił we Lwowie pamiętną swą mowę, w której zapowiedział kategorycznie:

„Przedewszystkiem Galicja Wschodnia i Lemkowszczyzna jest „odwieczną częścią jednej Wielkiej Rusi. Na ziemiach tych ludność

„rdzenna była zawsze rosyjska: administracja tych ziem powinna „więc być na zasadach rosyjskich. Będę tu wprowadzał rosyjski „język, rosyjskie prawo i ustrój. Zasady te będą wprowadzane, na„turalnie, w życie z pewną stopniowością. Uważam za niezbędne „w interesie całej ludności nie zakłócać normalnego życia kraju. „Wobec tego ograniczę się narazie do mianowania rosyjskich gu„bernatorów, naczelników powiatu i rosyjskiej policji".

A chociaż w zakończeniu tej pamiętnej mowy, hr. Bobrinskij dodał, że w Galicji Zachodniej, jako polskiej, będą zastosowane zasady, ogłoszone w odezwie wielkiego księcia Mikołaja, niemniej był to nowy cios dla tych, którzy opowiadali się za aljantami, bodaj tylko przez Francję...

Zresztą wogóle miesiąc październik roku 1914 dostarczył Polakom, na obczyźnie pracującym, obfitego materjału do pogrążenia ich, do ostatecznego skłócenia, wyprowadzenia na manowce.

Z Galicji szły ciągle i bez ustanku strzeliste mowy, szumne manifesty, w których rewolucja roku 1830, powstanie roku 1863, cały ból polski spajano z wiernością dla Habsburgów, ze zwycięstwem wojsk austro- niemieckich.

Królestwo rozbrzmiewało szczegółami najazdu niemieckiego, obrony Warszawy, rozpowiadało o bohaterstwie i poświęceniu nietylko Polaków, lecz i Rosjan także. Stolica Polski przechodzące pułki rosyjskie obrzucała kwiatami. Damy wszelakie prześcigały się nie zawsze tylko w samarytańskich uczuciach dla „bratnich zastępów rosyjskich".

Wzruszony tem wszystkiem do głębi, arcybiskup warszawski, ks. Aleksander Kakowski wysłał w rozrzewnieniu swem telegram do „Najjaśniejszego Pana", do Mikołaja II. Telegram ten, datowany w dniu 24 października, brzmiał:

„Z ocalonej przy pomocy Bożej i z woli Waszej Cesarskiej „Mości od najścia wroga Warszawy, odprawiwszy uroczyste nabo-

„żeństwo dziękczynne, ośmielam się złożyć u stóp Waszej Cesar-
„skiej Mości, w imieniu swojem i swojej owczarni, uczucia naj
„głębszej wdzięczności i wiernopoddańczego oddania.

„Rzymsko - Katolicki Arcybiskup Warszawski
„ks. Aleksander Kakowski".

Śród tego zamętu powszechnego, powodzi wynurzeń ciągle wiernopoddańczych uczuć po stronie rosyjskiej i po stronie austrjackiej, ciągle brakło głosu ze strony zaboru pruskiego, boć apelu dwu księży nikt nie poczytywał za opinję ludu polskiego!

W zaborze pruskim nikt nikomu nic nie obiecywał i niczego nie przyrzekał. Przemoc wlokła tysiące Polaków do szeregów i przemoc pruska z tak nikłą garścią niewolników pertraktować nie chciała! Kilku panków wyrwało się na ochotnika służyć w pruskiem wojsku i na tem koniec. Zapał ich obmierził w rezultacie kilka nazwisk polskich i żadnego wpływu nie wywarł. Potomkowie pp. Dziembowskiego, Mielżyńskiego Macieja będą całemi pokoleniami swoich antenatów żałowali...

Nadobitek tych wszystkich wieści, nadeszły echa gospodarki niemieckiej w Kaliszu, bestjalskiej z mieszkańcami rozprawy, spalenia bez racji części tego pięknego a kwitnącego miasta.

I znów odwrotna fala, która odstręczyła od Rosjan Polaków za mowę hr. Bobrinskiego we Lwowie, — teraz znów odstręczała zwolenników orjentacji austrjackiej. Jakże tu iść z Austrją, kiedy oto Austrji sprzymierzeniec i rozkazodawca postępuje sobie z bezbronną ludnością polskiego miasta, nie jak żołnierz, lecz, jak opryszek, jak rzezimieszek i morderca?

Nakoniec należy pamiętać o tem, że tam, po drugiej stronie we Francji a nawet w Ameryce, nieznano tych „nastrojów chwili", które do takich czy innych doprowadzały aktów czy

odruchów, — tam nie rozumiano się na tem, co jakowyś polityk usłyszał w ciszy ministerjalnego gabinetu. Tam dochodziły tylko brutalne, wolne od komentarzy fakty, tylko same oschłe dokumenty rozłamu, podzielenia, podwójnego lojalizmu.

I te dokumenty demoralizowały ludzi, wodziły na manowce, przyprawiały o nowe błędy polityczne lub skazywały na odrętwienie.

A przecież życie szło dalej, szło nawet śród posiewu śmierci, trzeba było czynić, trzeba było, pomimo wszystko, działać, trzeba było iść naprzód i wskazania dawać i trzeba było ciągle wierzyć i ufać i czyhać na chwilę sposobną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ECHA WOJNY W AMERYCE. — ORGJA SPRZECZNYCH NOWIN. — TELEGRAMY Z PARYŻA — ICH DZIENNIKARSKA INTERPRETACJA. — ZWOLENNICY AUSTRJI. — ZNÓW WIADOMOŚĆ O „ZGODZIE I JEDNOŚCI“. — ZJAZD SOKOLSTWA W BUFFALO I JEGO UCHWAŁY. — SŁAWETNA DEPESZA. — CENTRALNY KOMITET RATUNKOWY. — NOWINA O SFAŁSZOWANIU SŁAWETNEJ DEPESZY. — ŚLEDZTWO I TŁUMACZENIE. — CIOSY NA KOMITET WOLONTARJUSZÓW. — OSTATNI APEL. — UKŁADY O SFORMOWANIE LEGJONU W STANACH ZJEDNOCZONYCH. — PIERWSZY EMISARJUSZ Z EUROPY. — STANOWISKO RADY NARODOWEJ. — MUNDURY PRZYCZYNĄ ZANIECHANIA PROJEKTU. — PRZYCZYNY PRAWDZIWE. — ZNAMIENNE PISMO SOKOLSTWA. — BRAK NAJWAŻNIEJSZEGO ARGUMENTU.

Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych przeżywało tymczasem dni trwogi, niepokoju i rozterki wewnętrznej.

Odcięte oceanem od teatru wojny, tysiącami mil od ziemi ojczystej, było pozostawione swemu własnemu losowi.

Nikt się Wychodźtwem nie zajmował, nikt nie turbował, każdy wciągnięty w wir wypadków, które się dokoła niego kotłowały. Stąd Wychodźtwo wiedziało z początku tyle zaledwie, co się w Polsce i z Polakami dzieje, ileć śród zatrzęsienia depesz międzynarodowych, zabłąkała się nazwa polskiego miasta, dostało się polskie zawołanie.

I tutaj, jak zaznaczyliśmy, nie spodziewano się wybuchu wojny i tutaj, pomimo zdawania sobie sprawy z potrzeby go-

towania się do niej, nikt nie przeczuwał, że wojna rozpęta nawałnicę, że targnie posadami całego globu.

Tam, w Polsce, były kalkulacje polityczne, były koliska mężów, świadomych arkanów dplomatycznych, były takie czy inne racje, tutaj był tylko zdrowy sąd, tylko instynkt, tylko odruchowe przeczucie.

Na pierwszy odgłos nadciągającej wojny, Wychodźtwo poruszyło się, drgnęło i zrozumiało, że ma obowiązek do spełnienia i że spełnić go powinno.

Co dziwniejsze, co osobliwsze, że potężna większość, niemal sięgająca ośmiu dziesiątych a nawet więcej, odrazu zajęła bezwzględnie wrogie stanowisko względem mocarstw centralnych. Mówimy tu o pierwszych dniach wojny, więc o chwili, kiedy mowy być nie mogło jeszcze o żadnych rosyjskich obietnicach, austrjackich zaręczeniach, kiedy nie było słychu o Legjonach w Galicji czy o Wolontarjuszach we Francji lub jakichkolwiek deklaracjach ze strony polskich ciał poselskich.

Samorzutnie, bez czyjegokolwiek wpływu, potężna większość Wychodźtwa odpowiedziała na hasło tysiącletniej walki z germaństwem, straciła całą dla Austrji wdzięczność, widząc pruskie sztandary obok habsburgskich znaków.

Jako charakterystyczny objaw tego zdrowego sądu, pozwalamy sobie przytoczyć, że „Dziennik Związkowy“ w dniu 1 sierpnia, roku 1914 (Nr. 179, str. 6, art. p. t. „Wojna“) tak sformułował swe przekonania i swe nadzieje na przyszłość:

> „Jak Słowianom życzymy zwycięstwa a Niemcom bezwzględ„dnej zguby politycznej, tak Rosji życzymy, aby, odnosząc zwy„cięstwo, tak się osłabiła, żebyśmy mogli zrobić z nią kiedyś po„rządek“.

Cały ten artykuł i to zdanie możnaby snadnie poczytać za szczęśliwe zgadnięcie.

Ma ono jednak potwierdzenia silniejsze w pamiętnem orędziu prezydjum Związku Narodowego Polskiego, orędziu ogłoszonem w dniu 5 sierpnia, tegoż 1914 roku, w chwili kiedy środkowa Europa stanęła w ogniu.

W orędziu tem czytamy prorocze słowa:

„Zbliża się chwila, której z takiem pragnieniem oczekiwaliś-„my, nastąpiła katastrofa dziejowa, z której na powstać Wolna „i Niepodległa Polska.

„W takiej chwili nie wolno narodowi polskiemu pozostać „bezczynnym, nie wolno mu, z założonemi rękami oczekiwać wy-„roków boskich, lecz z bronią w ręku należy mu się upomnieć „o nieprzedawniające się nigdy prawa swe".

A więc w dniu 5 sierpnia, roku 1914, Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych nietylko stanęło pod hasłem wolnej i niepodległej Polski, lecz co więcej rozpoczęło natychmiast gromadzenie funduszów, zwieranie sił.

Nastały jednak dni hiobowych wieści, istny grad sprzecznych, kłócących się ze sobą nowin, zbliżała się walka fałszowania wypadków, oszukiwania opinji.

Straszny kataklizm dziejowy był wszak żerowiskiem dla polującej i tak z zasady na sensację i skandal prasy amerykańskiej. Propaganda niemiecka zakasała rękawy ze swej strony.

Tutaj krocie tysięcy Polaków wyczekiwały z ziemi swej znaku. słychu, a tutaj szalała istna orgja bałamuctw.

Lecz śród tych bałamuctw, ileż świadectw, ileż danych do zrozumienia, do rozjaśnienia mroków, do wytłumaczenia zachowania się Wychodźtwa.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w pierwszych dniach wojny, nie było tych różnic zasadniczych, które w następstwie tak mocno się zaznaczyły. Po prawicy, tak zwanej, jak i po lewicy, lewicą przezwanej, ten sam niepokój, toż samo szuka-

nie ogólnopolskiego punktu wyjścia. A choć na wymienionej lewicy, drgała chęć dotrzymania słowa Komisji Tymczasowej, zjednania sympatji dla Austrji, jednak i tam górowała z początku jedynie troska, nie o triumf własnej racji, lecz o dobro ojczyzny.

Każdy ordrazu pojmuje, że sprawa polska będzie się rozstrzygała po stronie zwycięzców, że zwycięzcy będą o losach Polski decydowali...

Tymczasem nowiny, wiadomości, telegramy nadchodzą straszne, niweczące wszelkie kombinacje, zaciemniające jasność spojrzenia.

Oto krótkie pokłosie, mały dowód, do jakiego Wychodźtwo mogło dojść pomylenia.

Słuchajmy, czytajmy nowiny z pierwszych dni wojny.

„Dzień 7 sierpnia, 1914 roku. Warszawa zajęta przez Niemców. „Austrja wypowiedziała wojnę Rosji. Wilhelm kazał rozstrzelać „stu posłów socjalistycznych z Liebknechtem na czele. Anglicy „zatopili 19 okrętów niemieckich".

„Dzień 8 sierpnia, 1914 roku. Warszawa w ręku Prusaków. „Niemcy proszą Belgów o rozejm. Ogłasza się nadto, że wiado„mość o wzięciu Warszawy przez Niemców otrzymał sekretarz „stanu p. Bryan".

„Dnia 11 sierpnia, 1914 roku. Niemcy zajmują Królestwo Pol„skie. Polacy witają Niemców radośnie. Wojska rosyjskie opuściły „Polskę, bo zanosi się w niej na zaburzenia przeciwko Rosjanom. „Słowianie przeciw Francuzom. Na pomoc Niemcom wysłano 15 „korpus, składający się ze słowiańskich pułków, niepewnych „w walce z Rosją, lecz zupełnie pewnych przeciwko Francuzom".

I podobne informacje zalewają Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych przez całe miesiące i zatruwają wszelki jaśniejszy rzut polityczny. „Urzędowa" depesza z Berlina, bez żadnej ceremonji, ogłasza, naprzykład, że wielki książę Mikołaj odwołał swoją odezwę do Polaków, no i po

ukontentowaniu zbytniem, jakie odezwa księcia Mikołaja wywołała, następuje raptowne zniechęcenie... A nowiny o niemieckim marszu na Paryż, o pogromie Francuzów? Prawda, te wszystkie pogłoski telegraficzne były prostowane w następstwie, ale w ostatku nikt nie mógł kłamstwa odróżnić od prawdy.

W dniu 18 sierpnia dopiero Polacy w Ameryce dowiedzieli się z zadowoleniem, że rząd francuski postanowił wziętych do niewoli Polaków z armji niemieckiej otaczać specjalną opieką, a tuż, w dniu 20 tegoż miesiąca, że Polacy we Francji zaciągają się gromadnie na ochotnika do szeregów francuskich. Ta ostatnia wiadomość podana została przez francuskie ministerium wojny.

Tuż po tych wiadomościach, nastąpiła wymiana telegramów pomiędzy Komitetem Wolontarjuszów Polskich w Paryżu, a Prezydjum Związku Narodowego Polskiego.

Jako skutek tych telegramów, w dniu 24 sierpnia został ogłoszony czerwonemi literami bombastyczny komunikat pod tytułem „*Francja gwarantuje*", brzmiący dosłownie:

> „Francja gwarantuje niepodległość Polski. Pittsburgh, Pa. 24 „sierpnia, godzina 4.30. Cenzor Z. N. P., A. Karabasz otrzymał „dziś kablogram z Francji, że rząd francuski gwarantuje Nie„podległość Wolnej Polski. Wysyłajcie ludzi i pieniądze. Polska „armja już walczy o wolność Polski".

Komitet Wolontarjuszów Polskich w Paryżu, gdyby mógł przypuścić, że na skutek jego telegramu, w którym oświadczył przecież wyraźnie:

> „Wierzymy stanowczo w wyzwolenie Polski, dzięki poparciu „Francji i Anglji. Przybywajcie bić Niemców. Przysyłajcie pie„niądze. Nasz pierwszy oddział już poszedł z Francuzami"...

powstanie taki osobliwy utwór poetycki, który będzie ogłaszał, że *„Francja gwarantuje niepodległość Polski, że polska armja już walczy o wolność Polski"*, — toby nigdy był żadnego telegramu nie wyprawiał.

Kto tu zawinił? Tekst telegramu był jasny, był wyraźny zupełnie i, jak widać z dokumentów, w drodze zmianie nie uległ.

Któż to był autorem tej bomby politycznej?

Odpowiedź znajdujemy w następnym numerze „Dziennika Związkowego", z dnia 26 sierpnia (Nr. 200, strona pierwsza), na tej pierwszej stronicy widnieje pod napisem błędnym „Legjony Polskie w Paryżu" dokładny tekst francuski, telegramów (podanych w poprzednim rozdziale) Komitetu Wolontarjuszów w Paryżu i znów błąd w tłumaczeniu, równoległego tekstu.

Zdanie francuskie: „Croyons ferme delivrance Pologne grace appui France et Angleterre", — co znaczyło jedynie: „wierzymy stanowczo w wyzwolenie Polski, dzięki poparciu Francji i Anglji", — zostało przetłumaczone lekkomyślnie na:

„Stanowcze zapewnienie wyzwolenia Polski przez Francję i Anglję".

Ta karygodna lekkomyślność jakiegoś zarozumialca, któremu się zdawało, że rozumie po francusku, była klęską. była pierwszym gwoździem do trumny, mającej pochować wszelką myśl o tworzeniu legjonów polskich na lat kilka...

Druga lekkomyślność „polskich legjonistów" wzięła za wojsko, bo niezawodnie wyobrażała sobie, że nazwa „legjon", „legjony" przeszła wprost od Rzymian do Polaków, nie baczyła, że po Rzymianach tworzył „legjony" Napoleon i że „legjony" i „legja", od dziesiątków lat, stanowią część wojska francuskiego, bądź to jako piechota cudzoziemskiego za-

ciągu, bądź jako gwardja narodowa, bądź jako żandarmerja polowa.

Trzecią okolicznością wysoce niestosowną było wogóle opublikowanie natychmiastowe telegramów Komitetu Wolontarjuszów, bez zasadniczego postanowienia, lecz potraktowanie tych telegramów, jako ogólny apel, bez zaciągnięcia względem tego apelu żadnego obowiązku.

Wypada atoli stwierdzić, że, w pierwszej chwili, nie brakło ani dobrej woli, ani zapału, do pójścia za wezwaniem. Wprawdzie ludzi poważnych musiało odrazu uderzyć, że Francja i Anglja gwarantują niepodległość Polski nie aktem urzędowym, lecz jakiemuś tam sobie Komitetowi w Paryżu... Niemniej, powtarzamy, zapał był i narad w tym kierunku co niemiara.

Aliści robota szła i na przeciwnym biegunie. W tym samym czasie, musiały dojść do Stanów Zjednoczonych pierwsze wskazówki od Komisji Tymczasowej czy wogóle pierwsze rozkazy, bo, po stronie Komitetu Obrony Narodowej, daje się spostrzegać wyraźna akcja na rzecz ruchu polskiego przy boku Austrji.

Do czynnej agitacji zabrał się nadewszystko Rylski, były naczelnik i instruktor Sokołów, usiłując spowodować ruch poza plecami Zarządu Związku Sokołów. Zarząd potępił agitację Rylskiego. Nastąpiła krótka, lecz zacięta walka, wreszcie Rylski wyruszył za ocean do legjonów, pociągając za sobą kilkunastu druhów.

Przedtem jeszcze nadeszły wiadomości o zwycięstwie legjonistów, którzy potłukli kozaków pod Miechowem, a w tym samym prawie czasie groźne nowiny o marszu niemieckim na Paryż.

Dokładnie mówiąc, echo o zwycięstwie legjonistów, pomimo wszystko, budziło ukontentowanie, pomimo wszystko budziło wątpliwość, czyby nie lepiej poprostu na Moskali iść

i z Moskalami się rozprawić, — z drugiej strony posuwanie się armji niemieckiej ku Sekwanie, ku stolicy Francji, osłabiło wszystkie kalkulacje po stronie francuskiej... Ci nawet, którzy wzięli za dobrą monetę telegram o tem, że „Francja i Anglja gwarantują Polskę“, — wpadali w wątpliwość... była to obietnica ginącego państwa, była to obietnica tonącego w morzu germańskiem narodu...

Komitet Obrony Narodowej, w naczelnem swem kierownictwie, był doskonale zorganizowany, posiadał na swem czele jednostki obrotne i wręcz wybitne. Kiedy więc, po chwili wahania i niepewności, postanowił wytrwać na swem stanowisku, trzymać się Komisji Tymczasowej, iść bezwzględnie za orjentacją austrjacką, poczynił natychmiast odpowiednie posunięcia.

K. O. N. przez swe organy zaatakował odrazu Komitet Wolontarjuszów Polskich w Paryżu i wydał walkę myśli o formowaniu jakichkolwiek oddziałów po stronie Francji.

Lecz tutaj z poważną odsieczą nadeszła, pod datą dnia 21 sierpnia, wiadomość z Krakowa o utworzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego. Wiadomość tę ogłosiły wszystkie czasopisma polskie w Stanach Zjednoczonych pod nagłówkiem:

„Zgoda i jedność zapanowała zupełna. Niemasz już socjalistów, stańczyków, narodowców, ale są tylko Polacy“.

Na potwierdzenie tych słów, opublikowano skład imienny Naczelnego Komitetu Narodowego. Były tam wszystkie nazwiska, zdolne przekonać nawet najbardziej nieprzejednanych. Byli tam wszyscy od Tadeusza Cieńskiego, który był dopiero co wyjechał z Ameryki, a który reprezentował Radę Narodową i zwierał szeregi klerykalne, aż do Głąbińskiego, ks. Witolda Czartoryskiego, Strońskiego, hr. Skarbka i Jana Dąbskiego. Dla ludowców był podpisany Witos, dla socjalistów Daszyński, dla mieszczan Neuman, dla stańczyków Zdzisław hr. Tarnowski. Słowem był Komitet Narodowy,

więc był rząd polski, była władza! Komitet ten wprawdzie reprezentował tylko jedną piątą część społeczeństwa polskiego, — ale to był dobrze znany szczegół. Zabory rosyjski i pruski zapewne nie mogły się wypowiedzieć, — przeto Galicja stanowiła ekspozyturę.

Ta dobra nowina, bo kładąca, jak się zdawało w pierwszej chwili, kres wszelkim waśniom, doszła na chwilę, odbywanego w Buffalo, walnego zjazdu Sokolstwa Polskiego w Ameryce, nadeszła razem z drugą jeszcze wiadomością (ogłoszoną dokładnie dnia 12 września, 1914 roku, Nr. 214 „Dziennika Związkowego", str. 8), że w Warszawie powstał już rząd narodowy polski i że ten rząd komendantem swym mianował Józefa Piłsudskiego.

Pod wrażeniem tych wieści, Zjazd Sokolstwa w Buffalo, dał wyraz porywowi i stanął raczej na akademickim niż politycznym punkcie.

Poszedł za porywem, i oto burza, która miała spaść na przedstawicieli Komitetu Obrony Narodowej, rozproszyła się, ucichła, zakończyła tęczą pojednania.

Reprezentanci Komitetu Obrony oświadczyli się stanowczo za Komisją Tymczasową, wyrzekli się myśli wyprawiania ochotników za ocean, Zjazd Sokolstwa zaś uchwalił rezolucję, której główną treść stanowiły punkty:

> „Postanawiamy popierać całą siłą prace, podjęte w imieniu „Rządu Narodowego Polskiego, prowadzone w Ameryce dla idei „pogotowia bojowego, bez względu na to, w czyim ręku egzeku„tywa znajdować się będzie".
>
> „Uchwalamy poddać się bezwzględnie rozkazom Rządu Na„rodowego, który za swój cel stawia absolutną niepodległość „Polski".

Zjazd ten sokoli, podczas którego odbyły się słynne manewry drużyn bojowych, utrzymał zatem nadal węzły z Ko-

mitetem Obrony Narodowej, szukał najwyższego autorytetu, bo szukał „Rządu Narodowego Polskiego“ i wyraził nadto:

„najwyższą cześć poległym pod Miechowem pierwszym pow-
„stańcom za wolność Polski“.

O żadnej interwencji po stronie Francji lub wogóle po stronie aljantów mowy nie było.

Aliści, najniespodziewaniej, w momencie, gdy postawiona przez Komitet Wolontarjuszów w Paryżu kwestja, jeszcze się ważyła, nadszedł nagle telegram z Francji...

Telegram tym razem wysłany na ręce J. F. Smulskiego i telegram ten znów zamienił się w sensację.

Telegram ten brzmiał:

‚*Bordeaux. 22 Sept. 1914.*

Smulski, 1201 Milwaukee Ave. Chicago.

„Rodacy, przysyłajcie dwadzieścia tysięcy Polaków dla zwal-
„czania Teutonów, niech wylądują w Anglji, by się połączyć
„z armją brytyjską we Francji. Wszyscy nasi Polacy są już pod
„chorągwiami. Pokażcie się godnymi Kościuszki i Pułaskiego!
„Liczymy na was! Święta sprawa Ojczyzny was wzywa!

„Pułkownik Józef Gałęzowski,
„Ignacy Paderewski,
„Fortunat Strowski,
„Jan Styka.
„Villa Tade, Garches“.

Wrażenie tym razem było piorunujące. Bo chociaż nie rozumiano, kto to może być „Fortunat Strowski“, choć może dziwiono się impetowi Styki, — lecz wzamian podpis pułkownika Gałęzowskiego, ministra wojny z czasów powstania roku 1863, dygnitarza rapperswylskiego był powagą, a podpis Ignacego Paderewskiego hasłem.

W łonie Związku Narodowego Polskiego, a także i w przewodnictwie sokolstwa teraz mocniej się zakotłowało. Zaczęto

czynić kroki przedwstępne, szukać porozumienia z ambasadorami Francji i Anglji i władzami Kanady.

Tymczasem robiono gorączkowe przygotowania do zawiązania Komitetu, któryby skupił przedstawicielstwo wszystkich, o ile możności, organizacyj.

Z właściwą sobie rzutkością, Wychodźtwo Polskie w Ameryce już w dniu 2 października, roku 1914, utworzyło, tak zwany, Centralny Komitet Ratunkowy w Ameryce, do którego odrazu przystąpiły najpoważniejsze zrzeszenia, jak Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek, Związek Sokołów, Zjednoczenie kapłanów, Rada Narodowa i inne, pomniejsze. Tak utworzony Komitet stawał się zarządcą wszelkich funduszów, nagromadzonych przez stowarzyszenia na cele narodowe. Niezależnie od tego przystąpił odrazu do pracy w kierunku dalszego zbierania zasobów materjalnych.

Kiedy jeszcze, tak zwany, „Komitet pomocy dla ofiar wojny w Polsce", w Szwajcarji nie istniał, Wychodźtwo już miało poważne sumy, już miało puszczoną w ruch, bardzo sprężystą instytucję, już niosło ratunek. Należy w tem miejscu zaznaczyć, iż założenie w Stanach Zjednoczonych Centralnego Komitetu Ratunkowego dało raczej impuls do dźwignięcia szwajcarskiej placówki, pod przewodem Henryka Sienkiewicza... Tak!

Centralny Komitet Ratunkowy, choć za przewodnią myśl obrał był sobie niesienie pomocy, niszczonej wojną, Polsce przecież, od poczęcia swego, poglądał i dalej patrzył dyrektyw politycznych i walczył nietylko za polską niedolę, ale i upominał się za polską sprawę.

W łonie tego Komitetu jedną z pierwszych była kwestja działania po stronie Francji, była kwestja, postawiona przez Komitet Wolontarjuszów, a poparta tak mocno przez strzeli-

sty telegram Paderewskiego, Gałęzowskiego, Strowskiego i Styki...

Smulski, w odpowiedzi na depeszę otrzymaną, wysłał znów telegram z zapytaniem. Telegram tak brzmiał:

„Sokoli się organizują. Czy Francja i Anglja gwarantują Pol„skę? Czy manifest cara jest prawdziwy? Prosimy wiadomości, „posiadane raporty niepewne".

Jan Styka w odpowiedzi wyprawił do Smulskiego list.

Nagle, kiedy w Ameryce już poważne porobiono kroki, niby piorun z jasnego nieba, spadł telegram Ignacego Paderewskiego z Morges w Szwajcarji. Telegram zaadresowany wprost do Redakcji „Dziennika Związkowego".

Paderewski telegrafował pełen oburzenia:

„Bardzo będę obowiązany za opublikowanie, że nigdy nie „podpisywałem i nigdy nie upoważniałem nikogo do podpisania „apelu, opublikowanego w waszem cennem piśmie, dnia 23 wrze„śnia. Waszej dobrej wiary, jak i mego nazwiska nadużyto za„równo. Paderewski".

Nastąpiła konsternacja. Dowód był oczywisty, że telegram z wezwaniem Polaków do Francji był sfałszowany. Prezydjum Związku wyprawiło natychmiast list do Francji, do prezesa Związku Sokołów tamtejszych, list, domagający się śledztwa. Zanim wyjaśnienie zdążyło, dotarł znów do Ameryki list pułkownika Gałęzowskiego Józefa, który także telegramu nie podpisał i ostrzegał przed mistyfikacją...

Równie przerażony został w Paryżu prezes Sokołów i z nim cały Komitet Wolontarjuszów. Zrozumiano odrazu, że tego wszystkiego narobił Jan Styka. Zażądano odeń tłumaczenia.

Leży oto przed nami zwój cały dokumentów tej pamiętnej historji o fałszowaniu telegramów, i to popartej i oświetlonej autografami Jana Styki.

Skądże się ten fatalny telegram począł? Czyja lekkomyślność, czy złość, chytrość czy naiwność na podobne bałamuctwo się zdobyła? A co główna, pokrzyżowała plany?

Oto na dokumentach i własnoręcznych listach ustalenie faktów.

Pod Paryżem w willi swej, w Garches, mieszkał Jan Styka, znany i na Wychodźtwie, artysta malarz, twórca wielu patrjotycznej treści dzieł. Styka, który dwu synów swoich wykształcił także na malarzy, radził sobie w Paryżu, aby imię swe nad Sekwaną rozsławić, no i materjalny wyraz dla tej sławy znaleźć. W poszukiwaniu zawsze wybitnych osobistości do portretowania, dotarł, na kilka miesięcy przed wojną, do ambasadora austrjackiego i z nim, jako sam poddany austrjacki, był w komitywie. W malarskich stosunkach była to rzecz zrozumiała. Wojciech Kossak był hofmalarzem Wilhelma i malował mu szarże pruskich ułanów, Jan Rozen był hofmalarzem Mikołaja II i malował zwycięstwa wojsk rosyjskich, tedy zupełnie uzasadnioną była atencja Styki dla przedstawiciela tego najbardziej sympatyzującego z Polakami zaborcy, jaką była Austrja.

Ambasador austrjacki odwiedzał często artystę, no i w rezultacie zamówił swój portret u syna artysty, Tadeusza Styki. Portret został wykończony w roku 1914 i z ogromnym szumem wysłany na doroczną wystawę paryską...

Trzej Stykowie, dla swej ruchliwości, nie bez kozery byli dla francuskich artystów konkurentami w Paryżu... Wybuchła wojna. Portret na wystawie paryskiej był jakby dokumentem przekonań politycznych Styków! Przynajmniej, przez złośliwość za taki był poczytywany.

Chociaż Styka w małem miasteczku, jakiem jest Garches, uważany był za Polaka, jednak te wspomnienia odwiedzin ambasadorskich, ten jego portret, łączenie tego z wiadomościami, że Polacy austrjaccy idą z Niemcami, wszystko za-

częło mu doskwierać. A najbardziej jeszcze dokuczała ta okoliczność, że miał dwu młodych, tęgich synów, zawołanych sportowców... a tu młodzież polska we Francji szła do legji cudzoziemskiej...

Idąc za impetem innych, Styka pojechał do Bordeaux, dokąd, wyruszył był rząd francuski. Tutaj chciał mocniej jeszcze zamanifestować swą polskość wobec Francuzów, swą ku nim przyjaźń i, na własną rękę, postanowił wystąpić z odezwą do braci w Ameryce.

Pod ręką Styka miał Fortunata Strowskiego, dalekiego krewnego, syna emigranta. Strowski, profesor już całkowicie sfrancuziały, lecz żywiący dla Polski pewne sentymenty, poparł wniosek Styki i ułatwił mu wyprawienie telegramu, to jest uzyskanie pozwolenia władz wojskowych.

Według własnych słów Styki, uwiecznionych w jego własnoręcznym liście, stało się tak:

„Naradziłem się z krewnym moim, Fortunatem Strowskim, „który skwapliwie myśl moją popierał u władz francuskich, poszedłem osobiście do pułkownika Gałęzowskiego, który przyrzekł „mi swój współudział i napisałem do Szwajcarji, do Paderew-„skiego, znając jego gorące uczucie miłości do Ojczyzny".

I co dalej? Jan Styka w tymże liście, datowanym z Bordeaux, w dniu 29 listopada, pisze tak dalej:

„Ósmego września przyjechałem do Bordeaux, tu spotkałem „licznych moich przyjaciół, których mam śród deputowanych „i zajętych w ministerjach i ci zachwyceni byli piękną myślą „zawezwania Polonji amerykańskiej do współdziałania, ale wszy-„scy radzili pośpiech w działaniu, mówiąc, że, zanim nasi przyjadą, „gotowe być zapóźno. Nie było więc czasu rozpoczynać na nowo „korespondencji, tembardziej, że listy zalegały w tym czasie ty-„godniami, napisałem więc skróconą odezwę, zwięźle i krótko, „która otrzymała uznanie ministerjum wojny i z jego pieczęcią „została wysłana na ręce Pana Smulskiego, do Chicago, kablem.

„Każdy dobrze myślący Polak bez wahania podpisałby ją „bezzwłocznie.

„Następnie zawiadomiłem podpisanych po raz wtóry o tem, „co zrobiłem, — nie otrzymałem jednego słowa protestu“...

Tak się tłumaczy we własnoręcznym liście Jan Styka.

Wypada tutaj nadmienić, że każdy kablogram, a szczególnie takiej treści musiał posiadać urzędowy stempel zmilitaryzowanych biur wojskowych, no i że cała racja Styki polegała na tem, że ponieważ... „każdy, dobrze myślący Polak bez wahania podpisałby“ taki telegram do Wychodźtwa, przeto, Jan Styka podpisał bez namysłu Ignacego Paderewskiego i Józefa Gałęzowskiego. I dopuścił się w ten sposób nietylko lekkomyślności, lecz pogrążył na lata całe wszystkie plany, układane przez Komitet Wolontarjuszów i przez Związek Narodowy Polski.

Gdyby był Jan Styka zawierzył był tylko własnemu nazwisku i niechciał je łączyć z nazwiskami Paderewskiego i Gałęzowskiego, byłby może poważną cegiełkę dołożył do tworzenia na ziemi francuskiej polskich zastępów...

Styka dziwi się w swym autografie, że, po podpisaniu cudzych nazwisk i wyprawieniu listów, nie odebrał protestów, zapominając, że protesty musiały być skierowane do czasopism, w których ukazały się sfałszowane podpisy.

Paderewski i Gałęzowski, chociaż, być może zgadzali się, że pod takim telegramem „każdy, dobrze myślący Polak powinien się podpisać“, — lecz mieli zwyczaj podpisywać się własnoręcznie i nie zgodzili się, aby w podobnych razach ktoś inny, bodaj nawet Styka, ich wyręczał. I stąd powstał protest słuszny i uzasadniony, a tak dla planów Komitetu Wolontarjuszów zgubny.

Ze strony Paderewskiego protest był tem silniejszy, ileże P. mieszkał w neutralnej Szwajcarji, że podlegał duchowi

czasu, który wówczas, przebywających tam Polaków do neutralności skłaniał, no i że Paderewski wogóle nosił się z planami utworzenia neutralnej, pozapartyjnej organizacji, któraby niosła pomoc braciom w Polsce...

Paderewski nie wierzył w tym czasie w żadne zbrojne wystąpienia i nie chciał, aby nadużywano jego nazwiska, jako hasła, do rzucenia Polaków amerykańskich na szalę Francji. W ostatku Paderewski nie znał był kalkulacyj Komitetu Wolontarjuszów. Tak samo uczynił Gałęzowski, który może nie miał takich pobudek, lecz który również nie mógł aprobować uproszczonego systemu zbierania cudzych podpisów, chociażby w dobrej intencji.

Kiedy do Komitetu Wolontarjuszów doszła z Ameryki wiadomość o telegramie Styki i o protestach, stracono tam wszelką nadzieję na pomoc i przyjazd ochotników. Komitet uczuł całkowitą swą bezsilność. Korespondencja ciągnęła się miesiącami. Na odpowiednio sążniste kable nie było ani funduszów, ani sposobu na cenzurę wojenną. Niepodobna było ani argumentować, ani zbijać zarzutów, niepodobna było telegrafować nic takiego, coby dało wyobrażenie o zakulisowej pracy politycznej we Francji.

Przyjazd z Ameryki tych pięciu nieopatrznych ochotników, którzy zrozumieli, że już wojsko polskie jest we Francji, ich domagania się środków na powrót, ich równie nieopatrzne listy, słane do Stanów Zjednoczonych, — dolewały oliwy do ognia. Ruch przeciwko ochotnikom po stronie Francji przybrał rozmiary poważne. Całą imprezę w Paryżu zaczęto uważać za niepotrzebne i bezpożyteczne marnowanie krwi polskiej. Członków Komitetu Wolontarjuszów uznano za obłąkańców.

Zwolennikom orjentacji austrjackiej przybyła pomoc ze strony takich, którzy, nie żywiąc żadnych do Austrji sentymentów, uważali wolontarjuszów w armji francuskiej za da-

remną ofiarę. Między tak myślącymi, była między innymi i panna Zamoyska, osoba skądinąd bardzo dobroczynna i bardzo ofiarna. Ona miała swe własne biuro pracy i w biurze tem bardzo zapamiętale tłumaczyła zgłaszającym się do niej, aby nie marnowali zdrowia i życia na służbie w szeregach Legji Cudzoziemskiej...

Kiedy i tutaj doszła wiadomość o usiłowaniach Komitetu w kierunku sprowadzenia ochotników z Ameryki, poczytano to również za zamierzenie szkodliwe.

Do p. Zamoyskiej nastręczył się wymieniony już Łukaszkiewicz. W jaki sposób Ł., urodzony libertyn, zdołał zjednać sobie podejrzliwą starą pannę, która od każdego, zbliżającego się do niej, człeka żądała namacalnych dowodów religijności i przywiązania do praktyk rzymsko-katolickich, jest to sprawą sumienia, dość, że Łukaszkiewicz otrzymał zapomogę i wyjechał do Ameryki, i tutaj odrazu zaczął obrzucać błotem Komitet Wolontarjuszów... Sposób był prosty. Łukaszkiewicz na szpaltach nowoyorskiego „Telegramu" ogłosił, że członkowie Komitetu pobierają od każdego ochotnika po sto franków... A ponieważ potrzeba mu było argumentu, więc dodał sobie, kpiąc z całego świata, że ... że... tak twierdzi czasopismo paryskie „La Guerre Sociale". Naturalnie w Ameryce, choć większość nie uwierzyła, jednak nikt nie miał pojęcia, że na urągowisko, „La Guerre Sociale" i naczelny jej redaktor, Gustaw Hervé, pomagał Komitetowi Wolontarjuszów, okazywał serdeczną przyjaźń, no i nigdy podobnego paszkwilu by nie opublikował.

Jedni nie wierzyli Łukaszkiewiczowi, drugich przecież uderzyło, że oczywiście w tem musiał być jakiś amerykański „Job", bo któżby dobrowolnie i zadarmo chciał się trudzić tak twardym obowiązkiem, jak zbieranie ochotników!

Na paszkwile Ł. zareagowano natychmiast, lecz trzeba było długiego czasu, aby się przekonać o tendencjach Ł.,

trzeba było może lat, aby panna Zamoyska z przerażeniem dowiedziała się, że Polakom w Ameryce wyprawiła antychrysta, który drwić sobie będzie z tego, co ona uważa za treść swego życia.

W przełomowej chwili, kiedy w Komitecie Wolontarjuszów obracały się w niwecz plany i rachuby, kiedy przestano się łudzić spodziewaniem pomocy, zjawiła się nagle księżna Poniatowska, żona bankiera paryskiego, Amerykanka z pochodzenia, i zaczęła najtroskliwiej wypytywać, ileby potrzeba na pomoc dla ochotników, ile na zapomogi na ubogich, ile na robotę polityczną. W Komitecie zagadano o tysiącach, które niezawodnie spadną, skoro tak wpływowa osoba tyle okazuje zainteresowania. Nadzieje były krótkie. Rozbił je znów numer polskiego czasopisma chicagowskiego, bo przyniósł szumną odezwę księżny Poniatowskiej do Polaków w Ameryce, aby zbierali pieniądze i te pieniądze odsyłali na ręce księżny Poniatowskiej.

Odezwę tę, zredagowaną w tonie szlachetnym, przyjęło Wychodźtwo bardzo mile, no i rozumując, że księżna musi sama mieć zadość własnych środków na czynienie dobrze, ani grosza jałmużniczce nie wysłało. Centralny Komitet Ratunkowy zaś zupełnie sprawiedliwie chciał samemu rozporządzać funduszami, posiadał lepsze drogi i dokładniejsze dane, niż księżna.

W tym samym czasie, niby ostatni strzał z kołczana, Komitet Wolontarjuszów, za podpisem prezesa Związku Sokołów, wysłał do Ameryki obszerne pismo, a raczej płomienne i motywowane wezwanie do zbrojnego wystąpienia.

To pismo znów wywarło wrażenie, a nawet, jak z dowodów widać, wpłynęło na pewne kroki.

Oto, pod datą szóstego listopada, roku 1914, cenzor Związku N. P. pisze do prezesa sokołów w Paryżu:

„Co do kierunku myśli politycznej, wśród Polonii tutejszej, „ to z wyjątkiem socjalistów, opowiedziała się ona za aljantami. „Poczyniliśmy starania u ambasadorów francuskiego i angielskie- „go a również w Kanadzie, celem rzucenia legjonu na pole walki. „Francja chce legjon nasz przyjąć, żąda jednakże, byśmy sami go „wyekwipowali i uzbroili. Anglja natomiast chce dać mundury „i uzbrojenie. Dnia 10 b. m. otrzymamy ostatnie instrukcje od „rządu kanadyjskiego, po porozumieniu się z Londynem, a wów- „czas przystąpimy do mobilizowania legjonu. Sokół do dnia 10 „b. m. ma również oznaczyć liczbę ochotników, jaką ma na pierw- „szą ekspedycję do dyspozycji. Jak wielka będzie, nie wiemy. Li- „sty zapowiednie podpisało przeszło 5.000 ludzi, ilu ich się obe- „cnie oświadczy, zobaczymy".

W ośm dni później, bo pod datą 14 listopada, cenzor Związku N. P. zwiastuje nareszcie upragnioną nowinę. Wychodźtwo organizuje się, Wychodźtwo śle do Francji zastępy.

Oto dosłowna treść listu pamiętnego:

„Polski Centralny Komitet Ratunkowy, na swojem posiedze- „niu ostatniem, w dniu 11 b. m. postanowił ostatecznie wysłać „legjon do Europy, na teren walki, postanowiliśmy starać się „o wysłanie go pod sztandarami angielskiemi. W tym celu wy- „jeżdża dzisiaj deputacja, składająca się z p. Dr. Teofila Starzyń- „skiego, prezesa Sokoła, p. Jana Smulskiego, z najlepszej strony „znanego w całej Polsce obywatela z Chicago i bankiera, i mojej „osoby, do Kanady, by sprawę ostatecznie omówić z tamtejszym „rządem. Związek Sokołów przyrzekł, że sam dostarczy 4.000 lu- „dzi, czyli jeden cały pułk. Prócz tego zobowiązał się Związek „Wojsk Polskich dostarczyć 3.000 ludzi. Jest więc nadzieja, że „silny pułk na teren walki wyruszy. Istnieje jednak mała, lecz „mimo to poważna przeszkoda. Ludzi naszych w mundurach soko- „lich wysyłać nie możemy, gdyż są za lekkie i za słabe. Rząd Ka- „nadyjski, jak oświadczył p. Rogers, sekretarz robót publicznych, „również mundurów już nie posiada, brak mu również broni. Łatwo „więc nasze dobre chęci rozbić się o ten brak mogą. Polski Cen- „tralny Komitet Ratunkowy, przewidując to, postanowił, by w ta-

„kim razie wysłać delegatów wprost do Londynu, by się umówić „z tamtejszym rządem. W każdym razie dokładamy wszelkich sił, „by młodzież naszą do Francji na teren walki wysłać. Jeżeli za„biegi nasze u rządu kanadyjskiego uwieńczone będą pożądanym „skutkiem, natychmiast Szanownego Pana stamtąd telegraficznie „powiadomię. List ten otrzymałby Szanowny Pan oczywiście póź„niej".

List ten ocknął Komitet Wolontarjuszów. Znów przeżyto dni kilkanaście pełnych zadufania i radości. Nasi przybędą, a gdy przybędą, gdy będzie ich bodaj dziesięć tysięcy, sprawa nasza odrazu, z miejsca dobędzie się z odmętu i stanie przed oczyma całego świata w promieniach naszych świętych praw do niepodległości.

Tak, Wychodźtwo, w roku 1914, w listopadzie, czyniło zabiegi, chciało, pragnęło pójść za zewem Francji.

I cóż stanęło na przeszkodzie? Czyżby brak mundurów, czyżby brak zapału, brak ochotnika czy brak dość sprężystej organizacji?

Ruch ten cały ubiła trucizna intrygi, skojarzenie się agitacji z fatalnym zbiegiem okoliczności.

Fałszywe podpisy na telegramie, skargi tych pięciu młodzieńców, paszkwile, propaganda berlińska, która kłamstwami zasypywała prasę amerykańsko-żydowską i amerykańsko-niemiecką, wszystko to razem wystudziło zapał, obudziło podejrzliwość, nieufność.

Komitet Obrony Narodowej otwarcie występował, lecz z nim łatwo było sobie poradzić. O wiele trudniej było zwalczyć intrygi, a raczej nie dać wiary intrygom.

W tym czasie do Stanów zjechał był Rettinger, urzędnik Biura Rady Narodowej w Londynie. Ów Rettinger, w chwili wybuchu wojny, został pochwycony na pograniczu Francji i osadzony w więzieniu. Dobyty za wstawiennictwem się Zamoyskiego Władysława, wpadł do Paryża. Tutaj dotarł do pre-

zesa Związku Sokołów i błagał go i zaklinał, aby nie podejmował ruchu na rzecz Francji, aby utrącił cały Komitet Wolontarjuszów i zachował neutralność, jako jedynie słuszny punkt widzenia polski! Kiedy te zabiegi spełzły na niczem, Rettinger wybrał się do Stanów Zjednoczonych.

Tutaj, jak wspomnieliśmy, ekspozytura Rady Narodowej, przed samą wojną była wzmocniona objazdem naczelnego prezesa Tadeusza Cieńskiego. Ta ekspozytura zażądała subwencji dla swych agentów, więc dla Woźnickiego w Paryżu, Rettingera w Londynie, Loreta w Rzymie.

Rada Narodowa w Stanach Zjednoczonych z początku miała jakiś inny, swój własny pogląd...

Oto znów dokument, znów list Cenzora Związku z dnia 11 grudnia, 1914 roku:

> „U nas, niestety, sprawy zaczynają się wikłać. Bruździ mia- „nowicie Rada Narodowa, która koniecznie domaga się postawie- „nia na czoło naszej organizacji biskupa Kozłowskiego i przesyła- „nia wszelkich funduszy na ręce biskupów w kraju. Poza Radą „Narodową, opierają się temu żądaniu wszelkie organizacje, po- „łączone w Komitecie Centralnym Polskim, które oświadczyły, że, „pod żadnym warunkiem od Komitetu tego się nie oderwą, mimo „okazywanych w tym kierunku chęci Rady Narodowej, nie przed- „stawiającej właściwie nikogo w Ameryce“.

I tutaj należy powinszować Wychodźtwu bystrości sądu. Cóż bo stałoby się z akcją ratunkową, gdyby zbierane fundusze wyprawiono biskupom polskim, biskupom, skazanym na wpływy orjentacyjne. Któżby powinien byłby otrzymywać większe środki, większe zapomogi, czy arcybiskup warszawski, ślący hołdy do Petersburga w imieniu własnem i swej owczarni, czy też biskup Likowski, życzący z równem przejęciem zwycięstwa orężowi pruskiemu?

Rada Narodowa musiała atoli mocniej wówczas się wypowiedzieć w Komitecie Centralnym Ratunkowym, bo w dalszym ciągu tego samego, urzędowego pisma czytamy:

„Widocznie więc powiał w Radzie Narodowej jakiś inny prąd, „bo biura tejże Rady, aczkolwiek udzielaliśmy im subwencji, z wy„jątkiem p. Woźnickiego, na którego działalność pod żadnym „względem ujemnie zapatrywać się nie można, nic nie robią, a dr. „Rettinger zaczyna nawet nam być figurą podejrzaną. Pisano mi „również z Londynu i, aczkolwiek w Komitecie tamtejszym za„siada ks. Symior i inni, to jednak nie możemy do Komitetu tego „i p. Rettingera się przekonać. Dodaję, że p. Rettinger bawił tu„taj, nic właściwie nam nie przywiózłszy, natomiast zaczął w Wa„shingtonie prowadzić jakieś konszachty na własną rękę, więc „musieliśmy posłać tam p. Smulskiego, by go od nieroztropnych „może kroków powstrzymać i do powrotu do Anglji nakłonić".

Rettinger w ostatku narobił długów w Ameryce, stał się do reszty podejrzanym, naraził się szczególniej Dr. Drobińskiemu i powrócił nie do Anglji, ale do Szwajcarji, gdzie kręcił się przy obozie proaustrjackim, zawsze odgrywając rolę dyplomaty.

Pobyt Rettingera w Stanach Zjednoczonych nie był tak obojętnym i bezbarwnym, jak się zdawało przewodnikom Wychodźtwa. I z jego strony padły krople wątpliwości i on, brany długi czas na serjo, rozsiał zadość niewiary.

I oto sprawa wysłania legjonu Sokołów do Francji nagle upadła, poszła w niwecz.

Jako pierwsze objaśnienie zmiany frontu, Komitet Wolontarjuszów odebrał informację, że nikt nie wierzy kalumnjom, wypisywanym o Komitecie Wolontarjuszów, ale, ponieważ Rettinger zużył pieniądze, otrzymane na prowadzenie swego biura na awanturniczą przejadżkę do Ameryki, przeto... wyjazd emisarjusza Komitetu Wolontarjuszów jest narazie niepożądany... no i że Wydział Niepodległościowy wyasy-

gnował na jeńców Polaków z wojska pruskiego i na górników polskich we Francji sumę jednego tysiąca dolarów, lecz prosi o szczegółowy wykaz rozdawnictwa...

Było to więc, dokładniej mówiąc, zerwanie dalszej korespondencji.

Przewodnictwo Wychodźtwa nie chciało wchodzić w żadne pertraktacje z Komitetem Wolontarjuszów, sparzywszy się na Rettingerze, choć ten żadnej łączności z Komitetem nie miał.

Innemi słowy, Wychodźtwo zwątpiło, straciło w zamęcie, kłócących się ze sobą, wieści, fałszów, bajek, plotek i oszczerstw równowagę. Zasypywane ze wszystkich stron traktatami politycznemi, pismami, deklaracjami, odezwami, — cofnęło się, nie chciało pójść ani na lewo, ani na prawo, postanowiło ograniczyć się do filantropji, i czekać dalszego rozwoju wypadków.

Jeszcze pod datą 27 stycznia, roku 1915, w liście Cenzora Związku N. P. w Ameryce, do prezesa sokolstwa w Paryżu, niby ostateczne wytłumaczenie, znajduje się wzmianka oschła:

> „Co do legjonów, o które Szanowny Pan zapytuje, to musie-
> „liśmy je również narazie pogrzebać. Nigdzie nas nie chcą, ani we
> „Francji ani w Anglji. Zaś na kosztowny wydatek umunduro-
> „wania i uzbrojenia legjonu, wobec nędzy i niedoli kraju, zdaje
> „się, że nam nie wolno się ważyć. Nie wykluczone atoli, że ludzi
> „posłalibyśmy na teren walki, gdyby nam warunki lepiej ku temu
> „służyły".

Więc tu znów powtarza się trudność wynalezienia środków na zakupienie mundurów i uzbrojenia...

Musimy przyjąć, że ta przyczyna była raczej aktem grzeczności ze strony Centralnego Komitetu Ratunkowego... bo, musimy wątpić, aby Komitet ten wierzył, iż Francja lub An-

glja warunkowała przyjęcie legjonu polskiego poniesieniem kosztów na umundurowanie i uzbrojenie...

Czasy się już wówczas zmieniły. Gorączka pierwszych miesięcy wojny minęła. Mocarstwa gotowały się do długoletniej rozprawy. Układy międzypaństwowe nabrały wyrazistości. Na sprawie polskiej, na jej losach ciążyła twarda podówczas łapa cara rosyjskiego, który sam i tylko sam chciał Polskę wskrzeszać i żądał niemieszania się aljantów.

Więc to, co było względnie łatwem do osiągnięcia w sierpniu i wrześniu roku 1914, możliwem do przeprowadzenia w październiku i listopadzie, to stało się już niepodobieństwem w styczniu roku 1915.

Na legjony polskie po stronie Francji lub Anglji, na rozwinięcie polskich sztandarów na zachodzie Europy nie pozwalała już Rosja, która zresztą sama chełpiła się uformowaniem oddziału ochotników polskich.

Czyn dokonany raptownie, w przełomowej chwili pierwszych tygodni wojny, nie dałby się cofnąć, nie dałby uchylić, ponieważ się ten czyn spóźnił, przeto grzeczność polityczna miała sto sposobów, aby pozbyć się niepożądanych zastępów.

Izaliż stąd można obarczać przewodnictwo Wychodźtwa?

Bynajmniej.

Przewodnictwo to, od chwili wybuchu wojny, szukało dyrektywy, opartej na autorytecie takim, któryby dawał mu gwarancję działania w imię narodu polskiego. Wychodźtwo szukało Rządu Narodowego Polskiego, szukało powagi politycznej, więc, choć sympatje jego skłaniały się do Komitetu Wolontarjuszów, ten Komitet jednak nie dawał Wychodźtwu należytego punktu oparcia, był raczej ruchem rewolucyjnym, był tak mocną odwagą cywilną i polityczną, iż ostrożność nie pozwalała się do tego ruchu przyłączyć.

Natomiast należy raczej tutaj potępić złe działanie Komitetu Wolontarjuszów. Komitet począł się i narodził z woli

sokolstwa w zachodniej Europie. Począł się z zapału młodzieży sokolej tylko, która pociągnęła za sobą dopiero „ospałych i gnuśnych“. Owóż Komitet Wolontarjuszów nie powinien był szukać współpracy tak poważnej machiny i powolnej wskutek swej wielkości, jak Związek Narodowy Polski, lecz zwracać się nadewszystko do Sokolstwa polskiego w Ameryce, szukać pomocy w sokolstwie. Gdyby to ostatnie było świadome arkanów, gdyby z niem szła korespondencja, rezultat byłby niezawodny.

Sokolstwo w Ameryce na poryw odpowiedziałoby porywem i wiarą i zapałem, pociągnęłoby było za sobą organizacje inne, bardziej może do aktów dyplomatycznych, politycznych czy społecznych, niż do czynów zbrojnych. powołane.

Wymownem potwierdzeniem tych słów, jest pamiętny list D-ra Starzyńskiego, ówczesnego prezesa Związku Sokołów, wyprawiony już w dniu 27 października, roku 1914 do sokolstwa w Paryżu.

„Przypuszczam, że obowiązkiem Przodownictwa, — pisał dr. „Starzyński, — czy to we Francji czy w Polsce, jest przedewszystkiem zwrócić się urzędowo do sokolstwa w Ameryce, które dotychczas robiło i dziś robi robotę wojskową i które, gdy chodzi „o ochotnika, ono jedynie może go dać. Jak wyżej powiedziałem, „że dotychczas nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości ani od sokolstwa we Francji, jak również nie dały nam żadnej dyrektywy, „co czynić, Związki Sokole w Polsce. Mimo tego sami rozpoczęliśmy kroki dyplomatyczne tak z Anglją, jak również z Ambasadą Francuską w Washingtonie, w celu ułatwienia nam tworzenia „polskich legjonów w Kanadzie a następnie przewiezienia tychże „na plac boju we Francji. Naturalnie jest to robota dyplomatyczna. która się dzieje na gruncie kraju, który ogłosił neutralność w stosunku do wszystkich państw walczących, temsamem „połączona jest z rozmaitemi trudnościami międzynarodowemi „a więc, z natury rzeczy, bardzo żmudna i powolna. Dalej, dużo „przeszkadza w urzeczywistnieniu naszych zamiarów powstanie „Legjonów w Galicji, a idea których jest pilnie propagowana

„w Ameryce przez K. O. N. Wierzę jednakowoż że, mimo tych „wszystkich przeszkód, Sokolstwo Amerykańskie zrobi dobrą ro- „botę dla sprawy polskiej. Jak tylko wszystkie nasze dotychcza- „sowe kroki uwieńczone zostaną dobrym skutkiem, w tej chwili „nie omieszkam wam zakomunikować. Byłoby jednakowoż wska- „zanem, abyście Wy, jako Prezes Związku Sokolego we Francji, „odpowiedni głos zabrali do sokolstwa naszego, przedstawili nam „obszernie, jak sprawa Polski przedstawia się na szachownicy „międzynarodowej".

Komitet Wolontarjuszów jednak już był popełnił krok niefortunny, był już w korespondencji z przewodnictwem Związku Narodowego Polskiego, nie mógł przerzucać pertraktacyj, zwłaszcza, że w łonie samego Komitetu Wolontarjuszów już brakło tej jedności, która go cechowała w pierwszych tygodniach działania.

I tutaj, jak wszędy, kędy podziewali się Polacy, rozterka szarpała ludzi, wodziła na pokuszenie niewiary i niepewności i gasiła odwagę.

Nadomiar wszystkiego Komitet Wolontarjuszów nie mógł ogłosić publicznie tego najpotężniejszego ze swych argumentów, że legjony po stronie Francji, to nietylko legjony po stronie aljantów, to nietylko legjony przeciwko Austrji i Niemcom, lecz to także legjony przeciwko Rosji...

Tego argumentu Komitet Wolontarjuszów użyć otwarcie nie mógł, bo ten argument zmusiłby władze francuskie do zamknięcia Komitetu Wolontarjuszów, do skasowania organizacji, manifestującej wrogie zamiary względem walczącego, obok Francji, mocarstwa.

A przecież ten właśnie jeden argument zdziałałby więcej aniżeli wszystkie zaklęcia słane do Wychodźtwa!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KURCZENIE SIĘ KOMITETU WOLONTARJUSZÓW. — JEGO DALSZA DZIAŁALNOŚĆ. — LOSY POLSKICH OCHOTNIKÓW. — PIERWSZY SZTANDAR POLSKI I JEGO DZIEJE POCZĄTKOWE. — LISTA BAJOŃCZYKÓW. — NASI W OKOPACH. — ZGON PORUCZNIKA MAXA DOUMICA. — POLACY W WOJSKU NIEMIECKIEM. — POMYSŁ WOLONTARJUSZÓW. — ZGON WŁADYSŁAWA SZUYSKIEGO. — SZTUKA I HISTORJA, CZYLI DWIE OSTATECZNOŚCI. — PIERWSZA LISTA POLEGŁYCH. — NIEDOLA RUEILCZYKÓW. — PODEJRZANI OCHOTNICY. — INTERWENCJA JERZEGO CLEMENCEAU. — ZAPEWNIENIA PUŁKOWNIKA METZA. — MATERJALNE WARUNKI OCHOTNIKÓW. — PIERWSI DOBROCZYŃCY I CI NAJMNIEJ SPODZIEWANI.

Komitet Wolontarjuszów Polskich w Paryżu, po zorganizowaniu i wyprawieniu oddziałów, po gorączkowej pracy w pierwszych tygodniach i po rozwianiu się nadziei, pokładanych w przyjeździe ochotników z Ameryki, zaczął raptownie kurczyć się, podupadać.

Jak nadmieniliśmy, z pośród sześciu członków, istotnie ubył już był Jan Danysz. Niebawem ubył drugi, a raczej po naradzie, został przebalotowany, był nim Bronisławski. Osoba tego, skądinąd bardzo ruchliwego i zabiegliwego człowieka, była niepożądana. Bronisławski nosił był dawniej nazwisko Handelsman i był bratem rodzonym, lekarza Bronisławskiego-Handelsmana, który onego czasu miał fatalne zajście z rosyjską ochraną i tropionymi przez nią „socjalistami“ polskimi, stał się bowiem przyczyną samobójstwa jednego ze ściganych przez

Moskali Polaków, według obszernej relacji „Przedświtu“. Więc choć brat za brata odpowiedzialnym nie był, ten wzgląd atoli, obok usterek osobistych Bolesława Bronisławskiego, zaważył i spowodował pismo czterech członków Komitetu Wolontarjuszów, oświadczające, że Br. uważają za nienależącego do ich grona.

Stało się to w listopadzie roku 1914. Komitet Wolontarjuszów składali więc dalej tylko Gąsiorowski, Dr. Motz, Kozakiewicz i Szawklis, mając, jako współpracownika, gorliwego, choć nie uznanego, Derezińskiego.

Pomimo tego podupadania, tracenia na popularności, wobec silnej agitacji przeciwko wolontarjuszom wogóle, Komitet jednak, po chwilowym zastoju, znów rozwinął się i to bardzo szybko. Zawdzięczał to swej początkowej śmiałości i odwadze, oraz zaufaniu władz francuskich. Komitet teraz już oficjalnie był powołany do sprawdzania polskości, a więc pośrednio do wydawania dokumentów łojalności względem Francji i tem samem dokumentów, uwalniających z obozów koncentracyjnych Polaków, poddanych niemieckich i austrjackich, co więcej, chroniących przed sekwestrem majątkowym...

Była to praca, grożąca ciągle odpowiedzialnością. Trzeba było z jednej strony wyszukiwać Polaków po obozach koncentracyjnych, badać nadsyłane podania, a równocześnie bronić się przed napływem podejrzanych osobistości.

Z przywilejów, które rząd francuski przyznał, na skutek petycji i wystąpień Komitetu Wolontarjuszów chcieli korzystać nawet ludzie, nic nie mający wspólnego z polskością.

Przywileje te zaś były wielkie. Nadewszystko traktowanie narówni z obywatelami państw zaprzyjaźnionych, więc swoboda całkowita pracy, handlu, ruchów, dalej prawo do moratorjum komornianego i nakoniec ochrona przed niebezpieczną, czasu wojny, podejrzliwością.

Te atrybucje zmuszały tysiące całe do zgłaszania się do Komitetu Wolontarjuszów. Tysiące ludzi, interwencji Komitetu miało do zawdzięczenia uwolnienie z obozu, dobycie się z matni, która ich więziła razem z Niemcami, Węgrami, Austrjakami, Turkami. Lecz zarazem te atrybucje narażały Komitet Wolontarjuszów na ciągłe niebezpieczeństwo.

Liczba Polaków odrazu wzrosła... Do polskości zaczęli się przyznawać ludzie, nic z nią nie mający wspólnego. Nietylko obcy człek, który się przypadkiem urodził pod Lwowem chciał korzystać z przywilejów, ale i ten, który pochodził z Wrocławia. Policja śledziła pilnie i badała świadectwa Komitetu Wolontarjuszów i gotowa była nie darować najmniejszego uchybienia.

Dość tutaj powiedzieć, że przez biura Komitetu Wolontarjuszów, przesunęli się nawet bohaterowie późniejszych szpiegowskich procesów, w rodzaju słynnego Marguliesa, który, niby to będąc Belgijczykiem, chciał skorzystać z polskiego świadectwa.

Dobry duch czuwał nad Komitetem Wolontarjuszów. Dobrym tym duchem był niezawodnie Dereziński, który, jak rzekliśmy, choć nie mając tytułu członka Komitetu, pilnie strzegł sumienności i zwalczał protekcjonizm, który z początku usiłował się wkradać.

Ten dział pracy Komitetu Wolontarjuszów trwał, bez przerwy aż do roku 1918... Wielu bowiem, bardzo wielu Polaków, zaskoczonych przez wojnę we Francji, porozrzucanych po prowincji, nie miało wyobrażenia przez długi czas, że istnieje w Paryżu organizacja polska, że ta organizacja upomni się o nich i dobędzie z opresji.

Lecz już w końcu roku 1914, nawet w łonie tych kilku członków Komitetu Wolontarjuszów zaczął objawiać się pewien rozdźwięk, co do sposobu traktowania świadectw. Jedni rozumieli, że najmniejsze uchybienie mogło zamienić się

w klęskę dla ogółu Polaków, że mogło oddać ich poprostu w ręce policji, skazać na wyrokowanie rosyjskiej ambasady, — drudzy radzi byli każdemu, nawet nie mówiącemu po polsku, wydawać patent na polskość.

Te, zresztą nie tak wielkie, kwasy wewnętrzne, zaostrzyła raptownie polityka, orjentacja.

Do Paryża trafili już wysłańcy i z Galicji i z Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce. Robota paszkwilowa zwolenników proaustrjackiej polityki działała ustawicznie. Tak zwana „trzecia partja polska“ to jest ci, którzy nie czynili nic a bali się wszystkiego, biadała nad zmarnowaniem kwiatu młodzieży polskiej w Legji Cudzoziemskiej, Komitet Wolontarjuszów zwała „krwawym komitetem“. Cała więc robota wolontarska stała się niepopularną.

W tym czasie Dr. Motz, który, co trzeba zaznaczyć, oburzony na paszkwile, wypisywane przez organy K. O. N. w Ameryce, wystąpił ostro, na szpaltach „Dziennika Związkowego“ (Nr. 38, z dnia 15 lutego, 1915) przeciwko łajdactwu i nikczemności oszczerców, — owóż w tym czasie dr. Motz powziął był intencję zawiązania organizacji politycznej polskiej. W tej myśli odbyły się narady Motza, Kozakiewicza i Gąsiorowskiego. Dygnitarze emigracji Gałęzowski i Gasztowtt zrobili swój akces i Komitet Wolnej Polski został zawiązany. Po pierwszem atoli zebraniu, Gąsiorowski zgłosił swoją dymisję. Uczynił to dlatego, że nowozałożony Komitet, choć zasadniczo słusznym hołdujący hasłom, był w istocie tylko narzędziem w ręku d-ra Motza, którego Gąsiorowski cenił, lecz z którym, pod względem metod działania się nie zgadzał.

Wystąpienie Gąsiorowskiego z Komitetu Wolnej Polski, odrazu zmniejszyło faktycznie Komitet Wolontarjuszów. Motz i Kozakiewicz więcej się do Komitetu tego nie mieszali. I dokładnie od kwietnia roku 1915.

Komitet Wolontarjuszów tworzyli odtąd i do ostatka tylko Gąsiorowski, Dereziński, jako ochotnik zapamiętały, i Antoni Szawklis, prezes gniazda paryskiego, człowiek wielkiej zacności, ale ulegający nazbyt często podmuchom zewnętrznych wpływów, a więc niekiedy na całe tygodnie usuwający się na stronę...

Sytuacja Komitetu Wolontarjuszów stała się przeto nadzwyczaj drażliwą. Władze francuskie dokładnie wiedziały, że Komitet reprezentuje dwu tylko ludzi, że dwu ludzi występuje w imieniu całej idei, nie posiadając za sobą tej gromady, którą miał naprzykład Komitet Wolontarjuszów Czeskich lub Rumuńskich.

Władze francuskie jednak pozostawiły ten osobliwy „Komitet“ w spokoju, nie odmówiły mu zaufania, wiedząc doskonale, że ci odosobnieni ludzie pracują bezpłatnie, że dokładają sami do swej pracy i że hasłem ich jest bezwzględne przywiązanie do Francji, pomimo aljansu, pomimo Rosji.

Na Komitet Wolontarjuszów nadciągały skargi i denucjacje, Komitet Wolontarjuszów różni politykomani bagatelizowoli, dowodzili Francuzom, żeć to są tylko jednostki, żeć to ludzie wystrychnięci przypadkiem. Po denuncjacjach, po skargach szły śledztwa tajne, szpiegowanie policyjne każdego kroku, każdego ruchu tych osobliwych dygnitarzy z Komitetu i w rezultacie „dygnitarze“ trwali na stanowisku nietknięci. Na ulicy Notre Dame de Lorette, a później na ulicy sąsiedniej, La Bruyère, działał więc Komitet Wolontarjuszów i cały konsulat polski, który występował do władz, do sądów, do prefektów i który, przy każdej sposobności, upominał się o polskość i Polaków. Memorjały szły ciągle, szły listy i petycje i ciągle i coraz większy osiągały skutek.

Główną troską i główną myślą tego Komitetu byli wolontarjusze, byli Polacy, rozrzuceni, rozproszeni po różnych pułkach i oddziałach Armji Francuskiej.

Liczba ochotników Polaków, pod koniec roku 1914, dochodziła już tysiąca. Mnóstwo bowiem całe rodaków, odpowiadając na wezwania Komitetu Wolontarjuszów, zaciągnęło się i zaciągało dalej. Mnóstwo szło do Legji Cudzoziemskiej, mnóstwo zbiegało się z różnych stron świata nawet.

Bywały w tym razie przypadki zgoła osobliwe. Oto, naprzykład, wycieczka kilku młodzieńców, która z Brazylji wybrała się w podróż naokoło świata, znalazła się raptem w Bajonnie, w oddziale pierwszym naszych wolontarjuszów. Wycieczkę tę składali: Władysław Wyrożębski, jeden z najtęższych naszych ochotników, Aleksander Świrski i Wieńczysław Piotrowski.

Krom ochotników, setki Polaków, dostało się do pułków francuskich, jako obywatele francuscy, bądź, jako poddani rosyjscy, którzy odpowiedzieli na manifest o mobilizacji konsulatu rosyjskiego.

Komitet Wolontarjuszów teraz więc jął szukać nazwisk polskich, wykrywać ślady polskiego imienia, polskiego męztwa, polskiego poświęcenia i ogłaszać je i publikować i szukać odzewu u opinji francuskiej.

Tymczasem relacje bliskie z oddziałami ochotników wzrastały. Nowiny od nich, z początku ociężałe, nadchodziły coraz dokładniejsze i donioślejsze.

Bajończycy w Bajonnie sprawiali się dobrze. Po pierwszych tygodniach bardzo dla nich przykrych, z powodu nasłania im na instruktorów sierżantów z Legji Cudzoziemskiej, ludzi nawykłych do utrzymywania w karności awanturników i drapichrustów z całego świata a nadto z powodu braku należytego zaopatrzenia, nastąpiło pewne uspokojenie, przyzwyczajenie do nowego życia.

Bajończycy tworzyli drugą kompanję bataljonu litera C. Kompanja ta była prawie całkowicie polska. A ponieważ między ochotnikami znajdowali się aż dwaj byli legjoniści,

jak Malcz i Rodzyński, tedy szybko i pierwsze galony na Polaków zaczęły spadać, ku czemu niemało przyczyniła się okoliczność, że wielu było śród nich młodzieńców wykształconych, jak Chociński, Rotwand, Włodzimierz Szaniawski, lub też obytych światowo i mówiących po francusku.

Sercem tej gromadki był wszakże ciągle Władysław Szuyski, stary sokół, zacięty w postanowieniu swem wolontarskiem i filozofją swą strofujący młodzież. On to zjechał był jako chorąży tego przygodnego, bawełnianego sztandaru i on nosił się z myślą, aby znak orła białego w godniejszą szatę przybrać. Młodzież nasza porobiła znajomości w Bajonnie, natrafiła na wrażliwość właścicielki magazynu wyrobów hafciarskich, p. Berrogain. Dunikowski, artysta rzeźbiarz, który chwilowo był „Bajończykiem“, naszkicował stylizowanego, modernistycznego orła bez korony i sztandar prawdziwy, jedwabny się narodził.

Oczywiście mowy być nie mogło nawet, aby tak sporządzony sztandar mógł uzyskać urzędową sankcję władz wojskowych. Na to potrzeba byłoby conajmniej wymiany not dyplomatycznych między wszystkimi aljantami. Lecz powolność francuska dla imienia polskiego i notom dała radę.

Odbyło się poświęcenie uroczyste tego sztandaru w miejscowym kościele. Naturalnie, broń Boże, nie oficjalne. Oficerowie francuscy, juści zupełnie przypadkiem byli także w kościele i nie widzieli nawet... że ksiądz tam, przed ołtarzem, odprawia nad rozwiniętym sztandarem polskim jakąś niezwykłą ceremonję.

Miejscowe czasopismo „Le Courrier“, w numerze z dnia 17 września i następnych rozpisało się szeroko o sztandarze ochotników polskich, lecz z władz wojskowych nikt o tem nic nie wiedział, nawet dowództwo kompanji, nawet porucznik Doumic! Sztandar poszedł sobie do koszar drugiej kompanji. Tu, drzewce przytroczono do furgonu, a sztandar zawinięto

w ceratkę i załadowano do tornistra Szuyskiego. Odtąd Szuyski dźwigał na sobie sztandar, a żartującym z tego ukrycia godła polskiego, powtarzał:

— Orzeł nasz nie żaba jeno ptak. Niech no raz spróbuje powietrza, zobaczycie, że się przyzwyczai.

A jeżeli słyszał narzekania na zniechęcenie, mawiał:

— Patrz, kolego, na mój tornister!... Sztandar polski jest, więc Francuzem nie zostaniesz!

Wielka sympatja otaczała wolontarjuszów polskich w Bajonnie. Dowody tej sympatji powiększała gromadka tam osiadłych w sąsiedniem Biarritz Polaków. Między nimi bytował tem sędziwy, szlachetny typ dziwaka, w osobie księcia Sapiehy. Ten rozrzewniał się nad naszą młodzieżą, ogłaszał ulotne pisma im poświęcone, splatał w nich bohaterską przeszłość, a w ostatku, kosztowny zegarek złoty, osobliwość wielką, złożył dowódcy okręgu wojskowego z tem, że ma być doręczony najdzielniejszemu z tej garści Polaków...

Władze wojskowe tymczasem przeprowadziły ponowną rewizję spisów wolontarskich, lekarską i, że tak powiemy, polityczną. Lekarska rewizja usunęła szereg ochotników słabych lub za takich się podających. Uwolniono ze służby wielu, między innymi artystę rzeźbiarza, Dunikowskiego, którego służba wojskowa skończyła się w Bajonnie na szkicu do sztandaru i na wykonaniu popiersia wyższego oficera. Innych dotknęła, z własnej ich woli, tak zwana rewizja polityczna. Francja zaczęła brać pod uwagę niebezpieczeństwo spotkania się w boju dwu, pochodzących z tego samego kraju, żołnierzy. Zapytywano więc ochotników, kto woli uniknąć rozterki i kto woli, zamiast do Francji na plac boju, podążyć do Afryki i tam pełnić służbę kolonjalną. Z Polaków lub za takich się podających, wyjechało zgórą dwudziestu kilku. Liczba tedy Bajończyków się skurczyła. Ubyła ich gromada cała.

Według dokładnej listy, sporządzonej w Bajonnie, przed wyjazdem na front, w drugiej kompanji, bataljonu„C“ Legji Cudzoziemskiej znajdowali się następujący ochotnicy-Połacy:

Jan Garbowski, lekarz bataljonu, Leon Hufnagel, główny lekarz bataljonu, Lucjan Malcz, sierżant, Jan Rotwand, sierżant-major, Henryk Chociński, kapral-furjer, dalej w randze kaprali: Jarosławski, Jerzy Kijewski, Roman Rembelski, Rodzyński, Rusz, Szaniawski Włodzimierz, Terlikowski, jako żołnierze pierwszej klasy: D'Abancourt, Gula, Konecki, Lumbée, Małach, Putowski, Sobański, Szuyski, Szurig, Tenenbaum, Weinberg. A nadto szeregowi: Adamski, Artman, Banach, Baranowski, Baryła, Batkiewicz, Bertman, Bilażewski, Biernawski, Błaszczyński, Brauman, Buczyński, Budziński, Bulkiewicz, Chlebicki, Chmiel, Chwat, Dąbrowski Antoni, Dąbrowski Teofil, Dąbrowski Władysław, Dulski, Dziduch, Filipowicz, Fleiszer, Frenkel, Gałązka, Gawroński, Gembicki, Girze, Golcz, Goldberg, Grabowski, Gruszka, Gryza, Hercberg, Himner, Jaceko, Jarmułowicz, Joel, Kaizer, Kamiński Stanisław, przybyły ze środkowej Ameryki, z Costa Rici, — Kaniewski, Kantorek (alias Helle), Kieliszek, Klimas, Kluska, Konieczny, Kostrzewa, Kowalczyk Jan, Kozierowski, Kulągowski Władysław, Kimmel, Kwiecień, Laks, Laskowski, Lewin, Ławryniuk, Liszewski Jan, Liszkowski Wacław, Migdał, Morawski, Morgiewicz, Nieberny, Nowak Antoni, Obst, Osecki, Ossowski Stefan, Palczewski, Pelczarski, Pełka, Piechociński, Piotrowski Wacław, Przescang, Rappaport Jan, Raszewski, Ratuld Andrzej, Rodin, Romanowicz, Roza, Rządkowski, Schoenherz, Sierchard, Sikora Andrzej, Silbiger, Sowiński Ludwik, Sowiński Władysław, Starko Jan, Steinkeller, Strubiński, Suzin, Świrski Aleksander, Szembek Józef, Szpunar Hipolit, Szymański Leon, Trzebiatowski Kazimierz, Waligóra, Walter Stefan, Warnicki, Widawski, Więckowski Władysław, Więcławik, Wielowiejski, Winiarski Longinus, Wiweger Ed-

ward, Wyrożębski Władysław, Wysocki Stanisław, Zawieja Franciszek, Żbikowski Szczepan, Żółtowski Stanisław, Zuckier i Żyznowski.

Instrukcja Bajończyków trwała tak samo długo, jak Rueilczyków, około dwu miesięcy z okładem. W pierwszych dniach listopada nasi ochotnicy znaleźli się już w okopach.

Była to chwila bezruchu jesiennego na froncie. Po pamiętnej bitwie nad Marną, wojska walczące gotowały się do zimowego legowiska, umacniały swe pozycje. Dwie linje transzy trwały naprzeciw siebie, psując mnóstwo ładunków i prowadząc zapamiętałą walkę wycieczkową, raczej wywiadowczą niż napastniczą.

Bajończycy zajęli po raz pierwszy okopy z całym impetem swego wolontarskiego animuszu. Niemal natychmiast zaczęli sypać ze strzelnic w transzach kulami. Transze niemieckie zaczęły na strzały strzałami odpowiadać. Nasi ochotnicy nie odstępowali strzelnic. Była to nieostrożność, brak wyrobienia żołnierskiego i było to niepożyteczne narażanie życia i marnowanie ładunków.

Porucznik Max Doumic, dowódca Bajończyków, artysta-architekt, człek już podeszły wiekiem, widząc, co się dzieje, ruszył sam do transzy i, idąc, powstrzymywał zapał naszych wolontarjuszów.

Doumic polubił był swoją kompanję zuchów i patrjotów polskich i nawzajem był przez swych żołnierzy lubiany.

Otóż, kiedy był tak gromił strzelecki impet, natrafił był na uparciucha, który, stojąc w otworze strzelnicy i narażając się na niechybną śmierć, sypał kule do przeciwległych otworów w transzach niemieckich.

Porucznik Doumic sfukał młodzieńca.

— Nie pokazuj się, chwycą cię na cel i po tobie! Usuń się na bok!...

Żołnierz usunął się posłusznie. Kula przeznaczona dlań gwizdnęła i powaliła trupem porucznika Doumica...

Śmierć Doumica okryła żałobą całą kompanję.

Doumic był również ochotnikiem, pomimo pięćdziesięciu i dwu lat podał się na służbę czynną, sam był wybitnym artystą i był bratem rodzonym członka Akademji. W listach swych do brata złożył świadectwo swej „polskiej kompanji" jak można najlepsze. Zgon Doumica rozległ się więc szerokiem echem. Po raz pierwszy zagadano o „oddziale polskich ochotników".

Niebawem wszakże oddział ten miał się okryć poraz drugi żałobą.

Francuskie władze wojskowe, nietylko, że w pierwszych dniach wojny nakazały samorzutnie zwracać uwagę na jeńców-Polaków z wojska niemieckiego, lecz coraz usilniej szukały w szeregach niemieckich Polaków. Miały potemu poważne racje. Ród „Bartków-Zwycięzców" jakby wyginął! Polacy, zaszyci w niemieckie mundury zaczęli składać dowody, że przeciwko Francuzom iść nie chcą. Z rozmaitych punktów frontu sygnalizowano ucieczki Polaków z wojska niemieckiego do Francuzów.

Już w czasie bitwy nad Marną całe gromady Polaków przechodziły do Francuzów i to przechodziły dobrowolnie, nie przymuszone wcale.

Kroniki wojenne pierwszych dni odrazu stwierdzały fakty, w których poważniejsze liczbą gromadki Polaków, korzystając z chwili zamętu, podczas cofania się niemieckich wojsk, poprostu goniły rozproszone oddziałki Francuzów, goniły, aby się poddać. Sygnalizowano przypadek, gdzie „wzięci do niewoli" Polacy, żołnierze niemieccy, zeznali przy badaniu, że przed wyruszeniem na wojnę zaprzysięgli sobie, że ani jednego nie zabiją Francuza!

Te wieści jednały sympatje polskiemu imieniowi, ale równocześnie skłoniły władze wojskowe do odpowiedniego działania. Aeroplany francuskie sypały na zastępy niemieckie odezwy do Polaków, rozrzucano ciągle proklamacje w języku polskim i starano się w ten sposób podtrzymać żywiołowy ruch ludu polskiego.

Coś około dwudziestego drugiego listopada, stojący w okopach pięćdziesiąty pułk piechoty francuskiej, powziął był wiadomość. że w przeciwległych transzach znajduje się oddział niemiecki, składający się w przeważnej liczbie z Polaków.

Ponieważ pułk ten sąsiadował z Legją Cudzoziemską, tedy nowina ta przedostała się do oddziału polskiego. Wówczas Szuyski z Malczem, zelektryzowani tem, po naradzie z kolegami, wystąpili z podaniem do swego komendanta, aby ochotnikom Polakom wolno było nawiązać z rodakami z transzy niemieckich rozmowę i w ten sposób skłonić ich do przejścia na stronę Francuzów.

Był to pomysł niezwykły i śmiały. Po kilku dniach, dowódca czwartej armji francuskiej pozwolenia udzielił.

Wyprawę przygotowano natychmiast. Wydelegowano do transzy 50 pułku piechoty pół sekcji ochotników razem z Malczem i Szuyskim na czele.

W 50 pułku naszych wolontarjuszów przyjął serdecznie pułkownik. Dwa dni minęło na wyborze miejsca. Wreszcie polski oddziałek poprowadzono na wysuniętą pozycję, w pobliżu okopów 100-nego pułku francuskiego. Tutaj nasi się wsunęli do okopów i, gdy zmierzch zapadł, próbowali nawiązać rozmowę. Kiedy ta nie szła, zaczęli śpiewać polskie pieśni. „Rotę“ Konopnickiej, „Boże coś Polskę“, wreszcie „Warszawiankę“ i w ostatku krakowiaki, ułożone naprędce przez Szuyskiego, a okolicznościowo tłumaczące Rodakom,

aby przyszli wszyscy, do swoich przyszli, gdzie serdeczne ich czeka przyjęcie.

Kiedy ucichły pieśni, Malcz wziął tubę i woła w stronę nieprzyjacielskich okopów:

— Czy słyszycie?

Po chwili okopy nieprzyjacielskie odpowiadają:

— Słyszymy!

— Jest tu nas cała kompanja polska. A was tam jest dużo?

— Jest nas cała kupa!

— Chodźcie do nas, nic wam się nie stanie, przyjmiemy was serdecznie... Tu sami Polacy!...

— Nieprawda!

— Na dowód, żeśmy Polacy, pokażemy wam jutro, za dnia, nasz polski sztandar... bo dziś ciemno...

— Dobrze, prosimy!

— Czy rozumiecie?

— Tak. — Dobranoc. — Nie pozwalają nam mówić...

Na tem się skończyła ta pierwsza historyczna rozmowa Polaków z Polakami.

Ta rozmowa przecież wywarła piorunujące wrażenie na sztaby francuskie.

Tej samej nocy, o godzinie dziesiątej, z rozkazu generała dowódcy drugiej armji francuskiej, rozległy się salwy armatnie na uczczenie zwycięstwa Rosjan pod Łodzią, a po tych salwach front francuski zabrzmiał okrzykami: Vive La Russie, Vive La Pologne, Vive La France!

Armja francuska, działo się to w nocy z dnia 27 na 28 listopada, roku 1914, wiwatowała na cześć Polski.

Nazajutrz, skoro świt, ponad okopami, kędy krył się oddział polskich ochotników, powiał sztandar Bajończyków, sztandar dobyty z tornistra Szuyskiego! Malcz zaczął mówić przez tubę. Kule zaczęły gwizdać. Oddział przesunął się w bok, na inne miejsce. Tutaj, naraz, z ponad okopów niemieckich,

wychynął szary cień żołnierza, dającego znaki czapką w dal... Oddział zrozumiał, że Polaków odsunięto. Pociągnął więc dalej okopami w bok. Sztandar polski znów załopotał na wietrze. Lecz w tejże samej chwili gruchnęła salwa karabinowa... Szuyski, widząc, że mu kule zbytnio dziurawią ukochanego orła, dźwignął się, aby sztandar zwinąć. W tej samej chwili zagrzmiała druga salwa, Szuyski runął na wznak. Zdradziecka kula przeszyła mu głowę na wylot.

Tak zginął pierwszy chorąży Bajończyków, twórca pierwszego znaku polskiego po stronie francuskiej.

Pogrzeb, poległego w tak niezwykłych warunkach, Władysława Szuyskiego, zamienił się w podniosłą manifestację. W pogrzebie wzięli udział oficerowie i żołnierze pułków 50 i 100 piechoty i generał brygady, składając hołd ochotnikowi i chorążemu polskiemu.

Zgon Szuyskiego był wielką stratą dla Bajończyków. Ubył im dobry duch sokoła i patrjoty, ubył człek poważny, wykształcony, przejęty do głębi tradycjami historycznemi.

Po śmierci Szuyskiego, „chorążostwo" stało się niejako już uświęconą godnością. Nastąpiły wybory, i to wybory pełne zabiegów i starań. Większość otrzymał Jan Sobański i ten zkolei, po powrocie do Legji, załadował do swego tornistra sztandar Bajończyków...

Cały ten epizod zresztą miał w następstwie swój poważny wpływ, bodaj z racji „cytacji" Szuyskiego w rozkazie dziennym, cytacji może błędnej w założeniu swem, lecz niemniej doniosłej, bo mówiącej dosłownie:

„Patrjota polski poległ chwalebnie, zatykając na okopach niemieckich sztandar odradzającej się Polski".

Wszystkie te szczegóły podajemy tutaj według nadesłanego nam, pod datą 23 listopada roku 1915, pisma podpułkownika Payerne, dowódcy 50 pułku piechoty francuskiej

oraz zeznań, poczynionych przez wolontarjuszów, a szczególniej Wielowiejskiego i Jana Kozierowskiego.

Tuż po zgonie Szuyskiego, do Paryża nadeszły relacje inne. Żyłka żołnierska do koloryzacji, do upiększania i ozdabiania wydarzeń wojennych po raz pierwszy objawiła się wyraźniej śród naszych ochotników...

Relacja pierwsza ani słówkiem nie wspomniała o tem, jak istotnie poległ Władysław Szuyski, lecz zagadała odrazu o ataku na bagnety, o wściekłej bijatyce, jakby prawdziwy epizod nie był w samej rzeczy dramatyczniejszym, podnioślejszym.

Stąd w Paryżu urosła legenda o jakiejś zajadłej rozprawie na bagnety, na czele której biegł polski chorąży. Z legendy tej pierwszej, bezkrytycznej odrazu poczerpnął pomysł Jan Styka i namalował obraz, dość znany, bo reprodukowany a ochrzczony nazwą „Śmierć Szuyskiego“. Sztuka w ten sposób jeszcze raz sfałszowała historję.

Na obrazie Jana Styki, Szuyski z rozwiniętym sztandarem w jednym ręku a w drugiem z pałaszem, niby prawdziwy chorąży pułkowy, którym Szuyski nie był, — porywa za sobą oddział idących do ataku na bagnety Bajończyków.

Zresztą wogóle, zarówno w piśmie, jak i w malarstwie, wojna ostatnia wielokrotnie w podobny sposób była opowiadana. Historja często wyglądała w oświetleniu prawdy inaczej, niż w opowieści, w koloryzacji ustnej, czy malarskiej.

Lecz w tych pierwszych już miesiącach wogóle nie brakło ofiar polskich, które po stronie Francji życiem swem zdobywały szacunek dla imienia polskiego.

Pierwsze rozprawy z Niemcami notują bohaterskiego kanoniera, niejakiego Lewickiego, który pod Schirmek, mając urwane ramię i obie nogi, przed skonem błagał, aby mu wolno było raz jeszcze wycelować z armaty i który jeszcze zadał cios śmiertelny gromadzie Niemców i skonał.

A dalej już dzień za dniem przynosił nowiny o poległych Polakach. Byli to z początku Polacy, przeważnie obywatele francuscy, niemniej tacy, którzy polskość swą na pierwszem stawiali miejscu.

Więc kolejno padli: Ludwik Plauszewski, artysta malarz, Michał Świetliński, były uczeń Polskiej Szkoły Batignollskiej, Seweryn Kaszowski, Marceli Obalski, Marjan Hulewicz, znów były uczeń Szkoły Polskiej. Leon Budziński, lekarz Mackiewicz, Jan Danysz, młody uczony syn byłego członka Komitetu Wolontarjuszów, Lucjan Poczobut, znów były uczeń Polskiej Szkoły. Sokołowski jubiler, i dwaj pierwsi sokoli polscy-górnicy Ładocha Jan i Gulasa, obaj górnicy z Gniazda Berlin.

Lista tych ofiar rośnie ciągle, powiększa się. Przybywa już rannych, przybywa kalek, w Paryżu ukazuje się pierwszy nieszczęsny ślepiec-ochotnik, Franciszek Różycki, ozdobiony medalem wojskowym, lecz na dozgonne skazany ciemności.

Kronika żałobna zapisuje dalej śmierć kapitana Marcelego Stempowskiego, zgon chwalebny Emila Strządały, wolontarjusza drugiego oddziału, znów górnika i sokoła, Emila Piątka, zawsze wolontarjusza drugiego oddziału Rueilczyków i jeszcze z tegoż oddziału Teodora Modrzejewskiego. Piątek był poznańczykiem, pochodził z Dusznik, na wojnę wyrwał się z Londynu. Modrzejewski był rodem z Królestwa Polskiego, z pod Aleksandrowa.

Drugi oddział ochotników, tych Rueilczyków, zaczyna wogóle ponosić dotkliwe straty. Straty tem boleśniejsze, że ochotnicy tego oddziału są zmieszani, porozrzucani po kompanjach, że, pomimo okoliczności, iż zaciągi wolontarjuszów z innych miast olbrzymio liczbę Polaków powiększyły, nie mogą dobyć się ponad równię różnojęzycznego legjonu. To rozproszenie ich czyni, że nie wiedzą nawzajem o sobie, że nie mogą sobie nieść pomocy, że nie mogą się upominać o swe prawa narodowe.

Bajończycy, wobec Rueilczyków, są jakby wybrańcami. Są gromadką, są zastępem, który raz po raz wybija się, zwraca na siebie uwagę, Rueilczycy i z nimi setki całe ochotników z Tuluzy, Avignonu, Marsyłji, Orleanu, składają hekatomby krwawe i składać je będą podobno nawet wówczas, kiedy hardych Bajończyków losy po świecie szerokim rozgonią.

Z Rueilczyków polegli dalej: Antoni Masierek, Mieczysław Kohn, Piotr Dąbrowski, Pazdryk i Paprzycki, ci dwaj ostatni w Marokku.

Rannych i to ciężko przybywało i to nietylko na froncie we Francji, lecz i pod Dardanellami i w Oranie i w marokańskich puszczach i górach.

Bardzo starannie prowadzone wciąż kontrole i spisy Komitetu Wolontarjuszów, ogłaszane stale w „Polonii" paryskiej, w tekście francuskim tego pisma, wywierały wrażenie.

Żołnierze nasi tymczasem skarżą się, cierpią. Kadry instruktorów bywają chwilami wręcz niegodziwe. Podoficerstwo nie pojmuje Polaków, nie rozumie ich, uważa ich za drapichrustów, którzy zaciągnęli się dla łyżki strawy, dla kotła i przyodziewku, ma ich za najmitów. Bywają w Legji Cudzoziemskiej nawet oficerowie niżsi, którzy, wyrośli z prostych piechurów, nie lepsi są od żołdactwa. I tym w głowie się nie mieści, aby taki młodzieniec dobrowolnie, nie przymuszony, szedł dla idei i walczył. Zresztą śród żywiołów, za podmuchem ostrożności zgóry idącej, budzi się nieufność. Zaczynają ochotników badać. Ci, którzy pochodzą z zaboru pruskiego lub z pod Austrjaka wpadają w podejrzenie.

To obejście się dolewa oliwy do ognia. Między wolontarjuszami nie brak wszak równie słabych, wątłych, wrażliwych nietylko na fizyczne trudy, lecz na moralne udręki. Wielu ma dosyć frontu francuskiego, gdzie życie żołnierskie ogranicza się zresztą jeszcze do gnicia w błocie, na chłodzie i wodzie.

W sztabach tymczasem rodzi się podejrzliwość względem niektórych „Alzatczyków“. Rutyna wojny, która zaczęła brać górę, stanęła na gruncie międzynarodowego prawa. Zagadano niebawem o tem, aby nie przyjmować na ochotników, poddanych mocarstw nieprzyjacielskich a pocichu zdecydowano się, aby tych wolontarjuszów, poddanych wrogich państw, którzy już są w szeregach, wyeliminować z frontu, przesiać i bądź pozbyć się ich, bądź wyprawić do Afryki, kędy możnaby nimi obsadzać posterunki. Tak zużytkowany ochotnik pochodzenia niemieckiego lub austrjackiego conajmniej będzie poza sferą pokus do zdrady, no i prawu międzynarodowemu stanie się zadość.

W oddziale Bajończyków tej intencji nie dotknięto wcale. Ten oddział był zwarty, pewny, polski, lecz Rueilczyków potraktowano inaczej. Oto pewnego dnia, podczas wypoczynku przed frontem, zaczęto dzielić całe kompanje na pochodzących z mocarstw zaprzyjaźnionych i na poddanych austrjackich lub niemieckich. Wielu z naszych wymigało się, skłamało wprost pochodzenie. Inni, przeciwnie, podrażnieni podejrzeniem, ani myśleli zapierać się swego rodowodu z pod Pleszowa, Kruszwicy czy Przemyśla.

Tych wszystkich „niepewnych“ rozbrojono i odesłano do Lyonu, do zakładu Legji Cudzoziemskiej. Nie obeszło się przy tem, ze strony głupoty kapralskiej i podoficerskiej, bez wyzwisk pogardliwych od „boszów“. Polacy w tej czeredzie wywiezieni doszli do ostatecznego zdenerwowania. Jeden ze śmielszych, jurny bardzo, niejaki Renardi, sierżant, polski ochotnik, zdołał z Lyonu wydostać się chytrze do Paryża i spadł, jak bomba, ze skargami do Komitetu Wolontarjuszów.

Co było czynić, gdzie szukać ratunku. Juści tylko u dygnitarzy parlamentu.

Bywalcem w Komitecie Wolontarjuszów był niejaki Urbach, który, pod pseudonimem „Rivière“, pracował w dzien-

nikach paryskich a ostatnio był redaktorem w „L'Homme Enchainé", organie Clemenceau, byłego prezesa gabinetu, trwającego wówczas w obozie zaciekłej opozycji.

Prezes Związku Sokołów ruszył z sierżantem Renardim do Clemenceau. „Tygrys", który jeszcze za tak srogiego dygnitarza uznanym nie był, zainteresował się serdecznie sprawą ochotników polskich, wyprawionych, jako podejrzanych, do Lyonu. Konferencja była długa i zawzięta. Clemenceau był członkiem Komisji Wojny w Parlamencie i całym nawet tej Komisji dostojnikiem. Przyrzekł natychmiast zareagować. Była to może dla niego jedna sposobność więcej do przyczynienia hałasu opozycyjnego.

Ponadto Komitet Wolontarjuszów wystosował natychmiast pismo z protestem do dowódcy zakładu pułkowego Legji w Lyonie.

Skutek był i to zupełnie zadawalniający.

Oto pułkownik Metz, komendant zakładu Legji, pod datą 24 kwietnia, roku 1915, za Nr. 400 wystosował do Prezesa Komitetu Wolontarjuszów (Komitet Wolontarjuszów, choć z dwu ludzi już złożony, miał jednak „prezesa", znów mianowanego przez obyczajowość francuską) pismo, w którem powiada dosłownie, co następuje:

„W odpowiedzi na list z dnia 22 kwietnia, mam honor zawiadomić, że położenie Polaków, odesłanych z Trzeciego Pułku „Marszowego było mi znane i że zająłem się ich losem. Po porozumieniu się z Panem Podpułkownikiem, dowódcą Drugiego Pułku „Marszowego, który jest zadowolony ze służby ochotników polskich, zażądałem i uzyskałem wyprawienie ich do tego oddziału, „gdzie ich rodacy zostali zgrupowani w tej samej jednostce A więc, „mogę dodać, że tym ochotnikom polskim została wymierzona satysfakcja szybka i całkowita. Żałuję jedynie tego, że sierżant „Kirsch - Renardi, otrzymawszy odemnie pozwolenie na urlop do „Paryża, pod pozorem potrzeby załatwienia spraw osobistych, „uznał za właściwe, w chwili kiedy ta sprawa była załatwiona na

„miejscu, denerwować się o nią niepotrzebnie w Paryżu i tem sa-
„mem wykazać się, jako podoficer niekarny i tem samem niego-
„dny okazanej mu przezemnie powolności. Zechciej wierzyć, Pa-
„nie Prezesie, w całą moją osobistą sympatję dla jego kraju
„i przyjmij wyrazy mego całkowitego szacunku".

Na oryginale podpisano „Metz".

List ten wymowniej od wszelkich rewelacyj stwierdza nadewszystko, że naszych ochotników wyprawiono z frontu Trzeciego Pułku Marszowego i że dopiero interwencja wróciła ich do Drugiego Pułku.

Ile w tem zdziałał Clemenceau? Niezawodnie, że wszystko. Pułkownik Metz musiał chronić powagę i oświadczyć, że Kirsch - Renardi niepotrzebnie się w to wmieszał.

Komitet Wolontarjuszów o tem wiedział, wiedział doskonale, że rozkazu odesłania z frontu podejrzanych ochotników nie wydał podpułkownik, dowódzca Trzeciego Pułku i że takiego rozkazu powaga pułkownika Metza w Lyonie cofnąć by nie mogła...

Pomimo wszystko, sierżant Kirsch - Renardi, ochotnik polski, zawinił bardzo ciężko nawet, bo ośmielił się chodzić ze skargami do senatora Clemenceau i wogóle wywołał całkowitą chryję. Juści on był winien a nie Prezes Komitetu Wolontarjuszów. No i Kirsch - Renardi musiał odpokutować. Zasadzono go najpierw do kozy, następnie odebrano mu galony sierżanta i, jako prostego już żołnierza zreformowano, zwolniono z wojska. Boć taki Renardi gotów był znów jakąś chryję wywołać i na wojskowe władze sprowadzić atak parlamentarny.

Kirsch - Renardi najmniej się o to gniewał. Zapału do wojaczki zbyt wielkiego nie żywił, najadł się dosyć żołnierki, wolał sobie znów spokojnie w Paryżu zająć się handlem, co też uczynił.

A nasi ochotnicy? — Tych część większą istotnie odesłano z powrotem na front. Powiadamy część większą, bo wielu już wprost zażądało wyprawienia ich do Afryki, może nie przeczuwając, że tam nie leże spokojne czekać ich będzie, lecz wojna w Marokku, albo wyprawa na Konstantynopol, no i że, w ostateczności, o ile „pranie“ Niemców miało dla polskich ochotników wielki sens, to mocowanie się z Turkami lub Arabami żadnego uroku.

W każdym razie to całe zajście odbiło się bardzo smutnie na usposobieniu wolontarjuszów polskich. Było wygrane przez nieprzychylnych Komitetowi i użyte jako nowe ziarno niechęci przeciwko Francji.

W czasie tych pierwszych miesięcy położenie naszych wolontarjuszów wogóle było opłakane.

Armja francuska była w tym czasie bardzo źle zaprowidowana i nieprzygotowana wcale do prowadzenia kampanji zimowej i to kampanji w okopach. Ciepłej bielizny brakło, brakło wszędy zaopatrzenia. Ludność Francji wszakże śpieszyła żołnierzom z wydatną pomocą. Nagwałt szyto i sporządzano wełniaki rozmaitego kalibru i, siako tako, wspomagano w ten sposób i magazyny wojskowe.

Żołnierz francuski w tym czasie był odziany, jak za czasów pokoju. W czerwonych chodził hajdawerach, w czerwonej kepi, w wiatrem podszytym płaszczu. Sprawiano wtedy nagwałt pokrowce perkalowe na spodnie i czapki, aby jaskrawość czerwieni przytłumić. Po fabrykach zamawiano dopiero sukno trwalsze i mniej barwne. Narazie przecież bieda była z tem wielka. A tu trzeba było nagwałt koców, kołder, nauszników, baszłyków włóczkowych i rękawic i mydła i tytuniu i mnóstwa drobiazgów. Francuzi dbali o swych ojców, braci, synów, mężów. Pomoc ich w tym kierunku była odrazu olbrzymia. Lecz któż się miał troszczyć o obcych, o nie mających najczęściej we Francji nikogo wolontarjuszów polskich?

Trzeba było więc jaknajszybciej pomyśleć o pomocy wydatnej.

Na początku miesiąca października, zawiązało się było stowarzyszenie pomocy ochotnikom naszym, lecz stowarzyszenie to nie dość energicznie działało, co więcej stanęło w opozycji w stosunku do Komitetu Wolontarjuszów. Ten ostatni więc postanowił samemu zabrać się do zbierania darów na żołnierzy. Datki początkowe były bardzo ospałe. Dość tu powiedzieć, że polska ofiarność w tym kierunku, do dnia 2 stycznia roku 1915, wykazała się sumą około jednego tysiąca franków, czyli, że nawet nie zebrano po jednym niklu amerykańskim na żołnierza! A tu z okopów napływały skargi coraz większe. Trzeba było szukać pomocy nagwałt.

Po wydaniu znów płomiennego apelu, do Komitetu Wolontarjuszów zgłosił się uroczyście ubrany pan i, zameldowawszy się do „prezesa“, posłał mu swój bilet.

Bilet wizytowy głosił dosłownie „Lieutenant - Colonel, Adam de Mokeewsky“.

Prezes był zaskoczony tą wizytą jakiegoś niezawodnie dygnitarza rosyjskiego, jak wskazywała pisownia nazwiska na bilecie.

Przybyły po cywilnemu podpułkownik odrazu zagadnął czystą polszczyzną o potrzeby naszych wolontarjuszów na froncie, ofiarowując się samemu na właściwe odcinki dowieść nieco zapasów ciepłej bielizny, mydła i tytuniu.

Raczej dla odczepienia się, aniżeli z wiary w tę niezwykłą ofiarę, zakomunikowano podpułkownikowi numery odcinków frontu, kędy znajdowali się nasi ochotnicy i adresy Malcza i Szafrańca. P. „Mokeewsky“ zastrzegł sobie zgóry tajemnicę, nie wspominanie ani słówkiem o jego wizycie, z racji swego stanowiska, no i, obudziwszy tem jeszcze większą niewiarę, zakończył odwiedziny.

Nie zajmowano się zresztą tą osobliwą wizytą, z radością zapowiedź szumną zamienionoby na dar gotówką, bodaj kilkufrankowy.

Owóż w tydzień niespełna po tych odwiedzinach, od sierżanta Malcza, od Bajończyków, i od Szafrańca z drugiego oddziału nadeszły entuzjastyczne podziękowania za niespodziewane obdarzenie ich poważnemi zapasami, które ocknęły jakąś myśl lepszą i otuchę nową.

Była to pierwsza znajomość Komitetu Wolontarjuszów z podpułkownikiem Adamem Mokiejewskim (pisząc dokładnie), który miał tak poważną rolę odegrać przy tworzeniu Armji Polskiej we Francji. Znajomość ta zresztą miała być dopiero w rok później odnowiona.

Poza pułkownikiem Mokiejewskim, prawdziwie dobrym duchem Wolontarjuszów stał się hr. Benedykt Tyszkiewicz, magnat dawnego autoramentu, patrjota gorący i niezwykle ofiarny, który opodatkował się był prawie i w kole najbliższem wywołał ruch w kierunku wysyłania „paczek“ żołnierskich, czyli stałego zaopatrywania pewnej liczby ochotników.

Nakoniec, dla sprawiedliwości, należy tutaj zaznaczyć, że bardzo wydatną pomoc zdobył Komitet Wolontarjuszów, dla żołnierzy od paryskiego Rothschilda. Może milsza byłaby w tym razie pomoc bardziej katolicka czy bardziej chrześcijańska. Ale takiej nie było. Natomiast Rothschild nadesłał, na pierwsze doń zwrócenie się, worki pełne doskonałych wyrobów wełnianych. Dał hojnie, więcej w jednym dniu niż praca setek pań polskich zdołała w dwa lata naciukać.

W tym czasie nadeszła ofiara ze strony Centralnego Komitetu Ratunkowego w Ameryce. Wynosiła ona dokładnie dolarów 1.000 czyli 5,136 franków. Do rozdziału tej ofiary powołani byli przez Wychodźtwo: Gałęzowski, Gasztowtt i Gąsiorowski. Dwaj pierwsi atoli zaprosili do siebie jeszcze dodatkowe osoby. Większość była po stronie sokolstwa. Wyzna-

czono więc część na zapomogi dla górników i te zapomogi zezwolono wydać na ręce Prezesa Związku Sokołów, pozostałemi pieniędzmi dysponowano na cele ogólne pomocy.

W rezultacie tego, górnicy otrzymali po 10 franków, nawet i po pięć franków zapomogi (!). Czyli po dolarze, po dwa dolary a nawet czasem po trzy i cztery. Było to raczej usiłowanie dokonania cudu niż ratunek dla bosych, obdartych i zbiedzonych. Zresztą ścisłość nakazuje przyznać, że i rozdawnictwo pozostałej, większej części było w takim samym kłopocie. Bo wiadomość o darze z Ameryki rozniosła się szeroko i tylko biedactwa proszącego wszędzie przysporzyło.

Było to bardzo mało, ale było to coś zawsze! Okroiło się z tego nawet naszym ochotnikom, bo kupiono dla nich wełny i wykonano sporo koszul i rękawic.

Lecz przy przesyłce tych 5,136 fr. była uwaga, że jest to dar pierwszy, że drugi nadejdzie niebawem...

O ile wiemy, drugi dar nie nadszedł już nigdy!

Centralny Komitet Ratunkowy już miał relacje wprost z Komitetem w Vevey, w Szwajcarji, a ten znów Komitet o potrzeby Polaków we Francji zaczął się troszczyć, lecz bardzo późno, raczej wówczas, kiedy samopomoc wewnętrzna była już zorganizowana, no i kiedy nadewszystko obdzieleni byli ci „nieszczęśliwi“, którzy sobie mogli spokojnie spać i pracować na neutralnej ziemi Helwetów.

Zresztą wogóle tak mocno zadzierzgnięty węzeł z Ameryką urwał się raptownie. Wszystkie relacje ustały a raczej zamieniły się w konspiracyjnego gatunku listy, słane do Wychodźtwa na pokrzyżowanie planów proaljanckich, na wznocnienie orjentacji centralnej.

Wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych prowadziło walkę, — ale walkę tylko o zasady, — oparło się na jałmużnictwie i sromało się czynnego wystąpienia. Zachowywało neutralność, patrząc sposobniejszej chwili.

Polacy we Francji a w szczególności tak jaskrawa ekspozytura, jaką był Komitet Wolontarjuszów, musiał iść dalej, musiał brnąć, musiał zabierać głos co chwila i ani razu nie wolno mu było zatrzymać się w pędzie, aby bodaj zyskać na czasie, zaczekać na rozwój wypadków...

To może było często Komitetu Wolontarjuszów klątwą, udręką, ale to miało przekuć się powoli na jego siłę, na jego autorytet, doprowadzić tam, kędy już sztandaru polskiego polski chorąży nie potrzebował w ceratę zawijać i w tornistrze trzymać.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

POLITYKA POLSKA W ROKU 1915. — KOMITET POMOCY OFIAROM WOJNY. — PIERWSZA NARADA POLITYCZNA W PARYŻU. — PORAŻKA ERAZMA PILTZA. — GRUNT IDEOWY I GRUNT POLITYCZNY. — LEKCEWAŻENIE RUCHU OCHOTNICZEGO WE FRANCJI. — KOMITET RANNYCH. — POLSKA PROPAGANDA. — ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ. — ODPRAWA OD JERZEGO CLEMENCEAU. — PIERWSZY FRANCUZ ŻĄDAJĄCY NIEPODLEGŁEJ POLSKI. — OŚWIADCZENIE STEFANA PICHONA. — OBAWA PRZED MANIFESTACJAMI POLSKIEMI. — LIST JEŻA DO CESARZA FRANCISZKA JÓZEFA. — ŚMIERĆ POMAGA WOLONTARJUSZOM. — WPŁYWY NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO. — AGENCJA SZWAJCARSKA. — ZERWANIE STOSUNKÓW MIĘDZY PARYŻEM A REPREZENTACJĄ WYCHODŹTWA W AMERYCE.

Do pierwszych dni lutego, roku 1915, zawodowa, że tak powiemy, polityka polska milczała we Francji. Śladu nigdzie nie było żadnej pracy celowej, żadnej inicjatywy. Jeżeli Wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych skarżyło się w tym czasie na całkowite zapomnienie o niem, to bardziej jeszcze mogli byli się skarżyć Polacy, bytujący na ziemi francuskiej. Tutaj trzeba było działać odrazu, tutaj, jako w państwie, biorącem udział w wojnie, każdy odruch polski, każdy znak polski miał doniosłe znaczenie. Tutaj trzeba było silniej i donioślej, niż gdzieindziej, zabiegać. Jakoż czyniono, lecz w całej tej robocie nie było ani jednego z wybitnych leaderów. W sąsiedniej, neutralnej Szwajcarji było ich całe mrowisko podobno. Genewa, Lozanna, Vevey były przepełnione Polakami

o nazwiskach politycznie czy społecznie znanych, ale tam panowało wyczekiwanie. Tam bowiem można było poglądać spokojnie, tam nie było przymusu, który we Francji, z dnia na dzień. przykładał ludziom nóż do gardła i niewolił do oświadczenia się w tę czy inną stronę.

Stąd wszystkie i nawet te conajwspanialsze hotele szwajcarskie, pośród różnojęzycznej ciżby, która tutaj schroniła się przed europejską nawałnicą, gościły bardzo wielu rodaków naszych. Więc nadewszystko paniąt i magnatów różnego autoramentu, ściągających co tchu swe kapitały, wielu wszelakiego gatunku dezerterów wszelakiego gatunku, wszelakiego gatunku dezerterów z wojsk takich czy innych i sporą liczbę polityków, rozumujących, że lada dzień, lada sekunda wojna się skończy, że niebezpieczną jest rzeczą wypowiadać się za szybko... W Polsce trzeba było popełniać błędy, trzeba było iść za prądami, za wirami, tutaj można było być bardzo mądrym, bardzo ostrożnym, bo tutaj można było nic nie czynić i milczeć.

Kiedy do Szwajcarji nadeszły wiadomości o powstaniu w Ameryce Centralnego Komitetu Ratunkowego, wówczas Erazm Piltz, znany redaktor dawnego „Kraju" petersburskiego, jeden z szefów partji ugodowej w zaborze rosyjskim, powziął myśl utworzenia w Szwajcarji wielkiego Komitetu Polskiego, któryby śpieszył z pomocą ofiarom wojny w Polsce, bez różnicy wyznania politycznego... Piltz, z właściwem sobie wyrobieniem organizacyjnem, ściągnął i skłonił do tego dzieła Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego i jałmużnika oświatowego w Polsce, mecenasa Antoniego Osuchowskiego.

Do grona tego jeszcze namówiono kilka osób wybitnych, a nie mających wiele do czynienia, i Komitet założono.

Poza celem głównym niesienia pomocy ofiarom wojny, inicjator, Piltz, miał w zanadrzu myśl założenia przy tym Komitecie biura informacyjnego, no i rozpoczęcia roboty poli-

tycznej. Komitet mógł się spodziewać znacznych funduszów, kroił na skanalizowanie sum zbieranych w Ameryce, przeto biuro informacyjne miało odrazu świetny nawet byt i rozwój zapewniony.

Henryk Sienkiewicz został powołany na prezesa, Paderewski na wiceprezesa a Piltz na sekretarza generalnego.

W tym właśnie charakterze zjechał Piltz, w pierwszej połowie lutego, do Paryża i zjechał pod pieczą Paderewskiego. Ten ostatni wówczas ulegał wpływom Piltza, jego zamysłom i zamiarom.

Zamiary te przecież szły daleko dalej, aniżeli niezawodnie tak gorący patrjota, jak Paderewski, był pragnął.

Nadewszystko Piltz opracował projekt, aby w Paryżu i Londynie utworzyć, tak zwane, komitety „międzynarodowe“, któreby współdziałały komitetom polskim w danych miastach, no i pomagały komitetowi głównemu w Vevey, w Szwajcarji. Jakoż uformowano dwa komitety, jeden w Paryżu, drugi w Londynie, zapraszając między innymi na honorowych prezesów... rosyjskich ambasadorów...

Nowina ta zelektryzowała wszystkich w Paryżu Polaków. Zaproszenie do Komitetu, mającego nieść pomoc ofiarom wojny w Polsce, pana Izwolskiego i pani Izwolskiej razem z czeredą szumnie brzmiących nazwisk francuskich, poczytane było za klęskę.

Piltz nie dał wszakże za wygranę i chciał zjednać sobie w Paryżu stronników śród przedstawicieli polskiej inteligencji. W tej myśli zorganizował zebranie poufne, dla wyłuszczenia sytuacji politycznej.

Pamiętne to zebranie odbyło się w dniu 21 lutego 1915 roku, u Jana Reszkego. W zebraniu tem wzięło udział około trzydziestu osób a pośród nich Paderewski, Gasztowtt, Gałęzowski, Chełmiński Jan, Dr. Bugiel, Mickiewicz, Dr. Motz,

pianista August Radwan, kilku hrabiów, kilku panów udających hrabiów i garść szaraków.

Piltz wystąpił z referatem. Referat był mglisty, zagmatwany niedomówieniami i prowadzący wprost do rozpatrywania przyszłości polskiej w związku nietylko z aljantami, ale i z Rosją. Piltz opierał się na orzeczeniu czterech stronnictw politycznych Królestwa Polskiego. W rezultacie Piltz raczej szukał dopiero punktu oparcia aniżeli go sam wskazywał...

Po referacie, kiedy większa część zebranych, zgóry przez Piltza zjednana czy popierająca go wyszła, kiedy wyszli i ci, którzy zasadniczo wszelkim suggestjom, pochodzącym od P. opór zawsze stawili, pozostała garść, która rozumiała, że trzeba postulaty leadera ugody z Rosją osłabić.

Tutaj wywiązała się dyskusja ostra i zażarta. Treścią jej był postulat niepodległości, którego, w tak przełomowym momencie, ani na chwilę z oczu stracić nie było wolno.

Wówczas to Piltz znalazł dopiero szczęśliwy punkt wyjścia, aby, „w imię niepodległości, w enuncjacjach i pismach niepodległości nie wysuwać, aby tem samem nie podniecać wrogów naszych w Rosji"...

Tymczasem, tuż po tem zebraniu, dokładnie w dniu 9 marca, odbyło się pamiętne zebranie w salonach Hotelu Palais d'Orsay, zebranie tak zwanego „Francuskiego Komitetu Pomocy Polsce", który miał współdziałać podkomitetowi paryskiemu, no i głównemu Komitetowi w Vevey. Paderewski wygłosił płomienną mowę. Audytorjum jednak było zgóry nastrojone politycznie, ambasador rosyjski nadawał ton, on niejako reprezentował to, co francuskie społeczeństwo miało uczynić dla ofiar wojny w Polsce!

Echo tego zebrania wywarło bardzo nieprzyjemne wrażenie. Rezultat materjalny równał się zeru. Rzucono szereg pomysłów i na pomysłach skończono.

Paderewski wówczas, niezawodnie sam przygnębiony rezultatem tego zebrania, zapowiedział był w Paryżu wielki odczyt o Polsce i wyjechał do Londynu. Tam znów odbyła się taka sama parada tworzenia „angielskiego“ komitetu, także z ambasadorem rosyjskim, zebranie i rozczarowanie. Paderewski wydostał się nareszcie z tych powikłań, zaniechał myśli o odczycie politycznym we Francji i ruszył wprost do Ameryki...

W Komitecie głównym, w Vevey, niebawem również zaszły poważne zmiany. Piltz do tego Komitetu pociągnął, między innymi, Askenazego i Dr. Laskowskiego z Genewy. Pierwszy miał znaczny wpływ i ucho Sienkiewicza, no i swój odrębny pogląd na stosunki polityczne. Drugi był uosobieniem rapperswylskich tendencyj, na które zaczął poważnie wpływać dr. Motz. Dr. Motz, niegdy zwalczany nieubłaganie i zawzięcie przez reprezentantów Emigracji w Paryżu i Szwajcarji, stał się mężem zaufania i Gasztowtta i Gałęzowskiego.

Rozegrała się krótka walka podjazdowa, między Piltzem i Motzem. Pierwszy chciał, za wszelką cenę, zjednać sobie drugiego, ale napróżno. Motz znał dobrze Piltza i chciał go utrącić całkowicie. Obocześnie, aczkolwiek Piltz działał politycznie niby na własną rękę i w imieniu, jak zwykł był ostrożnie mawiać, „grona swych politycznych przyjaciół“, — niemniej był sekretarzem generalnym Komitetu w Vevey, obracał się między nazwiskami Paderewskiego, Sienkiewicza i Osuchowskiego i, tem samem, wdrażał przekonanie, iż mówi w imieniu tych trzech również.

W Komitecie Veveyskim nastąpiło pewne starcie. Przyczynili się do niego mocno: Askenazy, Dr. Laskowski, jako reprezentant Rapperswylu i dr. Motz, jako zaufany Gasztowtta i Gałęzowskiego. W Komitecie Veveyskim wzięło górę przekonanie, że Komitet ten żadnej roboty politycznej wprost ani pośrednio prowadzić nie może, bo wogóle, jako instytucja

czysto filantropijna, niema prawa wypowiadać się ani przeciw ani za aljantami. Trwa na gruncie niesienia pomocy ofiarom wojny w Polsce, po obu stronach wojujących, i tem samem potrzebuje, jeżeli nie współdziałania, to przyzwolenia obu stron wojujących.

Erazm Piltz, widząc, że nietylko zaprojektowane przezeń biuro informacyjne skazane jest na zagładę, ale, że wogóle, przy lada odezwaniu, narażony może być na banicję z Komitetu, złożył sam urząd sekretarza generalnego, usunął się z instytucji, którą zainicjował w Szwajcarji i którą zorganizował...

Komitet Polski w Vevey odtąd jedynie filantropijną prowadził działalność, i doszedł był, jak wiadomo, do bardzo poważnych rezultatów, chociaż przez długi czas owe „międzynarodowe“ komitety w Paryżu i Londynie z ambasadorami rosyjskimi na czele, były dlań niemałą przeszkodą. W Londynie znana działaczka a wypróbowana przyjaciółka Polski, Alma Tadema, szybko zdołała się pozbyć opieki rosyjskiej i zebrała miljony, — w Paryżu przecież, kędy delegatem Komitetu był bar. Gustaw Taube, wpływy rosyjskie były silne, wpływy te przeszkadzały zbieraniu składek, uważając sam fakt gromadnego zbierania również za propagandę na rzecz oderwania Polski od Rosji. Taube zbierał, względnie do warunków, tylko groszaki, bo każda śmielsza inicjatywa rozbijała się o wątpliwość „prezesa“, p. Izwolskiego, ambasadora Rosji carskiej.

Piltz z całej tej imprezy wyszedł pobity na głowę. Była to tem dotkliwsza dlań porażka, bo wogóle a zwłaszcza czasu wojny cierpiał na brak środków materjalnych a nawyknienia miał zawsze wielkopańskie. A o przyjaciół politycznych bywało coraz trudniej.

Pomimo wszystko Piltz miał słuszność.

Polacy mieli wówczas do wyboru, albo stawać na gruncie ideowym, albo na gruncie politycznym.

Grunt ideowy polski mógł i musiał iść pod hasłem niepodległości, mógł z całą zapamiętałością walczyć na trzy fronty, i w ten sposób podniecać wiarę, umacniać ducha. Lecz ten grunt ideowy nie zdolen był zarazem niczego dokonać.

Stanowisko ideowe było tylko poezją, w pierwszych latach wojny prowadziło zasadniczo do bezwładności. Niepodległość należało zarobić, należało ją upolować, uchwycić w pomyślnym momencie, a w niepomyślnym zadowolnić się mniejszą zdobyczą. Do tego prowadziła tylko polityka. Polityka, więc podstęp i udanie, szachrajstwo i przebiegłość, wykorzystanie chwili i zawsze i ciągle maskowanie się, oszczędzanie amunicji dyplomatycznej. Polityka polska w czasie wojny, więc podnoszenie wartości polskich, więc gra, więc nawet chwianie się, nawet przerzucanie...

W powszedniem życiu, w codziennem bytowaniu ideowość budzi sympatję, jedna serca, rozpala wyobraźnię, polityka zaś ziębi, studzi, przygnębia, odstręcza tych, którzy na polityce się nie rozumieją.

Piltz był niezawodnie jednym z pierwszych, którzy na szalę aljantów zachodnich rzucali pracę twórczą, którzy na każdy moment rozgrywającej się walki mieli gotowy argument, którzy szli naprzód od etapu do etapu i w największym zamęcie umieli z polskim wystąpić dokumentem.

Rola przecież Piltza, a właściwie i tych wszystkich, którzy trwali przy Francji, była przykra i niewdzięczna.

Były to zresztą czasy całkowitego pomylenia orjentacyjnego. Proaljancka polityka polska szła z Rosją. Rosja Polakom imponowała jeszcze, przerażała swą potęgą. Przyjęcia u p. Izwolskiego w Paryżu miały zawsze elitę polską. Ci, którzy w następstwie z pogardą mieli odwrócić się od Rosji, ci składali hołdy reprezentantowi cara Mikołaja II, no i w jego półsłówkach, w jego bizantyjskich napomknieniach szukali

nowego kursu dyplomatycznego. Nazwisk ich wolej nie wymawiać. Słabość charakteru, służalstwo na to nie zasługują.

Jakże w obliczu tych, budzących się z odrętwienia działaczy politycznych polskich wyglądał ruch ochotniczy we Francji?

Nie zajmowano się nim wcale.

Ochotnicy polscy w armji francuskiej nie obchodzili żadnego z augurów. Zwolennicy prorosyjskiej orjentacji, poczytywali tę młodzież czasami za dobry argument „dojrzałości" polskiej, przyczem pod nazwą „dojrzałość" rozumiano wysoki stopień lojalności. Zwolennicy mocarstw centralnych tychże ochotników mieli za desperatów, za ofiary cudzej namowy, za zgrzyt w harmonji galicyjskiego prądu. No a wszyscy ludzie „bezorjentacyjni", godzący się na tę rację, która miała zwyciężyć, poczytywali wolontarjuszów za niepotrzebne junactwo i krwawe awanturnictwo.

„Zdrowy" rozsądek przytem bardzo poważnie sądził.

Po obu stronach były miljonowe armje. Legjony galicyjskie były śmiesznie małą gromadką. Pożytku z niej żadnego, ale chociaż przynajmniej pozór organizacji wojskowej polskiej, ale ochotnicy we Francji? Ani słychu, ani znaku.

Jeden Piltz, z właściwą sobie ostrożnością i rozumieniem potrzeby liczenia się z każdym objawem, czynił z początku pewne obietnice Komitetowi Wolontarjuszów, szukał węzłów z mającą już wyrobione stanowisko „POLONIĄ" w Paryżu, — ale, po swej dymisji, po zajęciu przez Komitet Veveyski neutralnego stanowiska, wszelkie rachuby prysły. Ochotnicy nie mogli się stamtąd spodziewać żadnej materjalnej pomocy.

Trzeba było jednak myśleć o ich zaopatrzeniu.

Wojsko dawało im jedynie rację żołnierską. Ta nie wystarczała. Wielu było chorych i rannych. Wielu już zwolnionych i poszukujących pracy. Francja nadto, wobec przewlekłej woj-

ny, zaczęła żołnierzom udzielać ośmiodniowych urlopów. Żołnierze francuscy wyjeżdżali do rodzin, do domów swych. Dokądże mieli jechać polscy ochotnicy, nie mający najczęściej ani rodzin, ani nikogo z bliskich a nadewszystko nie posiadających grosika na przeżycie zdala od frontu tych kilku dni ciszy i spokoju.

Na ten koniec, Komitet Wolontarjuszów, postanowił zorganizować Komitet Rannych. Do Komitetu tego powołano na prezesa Jana Reszkego a na członków: Jana Chełmińskiego, Władysława Cieszkowskiego, weterana - powstańca, Karola Smolskiego, Aleksandra Schurra, i panie: Janową Reszkową i księżnę d'Uzès. Skarbnikiem tego nowego Komitetu został Dereziński, a sekretarzem generalnym, Gąsiorowski. Dokładnie mówiąc, ten nowy Komitet Rannych był znowu prowadzony i tylko przez ten sam ciągle Komitet Wolontarjuszów...

Ta nowa oganizacja zdołała wzmocnić ofiarność i spełnić swe zadanie, mając ciągle i zawsze hojną pomoc ze strony Benedykta Tyszkiewicza, Jana Reszkego i bardzo wielu innych, którzy bądź dla głośnego imienia Reszkego, bądź dla tytułu księżny francuskiej, bądź dla czystej idei wolontarskiej rozwiązywać zaczęli woreczki.

Procedura prowadzenia tego Komitetu Rannych była także bardzo uproszczona. Żadnych wynagrodzeń dla urzędników, żadnych kosztów administracyjnych. Jedna księga pokwitowań z otrzymanych darów, druga księga pokwitowań z wysłanych darów, więc księga kwitów pocztowych, no i księga podpisów własnoręcznych wolontarjuszów, odbierających zapomogi bezpośrednio. A ponieważ poczta do wojskowych i żołnierzy wogóle była bezpłatna, przeto rachunek był jeszcze mniej skomplikowany...

Polacy we Francji, chociaż przez długi czas pozbawieni dyrektyw ze strony przysięgłych polityków czy politykoma-

nów polskich, wyłonili z siebie samych dość liczny zastęp kółek czy jednostek, które rozwinęły dość energiczną robotę.

Nadewszystko Komitet Wolnej Polski miał za sobą Skarb Narodowy Polski, niegdy przez T. T. Jeża - Miłkowskiego zainicjowany a będący w faktycznem rozporządzeniu Gasztowtta, Gałęzowskiego i D-ra Laskowskiego. Ci panowie zaczęli łożyć na wydawanie broszur politycznych, przeważnie przez D-ra Motza pisanych z wielkim rozmachem patrjotycznym. Broszury te skądinąd bardzo pożyteczne, w chwili ukazania się ich były poczytane za orjentacyjnie proaustrjackie, co było wielką niesprawiedliwością.

Dalej, przygodni czy ambitni amatorzy zebrali się do produkowania rozmaitych pomysłów polityczno - wojskowych i wszelakiego rodzaju i różnej wartości artykułów i wydawnictw o Polsce, Polakach, ich prawach, nadziejach i zamysłach.

Śród powodzi tej literatury było sporo rzeczy bezwartościowych, sporo materjałów nieopatrznych i sporo śmiesznych pretensyj do tytułu obrońców czy rzeczników sprawy polskiej.

Pisali wszyscy i na zabój. Pisali raz za „Moskalami", aby w następstwie pisać przeciw „Moskalom". Wielu z tych niefortunnych autorów miało przejść powoli od wieczorków i herbatek w ambasadzie rosyjskiej aż do obozu progermańskiego. Wielu zaczęło od jedności z Rosją a skończyło na radości z rządów von Beselera i świętości postanowień Rady Stanu w Warszawie za niemieckiej okupacji. Opinje tu szły od jednej przegranej bitwy do drugiej, od jednego posunięcia na szachownicy wojennej do drugiego posunięcia, przy chęci pójścia za racją silniejszego...

Śród zatrzęsienia tej amatorskiej roboty, widnieją również nazwiska Hipolita Milewskiego, byłego członka rosyjskiej Rady Państwa, Topassa, Józefa Lipkowskiego, Tarnowskiego Jana,

d-ra Bronisławskiego - Handelsmana, Zaleskiego, Rettingera, Adama Orłowskiego i bardzo wielu innych.

Memoranda zaś polityczne i przedłożenia dyplomatyczne sypały się ze wszech stron. Każdy taki elaborat innych chciał granic, inaczej sobie wyobrażał Polskę, innych żądał zabezpieczeń i najczęściej na innych opierał się liczbach.

Opinja zaś francuska, po chwili entuzjazmu dla szumnej odezwy wielkiego księcia Mikołaja, zapowiadającej, zdaniem Francuzów, połączenie zaborów i ogłoszenie niepodległości, raptem przycichła, umilkła. Praca ambasady była tu widoczna. Zaczęto obawiać się urażenia Rosji, narzucania intencji Rosji, uchybienia w czemkolwiek carskim zamysłom.

Żywym tego usposobienia opinji francuskiej dokumentem, była ankieta w sprawie polskiej, przeprowadzona przez paryską „Polonię". Czasopismo to powzięło myśl zmuszenia opinji francuskiej do jasnego sformułowania swych zapatrywań na kwestję polską. W tym celu rozpoczęło desperacką wprost wędrówkę od jednego dygnitarza francuskiego do drugiego, od jednej „sławy" do drugiej...

Rezultat początkowy był straszny... Znakomitości francuskie oddawały poprostu całą Polskę Rosji... a cenzura wojskowa nawet i tak uprzejme horoskopy obcinała, okraiwała...

Ankieta „Polonji". ogłaszana stopniowo wywoływała rozgoryczenie, wrzenie. Niektórzy nasi „przysięgli" przyjaciele, na których Biuro Prasowe Rady Narodowej opierało w Paryżu wszystkie swe franko - polskie relacje, wypowiedzieli się wprost w sposób bezwzględny.

Tacy panowie, fetowani i okadzani przez słynne owo Biuro, jak Rosny, Muret lub Ernest Denis, stanęli wprost na punkcie martwym oddania Polski pod opiekę Rosjanom! Nie inaczej wypowiedzieli się dygnitarze w rodzaju pp. Louis Léger, Reinach, Paul Boyer, André Chéradame, Alphons Aulard, Arthur Chuquet... Dziesiątek innych widział tylko „au-

tonomję" polską pod wspaniałomyślnem berłem carów Rosji i czapką „Monomacha".

Ankieta ciągnęła się rok zgórą. Wypadki szły naprzód, chwiały się w posadach mocarstwa a owa głęboka polityczna myśl francuska, w przeważnej, dominującej swej części oddawała ciągle i zawzięcie całą Polskę Rosji...

Trzeba zaś pamiętać, że historyczna księga Ankiety, przeprowadzonej przez „Polonię" zawierała zgórą ośmdziesiąt nazwisk wręcz imponujących, znanych, należących do senatorów, do deputowanych francuskich, mężów stanu, znakomitych profesorów, publicystów, pisarzów, augurów opinji... No i że śród tych nazwisk, brak odpowiedzi setek całych dygnitarzy... bo ci wręcz i stanowczo... odmówili wszelkiej odpowiedzi na zapytania, bo nie chcieli nawet o Polsce mówić, imienia Polski wypominać.

Do najciekawszych tego rodzaju odmów należy pamiętna wizyta redaktora naczelnego „Polonii" u Jerzego Clemenceau. Ten ostatni był wówczas poza rządem, należał do opozycji rządowej, jeszcze nie myślano o powołaniu go do władzy. Wypowiadał się śmiało i wypowiadał bez ogródek. Z nikim nie robił sobie ceremonij.

Ale kiedy zgłosił się doń redaktor „Polonii" i wyjawił cel swych odwiedzin, Clemenceau rzucił się jak zraniony ryś, — „tygrysem" dopiero miał zostać.

— O Polsce?... Nie mogę, nie mam nic do powiedzenia... Żadnej odpowiedzi!...

A kiedy petent nastawał, prosił bodaj o apolityczne, literackie raczej wypowiedzenie swej sympatji, Clemenceau wybuchnął z oburzeniem:

— Co, chcesz pan, żebym się narażał Rosji, żebym Rosję nastawiał przeciw Francji? Nic z tego, proszę mnie zostawić w spokoju!

Otóż takich, którzy się podobnie wypowiadali, było podówczas mnostwo całe. Tak samo bowiem rozumowano i na prawicy, jak i rozumowano i po lewicy. Jedni oddawali nas Moskalom przez grzeczność, w obawie, aby car się nie obraził i pokoju oddzielnego nie zawarł, drudzy dlatego, że Polskę znali tyłko z jej niezdolności do samodzielnego rządzenia się, znali ją tylko z „polskiej anarchji", inni dlatego, że Rosja im imponowała, a naostatku najostrożniejsi woleli nie mieć zdania. Tak uczynił Clemenceau i tak samo wykręcił się chytrze monsignor i biskup Baudrillard, wielki przyjaciel jakichś polskich „hrabiów"...

Stąd te nieliczne głosy zupełnie Polsce oddane, zupełnie przychylne, wierzące w sprawiedliwość polskich tęsknot i polskich żądań, na tem tle politykującem międzynarodowo a przewidującem uczenie to, co nigdy stać się nie miało, co musiało się stać inaczej, odbijały mocno, odbijały potężnie.

Pierwszym bezwzględnie wybitnym Francuzem, co w tej epoce zamętu wojennego poważył się śmiało i hardo zawołać:

„Polska nie powinna być ani austrjacką, ani niemiecką, ani rosyjską, — lecz tylko polską. Polska będzie niepodległą!...

Tym pierwszym mocnym Francuzem był Edward Herriot, owoczesny deputowany francuski i mer miasta Lyonu, który w ten sposób niejako wytrwał przy haśle, wybitem niegdy, po rewolucji roku 1830 — 31, na medalu, sporządzonym w Lyonie. Na medalu tym postać Francji podtrzymuje postać, przedstawiającą Polskę i mówi do niej: „Ty nie umrzesz".

Za tym śmiałym, odważnym głosem Edwarda Herriota poszły dopiero inne. Niepodległość Polski wypisali na swych odpowiedziach inni, więc Etienne Lamy,, sekretarz generalny Akademji Francuskiej, Louis Martin, senator, Emil Verhaeren, sławny poeta belgijski, Kamil Flammarion, znakomity astronom, Emil Flourens, Jean Appleton, bracia Leblond i kilkunastu innych.

Ta pamiętna ankieta ciągnęła się, powtarzamy, zgórą rok cały na szpaltach „Polonii“. Przed wydaniem książkowem tej Ankiety, zwrócono się ponownie do autorów odpowiedzi z prośbą o zrewidowanie wygłoszonych zdań, wobec zmian zaszłych na horyzoncie polityczno-wojennym... nic to nie pomogło. Znakomita większość dostojnych tych mężów trwała zapamiętale w dalszym ciągu przy swych poglądach, większość dalej nie wierzyła w możliwość zmartwychwstania Polski, pomimo wszystko, co się w Europie działo. Tak silną była wiara w potęgę rosyjską i tak wielka obawa, aby słowem niebacznem nie narazić się moskiewskim wpływom.

I stąd nietylko już mężowie, trwający u nawy państwowej, sprawujący rządy się uchylali, lecz i uchylali się i stojący w danym momencie poza władzą, jak Clemenceau, jak taki Arystydes Briand, Ale, o ile tych, myślących znów o tekach ministerjalnych polityków, można było usprawiedliwić chęcią uniknięcia komplikacyj z powodu sformułowania zawczesnego swego poglądu, o tyle tem mocniej możnaby potępić tych ludzi, nie obowiązanych do politycznych rachub, a mających raczej do baczenia na moralny punkt widzenia. Taka przecież we Francji istnieje karność, taka oddawna, na gruncie polityki zewnętrznej, jedność, że, w wyjątkowych jedynie razach, nawet umysły szersze poważają się na objawienie, odmiennego od zwierzchniej dyrektywy, zdania.

Z tem większem przeto uznaniem, należy podnieść, odwagę szlachetną Stefana Pichona, który w roku 1915, choć był znów chwilowo eks - ministrem tylko, jednak do przyszłych rządów znów się gotował, a przecież zabrał głos odważnie w ankiecie i w ankiecie tej, pod datą 10 kwietnia, roku 1915, wypowiedział pamiętne zdanie:

„Polacy powinni deklarację zwierzchniego wodza rosyjskiego „poczytać za dokument, który im solennie zapewnia, pod rosyj-

„skim protektoratem, odtworzenie dawnych posiadłości polskich „razem z autonomją, swobodami językowemi, religijnemi i poli- „tycznemi. Ale jeszcze nie powiedziano, czy to ma być wszystko, „czego Polacy mają się spodziewać. Być może, że można będzie „pójść dalej jeszcze, lecz nie czas jeszcze o tem mówić. W każdym „razie prowadzenie w tej chwili akcji na rzecz niepodległości pol- „skiej, a przeciwko Rosji jest bezwzględnie przedwczesne i mo- „gące jedynie zaszkodzić waszej sprawie. Bądźcie cierpliwi i bądź- „cie pewni, że zwycięstwo aljantów przyczyni się do urzeczywist- „nienia waszych słusznych żądań".

W tem oświadczeniu, w kwietniu roku 1915, kiedy nawet po wszej ziemi polskiej brakło myśli jasnej, kiedy zwolennicy dwu odmiennych orjentacyj nie ważyli się bez kombinacyj proaustrjackich czy prorosyjskich, patrzeć w przyszłość, Pichon nietylko podkreślał możliwość zrealizowania głębiej sięgających dążeń polskich, ale i formułował taktykę polityczną, ostrzegał przed niebezpieczeństwem zbyt wczesnego występowania przeciwko Rosji.

Ze słuszności tej opinji zdawano sobie sprawę w wielu kołach polskich a w szczególności śród sfer bliskich Komitetowi Wolontarjuszów.

Tam nie miano żadnych z ambasadą rosyjską relacyj, żadnych komityw, unikano wszelkiego nawet zbliżenia, lecz równocześnie zachowywano równomiernie zimną krew polityczną. Mówiono o Polsce, o jej przeszłości, o jej prawach, jej zasługach, jej bogactwach, jej ludności, sztuce, nauce i literaturze, a zwłaszcza, na wszelki sposób, przypominano Francuzom braterstwo broni, wspólne dole i niedole, łączące dwa narody.

Ale i w tym zakresie trzeba było nielada silnej woli, aby wytrzymać, aby się nie zbuntować.

Oto, naprzykład, Komitet Wolontarjunszów podjął wznowienie marcowej uroczystości pod pomnikiem marszałka Monceya, na placu Clichy. W tem to miejscu, w roku 1814, kiedy

wojska sprzymierzone waliły na Paryż, piechota polska broniła rogatek Paryża, w tem miejscu, u schyłku epoki napoleońskiej, wierni Francuzom do ostatka, tylko Polacy, jeszcze nie wypuszczali z rąk broni.

Kiedy Komitet wystąpił o uzyskanie zezwolenia na zawieszenie na pomniku wieńca, zgodzono się, uprzedzając jednak, że o żadnem przemówieniu, o najbardziej objektywnem przypomnieniu historycznego momentu niepodobna nawet pomyśleć...

Był to czas wojny, był to czas, w którym każda przesłanka do dziejów, zwłaszcza tak bohaterskich, jak napoleońskie, podnosiła ducha, budziła wiarę. Tak, każda, ale nie polska!

Obchody na placu Clichy, powtarzane w roku 1915, 1916 i 1917, ograniczyć się musiały tylko do milczącej ceremonji przystawienia do pomnika wielkiej drabiny i wciągnięcia na pomnik wieńca z szarfami i datami, znaczącemi braterstwo broni franko - polskie. Na ceremonję tę ani zapraszać nie było można, ani o niej ogłaszać w dziennikach paryskich, które zresztą w tym kierunku miały wskazania polityczne...

O tem wszystkiem śród Kolonji Polskiej we Francji wiedziano i to wszystko usilnie komentowano na niekorzyść profrancuskiego kierunku.

Wogóle początek roku 1915 zdawał się wróżyć klęskę planom Komitetu Wolontarjuszów i jego poglądom. Od Francji nie można było uzyskać żadnego dokumentu, żadnego dowodu, a wszelkie poufne zapewnienia czy wynurzenia musiały być trzymane w sekrecie. Przeciwnie zaś, proaustrjacka orjentacja miała pełne ręce jakowychś nowin niezwykłych, osobliwych wieści, dowodzących, że już nie na Rosję, lecz i na aljantów, na Francję wcale liczyć niepodobna.!

Kiedy dowiedziano się w Paryżu o przybyciu Henryka Sienkiewicza do Szwajcarji, spodziewano się odeń znaku, odzewu, zachęty. Ta przecież, pomimo pisma wyprawionego, nie

nadeszła. Natomiast przyszła jeno wiadomość o zgonie Zygmunta Miłkowskiego, Jeża. Znakomity ten pisarz i bojownik sprawy polskiej, w chwili przełomowej stanął odrazu po stronie wolontarjuszów polskich w armji francuskiej i słał ciągle słowa zachęty i otuchy. Przed zgonem zaś samym, wystosował pamiętny list otwarty do cesarza austrjackiego, do Franciszka Józefa.

Prorocze słowa tego listu, tak co do joty urzeczywistnione dzisiaj, godne są przypomnienia:

„Każesz nam, wasza cesarska mość“, — pisał Jeż przed „śmiercią, — „walczyć u boku sprusaczonych Niemiec, które zaw„sze służyły przykładem dzikiego prześladowania Polaków!

„Czyż można sobie wyobrazić rolę bardziej ohydną?

„Metoda: Divide et impera, przy pomocy której zwykło się „nas trzymać na wodzy, wyrządza nam zło ogromne, kłócąc nas „z Rusinami, którzy również, jak my, są prześladowanym narodem.

„Wasza cesarska mości, twoja łaskawość względem naszych „rodaków, polegająca na robieniu z nich Austrjaków polskiego „pochodzenia, jak również wielkie i małe błędy, popełnione przez „twoich ministrów i ajentów dyplomatycznych, w czasie bałkań„skich przesileń, nie zwiastują nic pomyślnego.

„Austrja winna raczej myśleć o własnym losie, niż o omamia„niu polskiej młodzieży obietnicami, których ani ona, ani Niemcy „nie będą w stanie dotrzymać.

„Austrja ocaliłaby swoją egzystencję, pozostawiając jego cesar„ską mość, Wilhelma II, losowi, na jaki zasłużył“.

Tak pisał, przed zgonem, sędziwy Jeż do sędziwego Franciszka Józefa austrjackiego, ale rozum u schyłku tak podeszłego żywota rzadkim jest przywilejem. Cesarski starzec nawet okiem nie raczył zapewne rzucić na pismo hardego „buntownika“ polskiego, na tego, co śmiał pod generałem Bemem, z Węgrami razem, Austrjaków tarmosić, — bo cały sztab austrjackich ministrów, w styczniu roku 1915, śmiałby się do rozpuku, gdyby ktoś przywiązywał wagę do podobnej, jak Jeża, przepowiedni.

Henryk Sienkiewicz pożegnał był Nestora pisarzy polskich i Nestora wygnańców-tułaczów, podniosłem przemówieniem, wypełnionem po brzegi mistycznemi i modlitewnemi zwrotami, w któreć pono zmarły Jeż za życia nie wierzył, trzymając się zasad raczej filozoficznego na pozagrobowe bytowanie pojęcia.

Śmierć Jeża Miłkowskiego była bardzo dotkliwą stratą. Głos jego znaczył, miał posłuch, mir u Wychodźtwa w Ameryce i głos ten miał zawsze odwagę i siłę przekonania.

Wolontarjusze polscy w armji francuskiej stracili wówczas jednego z najżarliwszych stronników, najszczerszych.

Wolontarjuszom zaczęła wreszcie przychodzić z pomocą taż sama śmierć...

Do armji francuskiej powołano wielu bardzo synów i wnuków emigrantów polskich. Ta młodzież, wychowana we Francji, nie rozumiała się na żalach i rozgoryczeniach swych dziadów i ojców do francuskiej polityki, łączyła, splatała polskie tradycje z miłością do trójkolorowego sztandaru i, w ten sposób wnosiła do ognisk polskich łagodzący wpływ. Ojciec często wyrzekał i narzekał, dawał się powodować rachubami orjentacji takiej czy innej, syn jednak nosił mundur francuski, gorzał wiarą w zwycięstwo Francji, walczył za nią i padał często na polu chwały z okrzykiem na cześć Polski i na cześć Francji.

Te zgony ofiarne, te ciosy krwawe, które zaczęły spadać na rody polskich emigrantów, zbliżyły je do tych wszystkich, którzy także pod tymi samymi walczyli znakami.

Śmierć bohaterska takiego Henryka Gierszyńskiego, syna wybitnego patrjoty polskiego, śmierć wnuka poety, Bohdana Zaleskiego, śmierć dwu synów Alfreda Budzyńskiego i tylu, tylu innych prawych żołnierzy francuskich, a przecież tak głęboko do zawołania polskiego przywiązanych, mnożyła kolisko sympatyków. Napróżnoby kto chciał był prawić takiemu

weteranowi kampanji tureckiej, jakim był Czajkowski, o jakowychś kalkulacjach z mocarstwami centralnemi. Jedyny jego syn walczył w legji, walczył o śmierć bohaterską... Wolontarjusze polscy byli tego jego jedynego syna kommilitonami, towarzyszami broni...

Hasło wolontarskie, hasło walki po stronie Francji zyskiwało więc zwolenników, zyskiwało przyjaciół.

Zwolennicy ci przeważnie nie rozporządzali środkami wielkimi, nie posiadali potężnych wpływów, nie odznaczali się przebiegłością i zdatnością do gry politycznej, byli przecież cennym nabytkiem, bo wzmacniali moralne stanowisko.

A tego poparcia wolontarjusze potrzebowali bardzo nawet.

Naczelny Komitet Narodowy, tak zwany N. K. N., działający na terenie zaboru austrjackiego i wogóle na ziemiach polskich mocarstw centralnych i na obszarach Rosji wydartych, pracował bardzo wydatnie. Rozporządzał poważnemi środkami i miał silne poparcie obu rządów, był zresztą reprezentacją, złożoną z posłów polskich, z dygnitarzy pracy politycznej polskiej.

Autorytet tego Komitetu wdrażał poszanowanie. Agitacja dokonywała reszty. Agitacja ta przenikała i do Francji i tutaj, w odpowiedzi na starania i usiłowania, nazbyt często padała odprawa bezwzględna, że, miast tworzyć jakowąś amatorską robotę, należy słuchać zbiorowego ciała politycznego polskiego, które jedynie pod zaborem austrjackim może śmiało i odważnie kwestję polską postawić...

Kiedy w grudniu, roku 1914, nadeszła była do Paryża wiadomość, że N. K. N. osłabł, że część stronnictw wycofała się zeń, kiedy nadeszło nawet oryginalne oświadczenie tych usuwających się stronnictw, opatrzone datą dnia 8 listopada, roku 1914 i drugie, datowane we Lwowie, dnia 10 listopada,

tegoż roku, toć jeszcze nie umniejszyły one zbytnio wpływów N. K. N.

Oświadczenia wypowiadały się wprawdzie przeciwko temu Komitetowi, lecz wogóle ogłaszały, że *„formowanie i istnienie osobnych oddziałów ochotniczych nie jest wskazane i nie odpowiada dobrze zrozumianym interesom narodowym*“, — a nadewszystko mówiły wyraźnie:

> *„Nie widzieliśmy w nim* (w Naczelnym Komitecie Narodo-„wym, — przypisek autora Historji Arm. Pol.) *bowiem możności „dalszej, zgodnej pracy dla naszego dążenia politycznego, którem „jest zdobycie, w obecnym przełomie dziejowym, jaknajszerszej „samodzielności dla Polski w związku z monarchją habsburską*“.
>
> *„Zastrzec się musimy stanowczo, że dalekim jest od nas wszel-„ki zamiar osłabienia lojalności austrjackich obywateli w stosunku „do państwa*“.

Stanisław Niezabitowski zaś, marszałek krajowy galicyjski, składając na czele polskiej deputacji, hołdy noworoczne Franciszkowi Józefowi rzekł dokładnie:

> „Raczy wasza cesarska mość zezwolić, że my, w tych czasach „ciężkich walk i trudów, często już składane ślubowanie powtó-„rzymy, łącząc z tem zarazem najgorętsze życzenia szczęśliwego „zakończenia tych walk ostatecznem zwycięstwem naszych, wal-„czących za słuszną sprawę armij. Ożywieni temi życzeniami i na-„dziejami, odnawiamy u stóp najwyższego tronu nasze dawne uro-„czyste ślubowanie: Przy tobie, najjaśniejszy panie, stoimy i zaw-„sze stać chcemy“!

A między temi oświadczeniami i deklamacjami był silny związek duchowy, boć w deputacji do Franciszka Józefa brał udział ten sam ks. Witold Czartoryski, który podpisał z Cieńskim i Głąbińskim oświadczenie o wystąpieniu z N. K. N. Zewnętrznie tedy wyglądało to wszystko jedynie na wewnętrzne kłótnie w komitecie, na partyjny spór, może na niechęć do Legjonów, niemniej N. K. N. trwał na stanowisku, miał wpływy, no i niemniej lojalność najgorętsza ku Austrji

górowała ponadwszystkiem i górowało życzenie „zakończenia tych walk ostatecznem zwycięstwem naszych, walczących za słuszną sprawę armij“. Obie tedy armje, austrjacką i niemiecką, ogłaszano za „nasze armje“ i za takie, które walczą za „słuszną sprawę“...

Wprawdzie, dochodzące sporadycznie do Francji, czasopisma warszawskie wręcz przeciwnego dostarczały materjału, nie zdolne były wszakże sprostać agitacji N. K. N. i zabiegliwości mocarstw centralnych. Zbytnia pohopność do maltretowania legjonistów osłabiała warszawską argumentację, wieści z zajętego przez Rosjan Lwowa były wodą na młyn austrjacki.

Nowiny o bezwładności Sokolstwa w Galicji i Królestwie, brak decyzji ze strony tegoż sokolstwa, fatalność, która te tak dzielnie już sformowane oddziały rozbiła na cząstki, porozrzucała po pułkach obcych lub też rzuciła w wir formacji Legjonów, a przeto oddała pod dyrektywę tej samej Komisji Tymczasowej, przed którą Sokolstwo tak zawzięcie broniło się niedawno, — wszystkie te nowiny wpływały demoralizująco na młodzież, na starszych a nawet na ochotników polskich w armji francuskiej.

Śród tych ostatnich zaczęła się szerzyć, w sposób gwałtowny, chęć uwolnienia się z wojska. Prąd ten był bardzo propagowany pod hasłem bezcelowości ofiary. Jedni zaczęli wędrówkę po szpitalach, drudzy rewindykowali jakoweś braki fizyczne, trzeci czynili starania o dostanie się bodaj na tyły, do jakichś biur zacisznych, ostatni parli do Afryki bodaj...

Wielu zdołało nietylko się uwolnić, ale i wydostać się z Francji do Szwajcarji a stamtąd do Polski powrócić, zawożąc tam jedynie skargi i utyskiwania na Legję Cudzoziemską, a z brutalnego zachowania się żołdaka francuskiego, wyciągając, daleko sięgające, poglądy o „całej“ Francji.

W Szwajcarji, i nadobitek w samym Rapperswylu, działał niejaki Zieliński, ogłaszany za agenta niemieckiego rządu. W jaki sposób Zieliński doszedł był do komitywy z władzami niemieckiemi, w jaki sposób zdołał rapperswylskich dygnitarzy skłonić do ofiarowania mu w tem sanctuarium polskiem posady pracownika bibljotecznego, po temu brak jest wszelkich dokumentów. Zieliński, przed wojną, miał ubogą księgarnię w Paryżu i to w dzielnicy takiej, w której prawie że nie było polskiej klijenteli. Z księgarni wyjechał do Rapperswylu, do Szwajcarji, na posadę. Z chwilą wybuchu wojny Z. zaczął najpierw prowadzić żarliwą agitację na rzecz mocarstw centralnych a następnie zamienił się w konsula prawie, wydając „wizy“ na wjazd w granice państwa niemieckiego i udzielając nawet pieniędzy na drogę. Ta ruchliwość Zielińskiego zwróciła niebawem uwagę nawet władz francuskich, ogłoszono go za niemieckiego agenta. Nie przesądzamy czy ten epitet był słuszny, radzibyśmy poczytać to za zwykły „epitet“ czasów wojny hojnie przeciwnikom ferowany, stwierdzić jednak musimy, że swe sympatje orjentacyjne Z. posuwał był zadaleko a nadewszystko narażał bardzo instytucję narodową, jaką było Muzeum Polskie w Rapperswylu. Skończyło się na tem, że Zarząd Muzeum zniewolony był, pomimo pewnych sympatyj osobistych dla Z., usunąć go ze stanowiska. Tenże jednak Rapperswylu nie opuścił i dalej prowadził i to żarliwie agencję swoją i działał, wprowadzając oczywiście w błąd wielu rodaków, którzy upatrywali w Z. reprezentanta instytucji muzealnej polskiej i nadal.

Akcja Z. w każdym razie wysoce utrudniała stanowisko Polaków we Francji, bo, o ile tutaj bardzo łatwo było wytłumaczyć, żeć lojalność Polaków w zaborze austrjackim ma swe słuszne pobudki, świadczy raczej o uczciwości, o wdzięczności polskiej, o tyle polska robota, wroga Francji, na gruncie neutralnym, szwajcarskim, dowodziła wymownie, że nie

brak Polaków, którzy idą dalej, niż owa lojalność proaustrjacka nakazuje.

I na tem tle zaczęły się objawiać wręcz nieprzychylne ku nam wystąpienia. Taki, naprzykład, Fryderyk Masson, historyk epoki napoleońskiej, w swoim odczycie o Polsce, którą wyszydził niemal, zmasakrował nas za austrjackie służalstwo... zbagatelizował nas historyczną erudycją i w ostatku carowi moskiewskiemu oddał! A było takie pomylenie śród Kolonji, że, po pamiętnym tym odczycie, byli Polacy, którzy ostentacyjnie dziękowali temu osobliwemu prelegentowi za ochłapy, które wspaniałomyślnie imieniowi polskiemu rzucić po drodze raczył i to Polacy z „Komitetu" pewnego także...

Lecz owe pierwsze miesiące roku 1915 pracy wolontarskiej, po stronie Francji, gotowały jeszcze ten najboleśniejszy cios, bo ostateczne zerwanie węzłów z Wychodźtwem Polskiem w Ameryce, bo zaniechanie wszelkiej myśli o możliwości prowadzenia wspólnej roboty.

Naczelne kierownictwo Wychodźtwa usunęło się na stronę. Szukając tej „prawdziwej" drogi, tej niezawodnej tylko, tej pewnej, wyrzekło się stanowczo wszelkich zamiarów bojowych i przylgnęło do Komitetu w Vevey. Ten Komitet jaśniał nazwiskami Sienkiewicza, Paderewskiego i Osuchowskiego, splatał w jeden wieniec dostojników wszystkich trzech zaborów, działał pod szczytnemi zawołaniami niesienia pomocy ofiarom wojny, — cóż mogło być piękniejszego podówczas, bardziej potrzebniejszego!...

Prawda, poza ofiarami wojny, poza tysiącami uchodźców, pogorzelców, nieszczęśników, była jeszcze stokroć bardziej nieszczęsna polska sprawa, była Polska cała, — ten problemat atoli odłożono niejako do pomyślniejszych czasów... A w każdym razie nie chciano podobnego problematu rozważać samodzielnie, bez stempla i pieczęci całej kopy, mniej więcej, imponujących Polakom, nazwisk.

Bardziej jeszcze na to „zerwanie Paryża z Czykagiem“ wpłynęły okoliczności niemniej znamienne.

Nadewszystko Paryż, a dokładniej mówiąc profrancuskie tendencje polskie, nie mogły wcale z Wychodźtwem rozmówić się poufnie. Każdy telegram, list każdy, każdy świstek był w Ameryce odrazu ogłaszany publicznie i rozgłaszany. Kiedy zaś nareszcie zdołano przekonać dygnitarzy Wychodźtwa do potrzeby konspiracyjnego roztrząsania pewnych kwestyj i postulatów, — to konspiracyjne pisma wysłane z Paryża do Chicago... wracały odwrotną pocztą do Paryża i objaśniały przeciwników...

Komitet Naczelny w Galicji z jednej strony a z drugiej Komitet Obrony Narodowej w Ameryce posiadały dobrą organizację. Sympatyków czy sprzymierzeńców miały wszędy.

Cenzor Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, w jednym z ostatnich swych listów ostrzegał już bez ogródki:

> „Ależ, Szanowny Panie, patrząc na wszystko, co się u nas „dzieje, rozpacz i najodważniejszego ogarnąć może! W Zarządzie „Centralnym, wśród dyrektorów, zasiadał człowiek, który wszelkie „tajemnice urzędowe zdradzał przeciwnikom, który kopje Waszych „listów wysyłał do waszych przeciwników w Paryżu, który nie „wahał się przed żadną podłotą, którąby mu tylko zyski zapew- „niała“...

Czyż wobec takiego ostrzeżenia można było dalej prowadzić robotę „parysko-czykagoską“? A przecież wymowniejszemi od tych słów były na miejscu obserwowane ciągle efekty listów, wysyłanych do Ameryki. Ostatecznego cięcia tych słabych węzłów dokonała dymisja Antoniego Karabasza ze stanowiska cenzora Związku Narodowego Polskiego i jego usunięcie się od wszelkiej działalności publicznej.

Głośna ta sprawa dymisji, spowodowana napaściami na A. K., motywowanemi tem, że w młodości swej miał był w Polsce popełnić przestępstwo kryminalne, aż do zbytku była omawiana i roztrząsana.

Oskarżenie to przecież wywołała nie troska o nieskazitelność pierwszego dygnitarza Związku N. P. lecz zbyt energiczna, śmiała, odważna Karabasza działalność polityczna. Karabasz miał głos, miał mir, miał stutysięczną za sobą gromadę. Od chwili wybuchu wojny zajął tak wyraźne stanowisko, że odrazu zaszachował Komitet Obrony Narodowej. Takiego przeciwnika trzeba się było pozbyć za wszelką cenę. On występował ciągle, on zabierał głos, on przeważał szalę, on był sprawcą niezawodnym wystąpienia Związku N. P. z Komitetu Obrony Narodowej, on przywiózł niepochlebne opinje o Komisji Tymczasowej.

Karabaszowi zabrakło nerwów, zabrakło nagle cierpliwości, zabrakło sił do walki. I ustąpił.

W Paryżu nie rozumiano się dobrze na tych arkanach wewnętrznych Wychodźtwa. Tuż przed wojną poznano go, jako reprezentanta najpotężniejszej wówczas polskiej organizacji, poznano go ze strony dobrej.

Karabasz był w korespondencji ciągłej z Paryżem. Poznał ludzi, znał stosunki paryskie i znał polskie, krajowe stosunki.

Ustąpienie Karabasza przecięło nici łączności.

Ostrzeżenie o wykradaniu treści pism, o komunikowaniu ich przeciwnikom nie odstręczyłoby było, samo przez się, od szukania nowej komitywy, — lecz, niestety, to ostrzeżenie było tylko objektywnem stwierdzeniem tego, o czem już w Paryżu wiedziano.

Wyjazd Paderewskiego do Stanów Zjednoczonych mógłby był to zerwanie naprawić. Ale Ignacy Paderewski miał swe własne plany. Komitetu Wolontarjuszów nie znał, a raczej znał go z opinji tych w Paryżu, którzy, choć niby byli bliscy Paderewskiemu, choć asystowali mu ciągle, wcale a wcale nie dzielili jego przekonań, a tem mniej poglądów skromnej gromadki, rojącej o wojsku polskiem we Francji.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

POLSKI CENTRALNY KOMITET RATUNKOWY W AMERYCE. — KWESTJA FORMACYJ WOJSKOWYCH W TYMŻE KOMITECIE. — OCHOTA DO UKŁADÓW Z MOCARSTWAMI I DAREMNE SZUKANIE RZĄDU NARODOWEGO POLSKIEGO. — NEUTRALNOŚĆ GENERALNEGO KOMITETU W SZWAJCARJI. — STANOWISKO WIĘKSZOŚCI WYCHODŹTWA W AMERYCE. — DELEGACJA I AKCJA HAUSNERA I MŁYNARSKIEGO. — BURZA W ŁONIE ZARZĄDU ZWIĄZKU NARODOWEGO. — SOKOLI WYDAJĄ WŁASNY MEMORJAŁ. — WIZYTA W BIAŁYM DOMU. — ODPOWIEDŹ PREZYDENTA WILSONA. — NIEZADOWOLENIE. — ODEZWA SOKOLSTWA, POTĘPIAJĄCA AKCJĘ KOMITETU OBRONY NARODOWEJ. — GENERAŁ PAU W ROSJI. — BEZNADZIEJNOŚĆ ORJENTACYJNO - POLITYCZNA.

Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych, chociaż w królującej swej i olbrzymiej większości stanęło przy Centralnym Komitecie Ratunkowym i tem samem zapowiadało jedynie filantropijną działalność, niemniej znów było wciągnięte w wir zajadłej walki o orjentację, o rację dyrektywy politycznej.

Zanim atoli do tych starć przejdziemy, godzi się, poza naszym sądem, zajrzeć do opinji polsko-amerykańskiej, aby tem wyraźniej uwypuklić niektóre fakty, których dotknęliśmy zbyt jednostronnie.

Znakomitego wręcz materjału dostarcza nam tutaj: „Sprawozdanie sekretarza Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego, historja jego założenia i rzut oka na działalność w pierwszem półroczu".

Objaśniamy, że autorem tego sprawozdania i tej historji był Stanisław Osada, sekretarz generalny oraz, że to sprawozdanie było wyprawione, między innymi, do Henryka Sienkiewicza.

Osada urzędowo referuje „sprawę legjonów“ i oto, co pisze w tym przedmiocie:

„Już na pierwszej sesji reprezentantów organizacyj, „dnia 25 września, podnieśli przedstawiciele Sokolstwa ten fakt, „że, wobec ogólnej zawieruchy w Europie, Ojczyzna może nas za„wezwać także do spłacenia podatku krwi i że należy się ko„niecznie wywiedzieć, jakie są pod względem zbrojnej pomocy, „ze strony Polonii w Ameryce, poglądy rządów Francji i Anglji.

„Rzecz całą narazie złożono w ręce Sokolstwa, upoważniono „sekretarza do wysłania telegramów do Rzymu i Londynu, i uchwa„lono wszystkie kwestje z tem związane traktować poufnie i pro„tokółować osobno“.

Tak rozpoczyna swą relację Osada. Wynika stąd, że o sprawę legjonów najpierw zwrócono się do p. Rettingera w Londynie, tego samego, który chciał zatrzymać ruch wolontarjuszów we Francji i do p. Loreta w Rzymie... dlatego niezawodnie, że p. L. przebywał w neutralnych wówczas Włoszech, no i nie miał dostępu do francuskich sfer rządowych. Ale pamiętajmy, że Osada był cząstką składową organizacji „Rady Narodowej“ i że uważał za swój święty obowiązek porozumiewać się i w tym kierunku z filjami Rady Narodowej, no i wolał uniknąć Woźnickiego w Paryżu, zapewne mniejsze budzącego zaufanie niż Rettinger.

Ale słuchajmy dalej:

„O tem, co ma być w tej materji publikowane, decydować ma „Komitet Wniosków i Prasy, w skład którego wchodzą: Setmajer, „Barć i Osada.

„Na trzeciej sesji, dnia 12 października, reprezentanci So„kolstwa złożyli oświadczenie, że, narazie, niczego się nie dowie-

„dzieli, sekretarz natomiast przedłożył telegramy z Rzymu i Lon-
„dynu, w których kierownicy tamtejszych biur Rady Narodowej „potwierdzają wiadomości, że formowanie legjonu polskiego we „Francji i Anglji jest pożądane, odczytał też odezwę Polskiego „Komitetu we Francji w tej samej materji.

Z tego ustępu widzimy więc, że odezwa Komitetu Wolontarjuszów była uważana za „też“ zasługującą na uwagę, no i że przedtem, jak stwierdziliśmy, „Komitet Wniosków i Prasy“ rozreklamował po pismach depesze Komitetu Wolontarjuszów, chociaż szło tutaj nie o pusty apel do Polaków wogóle, lecz o doniosłą robotę polityczną.

Idźmy dalej. Po tym dwunastym października, zapadła cisza głęboka... bo Osada powiada dokładnie:

„Na następnem posiedzeniu, dnia 3 listopada, czytaliśmy listy, „dowodzące konieczności zbrojnego udziału Polonii amerykańskiej „od Gąsiorowskiego, Gałęzowskiego, Korytki i Styki z Paryża oraz „dra Loreta z Rzymu i sokoła Kamińskiego z Kanady, który trak-„tował z władzami kanadzkiemi i zyskał obietnicę czynnej po-„mocy.

„Na posiedzeniu dnia 10 listopada, mieliśmy wprawdzie je-„szcze gorące listy Gasztowtta i Gąsiorowskiego, ale były już i pew-„ne refleksje: od dra Loreta z Rzymu, który (naturalnie nie Rzym „tylko dr. Loret, — przypis. Aut. Hist. Arm.) doradza ostrożność, „i od prof. Laskowskiego z Genewy, ale przedewszystkiem był „raport prezesa Karabasza, że prezes Sokolstwa, dr. Starzyński, „pod wpływem ustnych relacyj sokoła Papciaka, który świeżo po-„wrócił z Francji, bardzo co do tamtejszych legjonów zawiedziony, „okazuje dla projektu legjonów wielkie zniechęcenie. Ponieważ „równocześnie nadeszły także z Kanady wieści o bałamuctwach „Kamińskiego, który tam, w imieniu Sokolstwa, zapewniał o go-„towości 50.000 sokoła do natychmiastowego ruszenia w pole, „uchwalono, aby z jakąkolwiek decyzją się wstrzymać, aż z Euro-„py przyjedzie dr. Rettinger z Londynu, który (znów zapewne nie „Londyn, lecz dr. Rettinger, — przypisek Aut. Hist. Arm. Polsk.) „telegraficznie zapowiedział osobiste wyjaśnienia i aż z Kanady „powrócą pp. Karabasz i Smulski, którym polecono wysondowa-„nie opinji władz kanadzkich“.

Powyższy ustęp „sprawozdania“ dowodzi zatem, że, jak to stwierdziliśmy powyżej, błahe pozornie przypadki, jak ta wyprawa awanturnicza Papciaków, sprowokowana przez ogłoszenie telegramu Komitetu Wolontarjuszów i spaczenie treści telegramu, była wzięta pod uwagę. Papciak się zawiódł, tedy naszła wątpliwość. Zwątpili także Loret w Rzymie i Laskowski w Genewie, a więc spór miał rozstrzygać Rettinger z Londynu. W podobnie logicznym porządku rzeczy, Komitet Wolontarjuszów powinienby się był zwrócić do Japonji do Nagasaki, a nie do Chicago.

Słuchajmy jednak dalszego ciągu tej powieści o legjonach, nietylko napisanej, lecz nadewszystko przeprowadzonej bardzo umiejętnie:

„Na posiedzeniu dnia 24 listopada, sprawa wyjaśniła się już „zupełnie. Tak samo delegaci do Kanady, jak i p. Rettinger wi„dzieli się zmuszonymi do skonstatowania tego faktu, że rząd „angielski w Londynie, jak i władze kanadzkie oferty polskiej „na„razie“ nie przyjmują. Pan Smulski z osobistych obserwacyj sy„tuacji w Kanadzie doszedł do przekonania, że ma ona własnych „ochotników daleko więcej, niż ich może uzbroić i okryć. Pan „Rettinger oświadczył wprawdzie, że otrzymał w angielskiem mi„nisterstwie wojny ustne polecenie udania się do Stanów, by oso„biście zbadać gotowość do udziału w wojnie Polaków tutejszych, „ale pisemna odpowiedź brzmi, że rząd angielski, ze względu na „neutralność Stanów Zjednoczonych, oferty naszej przyjąć nie „może.

„Wobec tego, na tem posiedzeniu, uchwalono upoważnić So„kolstwo do opublikowania w prasie, że narazie nie może być mowy „o legjonach.

„Wydział wykonawczy był zdecydowany, aby, w razie gdyby „rządy Francji lub Anglji traktować chciały z nami istotnie w tej „sprawie poważnie, stawiać pewne warunki, domagać się gwaran„cyj i t. d., ale do tego nie doszło.

„Potrzeba tu jeszcze wyjaśnić przy okazji przyjazd Rettingera „z Londynu, który pociągnął za sobą znaczny wydatek z narodo„wego funduszu“...

Tutaj następuje w dziale „legjonów“ długie wyjaśnienie, jak się to stało, że Rettinger do Stanów Zjednoczonych przyjechał i dlaczego trzeba było ponieść „znaczny wydatek“ z funduszu narodowego. Ponieważ ustęp ten jest nadto drastyczny, wogóle nie wiążący się z dziejami Armji Polskiej we Francji, przeto go opuszczamy, przechodząc do końcowej części sprawozdania Osady:

„Że się z legjonami nie powiodło, nie jego (P. Rettingera, „przyp. Aut. Hist. Arm. P.) wina, a że się w sprawie przyjazdu „do Ameryki z nikim nie porozumiał, to, na swoje usprawiedli„wienie przytacza, iż, na wypadek gdyby się nie udało, był zgóry „przygotowany przyjąć odpowiedzialność na siebie.

„O legjonach w Wydziale Wykonawczym Polskiego Centralnego „Komitetu Ratunkowego nie było już potem mowy. Porozumiewa„nie się z Królestwem Polskiem i Rosją przeprowadzał na własną „rękę Zarząd Związku Sokołów. Oficjalnie dowiedzieliśmy się o tem „dopiero na posiedzeniu dnia 16 lutego, kiedy się zapytano, czy „mogą liczyć na pomoc finansową, w razie wyjazdu. Reprezentan„tom Sokolstwa zwrócono uwagę na otrzymywane z Polski od naj„wybitniejszych osobistości listy, które do tego rodzaju przedsię„wzięć wcale nie zachęcają, — i sprawę odłożono“.

Zestawiając teraz wszystkie dowody i dane, dotyczące kwestji tworzenia legjonów we Francji, odrazu rzuca się w oczy brak wzajemnego porozumienia i zrozumienia się. Anglja nigdy i nikogo wówczas nie wyprawiała do Stanów Zjednoczonych, w myśli zbadania gotowości Polaków amerykańskich. Ani Francja, ani Anglja żadnych by nie przyjęła „warunków“, żadnych, bo wogóle nie mogła byłaby poczynić jasnych przyrzeczeń. Mając do wyboru pomoc, w każdym razie potężną, wielomiljonowej armji rosyjskiej i kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy Polaków w legjonach, nie potrzebowała się długo zastanawiać nad daniem odprawy...

Komitet Wolontarjuszów w Paryżu rozumował inaczej. Tworzenie legjonów uważał nie za warunek uzyskania oświadczeń mocarstw, lecz za pewną drogę, prowadzącą do tych oświadczeń... Bliska przyszłość miała tej prawdy dowieść. Zanim późniejszy Komitet Narodowy Polski w Paryżu sformował się, zanim Francja przyznała mu prawa i zapewniła pomoc materjalną, — nadewszystko ukazał się dekret o formacji Armji Polskiej, nadewszystko do szeregów tej Armji napłynęły tysiące ochotnika...Bo Armja Polska stworzyła „Komitet" a nie „Komitet" Armję.

Tak zresztą i nieinaczej rozumowało Sokolstwo w Ameryce, tak chcieli wszyscy ci, którzy instynktownie bodaj wyczuwali potrzebę wykorzystania chwili, aliści robotę polityczną, robotę powszednią pełnili urzędnicy, którzy w kancelaryjnej, apolitycznej swej robocie zasadniczo sprawę topili.

Zdanie Loreta z Rzymu znaczyło, podpis zaś Woźnickiego, kierownika również Biura Rady Narodowej, ale w Paryżu, nie miał wartości. Na Francji znał się Loret, bo zwątpił. I w tem leżało sedno kwestji, dokoła której kręciły się plotki, rezultat znów ogłoszeń tegoż biura prasowego, i racje stanu, opowiedziane przez nieopatrznego sokoła, p. Papciaka.

W tem wszystkiem przecież górowała pewna intencja, myśl pewna, którąby można nazwać troską o stempel, o pieczęć ciała zbiorowego...

Osada nie był w tym razie wyjątkiem. Szukał, jak wszyscy szukali, tych kierowników, tych dostojników, tych naczelników, którzyby się ogłosili za „Rząd Narodowy Polski". W pewnym momencie niezawodnie za takie ciało poczytał był, jako cała prasa polska w Ameryce, Naczelny Komitet Narodowy, w którym przecież figurował jego zwierzchnik, Tadeusz Cieński. Kiedy przecież dalsze informacje od N. K. N. odstręczyły go, szukał dalej i nareszcie znalazł był, znalazł był Komitet Veveyski i pisał w sprawozdaniu:

„Nie potrafię opisać radości, jaką, w chwili najgłębszego zwątpienia, napełnił mnie telegram o zorganizowaniu się Generalnego „Komitetu Ratunkowego w Szwajcarji. Dziś wszyscy już rozumiemy, że w nim nietylko ratunek dla ofiar wojny, ale także ostoja „naszej narodowej jedności“...

Niestety, i Osada źle był zrozumiał i wszyscy inni, którzy takiemu początkowemu złudzeniu ulegli, także musieli się zawieść.

Generalny Komitet w Vevey był dziełem samarytańskiem, był szczytną pracą jałmużniczą, otarł krociom niejedną łzę, szedł wszędzie, kędy mógł dotrzeć. Zbierał ofiary i po amerykańskich osadach, i w niemieckich kirchach, i w egipskich miastach. Śpieszył tam, kędy szalało kozactwo i kędy barbarzyństwa popełniali Honwedzi węgierscy. Tam, gdzie Prusak się znęcał i gdzie Moskal rabował, szedł i na prawicę i na lewicę, i za tą i za tamtą orjentacją, między jeńców i między rannych, między pogorzelców i między rozbitków.

Komitet Generalny rozsławił niedolę polską, rozgłosił polską nędzę, nawet śród wrogów obudził litość. Kapłańskiego dokonał dzieła, zaćmił zapały filantropijne nawet i Stolicy Apostolskiej, lecz nie był ostoją jedności i nic dla tej jedności narodowej uczynić nie zdołał! Gromadził dary i dary te skrzętnie rozsyłał. Złotemi głoskami zapisał się na kartach miłosierdzia. Głuchym wszakże pozostał na błagania o orjentacyjną wskazówkę. Stał na trójnogu ratunkowym i poglądał jak walka toczyła się zażarta, już nie między wrogami, między mocarstwami tylko, ale między dziećmi jednej ziemi! No i tej dziatwie zbolałej podawał kęs chleba, łyżkę strawy. Materjalne koił udręki, lecz słowa otuchy prawdziwej, ożywczej, tego nie był wyrzekł!

Polska, w interpretacji Komitetu Generalnego, była tylko męczennikiem, nędzarzem, rozsypiskiem bitewnem, była zgliszczami, wymierającym z głodu, chorób i cierpień ludem.

Polska była tylko jękiem bólu i rozpaczy, wołała jeno chleba i dachu nad głową, była Hiobem!

A tymczasem, nawet w dniach klęsk i pożogi, nawet w dniach tragicznego bratobójstwa swego, Polska chciała i musiała być i siłą, i groźbą, i obietnicą, i ręką do zadania ciosu wzniesioną.

Lecz Komitet Generalny nie mógł był podobno uczynić inaczej. Jeżeli ratunek materjalny postanowił był nieść, to musiał był i neutralności swej dowodzić równocześnie tak w Wiedniu i Berlinie, jak i w Petersburgu, jak i w Londynie i Paryżu.

Praca Komitetu Generalnego, jego działalność do zbytku była kwestjonowana i to bardzo poważnie.

We Francji, naprzykład, wielokrotnie podnosiły się głosy ostre przeciwko Komitetowi Generalnemu w Vevey. Komitet ten słał fundusze, słał zapasy do Polski, zalanej przez Austro-Niemców, słał więc do przeciwnego obozu środki wówczas, gdy z tej strony usiłowano Niemców i Austrjaków ogłodzić... Komitet ten więc powiększał zasoby strony wrogiej. Tak, Polakom tylko niósł pomoc, lecz, przez tę pomoc, powiększał mimowoli zapasy, któremi mogli rozporządzać wrogowie. Tu zbierać, we Francji i Anglji, pieniądze i pieniądze te słać przez Szwajcarję do Niemiec, do Austrji, choćby tylko dla Polaków, toć mnożyć fundusze nieprzyjaciół, toć znaczyło opóźniać zwycięstwo!...

Trzeba było przeto największej ostrożności Komitetu Generalnego, aby te skądinąd logiczne zarzuty odpierać. Odpierać zaś je można było tylko dokumentami do najwyższego stopnia posuniętej neutralności.

Jakoż Komitet Generalny był neutralnym, pozostał nim do ostatnich dni wojny.

Byłże nim również Centralny Komitet Ratunkowy w Ameryce?

Stanowczo nie. Pozostawał z Komitetem Generalnym w ścisłej łączności, to znaczy słał mu datki ciułane, słał setki tysięcy, był podporą, był głównym dostarczycielem środków, uznał jednak zgóry, że Komitet Generalny w Vevey, dzieli też same poglądy polityczne, co Komitet Ratunkowy w Ameryce... No i Komitet Ratunkowy, nietylko poufnie, jak już dowodzi sprawozdanie Osady, ale zupełnie otwarcie zabrał się do pracy politycznej...

Komitet Ratunkowy zaczął więc rozsyłać dziesiątki tysięcy odezw, wydawać pisma ulotne, odwoływać się do miljonerów amerykańskich, do duchowieństwa, do prasy amerykańskiej, wyłuszczając już nie same polskie klęski, polskie nieszczęścia, ale i polskie zadania, polskie prawa, polskie racje stanu. Propaganda, na rzecz sprawy naszej, przybrała w Ameryce rozmiary potężne. Tak potężne, że, jak stwierdza protokół Komitetu Ratunkowego, na odezwy swe od *„pastorów nie otrzymaliśmy nic, krom listów z wymyślaniami na Polskę“...* w czem był tylko dowód, że propaganda była dobrze wymierzona, jeżeli rozgniewała tak mocno anglo-germańską agitację...

W Vevey bardzo różnorodnie patrzono na politykę Centralnego Komitetu Ratunkowego w Ameryce, lecz nie widziano sposobu sprzeciwiania się. Wychodźtwo stanowiło najpoważniejsze źródło dochodu, zgodzić się na neutralność nie chciało i nie mogło.

Starcia przedwojenne z Komitetem Obrony Narodowej podzieliły Wychodźtwo, wojna ten podział zaostrzyła, próby pojednania, porozumienia spełzły na niczem. Za wiele z obu stron wylano potoków żółci, za wiele już wsączyło się trucizny.

Z Komitetem Obrony politykowało jeszcze tylko jedno sokolstwo, lecz i ono w rdzeniu swem było istotnie już odpadłem i przepadłem dla orjentacji proaustrjackiej, dla wszelkiej

kombinacji z Komisją Tymczasową czy Naczelnym Komitetem w Galicji. Sokolstwo nadto widziało ciągłe zamachy na swą jedność, usiłowania czynione w kierunku rozbicia zgody sokolej, skłonienia części bodaj druhów do poglądów K. O. N. Ten ostatni zaś nie chciał odstąpić od swych zasad, nie chciał pójść na kompromisy. Wróżył zapalczywie zwycięstwo mocarstw centralnych, widział zrealizowanie dążeń polskich w sojuszu z Austrją i prowadził krucjatę przeciwko aljantom.

A ponieważ, pośrednio, współdziałał tem samem propagandzie austro-niemieckiej, ponieważ skwapliwie szukał argumentów, aby dowieść nicości sił aljanckich, strupieszenia Francji, głupoty i złej woli ruchu wolontarskiego i t. d. przeto czerpał pełnemi garściami z nowin pomienionej propagandy i tem samem odstręczał od siebie i wpadał w zarzut progermańskich sentymentów.

Usposobienie większości Wychodźtwa w Stanach Zjednoczonych było już wręcz antiniemieckie. Lud polski w Ameryce, nawet ten z Galicji, wypędzony z niej głodem, nędzą i ciemnotą, wypędzony rabunkową gospodarką austrjacką, ani myślał „stać“ przy „panie Franciszku - Józefie“. To usposobienie Wychodźtwa Polskiego nie było dziełem agitacji, nie było rezultatem propagandy zwolenników aljantów, lecz wprost żywiołowym jakimś odruchem, jakimś objawem instynktu, zmysłu politycznego. Moskali równie niecierpiano, nienawidzono serdecznie moskiewskie rządy i moskiewskie gwałty, — lecz, z dwojga ostateczności, raczej życzono zwycięstwa Rosjanom.

Te pojęcia, do wybuchu wojny, były ukryte, utajone jakby w masach. Kiedy przecież nastąpił w K. O. N. rozłam, kiedy góra Wychodźtwa podzieliła się, wówczas mrowie całe opowiedziało się za antiniemieckim kierunkiem.

K. O. N. czynił zabiegi, aby to mrowie zjednać, aby je przekonać. Zabiegi skończyły się porażką. Zawiniła tu najbardziej fatalność, która Austrję sprzęgła z najstraszniejszym, odwiecznym wrogiem Polski i Słowiańszczyzny, Prusami.

Przyjazd do Ameryki dwu urzędowych wysłańców Naczelnego Komitetu Narodowego w Galicji: Hausnera i Młynarskiego, nie doprowadził ani do jedności, ani do osłabienia szeregów antiniemieckich na Wychodźtwie. Przeciwnie, możnaby rzec, że porywczość delegatów, zacietrzewienie ich niemało kłopotu przyczyniło Komitetowi Obrony. Panowie ci wystąpieniami swemi zaognili jeszcze bardziej ranę. Objazd co przedniejszych środowisk życia wychodźczego w Stanach Zjednoczonych, dokonany przez delegatów, kroniki znaczą przykremi zajściami, rozpętaniem nienawiści i waśni, a wreszcie poczytują za wzmocnienie przeciwnego im obozu.

Hausner i Młynarski mieli mandat bardzo poważny, przybywali w imieniu organizacji, łączącej w sobie całe ciało poselskie i reprezentacyjne jednej dzielnicy, mieli drogę, stojącą otworem, mogli byli złagodzić ostrości, odegrać rolę pojednawczą. Tego nie uczynili. Wszystkich tych, którzy myśleli i rozumowali inaczej ogłaszali za ludzi na żołdzie moskiewskim, za sprzedawczyków, czy tylko za ciemny plebs. Było to nazbyt jednostronne stawianie kwestji. Bo, jeżeli orjentacja proaustrjacka miała uzasadnienie, miała wówczas kombinacje, zapowiadające zmniejszenie tragedji poszarpania na części, miała je również orjentacja proaljancka, miała je nawet orjentacja prorosyjska. Nie był zdrajcą Głąbiński, kiedy podpisywał proaustrjacką odezwę Naczelnego Komitetu Narodowego, nie był także zdrajcą Dmowski, gdy upatrywał zwycięstwo po stronie Rosji.

Co więcej, Hausner i Młynarski nie mieli na potwierdzenie swych poglądów żadnego aktu, żadnego dokumentu. Polacy w Galicji spodziewali się, mieli zaufanie do dziadka Habsbur-

ga, który do polskich hołdów dobrotliwie się uśmiechał, ale przybyli z niczem więcej nad wiadomość, że większość Polaków w Galicji stoi wytrwale przy tronie austrjackim, że legjony polskie pełnią ofiarnie służbę wojskową pod opieką sztabu austrjackiego.

Natomiast ciż sami Młynarski i Hausner mieli nad sobą czujne oko ambasadorów Austrji i Niemiec, musieli się liczyć z każdem słowem, nie wolno im było bodaj znakiem zdradzić tych uczuć, które, sądzimy, żywili do prusactwa, do germaństwa, do niemieckiej przemocy, krzyżackiej złości. A więc tem samem musieli nastawiać własnych piersi.

Tam, w ciszy poufnych rozmów, padały niewątpliwie inne jeszcze argumenty, tam może włóczyły się nadzieje wygrania sprawy polskiej nie przez Austrję, lecz pomimo Austrji, tam niezawodnie szeptano, że opowiedzenie się za Austrją jest tylko opowiedzeniem się za najsłabszym, najmniej niebezpiecznym przeciwnikiem. Lecz to wszystko musiało milknąć w czterech ścianach, o tem głośno nie można było napomknąć...

Rezultat misji Hausnera i Młynarskiego wypadł ujemnie, o ile chodziło o pomnożenie liczby zwolenników orjentacji austrjackiej, a całkowicie źle, jeżeli szło o robotę godzącą, łagodzącą.

Mianowanie Komitetu Obrony urzędową ekspozyturą Naczelnego Komitetu Narodowego nie przyczyniło pierwszemu wpływu, wystawiło go raczej na tem bezwzględniejsze ataki.

Komitet Obrony Narodowej podjął rzuconą mu ostatecznie rękawicę. Stawał odważnie, do upadłego trwał przy swych postulatach, usiłował rozbić siły przeciwnika, oderwać odeń stronników, napróżno. Od tej pamiętnej misji, wyprawionej przez N. K. N. aż do ostatnich dni wojny, każdy miesiąc znaczy osłabienie, wyczerpanie środków i argumentów. Jedynem ocaleniem, jedynym ratunkiem racyj politycznych K. O.

N. jest ta gromada legjońska, gromada młodzieży, która tuła się, przechodzi męczarnie. Aleć w ostatku i do tej gromady dociera zwątpienie i tam wali się w gruzy dyplomatyczna rachuba...

Rozprawa o wpływ, o panowanie orjentacji, była jednak znaczona nielada potyczkami.

Jedną z pierwszych była pamiętna chryja z p. Mermelem, wiceprezesem zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego. Chryja ta wybuchła głównie na tle stosunku do K. O. N.

Według protokółu z posiedzenia Zarządu Centralnego Z. N. P. z dnia 17 lutego, 1915 roku:

„wiceprezes Mermel nadużywał spraw związkowych na korzyść nieprzyjaciół Związku, wydawał oprawione protokóły i inne dokumenty związkowe wodzom socjalistycznym, a zwłaszcza J. Borkowskiemu i A. Dębskiemu, sekretarzowi Komitetu Obrony Narodowej, którzy się sami do tego przyznali. Prezes odczytuje listy dyrektora Olszowego, wyjaśniające tę sprawę, rzucające fatalne światło na niegodziwą i zdrajczą działalność Mermela. Potwierdzili to sami socjaliści: J. Borkowski i A. Dębski, wykazując, że Mermel, zdradzał sprawy Związku, omawiane na posiedzeniach Zarządu Centralnego“... i t. d. i t. d.

Chryja z Mermelem, zakończona usunięciem go z Zarządu Związku, wykreśleniem go z grona związkowców, była niejako pierwszym strzałem. Tuż, zaraz, wybuchła walka przeciwko cenzorowi Karabaszowi, zakończona, jak zaznaczyliśmy już, usunięciem się jego od działalności politycznej i wogóle społecznej.

Jeżeli zdemaskowanie Mermela było porażką dla K. O. N., to znów dymisja Karabasza dotkliwą szczerbą dla Związku N. P. a pośrednio dla Komitetu Centralnego Ratunkowego...

Ten ostatni, w owym czasie, możeby uległ całkowicie jałmużniczemu swemu zawołaniu i stał się korną filją Komitetu Veveyskiego, gdyby nie zadzierżystość i hardość sokolstwa.

Związek Sokołów w Ameryce, jak to wypomnieliśmy już tylokrotnie, dokładał wszelkich starań, aby doprowadzić do czynu zbrojnego, aby nie mitrężyć, aby nie dać wygasnąć zapałowi młodzieży. Kiedy więc układy z Francją i Anglją doprowadziły do martwego punktu, próbował nawiązać stosunki z sokolstwem galicyjskiem, kiedy stamtąd doszły go wieści o rozbiciu zastępów sokolich, o całkowitej ich bezwładności, wówczas nawiązał korespondencję z Królestwem Polskiem. Toć i tam, według nowin, formowano polskie legjony, toć i tam polskie zbierało się ochotnictwo.

Gdy wszakże z tych korespondencyj i pertraktacyj nie było ciągle rezultatu, Związek Sokołów w Ameryce podjął był i przeprowadził incjatywę pierwszego memorjału politycznego.

Memorjał sokolstwa, wychodząc z założenia swych uchwał na zjeździe buffalowskim, postawił kropkę nad „i“, kwestję polską śmiało rozwinął.

Motywów nie szukał, nie dobierał wyrazów:

„my, przednia straż, czteromiljonowego Wychodźtwa, dolą nie-„wolnych ludów wygnani ze swej Ojczyzny, nie wahamy się, „w imieniu Polski, jasno i kategorycznie oświadczyć:

„protestując przeciw niesłychanej w dziejach świata zbrodni „zmuszania polskiego narodu do walki bratobójczej w szeregach „armji walczących,

„zważywszy, że naród polski będzie dążył wszelkiemi spra-„wiedliwemi środkami do pozyskania absolutnej wolności pań-„stwowej w granicach naturalnego swego osiedlenia, — wszelkie „połowiczne załatwienie „kwestji polskiej“, narzucanie nam form „rządu obcych naszej kulturze i duchowi narodowemu, — uwa-„żać będziemy za zwalniające Polskę, wobec świata cywilizowane-„go, od stawania jako „bufor“ bezpieczeństwa dla europejskiego „pokoju,

„że Wolna, Niepodległa Polska to spokój Europy, to spokój „świata,

„że Wolna, Niepodległa Polska to zmiana absolutyzmu, za- „ranie rządów ludu,

„wreszcie, że Wolna Polska, z prastarym portem na Bałtyku, „to wdzięczny rynek wszechświatowej wymiany dorobków cywi- „lizacji i ducha narodowego“...

Ten memorjał sokoli nie przypadł do gustu... nikomu. Nawet w sferach Komitetu Ratunkowego, w sferach Związku, kędy wielka panowała dla sokolstwa powolność, memorjał się nie spodobał. Sokolstwo przemawiało w imieniu Wychodźtwa, zabierało głos na mównicy publicznej, jako straż przednia, uchybiało więc powadze organizacyj, zrzeszonych w Komitecie Centralnym, uzurpowało sobie reprezentacyjne przywileje..

I stąd może, i niezawodnie tylko dlatego, o „memorjale“ z wielkim przekąsem zagadano w czasopismach nawet sokolstwu oddanych.

Powiedziano Związkowi Sokołów, że nie posiada żadnych politycznych ani dyplomatycznych zdolności, że niepotrzebnie grozi, że przymawia się... o jeden port na Bałtyku, że nie ma wogóle taktu, że, w ostatku, nawet forma językowa nie dorasta treści. Między wierszami zaś znaczyło to, aby Związek Sokołów stał skromnie w szeregu i czekał, aż „zgóry“ nadejdzie dlań dyrektywa.

Sokoli wysłuchali tych napomnień i wysłali delegację do Washingtonu, do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, Wilsona...

W dniu 10 lutego, 1915 roku, Prezydent Wilson przyjął w Białym Domu delegację Związku Sokołów. Delegację tę składali: Dr. Starzyński, Dr. Fronczak, ks. Godrycz i Werwiński.

Prezydent Wilson wysłuchał przemówień, przerzucił złożony mu memorjał i oświadczył w odpowiedzi:

„że gdy Ameryka zostanie powołana do pośredniczenia w ro-
„kowaniach pokojowych, starać się będzie, aby Polsce wymierzono
„sprawiedliwość i uwolniono miljony tego dzielnego a tak nie-
„szczęśliwego narodu".

Było to pierwsze bodaj, od chwili wybuchu wojny, rozmawianie się delegacji polskiej z głową państwa, to znaczy takiej delegacji, która, nie ślubując żadnemu z zaborców miłości ani wierności zdołała postawić bez osłonek sprawę polską.

Ten czyn wywarł głębokie wrażenie, przekonał bodaj tem silniej Komitet Centralny, że, o ile on nie chwyci wodzy politycznych w silne dłonie i nie zacznie przemawiać w imieniu Wychodźtwa, w takim razie gotowi go uprzedzić sokoli.

Tuż po powrocie z Białego Domu, przedstawiciele sokolstwa, a dokładniej Związek Sokołów, zdobył się na drugie posunięcie na swej szachownicy, bo publicznie potępił sposób postępowania Komitetu Obrony Narodowej.

Oto w „Sokole Polskim", tuż po wizycie w Washingtonie, ogłoszona została następująca odezwa prezesa Związku:

„K. O. N., w ostatniem wydaniu „Wici", ogłosił komunikat
„odnoszący się ściśle do Gniazd, rozesłany przez Wydział Związku.
„Ogłoszeniem tem K. O. N. popełnił ZBRODNIĘ STANU, bo, po-
„dając takowy do publicznej wiadomości, zrobił to w intencji
„zdradzenia naszych zamiarów i chęci służenia bezpartyjnie intere-
„som Polski i większości narodu, przed szpiegami naszych zabor-
„ców, którymi cała Ameryka jest zapełniona.

„Do powyższego karygodnego i niepolskiego czynu przyczynili
„się pośrednio i bezpośrednio, solidaryzując się z powyższem,
„a nadto ogłaszając w tym samym numerze „Wici" kłamliwą i na
„fałszu opartą odezwę, byli członkowie Zw. Sok. Polsk. wyrzuceni
„już dawno ze Zw. za warcholstwo i niekarność, jak również kilku
„dotychczas nominalnie należących członków".

Tu następuje lista wykreślonych ze Związku sokolstwa i podpisy.

Jasną było rzeczą, iż K. O. N., chcąc przeciwstawić się tajnemu działaniu Związku na krzywdę orjentacji proaustrjackiej, ogłosił poufny cyrkularz, może stracił był wszelką nadzieję dojścia do porozumienia z sokolstwem, może w ten sposób usiłował raz jeszcze poderwać wpływ zarządu sokolstwa. Następstwem tego bezpośredniem było zerwanie oficjalne ostatnich węzłów, łączących sokolstwo z Komitetem Obrony Narodowej. Dotychczas politykowano jeszcze, jeszcze zachowywano pozory pewnej łączności, — odtąd stosunki ustały.

Przyjazd Ignacego Paderewskiego do Stanów Zjednoczonych (w dniu 15 kwietnia, 1915 roku) podniecił pracę organizacyjną w Komitecie Centralnym, rozszerzył agitację śród Amerykanów i powiększył znacznie dopływ funduszów na cele ratowania ofiar wojny w Polsce a równocześnie i na cele polityczne.

Ignacy Paderewski choć, jak to oświadczył uroczyście, zjeżdżał jako jałmużnik i kwestarz na rzecz niedoli polskiej, w gruncie nie był tak „apartyjnym“, jakim chciał a właściwie musiał być Komitet w Vevey. Nietylko więc, mając wpływy poważne na Centralny Komitet w Chicago, nie ostudzał zapałów Komitetu, ale je podniecał.

W pierwszej atoli połowie roku 1915, pomimo całego impetu większości Wychodźtwa do proaljanckiej orjentacji, i ta orjentacja była również wystawiona na ciężkie próby.

Rosja, ciągle i jedynie Rosja, uzurpowała sobie wyłączne prawo decydowania o losie Polaków i czyniła wszystko, aby osłabić wrażenie wywołane odezwą wielkiego księcia Mikołaja.

Rosja carska miała swój plan, swój wytknięty kierunek, podłożem tego kierunku było odsunięcie raz na zawsze Polaków od wszelkich uroszczeń nietylko do ziem litewskich lub

białoruskich, ale nawet od Chełmszczyzny, do powiatów Ziemi Lubelskiej.

Wprawdzie usposobienie liberalnych sfer rosyjskich było bardzo przychylne, wprawdzie rosyjskie sfery wojskowe, poruszone lojalnem zachowaniem się ludności Królestwa Polskiego, objawiały swe sympatje, czujny przecież i nieporuszony biurokratyzm działał dalej po swojemu.

Wkroczenie Rosjan do Galicji było oczywiście dla biurokracji rosyjskiej... „odzyskaniem prastarej prowincji rosyjskiej“, sposobnością do rusyfikowania i narzucania unitom schyzmy. Ziszczenie obietnic o zmianie kursu polityki wewnętrznej, w stosunku do Polaków, zmieniło się w ogłoszenie sławetnego statutu o samorządzie miejskim... Statut ten pozwalał wspaniałomyślnie mówić po polsku na zebraniach rad miejskich, ale język rosyjski stawił na pierwszym planie, no i języka polskiego nie dopuszczał już w obrębie Chełmszczyzny i nawet w Suwalszczyźnie....

W równie dosadny sposób rozwiązać chciano kwestję szkolnictwa polskiego, bo zaprojektowano, aby przy Uniwersytecie Warszawskim utworzyć aż dwie katedry z wykładowym językiem polskim a nadto dwóm szkołom prywatnym w Warszawie przyznać prawa szkół rządowych...

Wojna światowa targała już podwalinami mocarstw, trony zaczynały trzeszczyć, szło już teraz nie o zwycięstwo samo, ale o byt olbrzymich potęg, o przyszłość całych narodów, a tutaj biorokratyzm rosyjski najspokojniej działał tak, jakby zjazd trzech cesarzy znów odprawiał fety na grobie zakutej w łańcuchy Polski.

Politycy polscy, trwający po stronie aljantów, wierzący w możliwość zdobycia lepszych warunków bytowania po stronie rosyjskiej, tracili grunt. Wiadomości o tem, jak to w rzeczywistości ma się ułożyć przyszłe z Rosją braterstwo, demo-

ralizowały społeczeństwo. Niewiara zaczęła dręczyć już nawet zwolenników aljanckich. Pesymizm zastępował orjentację...

W tym czasie Francja wysłała do Petersburga specjalnego posła, w osobie generała Pau, sędziwego weterana wojny prusko-francuskiej z roku 1871 — 72. Do poselstwa tego politycy polscy przywiązywali bardzo wielką wagę. Generał Pau był znany ze swych przekonań ultra - katolickich, ze swych sympatyj dla Polaków i swych bliskich z Polakami relacyj. Wątpliwości nie było, że do misji generała Pau w Petersburgu należało również wpłynięcie na przyjaźniejsze postawienie kwestji polskiej, którą, pomimo wszystko, opinja francuska zajmowała się bardzo życzliwie.

Dokumenty podotąd milczą, czyli generał Pau otrzymał jakoweś w tej mierze zapewnienia. Pozytywnym rezultatem tego poselstwa był jedynie pobyt chwilowy generała Pau w Warszawie, owacyjne przyjęcie ze strony polskiej ludności dla francuskiego generała, jego słowa przyjaźni no i wielki raut, wydany przez jedną ze sławetnych margrabin polskich, która kolejno fetowała oficerów rosyjskich, francuskiego generała, później sztab niemiecki, austrjackich dygnitarzy i doczekała się szczęśliwie prawdziwie polskich mundurów.

Generał Pau powrócił z Rosji z krzyżem rosyjskim św. Jerzego na piersiach i bodaj że powrócił z przekonaniem o niezmierzonych wprost zasobach Rosji cesarskiej, o jej potędze i o zacności cesarskiego sojusznika...

Trudno sobie wystawić jak niszczący wpływ wywrzećby zdołały te wszystkie a tak rozliczne i dokuczliwe działania rządu rosyjskiego względem Polaków i kwestji polskiej, gdyby ta prawdziwie bizantyjsko - przewrotna polityka, na drugim krańcu, nie miała swego konkurenta.

Tym konkurentem Rosji byli Niemcy. I oni ani myśleli o uczynieniu bodaj najmniejszego ustępstwa na rzecz Polski

i Polaków. I oni, w dumie i zarozumiałości swej, ani chcieli słyszeć o upozorowaniu nawet swej chciwości...

Taki, naprzykład, tajny radca gabinetowy, dr. Behr, bez ogródki żądał publicznie, aby sąsiadujące z Prusami obwody Królestwa Polskiego, przyłączyć, po wojnie, do Niemiec i w ten sposób, żeby odrazu wysiedlić z nich całą polską ludność, która, po większej części, sama pouciekała przed pożogą wojenną... no i tem samem, żeby uniknąć w przyszłości ambarasu przeprowadzania stopniowego wywłaszczania Polaków!...

Ów p. tajny radca gabinetowy takie postulaty ogłaszał w poważnym niemieckim miesięczniku „Die Rundschau"... inni mężowie stanu pruscy i niemieccy równie mało robili sobie ceremonij z przyszłością Polaków.

Niemieckie wystąpienia ratowały nieco sytuację polityczną, utrzymywały w pewnej równowadze polskie obozy proaustrjacki i proaljancki... nie podniecały wszakże energji, ani wiary.

Wiadomości z terenów wojny rozmaicie tłumaczone, różnie komentowane przyczyniały zamętu jeszcze większego. Austro-Niemcy zwyciężali, stawili czoło naprzemian to na jednym to na drugim froncie. Aljanci zaś działali ciągle w pojedynkę i wyczekiwali na ostatnie biuletyny o rozprawie nad Sanem, czy nad Mazurskimi Jeziorami, nad Marną czy w kredowych złomach Szampanji.

W koliskach polskich, wszędy, czy w Polsce, czy poza jej granicami szukano jeszcze sprawdzianu, szukano hasła, któreby zdolne było wszystkich Polaków skupić pod jednym sztandarem, napróżno.

Rozprawiano o urządzeniu walnego zjazdu polityków polskich wszystkich trzech zaborów w Sztokholmie czy w Kopenhadze, czyniono nawet przygotowania do tego zjazdu i zaniechano go w ostatku. Może słusznie. Porozumienia spodzie-

wać się nie można było, wypowiadać się szczerze było niebezpieczną rzeczą. Trzebaby po temu jakiegoś wydarzenia dziejowego, jakiegoś potężnego faktu, dotyczącego sprawy polskiej. A takiego wydarzenia nie chciały ani Austrja ani Rosja.

List piękny, literacko - społeczny list Henryka Sienkiewicza do ludów ucywilizowanych, płaczący krwawemi łzami nad nieszczęściami Polaków, potem listy do Papieża, Benedykta XV i tegoż pełne chrześcijańskiego współczucia i błogosławieństw odezwy były ważnemi wypadkami dnia, bo docierającemi do obu obozów równocześnie. Każdy z dwóch polskich obozów brał je naturalnie na swoją własność i każdy podkreślał, że to dla jego orjentacji jest argument.

Pierwsze miesiące roku 1915 minęły na partyjnych waśniach, na jałmużnictwie, na bezwładnem, bezimiennem przelewaniu krwi pod obcemi sztandarami, na rozgoryczeniu, na traceniu zaufania do każdej nowiny, do każdej wieści, do każdej wróżby.

A przecież sprawa polska, pomimo wszystko, potężniała, posuwała się naprzód, zdobywała codzień prawie silniejszą pozycję.

Co dziwniejsza, że w momencie, gdy Polakom, gdy polskim statystom zdawało się chwilami braknąć już odwagi, energji, przekonania, tego przekonania właśnie zaczęli nabierać do sprawiedliwości, do triumfu kwestji polskiej ludzie obcy, ani dotąd dla nas zimni ani gorący.

Jednym z takich znamiennych, doniosłych w treści swej oświadczeń, było odezwanie się niespodziewane p. M. Spolajkowicza, ambasadora serbskiego w Piotrogrodzie. Spolajkowicz, nie bacząc na kwasy biurokracji rosyjskiej i rosyjskiego rządu, powiedział głośno i dosłownie co następuje:

„Gdybym nie był Serbem a Polakiem, to cały mój program „obecny zawarłbym tylko w punkcie jednym: połączenie Ziem

„polskich. Obecnie jest to najgłówniejsze, jest to wszystko. Co-„kolwiek innego, w porównaniu z tem wielkiem, okaże się drobia-,zgiem, o który troska przyjdzie w odpowiednim czasie, po zała-„twieniu punktu głównego. Obecnie całą energję winni Polacy skupić w tym tylko kierunku, albowiem póki Polska nie posię-,dzie zjednoczenia, wszelka robota Polaków będzie mała, smutna „dla wielkiego narodu polskiego.

„Połączenie wszystkich trzech dzielnic Polski jest history-„cznej doniosłości momentem i szczytem tej wysokości, na jaką „kwestję polską wysunął los. Ci, co dobrze życzą Polsce, zapa-„trują się na jej zjednoczenie, jako na fortecę, o którą opierając „się, Polacy będą mogli zbudować trwałą pomyślność dalszego ro-„zwoju swojego wielkiego narodu i wielkiej kultury.

„Dziś nie czas na rozstrząsanie detali przyszłego polskiego „ustroju przed ukształtowaniem się połączenia. Sprawa polska „stanęła ponad drobiazgami. Opinja Słowian, Rosji i Sprzymie-„rzeńców jest po stronie Polski, co ma wielkie znaczenie dla po-„myślnego rozwiązania całokształtu zagadnienia. Zwłaszcza po-„winni sobie z tego zdawać sprawę działacze polscy...

„Co do mnie, to uważam, iż, z punktu widzenia przyszłości, „Polska Zjednoczona, nawet przy najgorszej możliwości wewnę-„trznego ustroju, dajmy na to, najbardziej reakcyjnego. powinna „być dla Polaków bardziej pożądana, niż najdalej posunięta w swej „wolności cząstka Polski, bez zjednoczenia Polski, w swej całości“...

Iluż było tak śmiałych działaczy polskich w pierwszych miesiącach roku 1915, którzyby głośno odważyli się zgodzić na te rozumne a tak słuszne wywody p. M. Spolajkowicza?

Garść, niestety, znikoma, ileże jasności spojrzenia wielu, i częstokroć najzacniejszych patrjotów polskich, przeszkadzało poczucie specyficznego, zaborowego poszanowania dla gnębiącej go siły...

Pod różnemi zaborami kwitły bowiem nawet trzy różne „szacunki“, trzy już „zaufania wojskowe“! Jedne sławiły „Skodę“ i austrjackiego lejtenanta, drugie żywiły cześć dla „Krupa“ arcydzieł, trzecie wierzyły w chmary kozackich zagonów,

w miljony, nawykłe, na skinienie cara, gołemi łapami zdobywać armaty!

Więc, o ile pod zaborem rosyjskim, racja p. Spolajkowicza napotykała na grunt podatny, o tyle w zaborze austrjackim, a poczęści nawet w pruskim zaborze, budziła odpowiedź:

— Niezawodnie, ale któż się oprze „naszej znakomitej artylerji“, kto sprosta naporowi „naszej piechoty“... Połączenie Polski, niezawodnie, ale to możliwość uwarunkowana zwycięstwem rosyjskiem, a tu przecież mowy niema, aby armje rosyjskie ostały się zastępom mocarstw centralnych!... Tutaj jest żołnierz, są znakomici generałowie, świetna organizacja wojskowa, dziesiątkami lat wypracowany system... a tam, i we Francji bodaj, rozpacz jedna trzyma jeszcze poszarpane, zdziesiątkowane szeregi!... Zjednoczenie ziem polskich w tej wojnie osiągniętem być nie może... Zwycięskie Niemcy prowincyj polskich nie oddadzą... A Niemcy zwyciężą, bo zwyciężyć muszą... tak dowodzi rachunek... Trzeba więc iść za zimnym rozumem a ten powiada: po stronie Austro - Niemiec, możemy się spodziewać conajmniej częściowego połączenia Królestwa Polskiego z Galicją...

Fatalność chciała, że do ostatniej chwili, do ostatniej sekundy, poszanowanie dla gnębiciela, dla oprawcy, wpojone niewolą, zaufanie... do jego pięści wszechmocnej, do sprawności jego bojowej, zaciemniało perspektywę polityczną, wodziło tysiące na kłótnie, na niezgodę o to, czyli austro - niemieckie wojsko jest tęższe czyli rosyjska armja zwycięży swą liczbą nieprzebraną.

Nawet kiedy nareszcie z rozburza wojennego dźwignęła się Polska Niepodległa, kiedy marzenie stało się ziszczeniem... jeszcze ten niewolniczy „esprit du corps“ miał prowadzić spory i kłótnie, która formacja kompanji jest lepsza czy ta według austrjackiego czy według rosyjskiego ordynku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

WOLONTARJUSZE W OKOPACH. — MARTWY FRONT. — DEMORALIZACJA WOJSKOWA I CYWILNA. — SZTANDAR NA URLOPIE. — DZIEŃ 9 MAJA. — WIELKA KWESTA NA RZECZ OFIAR WOJNY W POLSCE. — NATYCHMIASTOWA SPŁATA DŁUGU. — PIERWSZE WIADOMOŚCI O KRWAWEJ BITWIE. — SPRAWOZDANIA ŻOŁNIERSKIE. — OPISY I EPIZODY BOHATERSKIEGO ATAKU. — ZNÓW... POD ARRAS...

Jeżeli rozterka wewnętrzna i przygnębienie doskwierało politykom polskim i statystom w pierwszych miesiącach roku 1915, to cóż powiedzieć o uczuciach, dręczących gromadkę młodzieży polskiej, która zaciągnęła się dobrowolnie pod francuskie sztandary.

Poryw ich, zapał, owo uniesienie topniały w szarem, bezbarwnem życiu żołnierskiem. Czasami, niekiedy, jakieś lepsze ku ochotnikom - Polakom zwracało się słowo, ale dzień powszedni niósł im raczej udręki, raczej upokorzenie ze strony ludzi, którzy nie rozumieli duszy polskiej, którzy pojąć nie mogli, aby ktoś dla innej przyczyny szedł do Legji Cudzoziemskiej aniżeli dla łyżki strawy, dla pogrzebania swej występnej, awanturniczej przeszłości.

Wszystkie prawie, bez wyjątku, listy ochotników, słane w tych czasach, do Komitetu Wolontarjuszów w Paryżu, cechuje jeden i ten sam ton skargi, narzekania na złe traktowanie, na ordynarne obejście, na poniewierkę.

Niekiedy, według tych listów, grzeszą nawet oficerowie,

szczególnie „kolonjalni“, nawykli do pędzenia terrorem niesfornej zbieraniny żołnierskiej.

Te skargi datują już od pobytu w obozach instrukcyjnych i koszarach w Bajonnie, Lyonie, w Rueil, Orleanie, nadchodzą i z Sidi - bel - Abbès i z afrykańskiej Tazy...

Szeregowiec, niejaki Morg... został, naprzykład, sromotnie obity kijem przez młodego oficerka za niedość sprawną postawę pochodową... Ochotnicy się burzą, żądają od kolegi, aby satysfakcji szukał, aby szukał zadośćuczynienia. Obity znosi to bezsilnie. Stąd na obitego zapada klątwa pogardy koleżeńskiej. Na cieszącego się znów względami starszyzny innego M. pada podejrzenie... Pochodzi z zaboru niemieckiego, przybył tuż przed wojną, mówi bardzo źle po polsku... pewnie szpieg, pewnie człek, mający nieszlachetne zamysły. Kompanja protestuje, rzuca cień i zmusza w ostatku przyszłego bohatera, przyszłego oficera do ustąpienia, do przeniesienia do innego oddziału, zupełnie obcego, do szukania w ostatku odmiennego rodzaju broni...

„Bogatsi“ a więc ci, którym pomoc doraźna płynie regularnie, skarbią sobie powolność kapralskich tyranów a równocześnie niechęć ostrą „proletarjuszów“, stąd nowy powód do wewnętrznej rozterki.

Nawet tak mocnemu duchowi, jakim był śród Bajończyków, Kazimierz Trzebiatowski, prezes Sokoła w Barlin, we Francji, nawet temu zaczynało zbywać na cierpliwości.

W listach swych Trzebiatowski, który miał je ofiarnym zgonem niebawem przypieczętować, pisze dosłownie z okopów francuskich:

„Dzisiaj *(dnia 6 kwietnia, 1915 r. przyp. Autora Hist. Armji „Polsk.)* zaszły ważne zmiany u nas, bo dostajemy nowego komen-„danta i kapitana. Nasi zostali przetransportowani do innych „pułków, bez podwyższenia stopni. Że kapitana naszego przenieśli

„to może i dobrze, bo nie spodziewamy się takiego dostać, lecz „cokolwiek lepszego, który nie chce dorabiać się galonów na „naszych barkach. W przedostatnim numerze „Polonii“ jest por- „tret Doumic‘a, najzacniejszego człowieka naszego oddziału, lecz „co dobre długo się nie trzyma; zginął w pierwszym dniu. Z pra- „wej strony (na portrecie — przyp. Aut. Hist. Arm. Polsk.) adju- „tant pierwszej sekcji, też porządny człowiek, którego przenieśli „do innego pułku, a tak mu było żal rozstać się z nami, że odcho- „dząc płakał. Z lewej zaś strony adjutant 2-ej sekcji M., inżynier, „o manierach arystokraty francuskiego, człowiek - bydlę, który „nam groził, że sprawi sobie na nas kij, aby nas poganiać, — „w oczy nam mówił, iż zalicza nas do ludzi dzikich... Ludzi budził „kopaniem nóg (takiego kopniaka dostał Wiweger, lecz proszę „o tem nikomu nie mówić) i wiele innych rzeczy. Dopiero gru- „dniowy protest w formie dwudziestoczterogodzinnej głodówki na- „szego oddziału uwolnił nas od niego — przeniesiono go do Belgij- „czyków czy też Włochów“...

W następnym liście, tenże Trzebiatowski powiada:

„U nas stosunki znów się pogorszyły. w żaden sposób nie „można wytłumaczyć Francuzom, iż nie zaangażowaliśmy się dla „jedzenia... Pracy bezcelowej bardzo dużo a traktują nas pod „psem. Często myślą biegnę do Królestwa, staję w szeregach i bro- „nię swego kraju... a w rzeczywistości jestem we Francji... ale za- „milczę, gdyż pisać o tem niebardzo bezpiecznie“...

W ten sposób skarżył się nawet Trzebiatowski, jeden nietylko z najbardziej oddanych sprawie ochotniczej, ale i najbardziej umiarkowanych i wytrzymałych wolontarjuszów, z których niewielu stać było na równą zapamiętałość w postanowieniu.

Listy z okopów szły oczywiście nietylko do Komitetu Wolontarjuszów. Wpływ ich był bardzo smutny. Treść tych skarg i żalów wyzyskiwano nieraz skwapliwie i posiłkowano się niemi jako argumentem politycznym...

Niższe szarże wojskowe francuskie nie miały tego zrozumienia dla ideowości polskich młodzieńców, jakiego ostatecznie nie skąpiły, w poufnych rozmowach, władze wyższe. Przyczyn do szemrania było bardzo wiele. Równocześnie zaś do zniechęcenia przyczyniało się niemało zetknięcie się z prawem wojennem, z ostrą dyscypilną a najwięcej bodaj dręczyły ochotników wieści z ojczyzny, wieści błędne, zatrute czasami celową propagandą a czasami pełne fantastycznych wprost szczegółów...

Po pierwszych wiadomościach o legjonach polskich w Galicji, po stronie Austrji, nadeszły nowiny o legjonach Gorczyńskiego po stronie Rosji... I nowiny, jak zawsze, pełne dziwacznych urojeń, pełne bajecznej przesady i zawsze prawiące o jakichś dziesiątkach tysięcy polskiego wojska prawie!...

Rozwaga starała się spokojniej przyjmować te wszystkie pogłoski, te napomknienia w listach od przyjaciół i znajomych czy niekiedy krewnych, ale nie mniej pozostawał pewnik niezachwiany, że ruch ochotniczy polski jest rozstrzelony już na trzech frontach, że, o ile ten ruch, po stronie Austrji czy po stronie Rosji, ma na miejscu niezawodnie silne podłoże polityczne, daleko patrzące racje stanu, o tyle ruch po stronie Francji... jest trwonieniem niepożytecznem krwi polskiej... Dowodem położenie Polaków w Legji, dowodem te codzienne udręki, to bezimienne Polaków bytowanie.

Gorące serca wolontarskie zalewała gorycz.

Dopiero mocniejszy deszcz galonów i galoników złagodził nieco warunki. Polacy już byli nietylko kapralami, furjerami, sierżantami, adjutantami, ale dosięgli rangi podporuczników, lekarzy bataljonowych. Podporucznikiem został Józef Szafraniec, podporucznikiem mianowano Lucjana Malcza, Aleksander Świrski dorobił się medalu wojskowego, Hufnagiel z Garbowskim lekarskie nosili odznaki. Było więc komu teraz wnosić instancje, było się komu upominać. Nie zawsze zresztą

z dobrym skutkiem, bo podporucznik Szafraniec, naprzykład, donosił, że w trzecim pułku Legji Cudzoziemskiej było około 140 Polaków, ale wzamian w dziewiątej kompanji, w której służy, niema na froncie ani jednego więcej Polaka.

Zresztą i skład francuskiej starszyzny zmienił się powoli. Żołnierz polski zmężniał w trudach, nabrał rutyny, lepsza się harmonja układała w bataljonach i kompanjach różnojęzycznych.

Niebawem przecież naszła nowa zmora. Po uciszeniu się pamiętnej historji o cofnięciu gromady Polaków z frontu, jako Niemców i Austrjaków, znów zagadano o braku zaufania do cudzoziemskiego zaciągu.

Znów zjawiły się pogłoski o wykryciu szpiegostwa śród legjonistów - Alzatczyków, o przechodzeniu ochotników - cudzoziemców do okopów niemieckich... wreszcie o prawie międzynarodowem, które nie zezwala na zaciąganie poddanych mocarstw nieprzyjacielskich... Zresztą Niemcy mieli grozić rozstrzelaniem każdemu poddanemu mocarstw centralnych, chwyconemu we francuskim mundurze, tak, prawiono, robili już Moskale z legjonistami galicyjskimi...

Tutaj więc brak zaufania ze strony Francuzów, a tam, w razie czego, krwawa zemsta germańska...

A ponieważ oddziały Legji Cudzoziemskiej, w której znajdowali się polscy ochotnicy, przebywały ciągle na froncie martwym, na froncie, kędy cała służba ograniczała się na sypaniu transzy, na umacnianiu pozycji, na drobnych starciach rekonesansowych i pukaninie bezcelowej może, przeto z tego narodził się nowy pewnik: „francuskie władze wojskowe umyślnie trzymają Polaków - ochotników, na martwych „odcinkach", bo im nie ufają, bo im nie wierzą"...

Niepodobieństwem jest wprost wyobrazić sobie, ile i jak dziwacznych domysłów grasowało między Wolontarjuszami

i ile w ich listach znajdowało się wiary dla lada plotki, lada bajki. Wielu bardzo z żyjących po dziś dzień ochotników naszych byłoby bardzo niemile dotkniętych, gdyby z ich własnych autografów poczynić wyciągi i przypomnieć im w ten sposób, jak to w owych pamiętnych czasach porywczo sądzili. A te autografy istnieją, nie przepadły.

Przejazd przez Paryż naszych ochotników, wracających na front po krótkiem niedomaganiu w szpitalu, w znacznej mierze powiększał demoralizację. Ci ofiarni młodzieńcy spotykali się z cywilami, z tymi, którzy usiłowali wytłumaczyć swą „neutralność“, usprawiedliwić swą tchórzliwą obojętność... i, broniąc samych siebie, sączyli truciznę nieufności i podejrzliwości, odbierali ochotnikom tę ich szlachetną wiarę, że bronią dobrej sprawy, że działają na chwałę imienia polskiego.

Dobra krew sarmacka usiłowała przecież rozproszyć rozterkę. Dawnego piosenkarza legjonistów, Szuyskiego, próbował zastąpić Wieńczysław Piotrowski, i Piotrowski ułożył, między innemi, pamiętną śpiewkę:

Czerwone spodnie, czerwone kepi.
Kapota granatowa.
Chociaż żołnierską biedę się klepie,
Wolne me serce i głowa.

Spodnie czerwone, kepi czerwone,
To barwa legjonisty,
Biegnie on walczyć za rodzinną stronę,
Za kraj ojczysty.

A kiedy Piotrowskiemu dokuczają zbytnio paryskie nowiny, że Polaków-ochotników mają wysłać do Afryki a co najpewniejsze do Konstantynopola, przygodny piosenkarz dalej snuje:

Czy słonko świeci, czyli deszcz pada,
Stoję ukryty na warcie,

Nademną armat gra kanonada,
Warczą kartacze zażarcie.

Jutro, pojutrze zajęczy kula,
Hymn mitraljezy zagrają,
Śmierć po mą głowę sięgnie matula...
W okopie mnie pochowają.

Myśl moja jutra już się nie czepi,
Ani zaboli mnie głowa,
Hejże, czerwone spodnie i kepi,
Kapota granatowa!

Ubytek śród Wolontarjuszów, aż do miesiąca maja, roku 1915, był względnie bardzo mały. W pierwszym oddziale, po zgonie Szuyskiego, strat nie było prawie żadnych. Ranny był Jan Rotwand, Kostrzewa i Świrski, ale wszyscy względnie lekko i tak, że powrócili do szeregów. Kilku w tym oddziale wydostało się do szpitali wskutek ogólnego niedomagania, kilku nowych ochotników zostało przydzielonych do „Bajończyków" a kilku było na drodze do uwolnienia się ze służby.

Oddział drugi natomiast, „Rueilczyków" a z nimi gromadki innych, rozproszonych po różnych kompanjach Legji Cudzoziemskiej, ponosiły ciągłe szczerby.

W dniu 16 lutego poległ Antoni Masierek z drugiego oddziału, — w dniu 20 tegoż miesiąca poległ Mieczysław Kohn, student filozofji, rodem z Łodzi.

Tuż później ranni są lekko, w pierwszym oddziale: Jaceko, Baryła, Stefan Gajewski. Lista zabitych Polaków, po stronie Francji, zapisuje nazwisko Maksymiljana Zaleskiego, aspiranta w 102 pułku piechoty, wnuka znakomitego poety, Bohdana Zaleskiego.

Naogół z szeregów ubywa najwięcej przez podawanie się do reformy, ubytek ten przecież jest stosunkowo nikły wobec powiększania się jeszcze stałego liczby ochotników.

Polacy, rozsiani po Francji, dalej jeszcze zaciągają się do szeregów.

Ci nowozaciężni często nie wiedzą jedni o drugich, nie wiedzą o istnieniu Komitetu Wolontarjuszów, dopiero w oddziałach spotykają się z rodakami.

Ponadto i w innych formacjach armji francuskiej ukazują się coraz częściej nazwiska polskie i to nietylko jako obywateli francuskich. Wielu Polaków, poddanych Rosji, zgłasza się jeszcze na skutek wezwań ambasady rosyjskiej i ambasada wielu z nich przydziela na służbę francuską. Tacy korzystają w wojsku francuskiem ze wszystkich prerogatyw, należnych im z tytułu poddaństwa rosyjskiego... otrzymują odrazu rangi i przywileje równorzędne z rosyjskiemi.

We francuskich kirasjerach służy młody Jan Reszke, syn sławnego artysty-śpiewaka, jest tam równie Jan Rozen, syn batalisty-malarza, w dragonach podporucznikują Stefan Załuski, Giżycki, Jaskłowski, i wielu, bardzo wielu innych.

Wolontarjusze poglądają krzywo na tych „lojalnych". Boć i między wolontarjuszami nie brak przecież takich, którzy posiadają dokumenty odbytej służby wojskowej rosyjskiej i nawet stopnie podchorążych i praporszczyków. Wyrzekli się oni tych stopni dlatego, że chcieli być „tylko Polakami", że pogardzili rosyjskiemi przywilejami.

W tym zamęcie i pomyleniu ogólnem trudno rzucać kamieniem na „lojalnych", na tych, którzy często, w obawie przed odpowiedzialnością za niestawienie się do wojska rosyjskiego, poszli się meldować do ambasady. Rozgrzeszając przecież tych „lojalnych", tem mocniej podnieść należy hardość wolontarjuszów, zrywających odrazu z rosyjskiem poddaństwem.

Nakoniec imieniowi polskiemu przybywają w armji francuskiej nowe zastępy a to z pośród legjonistów-Polaków, którzy przed wojną jeszcze zapisali się do Legji Cudzoziemskiej

a którzy teraz ściągają ze wszystkich kolonij francuskich, pędzeni rozkazami.

Ci zawodowi żołnierze, typowi legjoniści, spotykają się w zakładach pułkowych i bataljonowych, w sekcjach i kompanjach z ochotnikami wielkiej wojny. Przyjaźń i poczucie braterstwa zakwita odrazu. Starzy legjoniści z całym zapałem manifestują swą polskość, awanturnictwo swoje żołnierskie przekuwają na szczery patrjotyzm. Śród wolontarjuszów zaczynają rej wodzić brodaci weterani, spaleni w afrykańskiem słońcu wiarusi, prawiący o żonach Annamitkach, tęskniących za nimi w Tonkinie, o chińskich, arabskich i murzyńskich swoich parantelach.

Wpływ wzajemny tych dwu żywiołów jest doskonały.

Zawodowi legjoniści odradzają się duchowo, przejmują się zapałem młodzieńczym, — młodzież ochotnicza zaś uczy się od wiarusów Legji Cudzoziemskiej filozofji życia żołnierskiego, beztroskiego poglądania w przyszłość, wiary w fatalizm, który przesądza zgóry o doli i niedoli, o życiu i śmierci.

Następuje stopniowo całkowite pomieszanie wolontarjuszów z zawodowymi legjonistami, służącymi już nietylko po kilka, ale i po kilkanaście lat.

W ostatnich dniach kwietnia, 1915 roku, śród wolontarjuszów podniecenie się wzmaga. Jedni wpadają w zniechęcenie ostateczne, szukają dróg do ambulansów i szpitali, drudzy pomstują i wyrzekają, ostatni nakoniec żyją pragnieniem doczekania się najprędszego walki, bitwy, sposobności wykazania się, odznaczenia, przekonania Francuzów, jak to Polacy bić się umieją, jak to potrafią walczyć.

W listach ochotników wszędy ujawnia się przeczucie, że lada dzień, lada godzina zmieni się coś, że oddziały Legji Cudzoziemskiej mają ruszyć z martwych okopów na inny front, tam, gdzie już nie będzie kopania rowów strzeleckich, gdzie nie będzie nudnej służby frontowej...

Legję Cudzoziemską mają wysłać do Konstantynopola a dokładniej na walkę z Turkami pod Dardanelle... Jest to już pewne, już niezawodne...

W kolonji Polskiej Paryża poruszenie. Sarkazm wykrzywia twarze. Zwolennicy „orjentacji“ centralnej triumfują. Oczywisty dokument braku zaufania do Legji Cudzoziemskiej wogóle, a do Polaków przedewszystkiem... Posyła się ich na Turków, aby ich tam wytracić, zmarnować...

Komendant bataljonu litera „C“ 2 pułku marszowego Legji Cudzoziemskiej, wbrew tej wieści o uprzedzeniu Francuzów do polskich wolontarjuszów, pisze w ostatnich dniach kwietnia:

„Mam zaszczyt donieść Komitetowi Wolontarjuszów, że furjer „bataljonu, Rotwand, jest już na froncie zupełnie wyleczony z ra„ny, którą był otrzymał w grudniu. Podoficer ten zresztą sam „donosi o tem równocześnie Komitetowi.

„Proszę przyjąć odemnie zapewnienie o mych najżywszych „dla Was, Panowie, uczuciach. Jestem zresztą bardzo zadowolony „ze wszystkich wolontarjuszów, którzy objawiają zapał i odwagę, „godne największych pochwał“.

Wymowne to świadectwo komendanta Noiret miało się stać niebawem jego testamentem...

Nie wszyscy jednak wierzą w możliwość rozprawy na ostre.

Do Paryża przybywają ochotnicy z frontu, bądź na wypoczynek, bądź w drodze ze szpitala lub do szpitala.

Nad Sekwaną znajdują się Wolontarjusze: Żyznowski, Sobański Jan, Antoni Dąbrowski, i Henryk Biernawski. Kapral Michalski jest ranny. Wielowiejski jest chory. Stanisław Szarwarski zreformowany na serce. Mieczysław Rodzyński jest w szpitalu, Karol Rusz i Włodzimierz Szaniawski idą już do reformy, niema na froncie ani Szuriga, ani Mieczysława Kaj-

zera, ani Feliksa Kantorka (Hellego), ani Stanisława Wysockiego. Brak jeszcze wielu innych, wielu znajduje się jeszcze poza frontem, poza polem śmierci i polem chwały, wielu z Bajończyków w nadchodzącym szybko wielkim dniu udziału nie weźmie żadnego...

Co godne uwagi, że w Paryżu przebywa nietylko ochotnik, Jan Sobański, lecz że przebywa z nim razem sztandar Bajończyków, dźwigany w tornistrze przez nowego chorążego, tak samo zresztą, jak i za czasów Szuyskiego. Czy Sobański nie chciał się rozstać ze sztandarem, czy nie chciał go podczas swej „permissji" powierzyć nikomu z kolegów, czyli wogóle stracił był wiarę, aby ten sztandar mógłby być kiedykolwiek rozwinięty, dość, że zabrał go i przywiózł w ceracie na urlop także...

W Paryżu tymczasem miejscowy oddział Komitetu Pomocy Ofiarom wojny w Polsce zdołał się nieco ocknąć, zakrzątnąć energiczniej i uzyskać przywilej dokonania kwesty na rzecz Polaków we wszystkich kościołach Archidjecezji Paryskiej. Kwesta miała się odbyć dnia 9 maja. Nadto w kościele, tak zwanym, „polskim", przy którym urzędowała, tak zwana, „Misja Polska" w jednej jedynej osobie sędziwego prałata, ks. Leona Postawki, miało się odbyć solenne nabożeństwo, połączone już nietylko z kwestą, ale i z obchodem równoczesnym Konstytucji Trzeciego Maja i dnia Św. Stanisława, jako patrona Polski.

Były to wydarzenia osobliwe. Gotowano się do nich bardzo solennie. Zabezpieczano się zgóry, aby podziękowania telegraficzne nadeszły na czas z Warszawy, od Arcybiskupa ks. Kakowskiego, pohopnego do słania telegramów politycznych, no i od grona obywateli możliwie najbardziej utytułowanych...

Jakoż, według zapowiedzi, w niedzielę, dnia 9 maja, we wszystkich kościołach Paryża kwestowano na rzecz ofiar

wojny w Polsce, jakoż w „Polskim Kościele“ przy ulicy St. Honoré zgromadził się tłum cały Polaków wszelkich odcieni, niebrakło nawet niektórych szczerze do Polski przywiązanych żydów. Pienia religijne zorganizował Jan Reszke, podniosłe kazanie wygłosił wybitny kaznodzieja, ks. Courbet, nabożeństwo odprawiał gorący patrjota, ks. Więckowski, sędziwy prałat-powstaniec, ks. Postawka, uczynił wszystko, aby uroczystość była wskroś polska.

Obchód ten podniósł serca. Kwesta pod znakiem Polski w całym Paryżu odbyta, na rzecz Komitetu Veveyskiego, napełniła Polaków uczuciem wdzięczności...

Nikomu, nikomu zgoła wówczas ani się śniło, że w chwili, kiedy cały Paryż kwestował na rzecz Polski, że, w tej chwili, w tej samej prawie godzinie, tam, na froncie... wolontarjusze polscy krwią własną płacili, płacili odrazu, odrazu regulowali dług zaciągnięty!...

Droga do frontu była daleka. Liczba kilometrów przestrzeni była wprawdzie maleńka, nie starczyłaby może nawet na dwie i pół godziny jazdy koleją, — ale liczba kordonów wojskowych była niezliczona, najeżona trudnościami...

Biuletyn wojenny wypomniał atak jakiś wyjątkowo ostry, obliczył niewolnika wziętego, wyrachował przestrzeń przerwanego frontu i umilkł...

Była bitwa pod Arras! Rozprawa krwawa, krótka, jedna z tych pierwszych, które miały armję francuską wyprowadzić z obronnej dotychczas akcji i przerzucić ją do działania zaczepnego.

Nikt w Paryżu nie przypuszczał, ile ten oschły biuletyn wojenny, jeden z setek mu zresztą podobnych, zawierał materjału dziejowego, ile żałoby niósł Polakom, ile miał zaważyć na ich losie.

W kilka dni po dniu dziewiątym maja... nadszedł jeszcze list od Trzebiatowskiego z frontu, datowany dnia 7 maja...

„Nie do Konstantynopola“, — pisał Trzebiatow-
„ski, — „nie do Honolulu, lecz wywieźli nas o dwieście
„kilometrów wyżej, to jest w stronę północną i obecnie
„jestem w okolicy znanej mi dobrze... Ponieważ przy-
„wieźli całą dywizję naszą, więc adres pozostaje dawny,
„to jest, *secteur postal 109*. Tutaj czuć wojnę więcej,
„to też mamy już dwóch rannych Polaków: kapral Mi-
„chalski ranny po raz drugi oraz Gruszka. Mamy szczę-
„ście, bo Czesi mają już jednego zabitego a dwunastu
„rannych... Z braku czasu, więcej pisać nie mogę... Wi-
„weger nie bardzo zdrów“...

Kiedy ten list nadszedł był, nikt nie przypuszczał jeszcze, że jest to pismo ostatnie, pośmiertne poległego na polu chwały wolontarjusza-sokoła!

Po tym liście nadszedł jeszcze list od Jana Rotwanda...

„Wszyscy oczekujemy walki z niecierpliwością
„i wierzymy w jej powodzenie. Gdy tylko przerwana
„zostanie, chociaż w jednem miejscu, obręcz transzy
„niemieckich, to może też oni rozlecą się, jak beczka
„pozbawiona oków“...

List ten zaniepokoił bawiącego na urlopie Jana Sobańskiego i, jak zapewniał, do tego stopnia, że wyprawił w posyłce pocztowej przywieziony do Paryża sztandar Bajończyków, na imię podporucznika Lucjana Malcza... Drzewce sztandaru znajdowało się na froncie przytroczone do furgonu. Sztandar ten nie zdążył ani na bitwę pod Arras, ani nie dogonił już był Malcza... Odbyć miał męczącą podróż na front i wrócić z powrotem do swego chorążego w Paryżu.

Dopiero w ośm dni po bitwie pod Arras, gruchnęła pierwsza wiadomość z ambulansów, przejęła grozą, ogromem po-

niesionych strat w szeregach wolontarjuszów i rozpętała cały deszcz szczegółów poplątanych, niejasnych, pełnych niekiedy fantazji, a zwiastujących ciągle wieści żałobne.

Listy pierwsze i pierwsze relacje nadeszły nadewszystko od Bajończyków, którzy, jak to wyjaśniliśmy, tworzyli niemal jednolitą kompanję polską i posiadali w swem gronie cały zastęp młodzieży, którą z Paryżem łączyły węzły bliskiej znajomości i przyjaźni. Stąd nadewszystko powstało przekonanie, że w bitwie pod Arras, walczyli tylko Bajończycy, że im tylko przypada cała zasługa ofiary polskiej!...

Nikt nie przypuszczał wówczas, że, krom Bajończyków, poszli do ataku i Rueilczycy i chmara cała polskich ochotników, rozproszonych, rozrzuconych po dywizji „marokańskiej".

Pierwsza dokładniejsza relacja o bitwie pod Arras nadeszła od Władysława Wyrożębskiego, ochotnika, członka tej pamiętnej wyprawy na około świata, która, wyruszywszy z Brazylji, skończyła się w obozie Legji Cudzoziemskiej.

Władysław Wyrożębski, który zresztą posiadał, jak widać z jego opisu, niepoślednie zdolności literackie, w następujący sposób opowiada przebieg pamiętnej bitwy:

„Rano, około godziny 3-ciej byliśmy już w pierw-
„szej linji okopów. Czekamy, — cisza. Tylko czasami
„zagrzmi działo. Długo przyszło nam czekać. Wszyscy
„się niecierpliwią i mówią, że już z tego ataku nic nie
„będzie. Nareszcie przychodzi godzina 7-ma. Tam, w od-
„dali, coś zahuczało, u nas odpowiedziały armaty i, na
„przestrzeni kilku kilometrów, zagrzmiało do 1.000 ar-
„mat! Huk straszny. Już transzy niemieckich nie moż-
„na widzieć, tyle dymu i popiołu i ziemi unosi się w po-
„wietrzu. Francuzi biją zbliska i zdaleka armatami. Są
„moździerze małe, ustawione od transzy niemieckich
„o 50 metrów, które wyrzucają bomby 16 kilogramowe,

„inne znów ważą nawet do 40 kilogramów i więcej. Gdv „spadają widać je gołem okiem. Co za przecudny widok, „gdy tyle materjału wybuchowego eksploduje. Słupy „czarnych dymów dochodzą wysokości kilkuset metrów.

„Już nikt nie myśli o Niemcach, którzy są zaledwie „o kilkadziesiąt kroków („post d'ecoute" oddalony był „o 30 metrów od transzy niemieckich) swobodnie wy- „chylamy głowy. O dziwo! — Niemcy nie strzelają. Ani „jednego strzału karabinowego, mitraljezy też ustały, — „już nie rechoczą. Transze niemieckie były zburzone! „Część Niemców wybita, inni uciekli, a reszta pochowa- „ła się do głębokich „abris". Zbliża się chwila czynu! „Wszyscy w najlepszych humorach. Kapitan biega od „oficera do oficera, opowiada, śmieje się, toż samo nasz „komendant. Malcza obstąpiliśmy, pytamy się, jak mamy „się zachować. Odpowiada: — tu jesteśmy sobie równi, „tak, jak ja, jak wy, idziemy pierwszy raz do ataku, „a więc trochę zimnej krwi i pójdziemy, jak Polacy!"— „Nasz cały bataljon ma sektor do ataku długości 400 „metrów. Idziemy, jako awangarda, pierwsza linja obok „nas, czeska kompanja i Belgowie i 4-ta kompanja Gre- „ków stanowi rezerwę, ma za zadanie zapełniać luki, „które się utworzą.

„Dano sygnał. Idziemy z transzy na „post d'ecoute", „gdzie już były przygotowane małe okopy do ataku. „Wsuwamy się do nich powoli... Tu, na klęczkach, z ba- „gnetem w ręku, czekamy. Godzina 10-ta, sygnał! Wy- „skakujemy momentalnie na wierzch, kilka sekund i już „jesteśmy w okopach niemieckich. Lecz tu się długo nie „zatrzymujemy. Minuta wypoczynku wystarczy, aby na- „stępnie dobiedz do drugiej linji transzy niemieckich. „I tu nie schodzimy nadół, a przeskakujemy okopy. „Z Niemcami, którzy siedzą pochowani w okopach, na

„się załatwić następna linja atakująca. Mały odpoczynek, „pędzimy dalej, aż hen, tam, zauważyliśmy całą linję „Niemców. Uciekają co im sił starczy! Zając wyskoczył, „też ucieka. Wszyscy krzyczą „bosz, bosz“. Pędzimy na „złamanie karku! Już zawładnęliśmy i trzecią linją tran„szy niemieckich!

„Kapitan nie daje długiego odpoczynku, ma rozkaz „jaknajdalej iść, pomoc pewna artylerji za pomocą sy„gnałów, następnie, o 400 kroków miała iść druga linja „bojowa i, tak samo w krótkim czasie, konnica francu„ska miała szarżować. Kapitan wypełnia rozkazy, Ba„jończycy-Polacy idą z nim. Malcz zawsze na przedzie „idzie. Znów biegniemy. I tak z bagnetem w ręku, z 250 „kulami w ładownicach i z okrzykami na ustach „Niech „żyje Polska“! „Hej kto Polak na bagnety“! i t. p. „Szliśmy przeszło 6 kilometrów. Karabiny parzą, ręce, „nogi odmawiają posłuszeństwa, powietrza brak w pie„siach, lecz wiara idzie, chcą pokazać, co Polak umie. „Naraz, zauważyliśmy, że, na lewem skrzydle od nas, „Arabowie i Murzyni zaczynają się wahać... i że poszli „w tył. Prawe skrzydło odkryte, niema w pierwszej linji „zupełnie wojska, poszli atakować miasteczko...

„Niemcy kontratakują, kładziemy się, dajemy salwę „za salwą. Cofają się, lecz za to ich mitraljezy zaczynają „kosić, to przed nami to za nami, — powstaje jedna „linja kurzu, — to kule z mitraljez, źle wycelowane, „ryją ziemię.

„Kapitan zorjentował się, — pozycja odkryta, trze„ba szukać miejsca zakrytego, które się znajduje za na„mi o kilkaset metrów, — daje znak odwrotu. Zaledwie „ubiegliśmy kilkadziesiąt kroków, Niemcy ponawiają „atak, otoczyli nas półkolem i idą z górki w porządku, „w tyraljerce. Kładziemy się znów na odkrytem polu.

„Wystarcza kilka celnych salw, Niemców pada kilkuna-
„stu, reszta ucieka w nieporządku. Lecz już nas prze-
„trzebiono.

„Malcz leży, ranny w nogę, opatrują go inni. On ich „ściska i śmieje się do nich. Kapitan już ma kilka kul, „lecz krzyczy po francusku „strzelać, strzelać"... a więc „ogień trwa. Kul braknie! Z 250 kul, większość już „niemal wszystkie zużyła. Ogień słabnie. A mitraljezy „niemieckie „reperują" swój strzał, już nie biją w pole, „lecz w ludzi. Słychać jęki. Trup pada przy trupie. Do- „stałem już przedtem jedną kulę w ramię, teraz już „druga przeszła po łopatce. Prosi mnie Zuckier, abym „mu opatrzył nogę, — naraz, trzecia kula przebija mi „czapkę i kask stalowy (stalowy, francuski, cienki i lek- „ki, — nosi się pod czapką). Zalewam się cały krwią, „lecz nie tracę przytomności. Owijam głowę bandażem, „patrzę, a Zuckier już leży. Napewno inna kula go do- „biła.

„Tam Dobrowolski ranny, wstał, idzie chwiejnym „krokiem, pada na twarz. Ręką lewą nie mogę władać. „głowa mnie boli, więc idę. Nie chcę się dostać do nie- „woli. A tak przykro było opuszczać rannych i trupów „tych bohaterów.

„Idę, patrzę, dół od bomby, wchodzę odpocząć. Na „spodzie woda a w niej trup, na nim siedzi Palczewski „ranny i jeszcze dwaj żołnierze; wszyscy krwią zbrocze- „ni. Dół wypełniony po brzegi. Idę dalej. Czarni leżą „jak kamienie po polu. Dużo idzie rannych, lecz kule „ich koszą. Lepsza kula od niewoli.

„Oglądam się, patrzę, Weinberg na kolanach się „czołga, oczy jego smutne, chce mi coś powiedzieć „A nasi, tam, leżą w jednym szeregu. Niemcy już nie

„atakują. Trupów polskich się boją. Tylko mitraljeza „gra i nie żałuje im dziurek. Idę, oto pierwsze miejsce „zakryte, pełno strzelców alpejskich, Arabów i czar- „nych, — siedzą i nic nie robią. Krzyczę, wyję, aby „poszli na pomoc. Oficer zbiera grupkę żołnierzy i idzie. „Idę dalej, rów. Znów pełno żołnierzy, znów krzyczę.

„Sierżant od Senegalczyków macha karabinem, lecz „oni leżą jak barany! A dalej, leci stary legjonista bez „czapki, karabin podniósł do góry, śpiewa pieśń jakąś, „nawołuje, żeby tamci do boju szli. I poszli za nim. „A on jak bohater na czele... Śliczny typ.

„I inni poszli, lecz artylerja zagrzmiała. Dziesiątki „bomb spada i zabija bohaterów. Nie chcę patrzeć na to, „biegnę, zalatuję do szkoły (rolnicza, zburzona). Spo- „tykam Czecha od „wywiadowców", opowiadam mu „o tem, co się dzieje i proszę żeby uwiadomił władze. „Następuje wyczerpanie. Czech zaopiekował się mną, „zaprowadził do najbliższej infirmerji, stąd z innymi ran- „nymi udałem się do pobliskich zabudowań, gdzie ocze- „kiwały już wozy a zarazem opatrywano rannych.

„Tu spotkałem Kozierowskiego i Romanowicza. „Z nimi razem pojechałem na wozie do pobliskiego mias- „teczka. Następnie widziałem jeszcze Błaszczyńskiego „(ranny w nos i bok), Więckowskiego (głowa), Urbanka, „Niesułkowskiego (kapral w naszej kompanji, rana „brzucha), Zychiewicza (brzuch) Jaceko (palec), Wal- „tera i Obsta.

„Do stacji cztery kilometry przeszliśmy pieszo, cały „dzień czekaliśmy na pociąg i dwa dni jeździliśmy po- „ciągiem, zanim dostaliśmy się do szpitala.

„Po drodze wszyscy się pogubiliśmy, Polacy znajdu- „ją się w szpitalach tylko małemi grupkami. Tu, gdzie „jestem, z Bajończyków jestem tylko sam jeden".

Tę relację swoją o bitwie pod Arras, Władysław Wyrożębski zaopatruje uroczystym dopiskiem:

„Za prawdę tego, co tu napisałem, ręczę"...

I niewątpliwie dzielny wolontarjusz, jakim był Wyrożębski, napisał tylko szczerą i serdeczną prawdę, wypadła ona atoli tak niejasno, tak nikle, jak nikłym wogóle jest w bitwie punkt widzenia pojedyńczego żołnierza.

Lepszy, pełniejszy nieco obraz bitwy pod Arras, zaraz po dniu 9 maja, przesłał drugi Bajończyk, Jerzy Kijewski.

Kijewski tak opisuje przebieg pamiętnego dnia:

„Bitwa była straszna. Atakowaliśmy 9-go maja. Po-„stawiono naszą kompanję nawprost niemieckiej pozy-„cji, którą zwano „ouvrage blanc". Artylerja francuska „waliła strasznie całe rano; o godzinie 10-ej rano ruszy-„liśmy do ataku, nim jeszcze armaty francuskie przesta-„ły strzelać. Niemcy się nie spodziewali, że już wycho-„dzimy. Przeskoczyliśmy pierwszą linję transzy i, bez „zatrzymania, ruszyliśmy dalej. Przeszliśmy drugą. „Niemcy wyskakiwali z transzy i uciekali bez broni. Gdy „dochodziliśmy do trzeciej linji, wszystko wyleciało „w powietrze. Przebiegliśmy dalej: obejrzałem się, nie „było jeszcze dużo rannych. Przed nami nie było już „transzy. Lecieliśmy przez pole, zbliżając się do miastecz-„ka, do którego uciekali Niemcy. Miasteczko nosi na-„zwę Neuville. Dobiegliśmy do miasteczka. Z miastecz-„ka zaczęły strzelać mitraljezy. Biegliśmy więc więcej „na lewo od miasteczka, chcąc je otoczyć. Wtem, most, „na który weszła druga nasza sekcja, chcąc przejść „rzeczkę, wyleciał w powietrze, huk ogłuszył mnie zu-„pełnie... Widziałem jeszcze podporucznika Malcza, „biegł przed nami. Mitraljezy zaczęły strasznie grzecho-

„tać. Malcz upadł! Krew mu płynęła po nodze i około „brzucha. Koło mnie padł Kamiński, na czole wysko- „czyła mu biało-czerwona ciecz... Wiweger i Dobrowol- „ski padli trafieni w głowę.

„Wtem, około mnie, wybuchła straszna „marmita". „Zostałem rzucony w górę i upadłem do dołu, napeł- „nionego wodą. Nie mogłem się ruszyć, czułem ból w no- „dze, myślałem, że jestem ranny. Był to, jak się później „przekonałem, odłamek, który uderzył mnie płasko, „robiąc mi tylko siniaka na nodze i kalecząc mi palec.

„Nasi cofnęli się o kilkadziesiąt kroków na drogę, „która była wgłębiona. Formowało to rodzaj szerokiej „transzy, w której byliśmy zasłonięci od kul. Doczołga- „łem się do tej drogi. Po drodze znalazłem trupa Stein- „kellera i Weinberga, obaj byli mymi bliskimi przyja- „ciółmi, lecz wziąć ich pod gradem kul nie można było.

„Na drodze było nas jeszcze kilkudziesięciu Pola- „ków. Obiecywane posiłki nie nadchodziły. Broniliśmy „się cały dzień. Wieczorem ruszyli żuawi, ale do nas „nie doszli, wobec gradu kul, jakiemi zasypywali nas „Niemcy. Myślałem, że tu już nasz koniec. Nad ranem „jednak, zastąpiono nas żuawami. Cofnięto nas na dru- „gą linję, gdzieśmy byli cały dzień i całą noc. W po- „łudnie, dnia 11 maja, cofnięto nasze niedobitki na „trzecią linję. Nie jadłem i nie spałem od samego po- „czątku tej strasznej bitwy. Byłem prawie nieprzytomny „z podniecenia, jakie nas wszystkich opanowało. Przyje- „chały nowe wojska, piechota linjowa".

Tak bitwę pod Arras opisał ochotnik, Jerzy Kijewski. Opis ten trzeba brać, naturalnie, nie za opis całej bitwy.. lecz za dzieje jednej drugiej kompanji bataljonu litera „C".

W obydwu tych opisach były usterki, były te mimowolne błędy, które popełniać musi każdy żołnierz, poczytujący w zamęcie padającego towarzysza za poległego...

Jakoż odrazu nadeszło sprostowanie... a raczej ostrzeżenie przed błędnemi informacjami. Ostrzeżenie to pisał Jan Rotwand, mianowany, po bitwie pod Arras, podporucznikiem na miejsce poległego Lucjana Malcza.

Rotwand, w dniu 3 czerwca wystosował do prezesa Komitetu Wolontarjuszów następujący, godny uwagi list:

„Jeszcze jestem pod wrażeniem ataku, jeszcze żyją „we mnie wszystkie wrażenia i uczucia, wywołane wal„ką, dlatego to właśnie trudno mi teraz jeszcze pisać „o bitwie i jej przebiegu.

„Chciałem też dlatego uprzedzić Szanownego Pana „przed wszelkiemi wiadomościami i opisami, które prze„syłają Szanownemu Panu, są one, przynajmniej te, któ„re czytałem (naprzykład Wyrożębskiego) zupełnie myl„ne, chociaż pisane często w dobrej wierze. Zdaje się „ludziom, że widzieli i wiedzą coś, tłumaczą sobie w pe„wien sposób odruchy i uczucia osobiste, uzupełniając „i uogólniając je wedle swej fantazji, tymczasem mają „przed sobą jedynie kawałek mały pola i nawet dobrze „nie wiedzą, co się na niem dzieje, a biorą jedynie swoje „wrażenia, często nie bardzo ciekawe, za rzeczywistość.

„Żeby cośkolwiek o ataku napisać, coby miało jakąś „wartość, a nie było nowelką „o boju“, trzeba powoli „odtworzyć wszystkie fazy walki, przypomnieć sobie „niezaprzeczalne fakty, zagłuszone nieraz wrażeniami „osobistemi, — a to jest praca powolna i często trudna.

„To, co piszę o walce samej, stosuje się, może nawet „jeszcze lepiej, do wiadomości, podawanych o towa-

„rzyszach broni. Tu już fantazja jedynie gra rolę fak-„tów.

„Zabici, ranni są podawani jak popadło, a gdy się „starać dojść prawdy, sprawdzając wiadomości poda-„wane, praca to niezmiernie trudna, prawie nie do wy-„konania.

„Piszę to Szanownemu Panu z własnego doświadcze-„nia, gdyż zostawszy najstarszym z naszej kompanji, „zajmowałem się spisywaniem list zabitych, rannych „i zaginionych. Otóż chociażem bardzo ostrożnie je spi-„sywał, starając się zasięgnąć jaknajdokładniejszych „wiadomości, nimem kogoś na jednej z tych list umie-„ścił, to jednak bywało, że podawano mi, i to „świad-„kowie naoczni", rannego, jako zabitego i inne podob-„nie mylne informacje.

„Mogę Szanownemu Panu, w każdym razie, udzielić „pewnych objaśnień o naszej kompanji, ale tylko pry-„watnie i proszę Go o wielką ostrożność w podawaniu „zmarłych.

„Zdaje mi się (i bardzo byłbym z tego zadowolony), „że zaszła pomyłka co do Malcza, gdyż nikt go zabite-„go nie widział, a był jedynie w takiej pozycji ostatnio, „już ranny, że mógł się dostać w ręce niemieckie. Ciała „jego nie odnaleziono, rannego nie przenosili nasi bran-„kardierzy, tak, że albo będąc rannym, (może tak cięż-„ko, że pisać nie jest w stanie), został podniesionym „przez lekarzy innego jakiegoś pułku, działającego z na-„mi tego dnia, albo też dostał się do niewoli.

„Byłby, w takim razie żywy, i nam nadzieję, że tak „być może.

„Wiweger, Steinkeller, Weinberg są zabici.

„Kaprale Przescang i Terlikowski oraz Klimas, „Goldberg są również *podobno* zabici.

„Stanisław Kamiński padł tuż przy mnie, kula prze-
„biła mu czaszkę, — śmierć była momentalna.

„Zukiera widzieli rannego. Inni, jak Golcz, Budziński, „Chociński są na liście zaginionych, — niema o nich ża„dnych dokładnych wiadomości.

„Przypuszczam, że liczba ogólna zabitych w naszej „kompanji (nietylko Polacy, wliczeni są w to gradowani, „po większej części Francuzi oraz różni wolontarjusze „innych narodowości, wchodzący w skład naszej czwar„tej sekcji) *nie przekracza dwudziestu... (podkreślenie Aut. Hist. Armji Polsk.).*

„Inni są ranni, najczęściej lekko, codzień o nich do„wiadujemy się, lub mała część, liczona jeszcze jako za„ginieni, może być w niewoli.

„Ranni, o których mamy dokładne wiadomości są:

„Sierżant Naturski, kapral Obst, kapral Szaniawski „Tadeusz, Walter, Kulągowski, Baranowski, Wyrożęb„ski, Jaceko, Bertman, Szymański, Kozierowski, Banach, „Kaniewski, Pańczyk, Plesnar, Pełka, Waligóra, Ławry„niuk, kapral Rembelski, Osecki, Chlebicki, Więckowski, „Ludwik Sowiński, Liszkowski, Zychiewicz, Szafran, Teo„fil Dąbrowski, Więcławik, Palczewski, Błaszczyński, „Romanowicz, Adamski, Silbigier, kapral Niesułkowski, „Urbaniak, Lumbée i Krakowski.

„Zawsze służę, Szanownemu Panu, i gotów jestem „udzielić Mu wszelkich wiadomości, o ile jakieś jeszcze „informacje o rannych lub zabitych mieć będę. Następ„nie zawsze gotów jestem być pośrednikiem między „Szanownym Panem i Komitetem i Polakami, którzy te„raz tworzą jedną tylko sekcję naszej nowej kompanji, „uformowanej z resztek Czechów, Belgów, Luxembur„czyków i z nas. Przypadło mi, i uważam to za honor,

„dowodzenie sekcją, która jest resztką walecznej i dziel-
„nej kompanji"...

Tak słuszny w swych początkowych wywodach list Jana Rotwanda również nie ostał się przed błędami... Podporucznik Rotwand między bezwzględnie poległymi podał także Steinkellera, który miał go przeżyć... i to całe lata...

Opisy powyższe i szczegóły, jak widać, nie dają bynajmniej pojęcia ani o bitwie pod Arras, ani o udziale w niej drugiej polskiej kompanji, chociaż do dziejów tej kompanji wnoszą szereg ciekawych szczegółów. Listy te przecież są bardzo ważne, jako bodaj jedyne z tych pisanych na gorąco „wrażeń". Umieszczamy je na szpaltach Historji Armji Polskiej dlatego, że, w znacznej mierze, zaprzeczają one już literackim tylko impresjom i opowieściom i bajkom i przechwałkom.

Taki, naprzykład, opis znajdujemy w dziełku byłego wolontarjusza, Jana Żyznowskiego, dziełku napisanym z talentem („Dla Polski pod Joffrem" Jan Żyznowski, Warszawa — Piotrogród, 1916).

Żyznowski zamieszcza opis bitwy, najwidoczniej z opowiadań kolegów, sam w tym czasie, jako chory, był na wypoczynku poza frontem. No i mimowoli popełnia szereg błędów, jak naprzykład, tragiczny szczegół (strona 121), że wolontarjusz Wacław Liszkowski, w chwili gdy nad głową pękają mu szrapnele... „nakrywa się martwym Steinkellerem"... który w istocie był ranny i jako ranny dostał się do niewoli niemieckiej i powrócił z niej cały i służył w Armji błękitnej... no i niezawodnie za tarczę przed szrapnelami nie służył Liszkowskiemu, bo ten był tak ciężko znów pokaleczon, że umarł z ran... w Lisieux.

Z pośród stosu całego już mniej ważnych, banalnych opowiadań o pamiętnej bitwie, wyjmujemy jeszcze dwa charakte-

rystyczne i jeden godny uwagi, bo pochodzący z innego oddziału Legji.

Pierwszy, to list ochotnika Stanisława Banacha, list krótki i wolny od wszelkich osobistych impresyj i tem może doniosły.

Stanisław Banach poprostu rzecz całą ujmuje:

„Nasz bataljon został wyznaczony na pierwszą linję „ognia, bo był uważany za najlepsze wojsko naszej dywi„zji, a zwłaszcza nasza kompanja polska, która była za„wsze wychwalana w innych bataljonach przez kolone„lów i generałów, że jest elitą i wzorem dla innych od„działów.

„Zmieniliśmy sektor nasz w Szampanji w stronę Ar„ras i tu, wypocząwszy kilka dni, dnia 9 maja, o godzi„nie 2 rano, zostaliśmy wysłani do transzy. Każdy dostał „ręczne pociski i 250 naboi. Z wielką niecierpliwością „oczekiwaliśmy wyruszenia przeciwko naszemu wrogo„wi. Radość między nami była nie do określenia. Zeszło „nam tak do godziny 10-ej rano, w którym to momencie „dano znak do ataku przeciwko wrogowi, który znajdo„wał się o 80 metrów od nas. Ruszyliśmy na bagnety „z wielkim okrzykiem. Niemcy nie byli wstanie nas pow„strzymać i chowali się po norach, a którzy stawili opór, „zostali prawie rozszarpani od bagnetów, pocisków rę„cznych i armatnich.

„Tak przebyliśmy trzy linje transzy pod gradem kul, „mitraljez i armat, cofającego się nieprzyjaciela parli„śmy bagnetami przez cztery i pół kilometra, aż, przed „jedną wioską, pod lasem, wróg spostrzegł wyczerpanie „naszych sił i zaatakował nas. Myśmy bronili naszej po„zycji prawie do ostatniego, aż do przybycia posiłków na „miejsce rannych i zabitych.

„Zostałem ranny o godzinie 11 i pół w prawą rękę, „po otrzymaniu rany, broniłem dalej pozycji“.

Równie charakterystyczny, lecz głównie dla epizodycznej swej wartości jest niewymyślny, skromny list innego wolontarjusza, Stanisława Kleniewskiego, który opowiada szczerze o tem, co w bitwie nie należy do heroicznych wspomnień, a co bywa często treścią przeżycia żołnierskiego. Kleniewski niejako kończy list Banacha...

„Zostałem ranny w nogę około 11 w południe, nie „tracąc ducha, zdjąłem but z nogi i strzelałem dalej, tak, „że, zapomniałem o ranie. Wykopałem sobie dołek, który „mnie chronił od gradu kul z karabinów i mitraljez. „Z tyłu, za mną, znajdowały się wojska francuskie tak, „że, przez cały dzień byłem między dwoma ogniami. „Ostrzeliwałem się, dokąd mi starczyło naboi. Pod wie„czór, nieprzyjaciel zaczął się podsuwać bliżej mnie. Ma„jąc jeszcze trzy pociski, postanowiłem się bronić. Rzu„ciłem pociski, nieprzyjaciel pozostawił mnie w spokoju. „Był wieczór, gdym próbował wydostać się z niebezpie„cznej kryjówki i gdym został drugi raz ranny w tę sa„mą nogę. Nie bacząc na ból, zacząłem czołgać się na „brzuchu do towarzyszów. Ale i tu rannemu trudno by„ło, więc poczołgałem się dalej od linji, abym mógł wy„począć. Wykopałem sobie dół, w którym zamieszkałem „noc i dzień. Noc była spokojna; nad ranem rozpoczęło „się bombardowanie naszej pozycji od strony nieprzy„jaciela. Przez cały dzień zasypywała mnie ziemia, wy„rywana przez obusy. Myślałem, że już na mnie przyszedł „czas rozstania się z tym światem. Zostałem całkiem przy„sypany ziemią i to mnie ochroniło od szrapneli. Wy„grzebałem sobie, oczywiście, w zaspie dziurę dla po-

„wietrza, bo trudno było oddychać. Wieczorem, znów „wydostałem się z pod ziemi i, czołgając się na brzuchu, „nad ranem, dostałem się do stoga słomy, gdzie spotka- „łem jeszcze trzydziestu sześciu... rannych towarzyszów, „którzy oczekiwali pomocy lekarskiej".

Nakoniec sięgamy jeszcze do ostatniego listu, jako zasługującego na uwagę. List ten jest pisany przez Tadeusza Możdżeńskiego, Rueilczyka, ochotnika, należącego do drugiego oddziału, do tego mrowia już ochotników, rozproszonych po różnych sekcjach i kompanjach Legji Cudzoziemskiej, bez prawa do tworzenia jakiegoś równie jednolitego oddziału, jak kompanja Bajończyków.

Tamtym, tym rozproszonym, brak nadto dość chętnych do opisywania wrażeń swych i przeżyć. Tamci giną, przepadają bez słychu, bez sławy, bez wspomnienia jak to było!...

Możdżeński Tadeusz stanowił w owym czasie wyjątek.

„Jak wiadomo" — pisze Możdżeński, — „w drugim „regimencie pierwszego pułku Legji Cudzoziemskiej by- „ła jedna prawie cała kompanja Polaków a druga Cze- „chów, reszta Polaków była rozdzielona po kilku, kilku- „nastu w innych kompanjach. Liczba Polaków i Czechów „wzrosła na parę dni przed atakiem; byli to Polacy z pod „austrjackiego i niemieckiego zaboru, jako też Czesi, któ- „rych oddzielono z trzeciego pułku Pierwszej Legji Cu- „dzoziemskiej i, po chwilowym pobycie w Lyonie, przy- „słano tutaj. Do nich należałem ja właśnie"...

W dalszym ciągu Możdżeński już nieco szerzej patrzy na bitwę. Podczas, gdy z pierwszych słów zdawać by się mogło, że w pamiętnym dniu 9 maja walczyła jedna kompanja tylko, jeden bataljon może, — tutaj już większą czuć rozprawę...

„Na drugi dzień zrana, każdy na swojem miejscu „w okopach, czeka rozkazu. Udział w walce mieli brać „żuawi, tyraljerzy z drugiego pułku Legji i parę regi„mentów francuskich. Bombardowanie Niemców, trwa„jące od paru dni, gwałtownie się wzmogło. Tysiąc armat „grzmiało. Przez cztery godziny nie można było na parę „kroków słyszeć wołania kolegi, taki huk był straszny. „Około 10-ej godziny rano, armaty ucichły cokolwiek; „chwila stanowcza, mój adjutant krzyczy „naprzód", wy„skakujemy z okopów, zostawiamy kilku zabitych i ran„nych, pędzimy naprzód. Przylatujemy do niemieckich „okopów, Niemcy uciekają przed bagnetami, zostawiają „w ucieczce kilka mitraljez; kilkunastu pozosta„łych w okopach prosi o łaskę, klęka, rzuca broń, kilku„nastu rannych strzela do nas, niema pardonu, muszą „zginąć; już ich dobijają nasi bagnetami. Pędzimy dalej, „szrapnele niemieckie i armatnie kule padają między nas „coraz gęściej, zostawiając to po dwóch, to po czterech „zabitych lub rannych. Po drodze, znajdujemy w stogach „słomy ukrytych paru Niemców, bronią się, nie błagają „o litość, giną od naszych bagnetów. Mnie się tu nada„rzyła sposobność przebić dwu Niemców, jednego przy „słomie, który, zgubiwszy swój bagnet, zamierzał mnie „kolbą uderzyć, drugiego, który, choć ranny, mierzył do „mnie z karabinu, udając przedtem, że błaga o litość. „Pod laskiem, komendant komenderuje „entirajjer", kła„dziemy się w jednej linji na ziemi i strzelamy, tymcza„sem z tyłu kilka kompanij przychodzi nam na pomoc „z mitraljezami. Niemcy zaczynają się strasznie bronić. „Mitraljezy niemieckie pozostawiają rzędy trupów, jak „pokłosy zboża ściętego; cofamy się trochę, każdy wyry„wa z ziemi łopatką lub siekierką, choćby marnym nożem „grudki ziemi, aby mieć przed sobą, jaką taką osłonę.

„Zaczyna się okrutna strzelanina, trwająca z pół godzi-
„ny. Komendant ginie od wybuchu bomby, kapitan, ran-
„ny, pozostaje w tyle; dwóch, znanych mi z widzenia, ro-
„daków ginie od bomby również. Na szczęście, przycho-
„dzą nam na pomoc jakieś dwie kompanje francuskie.
„Posuwamy się o pięćset metrów naprzód, mitraljezy
„z nami; potem znów parę metrów, równamy się z brze-
„giem lasu, który się znajduje po naszej prawej ręce. Ka-
„żdy dba o siebie, znów strzelanina; po jakiejś chwili,
„spoglądam w bok, pozostaje nas tylko z pięćdziesięciu
„na przedzie, drudzy cofnięci o parę metrów w tyle; wi-
„dzę około siebie kilkunastu Polaków, Czechów i in-
„nych z naszej kompanji; nie mam czasu rozpoznać ich
„twarzy, — oto kula mitraljezy przeszła mi przez stopę.
„Niemcy zaczynają się cofać, nasi naprzód, ja zostaję
„ w tyle, nie mogąc iść, więc zawracam ku naszym tran-
„szom, gdy odłamek szrapnela rani mnie w t..... Czołgam
„się, jak mogę, przychodzi mi na pomoc poczciwy jakiś
„Francuz, ranny w głowę, i tak powoli dochodzimy do
„swoich, zostawiając walczących siedem kilometrów za
„sobą (siedem kilometrów posuwaliśmy się naprzód,
„w trzy godziny walki)".

Przechodząc od tych opisów i wspomnień wolontarskich do ustalonych faktów, należy uprzytomnić sobie znaczenie bitwy pod Arras.

Po długim zastoju na froncie francusko - niemieckim, spowodowanym nadewszystko zimą i roztopami wiosennemi a z drugiej przymusem prowadzenia przez Francuzów ciągle walki obronnej, — sztab francuski postanowił przejść do akcji zaczepnej, postanowił spróbować przerwania łańcucha okopów niemieckich, może zamyślał o przejściu do wojny manewrowej, może tylko chciał atakiem zaszachować nieprzyjacie-

la, siłą uderzenia podnieść na duchu swe uwięzione w transzach armje.

Do ataku wybrano okolicę Arras, wyznaczono dzień 9 maja.

Atak miała prowadzić słynna „Dywizja Marokańska“, owa nigdy nieuchwytnej liczby jednostka bojowa ale wzamian jednostka posiadająca wprost olbrzymie przymioty „szturmowe“.

Rdzeniem głównym tej „Dywizji Marokańskiej“ była nadewszystko Legja Cudzoziemska. Legja, która normalnie składała się z dwu Legjonów alias pułków, a która, podczas wojny, wzrosła tak, że, sama przez się, tworzyła tak zwane „pułki marszowe“. Dalej do „Dywizji Marokańskiej“ należeli żuawi, wypróbowanej siły i wytrzymałości piechota francuska, mająca za sobą tradycję ciągłych prawie walk i potyczek, staczanych w kolonjach francuskich, piechota dobierana z wyjątkowo zawadjackich elementów, piechota w tradycji swej tak zaraźliwa, że najpotulniejszy mieszczuch francuski, w mundurze żuawa, umiał przeistaczać się w lisa i panterę, w lwa i niedźwiedzia zarazem. Nakoniec do tej „Dywizji Marokańskiej“ należeli z urzędu ci, którzy nadawali jej nazwę, więc Marokańczycy. Żołnierz dobrowolnego zaciągu, chłop w chłopa na schwał, dobrany, dopasowany, płacony i żywiony dostatnio, wierny niewolniczo złożonej przysiędze i oceniający wartość swego życia mahometańskim „kismetem“, wiarą w przeznaczenie... Takiemu Marokańczykowi nic zgoła na wojnie nie groziło, co nie było już oddawna zapisane w księdze żywota, a czego on nigdyby uniknąć nie zdołał, czyliby poszedł na wojnę czyliby też spokojnie pod namiotem, w rodzinnej oazie siedział. Kto z Marokańczyków ocalał z bitwy, ten zdobywał tytuł do zasługi za życia, kto zginął, ten doczesną wędrówkę zmieniał na odpowiednio wysokiego numeru raj Mahometa i tam niebiańskich, a po ziemsku rozumianych, zaznawał sło-

dyczy. Tak sformowaną „Dywizję Marokańską“ uzupełniały zazwyczaj pułki murzyńskie, przeważnie Syngalezów, więc znów drabów wielkich, zwinnych, lśniących, trzymanych w żelaznej dyscyplinie, bardzo niepewnych czasami w chwilach gdy zawiele huku podniebieskiego armaty sprawiają, ale wzamian okrutnych w boju na białą broń. Syngalezi byli właściwie „czyścicielami okopów“ w dywizji... Inne półki rwą naprzód, przeskakują transze, nie bacząc na pozostawionych za sobą w okopach nieprzyjaciół... Te okopy należą do Syngalezów, oni dopiero wpadają w pasma rowów i robią w nich ponury porządek...

Według rozkładu, atak dnia 9 maja rozpoczynała Legja Cudzoziemska a w szczególności bataljon litera „C“ Drugiego Pułku Marszowego, Pierwszej Legji.

Pierwszą kompanję tego pułku stanowili ochotnicy Czesi, — ale czy to dlatego, że ci ostatni, jak stwierdzają listy naszych ochotników, ponieśli, czasu strzelaniny w rowach strzeleckich, dość znaczne straty, czy też, że istotnie, jak stwierdza znów komendant Noiret, druga kompanja, prawie całkowicie polska, była elitą w bataljonie, dość, że zaszczyt rozpoczęcia bitwy pod Arras przypadł w udziale Bajończykom.

Odrazu tutaj podkreślmy usilnie, że, krom Bajończyków, w innych kompanjach tego samego drugiego Pułku Marszowego Legji, byli Rueilczycy, byli wolontarjusze, zaciągnięci w innych miastach Francji, byli Polacy rozsypani na małe gromadki.

Jak widzimy z powyższego, władza francuska, wbrew utyskiwaniom polskich wolontarjuszów, nietylko, że nigdy o ich zapale i poświęceniu nie wątpiła, ale raczej wyróżniała ten ich impet i zawziętość bojową. Do rozpoczęcia ataku bowiem nie można przecież używać kompanji wątpliwego „esprit du corps“. Od pierwszego wypadu, od pierwszego hasła zależy,

w znacznej mierze, powodzenie. Ci pierwsi, ci, mający przodować innym, muszą posiadać wyjątkowe przymioty, szczególne zalety, aby przykładem swoim porwać innych.

Wybór ten musiał być rezultatem głębokiego namysłu i zastanowienia. Atak francuski pod Arras mógł się skończyć na lada nieudałem uderzeniu. Boć jeżeli atak ten nie miał przerwać linij niemieckich, jeżeli mógł nie dokonać wyłomu, musiał dążyć do podniesienia na duchu armji, musiał wdrożyć żołnierzowi przekonanie, że mur germański można rozbić, że można targnąć nim i rozedrzeć.

Więc bezsprzecznie wielki był to zaszczyt dla tej garści Polaków, że właśnie im kazano ruszyć naprzód.

Ten niespodziewany rozkaz, jak to widać ze wszystkich bez wyjątku już listów wolontarjuszów, z ich wspomnień i powieści, został powitany wybuchem szalonej radości. Radość ta była reakcją goryczy, bajek rozsiewanych o braku zaufania do Polaków, o pomawianiu ich o możliwość zdrady i t. p. A dalej radość ta była poczytywana za urzeczywistnienie tego snu wolontarskiego o możności wykazania się, zadziwienia świata męstwem, okrycia chwałą imienia polskiego. Pomimo wszystko bowiem, pomimo tego, że wielu było takich, którym już życie żołnierskie obmierzło, pomimo tego, że niejeden, w gruncie tchórzem podszywany, stracił swą pierwszą fantazję i na reformę zezował, przecież, w rdzeniu wolontarskiem, duch był silny i ten duch silny wywierał wpływ dominujący. I ten duch sprawił, że, na pierwszą wieść o rozkazie zaszczytnym, ochoczo uderzyły młode serca wolontarjuszy polskich, że niejednemu ukazała się w tornistrze, niby za prastarych czasów, marszałkowska buława.

Legją w tej potrzebie dowodził dzielny oficer francuski, szczery żołnierz, pułkownik Pain, bataljonem dowodził komendant Noiret, kompanją polską, noszącą numer drugi, do-

wodził kapitan Osmont, niedawno zmieniony, po kapitanie Lobus.

Kapitan Osmont (według pisowni sztabu Legji Cudzoziemskiej, ochotnicy nasi piszą go „Osmonde"), były porucznik żuawów, zdobył sobie sympatję wolontarjuszów. Był to oficer zaprawiony na harce wojenne, odważny, nie tak drobiazgowy, jakim był kapitan Lobus, a może dlatego nie tak drobiazgowy, że odrazu przychodzący już do wyćwiczonej i ostrzelanej na froncie kompanji.

Rozkazy bliższe były proste. Kompanja druga polska rozpoczyna o godzinie 10 rano atak i prowadzi go. To znaczy, stara się opanować jaknajszybciej pierwsze linje okopów niemieckich, posunąć jaknajdalej w głąb, nie zatrzymując się na linjach obronnych, które oczyszczać będą następujące za nią oddziały. Wypad kompanji polskiej będzie hasłem do wypadów równoczesnych na całej linji bojowej.

I druga kompanja polska nie zawiodła, ruszyła z szaloną brawurą, z bohaterską odwagą naprzód, ruszyła tak szybko, z takim impetem, jakiego się rachuby sztabu nie spodziewały...

Trzy linje okopów niemieckich zostały przebyte... ale równocześnie przerwana została łączność z tyłami i tak dalece, że, śród zamętu bitewnego, nieuprzedzona artylerja francuska, mająca ogniem zaporowym zagrodzić dostęp posiłkom niemieckim, że artylerja ta zaczyna razić własnych swych żołnierzy, że niektóre gromadki wolontarjuszów, legjonistów, piechurów wzięte są we dwa ognie... Tu terkoczą kartaczownice niemieckie, niemieckie trzaskają karabiny a tutaj, za plecami, pękają pociski francuskie...

Kośba zaczyna się okrutna, straszna. Komendant Noiret, a za nim pułkownik Pain, ruszają sami naprzód, ruszają w głąb bitewny, aby zatrzymać niebacznych, rozhulanych... Pułkownik Pain ginie na polu chwały, ginie komendant Noiret, ten tak dumny ze swych Polaków oficer!...

Raz jeszcze rozlega się rozkaz, ociekającego krwią, kapitana Osmonta i rozkaz ten ma stać się ostatnim już śladem jego bytowania ziemskiego...

Starszyzna francuska daje przykład tragiczny, jak należy ginąć na polu chwały, jak trzeba sławę imienia Legji Cudzoziemskiej okupywać...

Nasi, Polacy, nie dają się zawstydzić. Walczą i giną...

Giną, jako Bajończycy, giną jako Rueilczycy, giną. jako te nieuchwytne, rozproszone gromadki... giną nawet w walczących obok regularnych pułkach francuskich...

Ale to tylko jeden epizod pamiętnej bitwy, jeden moment jej, może ten najkrwawszy, ale nie ostatni.

Armja francuska święci zwycięstwo! Nie takie, jakiego może spodziewano się w szeregach polskich wolontarjuszów, ale niezawodnie jakie wyliczył był czujny, zimny sztab francuski.

Wzięto kilka tysięcy niewolnika, wygnieciono mnóstwo nieprzyjaciela, potrzaskano mu linje okopów, zyskano, jeśli nie strategiczną zdobycz, to bezsprzecznie wielką zdobycz moralną. Sięgnięto po inicjatywę, z obrony ruszono do walki zaczepnej. Z dotychczasowego bezruchu przerzucono się do czynu, do ataku, ukuto znów jedno więcej ogniwo łańcucha, którym miano spętać pychę germańską.

Bitwa pod Arras, bitwa dnia 9 maja, 1915 roku, dowiodła, że front niemiecki, choć miesiącami budowany i umacniany przerwać można, że można przerwać go samym nawet impetem natarcia, że duch żołnierza jest, jak zawsze, silniejszym od najtęższych zawór, od najtęższych fortyfikacyj, że ciągle zdolen jest sprostać najgroźniejszym narzędziom obrony i zniszczenia.

Bitwa pod Arras dla Polaków, pogrążonych w rozterce, zgorzkniałych i wątpiących zdala od frontu bojowego, zabrzmiała znów tylko żałosnem westchnieniem i skargą męczeńską...

Tyle, ach, tyle zbladło nam kras
Że załamujem rozpacznie dłonie,
Szepcąc pacierza koronkę skarg,
W nurtach żałości serce nam tonie
Za tym zamarłym uśmiechem warg...
Znów... pod Arras...
Tacyście ufni szli z pośród nas,
Z niepodległości hardym sztandarem,
Niebios was muskał wiosenny dech,
Nim na posłaniu legliście szarem,
Wsłuchani w dziejów pobudkę ech,
Znów pod Arras...

Przez usta utalentowanej poetki, Janiny Łasińskiej, taką pieśnią żałoby i smętku beznadziejnego powitała Kolonja Polska w Paryżu wieść o bohaterskim udziale ochotników polskich w bitwie pod Arras.

Wszystko to było tylko odwieczne „znów"... „Znów" niewiadomo po co, na co i za co!...

Znów liść wawrzynu, ognik sławy i znów nic, krom krwawej hekatomby, daremnej ofiary...

Stać się miało jednak inaczej...

Krwi wolontarskiej sądzonem było wydać plon...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SPRAWA LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ W SENACIE FRANCUSKIM. — PAMIĘTNE OBRADY. — NIESPODZIEWANY SPRZYMIERZENIEC POLSKI I POLAKÓW. — HOŁD DLA WOLONTARJUSZÓW POLSKICH. — ZAMKNIĘCIE REKRUTACJI. — OBRACHUNEK POLEGŁYCH I RANNYCH W BITWIE POD ARRAS. — NOWA BITWA, DNIA 16 CZERWCA. — RELACJE ŻOŁNIERSKIE. — NOWE STRATY. — SPODZIEWANE I UZYSKANE NAGRODY. — POLEGLI I RANNI NA INNYCH FRONTACH. — TURCJA I AFRYKA. — STOSOWANIE NOWYCH PRZEPISÓW O LEGJONISTACH. — AMBASADA ROSYJSKA I PUŁKOWNIK OSNOBISZYN. — BUNTY W LEGJI. — SMUTNE RELACJE. — PODZIELENI I JESZCZE BARDZIEJ ROZPROSZENI. — DZIEJE SZTANDARU.

Dopiero coś na dziesiąty dzień po bitwie pod Arras, nadeszły do Komitetu Wolontarjuszów pierwsze wiadomości o udziale polskich ochotników w tej rozprawie i o poniesionych przez nich wielkich stratach.

Pierwsze nowiny, potwierdzone niebawem chaotycznemi listami z ambulansów i szpitali, wywarły piorunujące wrażenie.

Pod tem wrażeniem prezes Komitetu Wol. nakreślił w języku francuskim płomienny artykuł p. t. „*Vive la France! Vive la Pologne!*“ i ogłosił w „*Polonii*“. Czasopismo to było rozsyłane bezpłatnie do wielu posłów Izby i Senatu i do wszystkich prawie co wybitniejszych dygnitarzy Republiki.

Artykuł ten spowodował niespodziewaną zupełnie i do-

niosłą reakcję. Wywołał jeden z tych aktów, które w następstwie miały posłużyć za ważki argument.

Na porządku dziennym Senatu francuskiego, było nowe prawo, projektowane przez senatora, Henry Bérangera, działającego zresztą w porozumieniu z ówczesnym ministrem wojny, Millerandem.

Nowela prawna dotyczyła Legji Cudzoziemskiej.

Rzecz się miała tak:

Tuż po wybuchu wojny, w dniu 3 sierpnia, 1914 roku, wydany został dekret za podpisem Prezydenta Rzeczypospolitej a za kontrsygnatą ministra wojny, Messimy. Dekret ten brzmiał:

„Zaciągi cudzoziemców do pułku cudzoziemskiego „autoramentu są przyjmowane na czas trwania wojny".

Tuż potem, zostało uchwalone prawo dodatkowe (dnia 5 sierpnia, 1914 roku) brzmiące dosłownie:

„Rząd jest upoważniony do udzielania naturalizacji, „bez obostrzeń co do zamieszkania, cudzoziemcom, któ„rzy zaciągną się na służbę na czas wojny"...

Owóż zarówno ten dekret, jak i to prawo, według umotywowanego wniosku p. Bérengera, w praktyce, odrazu dało pole do szerokich nadużyć i do zakradania się do Legji Cudzoziemskiej żywiołów niepożądanych, austro - niemieckich przeważnie, niebezpiecznych nawet.

Wielu podobno Austro - Niemców, zaskoczonych przez wojnę na ziemi francuskiej, chcąc ratować się przed pobytem w obozie koncentracyjnym, a nadewszystko uniknąć sekwestracji majątku, zaciągnęło się do Legji Cudzoziemskiej. Tutaj, zdołało albo zapewnić sobie służbę na tyłach, albo osiąg-

nąć uwolnienie całkowite, oczywiście z naturalizacją... Co więcej, władze wojskowe stwierdzały fakty ucieczki do nieprzyjaciela, przytaczały nawet przypadki przechodzenia legjonistów do buntowniczych plemion marokańskich w Afryce, raportowały o niezwykle demoralizującym duchu, jaki panował w koszarach w Rueil, pod Paryżem, dzięki napływowi zbyt licznemu poddanych austro - niemieckich i t. d. Dość, że projektodawca, p. Bérenger, w porozumieniu z francuskiem ministerjum wojny, proponował uchwalić następujące, nowe prawo:

„Art. 1. Przyjmowanie ochotników do Armji francuskiej, „z tytułu zaciągu do Legji Cudzoziemskiej, ochotników należących „do mocarstw, będących w wojnie z Francją, lub jej aljantami jest „niedopuszczalne podczas całego trwania dzisiejszej wojny i to „na całem terytorjum Francji.

„Art. 2. Wszystkie zaciągi powyżej wymienione, które były „dokonane po dniu wypowiedzenia wojny, mają być skasowane „i unieważnione, zaraz po zatwierdzeniu tego prawa.

„Art. 3. Wyłączeni są z pod niniejszego prawa Alzatczycy „i Lotaryńczycy pochodzenia francuskiego, korzystający z przywi- „lejów artykułów 1 i 2 prawa z dnia 5 sierpnia, roku 1914.

„Art. 4. Wszystkie postanowienia sprzeczne z niniejszem „prawem są skasowane“.

Trudno sądzić, czyli były istotnie dość poważne racje, aby zachodziła potrzeba do wydania tak ostrego zarządzenia. Należy się zgodzić raczej, że istotnie, poza temi nieporozumieniami co do narodowości, naprzykład, ochotników - Polaków, jak o tem świadczy zamieszczona na innem miejscu korespondencja pułkownika Metza, francuskie władze wojskowe posiadały inne i bardzo poważne dokumenty, rzucające cień na „szczerość“ niektórych ochotników.

Wiadomość o tych, mających się odbyć debatach, zelektryzowała Komitet Wolontarjuszów, dosięgnęła niejednego

rannego ochotnika - Polaka z pod zaboru austrjackiego lub pruskiego.

Chwila była tragiczna!

Tu, każda godzina, przynosiła żałobę, sprawdzoną, po wielu zabiegach i niepewnościach, śmierć chwalebną wolontarjusza, a tutaj, tutaj nieubłagane prawo o sromotnem wykluczeniu z Legji Cudzoziemskiej wszystkich poddanych niemieckich i austrjackich szczerzyło się już, niby gorzka ironja, na uciechę tych, którzy ciągle i ciągle Francji nie wierzyli.

Komitet Wolontarjuszów był zupełnie bezsilny. Dokumentów szpiegostwa było tyle, tyle i co chwila padało podejrzeń słusznych i niesłusznych, tyle urojonych i tyle dowiedzionych zdrad, że każda interwencja była i daremna i niebezpieczna. Zresztą był to dopiero „projekt" prawa, należało czekać na debaty...

Dzień ten pamiętny nadszedł.

W dniu 3 czerwca, roku 1915, nowelę prawną Bérengera przedłożył senatowi wyznaczony referent, senator André Lebert.

I oto, naraz, w obronie Polaków i dalej dopiero Czechów wystąpił z płomienną przemową niespodziewany, nieoczekiwany, nieznany w kołach polskich obrońca, senator, Louis Martin...

Za treść swego przemówienia Louis Martin wziął ów artykuł gorący prezesa Komitetu Wolontarjuszów i odczytał go senatowi francuskiemu... dosłownie...

To wystąpienie poruszyło senat.

Wyrażono hołd i uznanie polskim wolontarjuszom przez powstanie, do tego hołdu przyłączył się i referent prawa, Lebert, i minister wojny, Millerand...

Ostrość i bezwzględność projektu prawnego złagodzono w ten sposób, że władzom wojskowym pozostawiono przywilej unieważniania zaciągów, dokonanych przez poddanych nie-

mieckich lub austrjackich, czy wogóle mocarstw wrogich, o tyle, o ile to uznają za nieodzowne. Innemi słowy, postanowiono Polaków, choć noszących piętno przynależności państwowej austro - niemieckiej, wyłączyć z banicji, pozostawić ich w Legji Cudzoziemskiej.

Natomiast artykuł pierwszy o nieprzyjmowaniu więcej do szeregów zgłoszeń ze strony tych, którzy pochodzą z mocarstw, będących w wojnie z Francją lub jej aljantami, utrzymano w całej mocy...

Ciekawe te obrady Senatu Francuskiego z dnia 3 czerwca, 1915 roku, wypełniają kilka stron druku „Journal Officiel“ z dnia czwartego tegoż miesiąca (str. 261, 262, 263, 264, 265, 266 i 267). W toku dyskusji podniesiono wielokrotnie działalność polskiego ochotnika, jego spodziewania, niedolę podziału Polski, — ale i manifestując całą sympatję dla Polaków, uznano za niemożliwe, aby, jak pragnął senator Louis Martin, dodać do prawa specjalny artykuł o polskich wolontarjuszach.

Rezultatem tego pamiętnego dnia obrad było nadewszystko zatrzymanie dopływu świeżych ochotników polskich do Legji Cudzoziemskiej. Polacy, poddani rosyjscy, byli stosunkowo mniej liczni a dalej, co ciekawe a co bodaj naturalne, objawiali częściej sympatję dla centralnej orjentacji... Po tej stronie bowiem nie mieli znienawidzonych rządów moskiewskich, czy tylko moskiewskich wpływów. W połowie przeto roku 1915 już nie można się było spodziewać nowych ochotników (polskich) z pod „Moskala“. Natomiast zastęp Polaków z pruskiego i austrjackiego zaborów był przecież o wiele liczniejszy. Wielu zdradzało ochotę do wojaczki z Niemcami a jeżeli jeszcze tej ochoty w akt zaciągu zamienić nie zdołali, to często dla braku znajomości języka, braku możności dotarcia do centrum werbunkowego, z powodu bytowania swego

odosobnionego w zakątku Francji. Teraz atoli drzwi dla nich zostały zawarte. Zawarte zostały, o czem się wcale nie mówiło a co było niezaprzeczonym faktem, dla Polaków żołnierzy niemieckich, wziętych do niewoli, a najczęściej, takich, którzy dobrowolnie dali się wziąć do niewoli francuskiej...

Takich było bardzo wielu nawet. Pierwsze ich zetknięcie się z władzami francuskiemi, zaczynało się od słów:

— Polakami jesteśmy, przychodzimy do was, aby w waszych stanąć szeregach, chcemy z wami Niemców bić...

Otóż spora liczba takich desperatów, takich zatraceńców, która była zaprzeczeniem legendy o naiwnej lojalności „Bartków Zwycięzców", dostała się do Legji Cudzoziemskiej i służyła ofiarnie i karnie nawet w afrykańskich kolonjach.

I ci zatem mieli w przyszłości być już tylko „niewolnikami", traktowanymi łagodniej, korzystającymi, jako Polacy, z pewnych względów, ale tylko niewolnikami.

A więc nadewszystko, prawo z dnia 3 czerwca, 1915 roku zadawało cios wszelkim rachubom o powiększeniu liczby ochotnika polskiego we Francji. Co więcej, przyznajmy się do tego szczerze, zasadniczo wpłynęło odrazu na zmniejszenie się liczby wolontarjuszów.

Pomimo wszystkie zastrzeżenia, szlachetne aluzje podczas obrad senatu, dla zapalczywego ze swej natury serca polskiego ochotnika wynikło uczucie żalu... Śmiano wątpić o czystości jego uczuć, o jego poświęceniu... tuż po takim rozlewie krwi, padają z ust Leberta pamiętne słowa:

„Możemy boleć nad fatalnością, która z was zrobiła „Niemców i Austrjaków... Jesteście nimi jeszcze, pomi- „mo waszej woli. Szeregi Legji będą dla was jutro zam- „knięte. Połączmy się w życzeniu, aby to jutro zostało „skrócone".

Była to poważna racja dla statystów, dla polityków, — ale była to żółć dla wolontarjuszów.

Żółć ta nie pozostała bez wpływu silnego. Jak się o tem przekonamy z dokumentów, niebawem szeregi ochotników polskich miały się silniej jeszcze przerzedzić i to niezależnie zupełnie od wypadków wojennych.

A przecież ten sam dzień trzeciego czerwca, w ogólnej sumie żalu czy zawodu, przyniósł sprawie polskiej olbrzymie zyski!

Hołd, wyrażony wolontarjuszom polskim, tej nikłej garści młodzieży naszej, miał swój wpływ polityczny, miał swoje daleko sięgające echo.

Był to szewron poważnej zasługi, był to tytuł do dalszych rewindykacyj, było to, pomimo wszystko, uznanie polskich ochotników, jako ochotników oddzielnej narodowości, bez względu na ich trójprzynależność państwową...

Wpływ moralny obrad w senacie równie wypadł dodatnio, bo rozgłosił imię wolontarjuszów, podniósł ich zasługi na mównicy europejskiej i rozbudził jeszcze głębsze uczucia sympatji śród francuskiej opinji, nareszcie ubezwładnił, osadził na miejscu snute przeciwko nam intrygi.

Pamiętajmy, że, po stronie aljantów, sprawa polska i Polacy mieli wielu nieprzyjaciół. Ci to nieprzyjaciele walczyli bronią zdradziecką, ruch zbrojny po stronie Austrji wymieniali i wymawiali ciągle, ciągle starali się przypominać Polaków, jako walczących obok Austro - Niemców. Pisali o czeskich buntach, o całych pułkach czeskich, które miały odmawiać posłuszeństwa rozkazom sztabowym, sromając się walki z Rosją, walki z Francją, rozwodzili się o tem, ile to w łonie armij centralnych wre żywiołu czyhającego na zgubę tych armij, no i podkreślali polską lojalność, uniesienie polskiej młodzieży tam, po drugiej stronie... Milczano o wolontarjuszach, ale nigdy nie zapominano strzelców polskich w Galicji.

Cena tego hołdu była przecież dość wielka, za wielka może na maleńką Kolonję Polską we Francji.

Jan Rotwand wprawdzie zaznaczył w swym liście, iż liczba poległych w bitwie pod Arras, zarówno Polaków, jak i Francuzów, należących do drugiej kompanji bataljonu litera „C“ nie przekracza liczby dwudziestu... Ale, Jan Rotwand nie przeczuwał, że na niego samego czai się już dzień 16 czerwca i nie miał wyobrażenia o liczbie ogólnej Polaków, którzy udział w tej bitwie wzięli w innych oddziałach...

Straty były poważne.

Komitet Wolontarjuszów, przez blisko trzy miesiące szukał rannych, zaginionych, szukał poległych. Przez trzy miesiące łudził się jeszcze nadzieją, że ten i ów, może do jakiegoś zapadłego dostał się ambulansu, może dostał się do niewoli, może tylko nie daje znać o sobie. Nadzieją tą przez wiele tygodni żyły jeszcze niektóre rodziny, niektóre matki i ojcowie. Czas uchodził, oddalał się i z nim razem gasł powoli błysk nadziei.

Bałamuctwa przytem było wiele i wiele błędów. Jak widzieliśmy, odrazu uznano Steinkellera za zabitego, widziano jego trupa, w książce ogłoszonej w roku 1916... jeszcze Jan Żyznowski mówi o nim jako o nieboszczyku... a tymczasem o tym właśnie Steinkellerze nadeszła już w ośm dni wiadomość, że żyje, że jest pokaleczony tylko, że znajduje się w obozie dla niewolników w Munster, w Westfalji, i prosi o posyłkę z żywnością...

Stało się znów naodwrót z wiadomością o zgonie podporucznika, Lucjana Malcza. Zgon jego został ogłoszony przez Komitet Wolontarjuszów, na zasadzie przeprowadzonych badań. O zgonie tym napisano do Warszawy. Tymczasem, pani Mickiewicz, napisała także do Warszawy, że Malcz niezawodnie żyje... List p. M. wycelował na godzinę uroczystego, żałobnego nabożeństwa w Kościele św. Krzyża, w Warszawie, nabożeństwa, któremu chciano nadać charakter manifestacyj-

ny. Matka poległego oficera otrzymała tuż wiadomość, że żyje... „Kurjer Warszawski“ ogłosił o tem zdarzeniu, o cierpieniu, zadanem matce przez Komitet Wolontarjuszów!!... Kiedy się o tem dowiedziano w Paryżu, wysłano natychmiast potwierdzenie zgonu... Wiadomość ta przecież nie doszła. Warszawa była wzięta, była w rękach Niemców. Matka nieszczęsnego Lucjana Malcza była skazana na długie miesiące niepewności, czyniła poszukiwania, przeżywała codzień dni trwogi, codzień łudziła się nadzieją i codzień opłakiwała syna.

Jak dalece trudno było wykryć niekiedy ślad zaginionego, niechaj świadczy ten osobliwy dokument.

Komitet Wolontarjuszów był w ciągłej korespondencji z władzami wojskowemi a zwłaszcza często szukał informacyj w głównym zakładzie Legji Cudzoziemskiej, w Lyonie, kędy zcentralizowane były wszelkie kontrole.

Otóż na jedno ze swych zapytań, otrzymał od Rady Administracyjnego drugiego i trzeciego Pułku Marszowego Pierwszej Legji odpowiedź na kwestjonarjusz, przeważnie wypełnioną uwagami „brak informacyj, brak dowodów“ a w ostatku otrzymał takie... zapytanie:

> „Korzystamy ze sposobności, aby się Panów zapy-
> „tać, ze swej strony, o informacje, jakie możecie mieć
> „o Wolontarjuszu Polskim Stanisławie Steinkellerze,
> „numer matrykuły 25429, z kompanji C2, który rzeko-
> „mo dostał się do niewoli i któremu Komitet Panów wy-
> „słał jakoby przekaz pieniężny z zapomogą. Ten legjo-
> „nista może mógłby nam udzielić wiadomości o Kapi-
> „tanie Osmont, z tej samej jednostki, z którym nie wie-
> „my, co się stało“.

Pismo to z dnia 19 lipca, 1915 roku, Nr. 5570, lit. R. wymownie świadczy, jak trudne zadanie miał Komitet Wolontar-

juszów i do jakiego zamętu nawet kontrole wojskowe dochodzą po stoczeniu tak zajadłej bitwy.

Pomimo najściślejszych spisów, pomimo bransoletek stalowych, noszonych przez wszystkich żołnierzy i oficerów z numerem swej matrykuły, pomimo numerowania potrzeb wojskowych, części ubrania, listów i adresów w mundurach, każda bitwa, każda co krwawsza rozprawa na froncie miała dziesiątki, setki nieraz takich, którzy przepadli bez wieści, raz na zawsze poginęli bez słychu, po których śladu nie zostało... Byli bowiem tacy, których pociski rozszarpywały już po śmierci, byli, których rannych już, zmieniały w bezkształtną masę, byli którzy zapadali się w wyrwy i w wyrwach tych grzebani byli prawie żywcem przez wydzieraną strzałami ziemię, byli nakoniec, którzy dostawszy się do zapadłego kąta rowu, w rowie tym opuszczonym znajdywali i śmierć i grób. A kiedy do tego grobu docierał nareszcie po wielu tygodniach człowiek żywy, znajdywał już tylko szczątki, których ani tknąć, ani rozpoznać było niepodobieństwem.

Niekiedy znów trup żołnierza, trup oficera zapadał między dwie linje wrogich sobie transzy i tak całemi miesiącami leżał muskany kulami karabinowemi, kołysany terkotem kartaczownic, tak niepogrzebany, nieznany nikł powoli, rozpływał się w zrytej powierzchni.

Obrachunek przeto strat, poniesionych przez Wolontarjuszów polskich w bitwie pod Arras trwał całemi miesiącami prawie. Odnośnie Bajończyków był już bardzo trudny, a cóż dopiero mówić o Rueilczykach, którzy nie tworzyli własnego oddziału, o tych innych, o których częstokroć nie wiedziano, że są w szeregach, że się zaciągnęli.

Lista poległych była i tak aż nadto długa. Przytaczamy ją tutaj, według ogłoszonych wówczas informacyj:

Lucjan Malcz, rodem z Warszawy, podporucznik, — Karol Kazimierz Weinberg, szeregowiec, inżynier, rodem z Czę-

stochowy, Henryk Chociński, handlowiec, sokół, rodem z Łukowa, kapral furjer, — Henryk Klimas, szeregowiec, elektrotechnik, rodem z Sosnowca, — Jan Kowalczyk, szeregowiec, krawiec, rodem z Kępy Polskiej, — Stanisław Kamiński,, „eclaireur monté“ przy sztabie batalјonu, młodzieniec ukształcony, przybył do Legji Cudzoziemskiej z Costa-Rici, w Ameryce Środkowej, syn obywatela ziemskiego z okolic Płocka, — Kazimierz Trzebiatowski, szeregowiec, Prezes Sokoła w Barlin we Francji, górnik, — Edmund Wiweger, Naczelnik Związku Zachodnio - Europejskiego Sokołów, szeregowiec, mechanik, rodem z Kielc, — Stefan Terlikowski, kapral, artysta malarz, rodem z Ostrów, — Andrzej Budziński, szeregowiec, syn emigranta, — Romuald Dobrowolski, student Akademji Handlowej, szeregowiec, rodem z Widawy, — Franciszek Zawieja, szeregowiec, fryzjer, rodem z Księstwa Poznańskiego, — Karol Przescang, szeregowiec, mechanik, rodem z Księstwa Poznańskiego, — Hilary Goldberg - Złotogórski, szeregowiec, rodem z Hodcza, — Wacław Liszkowski, szeregowiec, mechanik, rodem ze Złoczewa w Ziemi Kaliskiej, umarł z ran, odniesionych w bitwie pod Arras, — Lejbuś Migdał, szeregowiec, szewc, rodem z Warszawy, — Rejer Sylwester i Rejer Józef, dwaj synowie Stefana Rejera, Prezesa Okręgu Sokołów Związku Zachodnio - Europejskiego, młodzi górnicy, rodem z Górnego Śląska, — Stefan Tenenbaum, szeregowiec, student uniwersytetu, rodem z Warszawy, — Stanisław Popczyński, szeregowiec, wybitny już artysta - malarz, zaciągnął się na służbę w Avinionie, niewiadomo z jakich stron Polski pochodził, — Liszewski Jan, szeregowiec, krawiec, rodem z Królestwa Polskiego, — Antoni Furdzik, szeregowiec, właściciel pralni w Paryżu, rodem z Myślenic w zaborze austrjackim, — Golcz Tadeusz, szeregowiec, student, rodem z Warszawy.

Lista ta przecież jeszcze i dzisiaj nie jest kompletna, jeszcze w rok po bitwie i w trzy lata po bitwie pod Arras, poszu-

kiwano daremnie Natana Chwata, Andrzeja Ratulda, Longina Winiarskiego, Karola Gembickiego, Waltera Zuckiera i wielu innych i zawsze bez skutku.

W tym samym dniu, już w szeregach regularnej piechoty francuskiej, poległ był pod Arras podporucznik Bolesław Czajkowski, syn emigranta i żołnierza polskiego w armji tureckiej, w roku 1877, urodzony w Konstantynopolu. Bolesław Czajkowski, który był przed wojną służył w Legji Cudzoziemskie, zaciągnął się zaraz po wybuchu wojny ponownie, walczył już w dniu 9 września roku 1914, zdobył kilka ran i oficerskie galony. Był to jeden z tych ochotników - Polaków, którym, jak się zdawało, sądzona była świetna karjera wojskowa.

Lista rannych była długa i niezmiernie krwawa.

Leon Hufnagel, lekarz bataljonu, bardzo ciężko był ranny, Liszkowski (zmarły, jak wyżej z ran) a dalej już cały długi spis nazwisk i spis, oczywiście, znów niedokładny z powodu braku wiadomości.

Na spisie tym znajdują się Wolontarjusze:

Andrzej Adamski, — Andrzej Sikora, — Ludwik Sowinski, — Alfons Kimmel, — Komorowski, — Stanisław Naturski, sierżant,—Michał Bohdan,—Daniel Bulkiewicz,—Franciszek Fusiarz,—Władysław Michalski,—Jerzy Nowakowski,— Szymon Widawski, — Franciszek Paczek, — Seweryn Silbigier, — Edward Glaezert, — Franciszek Przybycień, — Tomasz Sobczyk, — Jan Chlebicki, — Jan Kozierowski, — Stanisław Banach, — Stanisław Kaniewski, — Roman Rembelski, — Nowak Antoni, — Szymański Leon, Różycki, — Fiszer Wacław z Czerniowic, — Kweksilber Mieczysław z Kielc, — Tadeusz Możdżeński, — Zychiewicz, — Adam Lumbée, — Władysław Więckowski, — Błaszczyński, — Jerzy Osecki, — Rudolf Waligóra, — Wacław Romanowicz, — Czesław Palczewski, — Władysław Wyrożębski, — Stanisław Baranowski, — Urbaniak, — Dąbrowski Teofil, — Stefan

Koehler, — Jan Mazurek, — Franciszek Kaczor, — Jan Kisling, — Wojciech Więcławik, — Jan Niesułkowski, kapral, — Tadeusz Szaniawski, — Roman Jarosz, — Stanisław Panok, — Józef Firla, — Walenty Obst, — Józef Bajtek, — Jakób Błaszyński, — Tyszkowski, — Czesław Bertman, — Stanisław Chmiel, — Piotr Grabowski, — Grzegorz Jaceko, — Białoziemski, kapral, — Stanisław Nieć, — Wojciech Wolszczak, — Mieczysław Kotarski, — Apolinary Leciejewski, — Władysław Kulągowski, — Pełka, — Krakowski, — Plesnar, — Pańczyk, — Jan Wojciechowski, — Stanisław Kapuściński, — Józef Szlachta, — Jan Leszczyński, kapral, — Lucjan Młynarczyk, — Jan Brodowski, — Putowski, — Józef Mazur, — Wawrzyniec Filip, — Piotr Szczagiel, — Krystofik, — Wincenty Gołbik, — Grządka Tadeusz, — Wiktor Gontarczyk, — Kazimierz Gyliński, górnik, — Jan Idzik, — Stanisław Steinkeller, — Ignacy Świtalski, górnik, — Stefan Walter, — Józef Turek, — Michał Batkiewicz, — Henryk Muntz, — Karol Szklarz, — ta lista rannych nie wyczerpuje jeszcze wszystkich nazwisk, choć wymienia już tyle niedoli, tyle cierpienia, niekiedy nawet bardzo ciężkiego kalectwa.

Z posiadanych rozrachunków wypada, że w bitwie pod Arras, dnia 9 maja, poległo ogółem Wolontarjuszów polskich *dwudziestu dziewięciu* (lub zmarło z ran) oraz, że rannych było *dziewięćdziesięciu dziewięciu*, naturalnie już nie samych tylko Bajończyków, ale i Rueilczyków i ochotników wszelkiego innego zawołania. Bajończycy atoli, jako prowadzący atak, ucierpieli najwięcej. W szczególności ciężkie ofiary ponieśli górnicy polscy we Francji i organizacje sokołów.

Nie były więc to, w porównaniu, z liczbą poległych w tej bitwie, straty hiobowe, niemniej, trzeba podnieść, że straty były ciężkie, może nie liczbą, lecz wartością tej młodzieży, często rokującej najlepsze nadzieje, bardzo patrjotycznej, przejętej szlachetnemi ideałami.

Kolonja Polska w Paryżu, osobliwie ta cywilna, pierwsze nowiny z pola walki powitała stekiem bajek, plotek i wyrzekań. Były one tak silne, że Komitet Wolontarjuszów, musiał drogą nieoficjalną ogłosić następującą charakterystyczną notatkę:

„Bohaterstwo wolontarjuszów polskich, ofiara krwi, „złożona przez młodzież naszą na ołtarzu sprawy ojczy- „stej, w mizeractwie, charłactwie duchowem pewnego „odłamu przesławnej Kolonji, — zamieniła się w spo- „sobność do krzewienia plotek i bajek.

„Niby to z łezką w oku, niby z żalem na ustach, „prawi się bzdury, głosi duby smalone i, wynosząc męz- „two naszej młodzieży, — obniża jej zasługę.

„Mówi się, naprzykład, że *poległy setki* wolontarju- „szów, — że wszyscy prawie ochotnicy polscy, sformo- „wani w Paryżu, wyginęli, że wyginęli przez „pomył- „kę“ taktyczną. Przesadza się lekkomyślnie liczby, odej- „muje, niby to przez smętek, — zasługę; oddziałek „szczerych żołnierzy polskich zamienia w gromadę bez- „myślnych rekrutów“...

Komitet Wolon. mógłby był radykalniejsze wysunąć argumenty i cyframi położyć kres pogłoskom o „posłaniu na śmierć“ wszystkich Polaków, ale miałże równocześnie i wojskowe władze francuskie, do których zaczynał coraz mocniej kołatać, przekonać czarno na białem, że właściwie ochotnicy polscy ponieśli straty bardzo niewielkie?

Tymczasem, w kilka tygodni po bitwie pod Arras, dzieje pierwszego oddziału wolontarjuszów, sformowanego w Bajonnie, jako druga kompanja bataljonu „C“ miały dobiedz kresu, miały się skończyć.

Cios ostateczny miały zadać Bajończykom: bitwa, dnia 16 czerwca roku 1915 i... pokusy rosyjskiego attaché wojskowego:

Pierwsza wzięła jeszcze krwawą ofiarę, drugi zdezorganizował ostatecznie oddziałek.

Rzecz się miała tak.

Po bitwie pod Arras, jak donosił ochotnik Jerzy Kijewski, z 4,600 ludzi Drugiego Pułku Marszowego Pierwszej Legji, pozostało jakoby tylko 940 ludzi w szeregach. Z Polaków-Bajończyków, według Kijewskiego, mieli pozostać w szeregu:

Jan Rotwand, mianowany podporucznikiem, Kijewski i Gurowski kaprale, a następnie wolontarjusze szeregowcy: Rządkowski, Kwiecień, Buczyński, Ossowski, Strubiński, Girze, Joel, Komorowski, Baryła, Gawroński, Sowiński, D'Abancourt (Polak), Piechociński, Laskowski, Schoenhertz, Żbikowski, Gula, Nakonieczny, Dulski, Gałązka, Żółtowski, Frenkiel, Świrski, Morawski, Lewin, Wołkowicz, Brauman, Himner.

Ta lista niezawodnie szybkiej uległa zmianie, bo do szeregu, już po tygodniowym wypoczynku w ambulansie, powróciło kilkunastu lżej rannych, że wymienimy tylko Teofila Dąbrowskiego, rannego w dniu 9 maja, a poległego w dniu 16 czerwca...

Dokładniejsze informacje komunikuje wolontarjusz Marjan Himner, który wogóle pierwszy nadesłał wiadomości po tej drugiej bitwie (dnia 16 czerwca, 1915 r.), w której Polacy wzięli udział.

„Z kompanji naszej", — pisze Marjan Himner, — „po ataku 9 maja, pozostało nas czterdziestu pięciu, „z których trzydziestu Polaków. Czesi mieli więcej „szczęścia, bo, w tydzień po ataku, było ich jeszcze 117.

„Przez dołączenie resztek z trzeciej kompanji, t. j. Bel-
„gów, stworzono nową kompanję, w której pierwszą
„i drugą sekcję stanowili Czesi z podporucznikiem Staf-
„felem na czele, — trzecią Belgowie, a czwartą Polacy
„z nowomianowanym podporucznikiem Rotwandem".

Należy zwrócić uwagę na ten ważny szczegół, że według Himnera, z trzech pełnych dawnych kompanij bataljonu „C", w którym pierwszą kompanję tworzyli Czesi, drugą Polacy a trzecią Belgowie, — uformowano tylko jedną, zbieraną, w czem Polaków było trzydziestu.

„Komendę", — pisze dalej Marjan Himner, — „obej-
„mowali coraz to inni kapitanowie. Ostatecznie wycofani
„z linji ognia, w innym bataljonie i w nowej formacji,
„przeszliśmy pod komendę kapitana Watterstroema,
„powszechnie zwanego „katastrofa", bardzo sympatycz-
„nego Duńczyka.

„Tyraljerzy mieli atakować „cote 119"; Legja miała
„dać im posiłki.

„Oczekując noc całą, w rozgałęzieniach okopów, by-
„liśmy świadkami tej, obecnie głośnej kanonady (300,000
„pocisków), która, około jedenastej rano, przeszła w hu-
„ragan łoskotu, świstu i kurzu. Niemcy, jakby przewi-
„dując atak, ostrzeliwali armatami dużego kalibru nie-
„tylko baterje francuskie ale i pełne wojska okopy.
„Około południa, do tego tumultu nie do opisania, do-
„łączył się suchy, ostry grzechot karabinów maszyno-
„wych.

„Popołudnie, — za 15 minut atak.

„Przybliżamy się do pierwszej linji okopów.

„Niemcy wciąż odpowiadają. W strasznej grozie
„oczekiwania coraz to nowego pocisku, posuwamy się

„powoli za innemi kompanjami. Już blisko. Jeńców nie-
„mieckich prowadzą.

„By dojść do linji walki, trzeba przebiedz przestrzeń „między francuskiemi i niemieckiemi okopami na „grzbiecie płaskowzgórza. Niemcy barykadą z ognia ar- „tylerji i karabinów maszynowych usiłują nieprzepuścić „posiłków. Naprzód. Uderzamy po kilku, w rozsypkę.

„Szczęśliwie. Od „cote 119“ dzieli nas tylko jar. „Niemcy i tutaj grodzą drogę, strzelając wzdłuż jaru „karabinami maszynowemi, z zarośli od strony Suchez. „Schodząc w ten jar zostałem raniony. Widziałem, że „nasi zeszli na dół, że ukryli się w niemieckim rowie, „przecinającym wpoprzek nieszczęsny ów jar. Ranni „później odemnie, mówili, że zaatakowano zarośla, ukry- „wające Niemców z karabinami maszynowemi, lecz „z późniejszych opowiadań widzę, że Niemcy z tej stro- „ny zachowali swobodę ruchów, bo ich pionierzy, ko- „rzystając z szarości świtu i mgły, podkradali się pod „okop, przecinający jar, i rzucili granaty. Byli ranni „i zabici, lecz i z atakujących Niemców nikt nie wyszedł „żywy, wykłuto ich bagnetami. Szczegół ten podaję „z zastrzeżeniem i dlatego, że miało to spotkać naszych „i Czechów“...

Dokładniejszy i ciekawszy o wiele opis tej bitwy, która kończy epopeję oddziałku Bajończyków, podaje wolontarjusz Stanisław Fleiszer, jeden z tęższych żołnierzy naszych.

„Z przyjemnością podzielę się z Sz. Panem wszyst- „kiem, co wiem o ataku 16 czerwca; proszę tylko „o wzgląd na niewyraźne pismo, lecz piszę, leżąc na bo- „ku, — jest to jedyna pozycja, na jaką mi moja rana po- „zwala.

„Pułk nasz, po bitwie 9 maja, razem z posiłkami, „które przybyły z Lyonu, liczył zaledwie 2.000 ludzi. „Użyto więc go jako rezerwę. Dodaję w nawiasie, że „przybyłem na front dopiero dnia 24 maja, gdyż, z po- „wodu choroby, jeszcze w Szampanji, w dniu 7 marca, „byłem ewakuowany; gdym wrócił, pomimo próśb, nie „przyłączono mnie już do dawnych towarzyszów broni, „pozostałych w polskiej kompanji.

„W dniu 15 czerwca, zrana, zrobiliśmy marsz sześć „i pół kilometra do Cenublin l'Abbé, aby zbliżyć się do „linji bojowej. Rozbiliśmy namioty na łączce i zajęliśmy „się czyszczeniem broni, pisaniem listów pożegnalnych „i t. p. O godzinie piątej popołudniu przyszedł rozkaz „wymarszu. Zostawiliśmy w miasteczku tornistry, za- „chowując na sobie dwie torby, jedną z konserwami „i sucharami na dwa dni i drugą z nabojami lub bom- „bami ręcznemi, manierkę z wodą oraz płótno od na- „miotu, zwinięte i przewieszone przez ramię, — i wy- „szliśmy o siódmej. Po pięciogodzinnym marszu, dotar- „liśmy do jakiegoś „boyau de communication", gdzie „nas ściśnięto, niby śledzi w beczce, i gdzie, poukła- „dawszy się prawie jeden na drugim, przespaliśmy snem „sprawiedliwych do czwartej rano. Zapomniałem nad- „mienić, żeśmy w drodze minęli ogromną ilość bateryj „lekkich i ciężkich, z których niektóre nas wprost ogłu- „szały hukiem i wstrząsnieniami powietrza po wystrza- „łach. — Gdy się rozwidniło, stanęliśmy do ataku. Ale „godzina za godziną mijały a rozkaz nie nadchodził. „Tymczasem, artylerja niemiecka nie chcąc najwidocz- „niej pozostać dłużną francuskiej, która zasypywała „bezustanku „marmitami" niemieckie okopy, — zaczęła, „raz za razem, posyłać nam granaty różnego kalibru. „Jeden z nich, upadłszy o kilka kroków odemnie zabił

„jednego żołnierza, ranił drugich, porucznika i sierżan-„ta. Trochę później przeszli, prowadzeni przez infirmie-„rów, Girze i Buczyński. Pierwszy był ranny w głowę „i rękę, ale widocznie niezbyt ciężko, bo szedł bez po-„mocy, — drugiego ziemia przywaliła.

„Dla osłony przed granatami niemieckiemi, usiedli-„śmy na ziemi i małemi kilofkami lub łopatkami, które „każdy z nas miał u pasa, zaczęliśmy kopać nisze w ścia-„nach okopów, aby mieć choć jaką taką ochronę przed „odłamkami pryskających pocisków.

„Czas mijał. Dzień był upalny. Wody zaczynało „braknąć. O dwunastej w południe, ogień artylerji fran-„cuskiej doszedł do zenitu. Słychać było jeden bezustan-„ny, niekończący się grzmot, — oddzielnych huków już „niepodobna było odróżnić. O dwunastej i kwadrans „usłyszeliśmy nareszcie mitraljezy i ogień karabinowy. „Atak więc się rozpoczął. Teraz już spodziewaliśmy się „lada moment rozkazu „en avant“, — gdzietam, — do-„piero o w pół do drugiej ruszyliśmy z miejsca, lecz na „to, aby włóczyć się z jednego okopu do drugiego, to „naprzód, to znów wtył, prześladowani nadomiar przez „„„marmity“ niemieckie, które, na szczęście, robiły „o wiele więcej hałasu niż szkody. W pewnej chwili, „prowadzono około nas trzech jeńców niemieckich. Si-„korski się ich pyta „*Woher seid Ihr*“ — „*Aus Posen*“ — „brzmi odpowiedź. — Na to wołam: „*Może Polacy?*“ — „i dostaję odpowiedź: „*Ja rozumim* (sic) *po polsku*“. — „Nie zdążyłem się o nic więcej zapytać, bo zginęli za „zakrętem.

„Nareszcie, o trzeciej po południu, wprowadzono nas „do okopu w pierwszej linji, do tego okopu, z którego-„śmy się z naszym porucznikiem wydrapali na wierzch. „Przed nami o pięćdziesiąt metrów, leżała w tyraljerkę

„jedna z kompanij greckich. Dobiegliśmy do niej i uło-„żyliśmy się na lewo, wówczas Grecy ruszyli naprzód. „Na nieszczęście, większa część mojej sekcji, sądząc, że „rozkaz „en avant“ i do niej się odnosi, ruszyła z Gre-„kami. Z naszym porucznikiem został się sierżant i pię-„ciu czy cześciu ludzi. — Trudno, ruszyliśmy naprzód „gęsiego, rzucając się co kilkadziesiąt metrów na ziemię „i najczęściej tam, gdzie były zdobyte już okopy nie-„mieckie, których nasypy dawały ochronę. Muszę tu „zaznaczyć, że, o ile w okopie ogień artyleryjski, jedy-„ny mogący szkodzić, denerwuje, o tyle, w otwartem „polu, wśród huku granatów, świstu kul i kurzu, wzno-„szącego się ze zrytej żelazem ziemi, jest się tak mocno „przekonanym, że kuli uniknąć niepodobna, że się czło-„wiek nawet nie schyla, nawet nie śpieszy; ogarnia go „wprost wschodni fatalizm. Chwila pośpiechu, opóźnie-„nie, pochylenie lub wzniesienie głowy może się zarów-„no przyczynić do otrzymania kuli, jak do jej uniknię-„cia, do śmiertelnej rany lub lekkiej.

„Przebiegłszy tak ze trzysta metrów, wpadliśmy znów „do zdobytego okopu niemieckiego. — O ile mogę wnio-„skować z rozmów, prowadzonych w ambulansie, z dwo-„ma rannymi jeńcami, taktyka niemiecka, wrazie bom-„bardowania, polega na opuszczaniu pierwszej linji oko-„pów, która bywa wystawiona najbardziej na ogień nie-„przyjacielski, i chronieniu się do następnych. Na ten „koniec, Niemcy kopią dużą ilość paralel, z których my, „w danym ataku, korzystaliśmy.

„Byłem w tej chwili zupełnie wyczerpany. Serce biło „mi jak młotem. W głowie czułem zawrót. — Proszę „pamiętać, że słońce parzyło, że miałem pod szynelem „kurtkę, że niosłem karabin, 120 naboi, pięć bomb „ręcznych, parę kilogramów żywności, płótno od na-

„miotu, kilof i t. d. i że, od trzech godzin nie miałem „kropli wody w ustach. — Prosiłem porucznika, żeby „nam dał kilka minut odpoczynku, — ale gdzietam, „wydostał się na wierzch okopu i ruszył naprzód. Z west- „chnieniem zbierałem się iść w jego ślady, — gdy na- „gle porucznik upadł, jak skoszony, bez duchu, — je- „szcze chwila, i z całej naszej sekcji pozostało nas trzech: „Sikorski, Hiszpan, kapral, i ja... Postanowiliśmy więc „zaczekać i przyłączyć się do któregokolwiek oddziału. „Okop nasz był wypełniony rannymi Senegalczykami, „żuawami, a dalej stosami karabinów, tornistrów i t. p., „pozostawionych przez Niemców.

„Po kilkunastu minutach, gdy gotowaliśmy się do „opuszczenia schroniska, do okopu zeskakuje nagle Gu- „la i jeszcze jeden kolega, którego nazwiska, narazie, „sobie nie przypominam. Okazuje się, że zgubili „podporucznika Rotwanda i jego sekcję. Postanowili- „śmy, po daniu wytchnienia dwom nowym towarzy- „szom, ruszyć naprzód. Zrzuciłem ze siebie cały ładunek, „nie wyłączając szynela, i zachowując tylko karabin „i naboje. Czułem, że inaczej sił by mi zabrakło.

„Z okopu widać było, jak na dłoni, o parę kilome- „trów od nas, miasto Lens, płonące w kilku naraz miej- „scach.

„Około godziny czwartej, wyszliśmy z okopów z za- „miarem odnalezienia sekcji polskiej. W pierwszej pa- „raleli, której żeśmy dopadli, ranny Czech powiedział „nam, że Polacy znajdują się w następnej.

„Naprzód więc. Wyskakuję pierwszy, ale, zaledwie „zrobiłem kilkanaście kroków, uczułem silne uderzenie „w plecy i jednocześnie upadłem na twarz z uczuciem „odrętwienia całego ciała. Pierwszą myślą moją było, „że za chwilę umrę. Po paru jednak minutach odrętwie-

„nie zaczęło przechodzić. Wtedy pomyślałem, że mam „jeszcze z pół godziny a może i więcej do życia i za- „pragnąłem je spędzić możliwie z komfortem... Z wiel- „kim wysiłkiem udało mi się zdjąć pas z ładownicami „i ułożyć się dość wygodnie. Poczem, rozpiąłem kurtkę „i skonstatowałem, że dziury w piersiach nie mam, ale „że koszula jest całkowicie krwią przemoczona...

„Rana w plecach zaczęła mnie piec. W nogach czu- „łem siłę, ale korpus był bezwładny. Ramiona mnie „bolały, lecz mogłem niemi poruszać. Dokuczało mi „pragnienie. Wyciągnąłem portfel, z portfelu parę foto- „grafij „moich“ i położyłem je przed oczyma. To wszyst- „ko bardzo mnie zmęczyło. Po jakiejś półgodzinie, znu- „dziło mi się czekać bezczynnie na śmierć, tembardziej, „że coraz więcej dochodziłem do przekonania, że tak „prędko nie przyjdzie. Postanowiłem więc poczołgać się „w tył. Obróciwszy się z trudem, o jakie cztery metry „odemnie, spostrzegłem dziurę od „marmity“, a w niej „trupa. Chciałem się do niej schować, licząc na to, że „znajdę przy trupie wodę... Zaledwiem jednak przebył „połowę drogi, gdy mniemany trup krzyczy do mnie gło- „sem Guli: — *„Leżcie spokojnie. Niemcy nas zauważyli“*.

„I rzeczywiście słyszę wzmożony świst kul nad głową. „Udaję więc martwego. Po dziesięciu minutach, kilka „rozpaczliwych wysiłków, i staczam się nareszcie wgłąb „dziury. Tu Gula otoczył mnie staraniami, za które nig- „dy nie będę mógł zadość się odwdzięczyć. Narażając „się na kule, wyszukał mi wody, wody na trupach, dał „mi wszystek rum, jaki posiadał, a który przywrócił „mi trochę sił. Wreszcie gdy nastąpiła noc i noc chłodna, „nakrył mnie dwoma płótnami od namiotów, również „z trupów zdjętemi. Gdyby nie Gula, zginąłbym praw- „dopodobnie z osłabienia, pragnienia i chłodu. Pod wie-

„czór, Gula opuścił mnie, aby znaleźć swą sekcję. Około „pierwszej w nocy usłyszałem w pobliżu brankandjerów, „przywołałem ich i zabrali mnie. O szóstej rano do- „piero nałożono mi pierwszy opatrunek, a o dwunastej „w południe dostałem się nareszcie do ambulansu. Dal- „sze moje peregrynacje są jeszcze mniej interesujące „niż to, co tu podałem...

„Moja rana tak się przedstawia: kawałek granatu, „wszedłszy pod lewą łopatkę, wyszedł prawą... ucinając „po drodze kawałek kręgosłupa i łamiąc mi dwa żebra... „Długość rany, od jednego otworu do drugiego, wynosi „około dwudziestu centimentrów...

„Co do Rotwanda nie wiem, domyślam się z ostat- „niego numeru „Polonii", że jest zabity, co mnie ogro- „mnie martwi, bo go bardzo lubiłem"...

Tyle listu Stanisława Fleiszera, listu pisanego w szpitalu Issy-les-Moulineaux, dnia 9 lipca, 1915 roku...

Bitwa dnia 16 czerwca dokonała wtórej i śmiertelnej szczerby w oddziale Bajończyków a Wolontarjuszom wogóle zadała dotkliwe straty.

Na placu boju, choć do ostatnich czasów, podawani tylko jako przepadli bez wieści, zginęli Jan Rotwand, przed trzema tygodniami mianowany podporucznikiem, student architektury, rodem z Warszawy, młodzieniec rokujący najlepsze nadzieje a razem z nim poległ dzielny wolontarjusz, gorący patrjota, Teofil Dąbrowski. — Ci dwaj, ranni, zostali zatruci gazami. W owym okresie wojny, jak to zresztą widać z opisów, żołnierz francuski, więc i nasi ochotnicy, nosili jeszcze granatowe kapoty, czerwone kepi, nakrywane zaledwie błękitnym pokrowcem, czerwone spodnie, próbowali dopiero jakiegoś pancerzyka na głowę, noszonego, jak pisze Wyro-

żębski, „pod czapką“, no i nie mieli jeszcze masek ochronnych przed, wprowadzanemi dopiero przez Niemców, gazami...

Trzecią ofiarą bitwy, dnia 16 czerwca, był Jan Pruszyński , rodem z Wilna, otrzymał był ośm ran i, ranny, został przywalony ziemią, osuniętej ściany okopu, odstawiony do ambulansu, umarł w La Flêche, po trzytygodniowych męczarniach.

Poczet rannych w tej bitwie, według wykazów, które można było sprawdzić, nie był zbyt wielki, ale już bardzo liczny, z racji na mały udział Polaków. Ranni byli: Stanisław Fleiszer, — Jan Warnicki, — Marjan Himner, — Taft, — Eugenjusz Girze, — Henryk Dulski, — Stanisław Żółtowski, — Ksawery D'Abancourt, — Rudolf Waligóra i Bolesław Brauman.

Poza tym, jak zaznaczyliśmy, hołdem, wyrażonym przez Senat Francuski, słowami uznania ze strony Milleranda, ówczesnego ministra wojny, ci Wolontarjusze, którzy pozostali przy życiu, a którzy brali udział w pomienionych bitwach, żadnych nagród wojskowych nie otrzymali.

Temu, który stracił nogę, wieszano automatycznie tę nogę na piersiach w formie medalu wojskowego i na tem koniec. Krzyże wojenne dopiero w następstwie niektórzy uczestnicy tych bitew otrzymali indywidualnie i to, bardzo często przy osobistych staraniach i poleceniach, nie mających nic wspólnego z samorzutnem uznaniem ze strony władz wojskowych.

Za bitwę, dnia 9 maja, otrzymał podziękowanie w rozkazie dziennym (Rozkaz pułkowy Nr. 213, z dnia 23 maja, 1915) cały oddział Legji Cudzoziemskiej. W rozkazie tym naturalnie nie było słowa ani o Polakach ani wogóle o jakiejkolwiek narodowości żołnierzach.

Rozkaz ten ogólnikowy, choć podnoszący wielkie zalety legjonistów, jest tem ciekawy, że urzędowo ustala to wszyst-

ko, cośmy czytali w listach wolontarjuszów, cośmy ze źródeł Komitetu Wolontarjuszów podali:

„W Szampanji, w ciągu sześciu miesięcy jesieni i zi-„my, wyście dokonali, z niezachwianem poświęceniem, „wszystkich wysiłków, których żądano od was, aby tę „część frontu uczynić niedosięgłą i to frontu, którego „obsadzenie, organizacja i obrona była pozostawiona „waszemu wyrobieniu wojskowemu. Najcięższe prace nie „zdołały ostudzić waszego zapału, ani długi pobyt w tran-„szach nie zdołał osłabić waszego temperamentu bojo-„wego.

„Opuściliście okręg Szampanji, nie mając sposobno-„ści zmierzenia się z nieprzyjacielem, czegoście z taką „niecierpliwością oczekiwali. Ale wzgórza Artois miały „być niebawem polem waszego popisu. Dnia 9 maja, „w żywiołowym porywie, który wyrwał okrzyki zachwy-„tu śród tych wszystkich, co byli tego świadkami, wzię-„liście szturmem, z trudną do wyobrażenia sobie szyb-„kością, nieprzyjacielskie punkty oporu, punkty jaknaj-„mocniej zbudowane i jaknajskutecznie bronione przez „wroga zawziętego i takiego, który się czuł zabezpie-„czonym. W godzinę niespełna schrony i transze dosta-„ły się ostatecznie w wasze ręce... I następnie parliście „nieprzyjaciela przed sobą z niesłychaną szybkością i do-„tarliście do wyznaczonego waszemu pułkowi punktu, „w ciągu półtorej godziny, przebywszy cztery kilometry „pod gwałtownym ogniem frontowym i bocznym. Na-„koniec, aż do dnia następnego, zabezpieczyliście utrzy-„manie całego prawie zdobytego terenu...

„Według jednogłośnego zdania, w pamiętnym tym „dniu, dokonaliście czynu, nie mającego sobie równego, „w toczącej się wojnie. Dowiedliście, że Pierwszy Pułk

„Legji Cudzoziemskiej jest zawsze i wszędzie Legją „pri-
„ma inter pares“, młodzi wolontarjusze, jak starzy le-
„gjoniści afrykańscy, mogą być dumni ze służenia w tych
„szeregach, po tak wspaniałym czynie“...

Tyle głównej treści tego rozkazu dziennego, poza dalszemi ustępami pełnemi ciągle pochwał, zachęty i żołnierskich napomnień.

Ponadto z wypomnień żołnierzy, został ślad przyjazdu generała jakiegoś do niedobitków Legji Cudzoziemskiej. Generał ten miał wydać rozkaz „Polacy naprzód“ i do garstki Polaków zwrócił się z gorącem przemówieniem, zdumiewając się nikłej ich liczbie. Według zapewnień Wolontarjuszy, zajęto się spisywaniem nazwisk, aby nikogo w nagrodzie zasłużonej nie pominąć. Ale to zapewnienie nie miało się ziścić. Wielu z tych prawdziwych bohaterów do dnia dzisiejszego nie doczekało się nawet wstążeczki pamiątkowej, rozdawanej za pracę bodaj w kancelarji wojskowej.

Winien był temu niezawodnie zamęt wojenny, winny także względy polityczne i winny jeszcze inne, o których będzie poniżej.

Śmierć tymczasem zawzięła się jakby na polskie nazwiska. Co dnia i ze wszech stron, w tym czasie wiosny roku 1915, nadchodziły żałobne nowiny.

Oto Piotr Dąbrowski, porucznik strzelców alpejskich (z rodziny emigrantów) poległ był w Alzacji, oto Andrzej Żółkiewski, porucznik 32 pułku dragonów, rodem z Podola z pochodzenia rzekomo potomek hetmana, zaciągnięty na służbę francuską, jako poddany rosyjski, poległ pod Riaville, podporucznik marynarki, Józef Wachowski, ginie na pancerniku „Leon Gambetta“, Armand Rudnicki pada pod lasem Le Prêtre, porucznik J. G. Janasz w wojsku angielskiem, pada w dniu 15 czerwca. Zacny Dyrektor Szkoły Polskiej Batig-

nollskiej, Alfred Budzyński, traci jednego po drugim, dwu swych jedynych synów, Andrzeja i Marcelego.

Nie dość na tem, nasi Wolontarjusze padają już na innych frontach...

Oto inne sprawozdanie... inny opis i z innych stron.

Oto list Wolontarjusza polskiego Wincentego Danielewicza także z miesiąca maja, roku 1915:

„Donoszę Wam, że znajduję się w szpitalu, ileże „byłem ranny, dnia 6 maja, w bitwie z Turkami, na „półwyspie Gallipoli. Było nas tam w Legjonie trzydzie- „stu dwóch Ochotników-Polaków, z których nas zosta- „ło dwudziestu sześciu rannych... Żal mi serdecznie „poległych Braci-Rodaków ale, z drugiej strony, cieszę „się, bośmy tęgo szli na kule i bagnety z okrzykiem: — „precz żółtoskórzy z Europy do Azji, potomkowie króla „Jana III idą na was. A choć którego jedna lub dwie „kule ugodziły, tośmy sami sobie obwijali rany i dalej „szli naprzód. Aż, nareszcie, z braku sił, i upływu krwi, „zaczęliśmy padać. Podjęto nas, znak życia dających, „i odesłano do Algieru. Nie jesteśmy przecież razem, bo „nas porozsyłano na wsze strony po ambulansach. Leżę „sam tu, Polak, i przykrzy mi się bardzo, bo ani od „mej Matki, ani od nikogo nie mam wiadomości. Nie „wiem nawet, czy z mojej familji pozostała żywa istota, „bo na półwyspie Gallipolijskim dostałem od jednego „Polaka dziennik „Polonia“ i z niego dowiedziałem się, „że Niemcy są w Kieleckiem. Matka zaś moja znajdo- „wała się w Chęcinach, — więc boję się, czy ją szwaby „nie zabili, bo oni nas, Polaków, strasznie nienawidzą“.

A więc obawy niektórych ochotników i pogłoski o możliwości wysłania ich pod Dardanelle sprawdziły się.

Kronika Komitetu Wolontarjuszów notuje, że w dniu 28 kwietnia był ranny przy wylądowaniu na półwyspie Gallipoli, wolontarjusz Jan Ładocha, że w tymże dniu był ranny tamże ochotnik Adam Galas i Bulewski. A dalej taż sama Kronika mówi, że tam, pod Gallipoli, polegli: Liszt, górnik, rodem z Królestwa Polskiego i Piotr Bieńkowski, rodem z Warszawy...

W dniu 6 maja atoli była również bitwa w Marokku... pod Sidi-Ben-Zouronk... Więc tam znów ranni byli wolontarjusze: Michał Matuszewski i Michał Kokorek... Przepadli zaś bez słychu, bez wieści w afrykańskich rozsypiskach wolontarjusze: Jan Pazdryk, górnik i Paprzycki...

W niewoli niemieckiej byli wolontarjusze Steinkeller Stanisław, Daniel Bulkiewicz, Juljan Unszlicht, obecnie ksiądz katolicki we Francji, a brat rodzony znanego bolszewickiego prowodyra, później Stefan Grzembka i ci, choć w udręce i niedostatku, spokojnie końca wojny doczekali.

Ochotnicy więc nasi byli już w całkowitym rozgonie, podzieleni, porozrzucani, rozproszeni.

To atoli był dopiero tego rozproszenia początek.

Tuż po dniu 3 czerwca, w którym uchwalono nowe prawo o Legji Cudzoziemskiej, prawo to zaczęło działać. Równocześnie niemal z tem prawem zaczęła działać rosyjska ambasada.

Należy tutaj zaznaczyć, że w Legji Cudzoziemskiej byli i Rosjanie, często duchy niespokojne, krnąbrne. Owóż oni to, niezadowoleni z warunków służby w Legji zaczęli słać do ambasady rosyjskiej podania o wycofanie ich z Legji, o przeniesienie do szeregów rosyjskich. Dalej, ten i ów z opiekunów danego ochotnika, poddanego rosyjskiego, choć nie Rosjanina, użalony ciężką służbą swego protegowanego, również kołatał do ambasady rosyjskiej, aby pupila z Legji wydobyć

i aby go już na służbie rosyjskiej, przy poparciu, odezłego wojennego zachować.

Ambasada rosyjska więc czyniła zabiegi. Zabiegi te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Oto do postoju Legji Cudzoziemskiej, pod frontem, zjechał był już wymieniany przez nas pułkownik Osnobiszyn, tutaj zaczął obchodzić poddanych rosyjskich, wypytywać się o szczegóły służby, o pochodzenie i zbierać nazwiska tych, którzyby chcieli jechać do Rosji, gdzie odbyta służba wojskowa będzie im zaliczona, gdzie nadto czekają ich odpowiednie prerogatywy, bądź nabyte w szeregach francuskich, bądź należne im z tytułu pochodzenia, wykształcenia lub może dawnej służby w wojsku rosyjskiem...

Na ten pierwszy apel, — odpowiedziało bardzo wielu poddanych rosyjskich i aż nadto wielu Wolontarjuszów polskich, i to należących właśnie do tej drugiej, tej prawie polskiej kompanji...

Odrazu tutaj, należy wyrozumieć stan psychiczny wielu tych młodzieńców, wpływ zetknięcia się z grozą wojenną, poczucie niemocy, jako reakcji po poniesionych stratach, nakoniec myśl, że, choć w rosyjskich szeregach, ale będą bliżej swoich, że posiądą jakoweś rangi, że może odwleką godzinę śmierci... boć podróż do Rosji, w owych czasach, szła hen, przez Morze Północne, przez Morze Białe, hen do Archangielska, hen do krańca północnego olbrzymiej monarchji.

Po tej pierwszej wizycie pułkownika Osnobiszyna, nastąpił tuż przypadek buntu w szeregach Legji Cudzoziemskiej...

Oto wyjątki z dwu listów Wolontarjusza Piotra Rogowskiego. Wyjątki, stwierdzające zresztą znane Komitetowi Wol. z innych źródeł szczegóły.

Pod datą, dnia 26 czerwca, 1915 roku, Piotr Rogowski donosi prezesowi Wolontarjuszów:

„Mam zaszczyt donieść WPanu, iż po raz wtóry nasz „pułk znajduje się w Szampanji. Przyszliśmy tutaj, ro- „biąc kilkodniowe marsze. Są to bogate okolice, gdzie „wioski i miasta mniej ucierpiały od pruskich pocisków.

„Następnie muszę donieść WPanu smutną nowinę, „oto, w tych dniach, sąd wojenny skazał dwudziestu „siedmiu za zbuntowanie się, a to dziewięciu na pięć lat, „drugich dziewięciu na dziesięć lat robót ciężkich, „a ostatnich dziewięciu na natychmiastowe rozstrzela- „nie. Byli to uparci i nieroztropni ludzie, którzy tak „ważną sprawę z lekkiej wzięli strony. Smutny to dla „nas wypadek i tem więcej, ponieważ między skazany- „mi na śmierć, znajduje się także jeden Polak, Jan „Brudek, jest to syn wieśniaka z Królestwa Polskiego“.

Stało się to w Drugiej Legji Cudzoziemskiej, w bataljonie litera „F“.

Tenże sam Piotr Rogowski objaśnia dalej, w liście swym z dnia 9 lipca:

„Co się tyczy ostatniego wyroku sądu wojennego, „to muszę dodać, że, prócz Jana Brudka, skazanego na „rozstrzelanie, jeszcze drugi Polak, Sobiesław Kęszkie- „wicz z Królestwa, liczący lat dwadzieścia jeden, ska- „zany został za rewoltę na 5 lub 10 lat ciężkich robót. „Niestety i tym razem wyłuszczyć muszę, że ci dwu- „dziestu siedmiu osądzeni w dobrej myśli działali, lecz „bardzo nierozsądnie postąpili. W ostatniej bowiem mi- „nucie, wyżsi oficerowie francuscy aż ich błagali, aby „załatwić tę sprawę łagodnie, dowód, że z siedemdzie- „sięciu pobuntowanych, tylko dwudziestu siedmiu na- „koniec zostało“...

Wspomniany bunt legjonistów, polegający na odmówieniu wykonania rozkazów, miał podłoże w pewności siebie niektórych poddanych rosyjskich, którzy spodziewali się interwencji ambasady i przekonani byli, że mogą władz legjońskich nie słuchać i z nich sobie drwić...

I ten bunt narobił hałasu niemałego, na liście rozstrzelanych przeważali bowiem żydzi, jak Szapiro, Dickman, Elfant i inni. Współwyznawcy rozstrzelanych i ukaranych upomnieli się, dotarli nawet bodaj do komisji wojny w parlamencie. Z tego wszystkiego, już bez narad uroczystych, postanowiono, że, jeżeli który poddany rosyjski chce się wynieść z Legji Cudzoziemskiej i z ochotnika przejść na rosyjskiego żołnierza, to uwolnić go natychmiast, oddać w tej chwili do dyspozycji rosyjskiego attaché wojskowego.

Nie dość na tem. W tej samej chwili zabrano się do przeprowadzenia, jak to zaznaczyliśmy, generalnej sanacji Legji Cudzoziemskiej, respective uwolnienia jej od żywiołów austroniemieckich, żywiołów niepewnych, podejrzanych. Dalej uznano za pożyteczne nie robienie trudności tym ochotnikom, którzy upominali się o reformę, — w ostatku wolontarjuszom, znanym z dobrej służby, zezwalano zaciągać się do pułków regularnych, francuskich... przechodzić do innych rodzajów broni...

Z tych nowych rozporządzeń, nowych rozkazów powstaje nadewszystko, trudny do ujęcia, zamęt, a tuż za nim rozsypanie naszych ochotników, rozsianie po najróżnorodniejszych formacjach.

Sięgnijmy znów do dokumentów, weźmy nadewszystko pod uwagę własne wolontarjuszów relacje.

Oto list wolontarjusza, Ludwika Sowińskiego, z zakładu pułkowego w Lyonie, list z dnia 28 lipca, 1915 roku:

„Wczoraj przypomniałem sobie, jak Wam przykro „musiało być w dzień naszego wyjazdu na front, bo to „samo wrażenie przeżywałem i ja. Około *sześćdziesię-„ciu* znajomych Polaków z 2-go i 3-go pułku marszo-„wego wyjechało do Rosji. Ludzie, z którymi się tyle „przeżyło w przeciągu roku, wyjechali i może się wię-„cej nie zobaczymy. Żegnając się z nimi, czułem jakiś „niesmak. Coś w rodzaju wstydu ogarnęło mnie. Przy „dość serdecznem pożegnaniu, zdawało mi się, że się „pytam, dlaczego nie dotrzymują z nami do końca. Co-„prawda to nie czas dziś na sentymenty. Jeden prze-„dłuża sobie życie wyjazdem do Rosji, inny przeniesie-„niem się z infanterji do artylerji i t. d. Znalazło się „wielu amatorów, aby zmienić pułk przed wyjazdem, „ale było zapóźno. Kolonel nie chciał się zgodzić na „zmianę, bo nie chciał się narazić Osnobiszynowi...

„Przy rozdzielaniu żywności na drogę, jeden z sier-„żantów zachowywał się niegrzecznie, chcieli go pobić, „ale zdążył uciec. Wtrącił się do tego Jodko i kapitan. „Pierwszego poczęstowano taksamo, a drugiego wygwi-„zdano za to, że podeptał trójkolorowy gałganek, któ-„rym go prowokowano, podsuwając mu pod nos pra-„wie, jako sztandar. Zebrano wszystkich, zdolnych do „noszenia broni i kazano im wyjść z karabinami, jako „garda, aby zażegnać awanturę. Aresztowano trzech Ro-„sjan i wywołano z szeregu Boksera, którego pułkow-„nik uderzył w twarz tak silnie, aż mu czapka zleciała. „Zaimponowało im pewnie takie pożegnanie, bo nikt „się tym razem nawet nie ruszył“.

Sprawę wyjazdu do Rosji stawia bardzo energicznie, skromnego autoramentu człowiek, lecz wielkiego serca żołnierza, wolontarjusz Franciszek Paczek i pisze:

„Donoszę Szanownemu Panu o mojem powodzeniu. „Moje powodzenie teraz jest trochę lepsze, jeszcze je- „stem dotychczas w Lyonie. I donoszę Szanownemu „Panu, że był u nas jeden Moskal, Pułkownik i pytał „się, kto chce jechać do Rosji, do wojska. Jedzie dużo „ruskich i żydów, ale ja nie jadę, zostaję się we Francji „i piszę się do artylerji, bo teraz kto chce i gdzie, to „idzie, czy do francuskiego regimentu, albo do legji, „ale ja idę do artylerji. I dużo się Polaków zostaje we „Francji, prawie wszyscy, nie wiem napewno wielu je- „dzie, ale mało“.

Wyraźniej rzecz objaśnia Wolontarjusz, Ksawery D'Abancourt, ranny w dniu 16 czerwca i, po wyleczeniu, odesłany do Lyonu:

„Zajechałem szczęśliwie do Lyonu. Tu zamieszanie „straszne. Włosi, Belgowie, Anglicy wyjeżdżają do „swoich. Stu ośmdziesięciu Rosjan i Polaków wyjeżdża „dziś do rozmaitych regimentów francuskich. Reszta „Polaków, poddanych rosyjskich, ma być wysłana w kil- „ku partjach do Rosji tak, że pozostanie nas mała gar- „stka, którą prawdopodobnie wyślą do Dardanelli lub „tu, na front. Ale mnie to najmniej obchodzi, zostawiam „im wolną wolę, bo od przyjazdu zapisali mnie, pomi- „mo mego protestu, na listę czarną, to jest do Austro- „Polaków. Wesoła perspektywa. Może WPanowie po- „radzą co na to?“...

Abancourt, Wolontarjusz, Bajończyk, ranny dnia 16 czerwca, rodem z Galicji, poszedł na „czarną listę“ tych niepożądanych legjonistów. Była to fatalność, był to zapewne rezultat jakiegoś oskarżenia, jakiejś denuncjacji, raport jakiegoś gorliwego sierżanta.

Najbardziej atoli szczegółową relację z tego, co się działo podówczas w Lyonie daje autograf Antoniego Dąbrowskiego, pod datą 6 lipca, 1915 roku:

„Pisałem do Pana list i nie otrzymałem odpowiedzi. „Napewno Pan nie wie i nie ma danych co do śmierci „mego brata, Teofila Dąbrowskiego. Przybył do Depôt „Władysław Sowiński i Frenkiel i wielu innych z naszej „kompanji, którzy mieli jechać do Dardanelli z Gre„kami, i oni potwierdzili śmierć brata i Rotwanda.

„Tu, w Depôt, wielkie zmiany, napiszę Panu nazwi„ska Polaków, którzy tu są, w Depôt.

1. Walter Stefan, jest w szpitalu w Lyonie. — 2. Ko„strzewa jest w Depôt, infirmierem. — 3. Kulągowski „Władysław, kapral, został zreformowany w zeszłym ty„godniu, pojechał do Marsylji. — 4. Styczyński, kapral, „pojedzie do Rosji. — 5. Weislitz Jakób, wczoraj wy„jechał do Marokka. — 6. Możdżeński narazie jest „w Depôt. — 7. Franciszek Grysa, wczoraj wyjechał do „Marokka. — 8. R. Rembelski, kapral, uznany za nie„zdatnego i będzie za jakiś czas zreformowany. — „9. Kołomiński Antoni, wczoraj wyjechał do Marok„ka. — 10. Krystofik wstąpił do armji francuskiej. — „11. Winek, w szpitalu w Lyonie, podany do reformy. — „12. Gawroński, jest w szpitalu w Depôt, chory na „oczy. — 13. Jodko, podporucznik, podał się do armji „francuskiej. — 14. Obst Walenty, kapral, chory na „uszy, pewnie będzie zreformowany. — 15. Kozierow„ski, pojedzie do Rosji. — 16. Chlebicki pojedzie do „Marokka. — 17. Lumbée, podany do reformy. — „18. Biernawski pojedzie do Rosji. — 19. Filipowicz, „pojedzie do Rosji. — 20. Żyznowski, pojedzie do Ro„sji. — 21. Marcinkowski, pojedzie do Rosji. — 22. Śli-

„szyński, pozostał się, jako tłumacz. — 23. Morgiewicz, „w szpitalu w Lyonie. — 24. Dąbrowski Antoni, w szpi- „talu w Lyonie. — 25. Grobelny, w szpitalu w Lyonie. — „26. Świtalski, dziś poszedł do Depôt, wypisany ze szpi- „tala, pojedzie do Marokka. — 27. Osecki jest w De- „pôt, pojedzie do Marokka. — 28. Putowski, w szpitalu „w Lyonie. — 29. Sowiński Władysław jest w szpitalu „w Lyonie.

„Dużo Polaków jest jeszcze w Depôt, których naz- „wisk nie znam.

„Wyszło rozporządzenie, że wszyscy Wolontarjusze „Polacy z zaboru niemieckiego i Galicji, Czesi i Alzat- „czycy, którzy są uznani za niezdatnych, nie będą re- „formowani, a będą wysyłani do Bel-Abbès, do Algieru „i tam mają być w szpitalach. Wczoraj grupa takich wy- „jechała, w której byli Grysa Franciszek, Weislitz, Ko- „łomiński i wielu innych Polaków, których nazwisk nie „znam. Wyjechało ich 26, w tej liczbie Czesi i Alzat- „czycy. A tych zdolnych, zdrowych Polaków z zaboru „pruskiego i Galicji, Czechów i Alzatczyków wyślą do „Marokka. Rosyjscy poddani, na żądanie, będą wysyła- „ni do Rosji. Przybyło z frontu czterystu pięćdziesięciu „rosyjskich poddanych, którzy chcą jechać do Rosji, „przeważnie żydki, mało jest tam Polaków. Grecy wy- „cofani zostali z frontu i są w Lyonie (Valbonne), jest „ich ośmiuset, którzy się zbuntowali nie chcąc nigdzie „jechać... Rozbroili ich i trzymają pod strażą francu- „skiego wojska i mają ich wysłać do Dardanelli...

„Ja, po przyjściu do zdrowia, pewnie zaciągnę się „do armji francuskiej“...

Tak pisał Antoni Dąbrowski.

Do Rosji wyjechała dość znaczna gromadka Polaków.

W dniu 22 sierpnia, z Brestu, jak zapewnia Jan Żyznowski w swej książce („Dla Polski pod Joffrem“, str. 127) wyjechali na pokładzie angielskiego transportowca, do Archangielska, Wolontarjusze:

Biernawski, Kijewski, Kozierowski, Filipowicz, Świrski, Piotrowski, Komorowski, Gałązka, Joel, Ślusarski, Buczyński, Błaszczyński, Hnizdil, Żbikowski i Jan Żyznowski.

Już między tymi, było wielu takich, którzy podotąd świecili przykładem innym, którzy byli dobrymi duchami gromadek wolontarskich.

A reszta? Co stało się z ową olbrzymią przecież zawsze resztą?...

Miejsce wprost nie pozwala na ściganie losów każdego poszczególnego Wolontarjusza. Z konieczności więc musimy poprzestać na dorywczych wypomnieniach nazwisk, które same niemal się przypominają, życząc gorąco, aby ten olbrzymi materjał dokumentów, który posiadamy zawarty w kilku tysiącach listów własnych żołnierzy, wykazach, świadectwach zaszczytnej służby, doczekał w przyszłości oddzielnej pracy, którąby ten materjał zdołała wyczerpać.

A więc raczej dla dania pojęcia ogólnego o tem rozbiciu Wolontarjuszy we Francji, tuż po bitwach 9 maja, 16 czerwca, uchwale senatu i zabiegach ambasady rosyjskiej, wyszczególniamy, dla przykładu, dalsze koleje niektórych z nich.

Już w lipcu roku 1915 zostali zreformowani:

Włodzimierz Szaniawski, Mieczysław Kajzer, Józef Szembek, Edmund Berger, Jerzy Szurig, Wojciech Palis, Władysław Kulągowski, Jakób Jamniak, Adam Lumbée, Abraham Szczecin. Stanisław Gawroński, Wincenty Januszewski.

I nie koniec na tem, reforma pracuje dalej i uwalnia bardzo wielu wolontarjuszów. Trzeba przyznać, że wielu ochotników stara się wprost o uwolnienie z wojska.

Ubywają więc z szeregów: Tomasz Putowski, Jerzy Osecki, Edward Glaezert, Kazimierz Helle (Kantorek), Stefan Koehler, Maurycy Szmidt, Walenty Obst, Ludgard Morgiewicz, Eugenjusz Girze, Czesław Kostrzewa, Zygmunt Frenkiel, Wacław Romanowicz, Jan Rappaport, Antoni Kołomiński, Franciszek Winek, Batkiewicz Michał, stracił prawą nogę Zygmunt Moszkowski, stracił rękę, Władysław Sowiński, Jerzy Plesnar, i t. d. Każdy miesiąc, każdy tydzień przynosi wiadomości o reformie.

Wielu z tych zreformowanych ustępuje wskutek nabawienia się istotnie choroby a niekiedy ciężkiego kalectwa. Tacy, zasadniczo, otrzymują, według skali niezdolności do zarobkowania, tak zwaną, emeryturę ostateczną lub tylko czasową, o ile jest nadzieja wyleczenia niezdolności lub zmniejszenia jej. Ale rewizje lekarskie, kiedy idzie o emeryturę bywają bardzo surowe, dokładniej bezwzględne. Dumą często takiego lekarza jest ograniczenie do minimum liczby emerytów... Nasi Wolontarjusze nie zawsze, a raczej nawet rzadko, umieją się upomnieć o swe prawa, nie przypuszczają nawet czasami, że mają jakoweś prawa.

Większość przecież reformowanych należy do takich, którzy niebawem powrócą do pełni sił i do całkowitego zdrowia.

Inni znowu, jak, naprzykład, Leon Szymański, (zawsze czujny „garde-drapeau" Bajończyków aż do chwili wywiezienia sztandaru) ciężko okaleczony, całemi miesiącami włóczyć się muszą po szpitalach, z jednej operacji na drugą, zanim doczekają się reformy. Inni jeszcze, ci „poddani" austro-niemieccy, chociaż zasadniczo wykreśleni dla braku zdrowia czy niedomagania z szeregu, docierają do Algieru i tam pokutują jeszcze. Stamtąd dopiero, Komitet Wolontarjuszów dobywa ich powoli i umożliwia powrót na swobodny pobyt we Francji.

A w szeregach?

W szeregach, jakby naprzekór wszelkiemu zniechęceniu, wszelkiej statystyce wolontarskiej, podziewają się jeszcze setki całe takich desperatów, takich zawadjaków, takich uparciuchów, którzy nie tracą nic z zapału do wojaczki, którzy wierzą Francji, którzy nie wypuszczają karabina z ręki.

Ale są to już wiarusi. Mnóstwo z nich wybrało sobie pułki, wybrało rodzaj broni.

Wczorajsi legjoniści służą teraz w artylerji lekkiej i w artylerji ciężkiej, są w żuawach i strzelcach alpejskich, w sławnym 46-tym pułku piechoty linjowej, górnicy poszli do saperów i grzebią w ziemi, inni są w awjacji, tamci dostali się do infirmierij, inni przyczaili się w służbie pomocniczej. Nakoniec ci najzapamiętalsi, ci, którzy pokochali tę szaloną legjońską wojenkę, ci, po dawnemu siedzą w Legji, ci taczają się z jednego odcinka frontu na drugi, ci są ciągle w słynnej „szturmowej" dywizji.

Tym wszystkim Wolontarjuszom dzieje się teraz bezwzględnie bardzo dobrze. W pułkach francuskich, śród towarzyszów broni Francuzów, wszędy lubią Polaków, wszędy traktują ich dobrze, serdecznie. Te narzekania wczorajsze dla tej części ochotników ustają zupełnie. Przeciwnie, ciągle są ślady wielkiej przyjaźni, życzliwości i wyróżniania nawet ochotników polskich. Bywają przypadki wprost wzruszającej dobroci ze strony zwierzchników. Bywa tak, że oficer uwalniając swego żołnierza - Polaka na urlop, a wiedząc, że biedak niema nikogo w Paryżu z rodziny, wyprawia go do swojej własnej rodziny. Bywa, że wyjeżdżającemu chce wetknąć na drogę garść pieniędzy, — a polski ochotnik nie przyjmuje.

Trup polski pada dalej, chociaż rzadziej, nie tak gromadnie z racji rozproszenia... i pada ofiarniej, że się tak wyrazimy. Teraz bowiem każdy zgon polskiego ochotnika jest przez starszyznę danego oddziału francuskiego podnoszony, wyróżniany zaszczytnie.

Prawda, i teraz i dalej są jeszcze legjoniści... ale tak ostrzelani, tak stwardniali w życiu żołnierskiem, tak hardzi, że tutaj już im nic do gburowatości sierżanta czy adjutanta. To już weterani wojny, przed nimi lada wyższy stopniem respekt musi trzymać, stary żołnierz nie da sobie dmuchać w kaszę.

Tylko ci biedni jeszcze „austro - niemcy" a raczej ci z nich, którzy się przyznali do pochodzenia swego z pod Austrjaka lub Prusaka... bo wielu uchodziło zawsze za poddanych „sprzymierzonego" państwa, — otóż oni jedni utyskują bardzo, skarżą się bardzo i na to, że ciągle są niby Polakami czwartego rzędu, że za swój zapał, za poświęcenie nie znajdują zaufania, otuchy, zachęty, podzięki. I ci poniewierają się po wszelakich frontach odległych, po Afryce, po półwyspie Gallipoli, po Salonikach...

A sztandar Bajończyków?

Sztandar Bajończyków, który, jak wyjaśniliśmy, nie był w żadnej bitwie i dlatego, że fatalność sprawiła, iż nie był podówczas na froncie, lecz razem z chorążym swym na urlopie, ten sztandar, wysłany w ostatku pocztą, powrócił do Paryża

Tutaj nastąpiła krótka narada kilku przebywających Bajończyków i na skutek tej narady, w dniu 24 lipca sztandar ten został oddany na przechowanie Komitetowi Wolontarjuszów, w osobach: Derezińskiego i Gąsiorowskiego, z tem, że, o ile będzie sformowana kompanja polska (z udziałem bodaj kilku dawniejszych Bajończyków) to sztandar te ma być tej kompanji przekazany — o ile takiej kompanji nie będzie, — w takim razie sztandar ten będzie złożony w jednem z muzeów narodowych polskich, za zgodą pozostałych, po wojnie Bajończyków, — ale tych tylko, którzy byli na froncie... Taki akt został spisany i podpisany.

I sztandar poszedł, owinięty w swą historyczną ceratkę, bez drzewca, które przepadło razem z furgonem, — do biur-

ka prezesa Komitetu Wolontarjuszów. Chorąży zaś, Jan Sobański zmienił służbę i został szoferem ambulansu.

Sztandarowi temu jednakże sądzonem było doczekać, w kilka lat później, promienniejszej chwili.

Wszystkie te przeżycia owoczesne nie były ani należycie ocenione, ani doceniane.

Wolontarjuszy polskich żałowano, ubolewano nad nimi, wzdychano, ale im z pomocą nie śpieszono. Podkreślamy raz jeszcze, że, jak to zaznacza kronika owoczesna, ofiarność bardzo bogatej polskiej Kolonji w Paryżu, i po bitwie pod Arras, nie wyniosła nawet 10 franków (dwu dolarów) na głowę...

Ciż sami, którzy tak szybko w następstwie mieli padać z zachwytu dla wszystkiego, co francuskie, ciż sami, którzy i dzisiaj szukają skwapliwie dowodu, aby swe „zawsze profrancuskie" wypominać zapatrywania, — ciż sami w tak osobliwe ubolewania się wdawali, że nareszcie Wolontarjusz Polski, sierżant Legji, Tadeusz Mostowski, odpowiedział hardo:

Przed grobem walecznych, w ciszy chylcie głowy,
Bez żalu, — niech oko łez próżnych nie roni,
Zamknijcie skarg jęki w głębi serca toni,
Lwów matki, —siostry dzielnych, — bohaterów wdowy.
. . . .
Przed grobem walecznych w ciszy chylcie głowy!...

Tak wołał głos sierżanta Tadeusza Mostowskiego, uwięzionego w szeregu desperatów, w Marokku, w Dar - Caid - Ito.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

DZIAŁANIA POLITYCZNE. — LICYTACJA ARGUMENTÓW. — POŻEGNANIE WARSZAWY PRZEZ ROSJAN I POWITANIE PRZEZ AUSTRONIEMCÓW. — ORJENTACYJNE PLANY I OBRACHUNKI. — PROPAGANDA WEWNĘTRZNA I ZEWNĘTRZNA. — SIENKIEWICZ I DELCASSE. — DWIE ENCYKLOPEDJE. — ZAŁOŻENIE AGENCJI PRASOWEJ W LOZANNIE. — UTWORZENIE CENTRALI PRASOWEJ W RAPPERSWYLU. — WYZNANIE DEMOKRATÓW PARYSKICH. — HOROSKOPY POLAKÓW W SZWAJCARJI. — CI, KTÓRZY WALCZĄ I CI, KTÓRZY RADZĄ.

Wojna tymczasem szalała, wojna na frontach bojowych i wojna, równie zażarta na frontach dyplomatycznych.

Kronika roku 1915 notuje wypadki brzemienne w bardzo doniosłe następstwa, ale wypadki tak osobliwie skojarzone, że dla owoczesnych więcej przybywa z nich zamroczenia, więcej pomylenia, aniżeli tworzywa do jasnego sądu.

Odnosi się to w niemniejszym stopniu do politycznych działań i planów polskich statystów. Nawet tacy, którzy zdołali się wydobyć z granic państw wojujących, a więc wydanych na nakręcone do potrzeb danego państwa informacje, nawet ci, którzy bytują na wolnej ziemi Helwetów, w Danji lub Szwecji szukają zacisza, i oni brną dalej w swych orjentacyjnych kalkulacjach.

Jedni na zwycięstwie Austro - Niemców opierają rozwiązanie najbliższe sprawy polskiej, drudzy patrzą petersburskich sympatyj czy wogóle aljanckich wpływów.

Losy wojny ciągle i naprzemiany to tym to owym dostarczają argumentów.

Pomruk groźny Stanów Zjednoczonych, z powodu zatopienia przez submarynę niemiecką „Lusitanii“, zdaje się przechylać szalę na rzecz aljantów. Pogrom atoli wojsk rosyjskich, odebranie Rosjanom Lwowa, zdobycie Warszawy, przyznaje rację Naczelnemu Komitetowi Narodowemu w Wiedniu. Tutaj znów Włochy przystępują do wojny, stają w szeregu obok Francji, więc znów szala aljancka wzmocniona. Na krótką przecież metę, gdyż niespodziewanie Bulgarja opowiada się za Niemcami, rzuca rękawicę Rosji, swej wczorajszej protektorce. I szala znów chyli się ku mocarstwom centralnym, i znów inna orjentacja podnosi głowę do góry, mocniej występuje.

W przededniu wzięcia Warszawy, kiedy linje bojowe rosyjskie rwą się jako nici, Rosja zdobywa się na utworzenie Komisji Polsko - Rosyjskiej, mającej opracować zasady urzeczywistnienia obietnic manifestu wielkiego księcia Mikołaja.. Rosja wraca więc do tego samego manifestu, który przecież uważała za zwykłą odezwę naczelnika siły zbrojnej, pragnącego zjednać sobie przychylność ludności kraju nieprzyjacielskiego.

Do Komisji tej zostają powołani: Roman Dmowski, Eustachy Dobiecki, Władysław Grabski, Jan Harusewicz, Ignacy Szebeko i Zygmunt Wielopolski.

Radość! Zwycięstwo!

Rosyjski prezes ministrów śle do stóp cesarza Mikołaja uroczyste zapewnienie, że:

„Polacy, członkowie najwyżej zatwierdzonej Rady, powołanej „do rozważenia systemu urzeczywistnienia zasad, obwieszczonych „w odezwie Zwierzchniego Wodza Naczelnego, z dn. 1 (14) sierp-

„nia, 1914 roku, składają u stóp Waszej Cesarskiej Mości uczucia „oddania się wiernopoddańczego i najgłębszej wdzięczności“...

i t. d. i t. d. i t. d. płynie jedna więcej niewolnicza arynga.

Tuż potem, kiedy fala bagnetów niemieckich ma otoczyć Warszawę, tenże prezes ministrów rosyjskich, Goremykin, prawi w Dumie rosyjskiej już komplementy niesłychane:

„Naród polski, rycerski, szlachetny, zasługuje na sympatję „i szacunek bez zastrzeżeń“...

I dalej zawiadamia o postanowieniu cara Mikołaja przyznania Polsce, pod berłem cesarzów rosyjskich, autonomji narodowej, społecznej i ekonomicznej.

W odpowiedzi na strzeliste przemówienia Goremykina odpowiada w równym tonie poseł Harusewicz:

„Pragniemy gorąco tego zwycięstwa... ileże obiecuje nam ono „jasną przyszłość, której najlepszą gwarancją są węzły, łączące dzi„siaj Rosję i Polaków, przelewających po bratersku krew za wspól„ną sprawę“...

Toż samo przemówienie swoje powtórzył minister Goremykin w Radzie Państwa i otrzymał tam jeszcze wyraźniejszą polską odpowiedź, bo z ust tradycyjnie lojalnych hr. Wielopolskiego:

„Nasze miasta są w gruzach, wsie nasze w popiołach, nieprzyja„ciel u bram naszej stolicy.. W tej historycznej godzinie oświad„czamy, że droga, którą wybraliśmy, nie zależy od losów wojny. „Ufamy w pomoc Opatrzności. Polska pozostanie w unji z Rosją, „pod berłem naszego Monarchy“...

Naturalnie, w odpowiedzi na to niejako „pożegnanie“ Warszawy przed zalewem germańskim, nastąpiło tuż „powitanie“

Warszawy z powodu „uwolnienia " jej z kajdan moskiewskich...

Głos zabrał Jaworski imieniem Naczelnego Komitetu w Wiedniu i orzekł znów i zawsze, jako potężny reprezentant potężnej większości polskiej wszystkich „zdrowo" myślących Polaków, i powiedział co innego...

„O granicach państwa polskiego, przed ukończeniem wojny „mówić, nie jest rzeczą realnych polityków. Stwierdzić jednak należy, że złączenie niepodzielnego Królestwa z niepodzielną Galicją jest podstawą dążeń Polaków. Podział tych ziem, byłby raną, któraby się nie dała niczem zabliźnić".

Zresztą głęboką myśl polityczną wynurzeń Harusewicza i Wielopolskiego odjaśnił był prawie równocześnie „okólnik" nowomianowanego kuratora Okręgu Naukowego Wileńskiego. Nowy pan kurator, drwiąc sobie ze wszelkich duserów Goremykina, z wojny, polityki i nowego „wiatru polskiego"... zapowiedział w tej przełomowej chwili, urbi et orbi, że za wszelką cenę i wszelkiemi środkami nie dopuści do polonizowania Białorusinów, tego „istinno" prawosławnego i wielkorosyjskiego szczepu, który nie przestaje być ciągle ofiarą polskiej intrygi...

Jaworski także miał swego komentatora, który wyraźniej wykładał to wszystko, co on zaznaczał przesłankami politycznemi. Komentatorem tym był Władysław Studnicki.

Ten ostatni działacz, w wydanej przez się broszurze politycznej, mającej mu otworzyć drzwi do „polskiej" Rady Stanu, broszurze o „Racji stanu Włoch i sprawie polskiej" (Raison d'Etat de l'Italie et la cause polonaise)" orzekł z powagą:

„Poznańskie i Prusy Zachodnie, zaanektowane przy podziale „Polski i wycięte z Księstwa Warszawskiego, są krajami o ludności mieszanej...

„Dwie trzecie ludności w Poznańskiem należy do narodowości „polskiej, a jedna trzecia do narodowości niemieckiej, w Prusach „Zachodnich dwie trzecie należy do narodowości niemieckiej, a je„dna trzecia do polskiej. Dwie pozostałe prowincje o ludności mie„szanej nie mają charakteru polskiego. Tylko w części Śląska „żywioł polski posiada przewagę, lecz niema ani tradycji, ani sfery „intelektualnej polskiej. W Prusach Wschodnich, dawnem lennie „Polski. ilość ludności polskiej nie przekracza 12 procent.

„Część Polski, zaanektowana przez Prusy, nie może być, wo„bec swego składu narodowościowego i małego obszaru terytor„jalnego, brana pod uwagę przy przyszłem odbudowaniu Polski“...

Był to zaisty wspaniały materjał dla naszych „przyjaciół“ aljanckich na Kongresie Wersalskim, którego oczywiście Studnicki nigdy się nie spodziewał.

Zresztą komu, nawet pod Niemco - Austrjakiem, wywody Studnickiego nie przypadały do smaku, ten miał wtórująca temu wszystkiemu wewnętrzną propagandę bardzo a bardzo starannie przygotowaną. Propaganda ta tłumaczyła delikatnie lub mniej delikatnie, że przecież Niemcom za wojnę także się odszkodowanie należy... ale że, wzamian, bezwątpienia arcyksiążę austrjacki Stefan Habsburg, rezydujący w Żywcu, królem polskim zostanie, podczas gdy królem litewskim będzie książę Joachim, syn Wilhelma... I w ten sposób, kto wie, czyli nawet unja Polski z Litwą nie doczeka się wskrzeszenia...

I w tym kierunku mocarstwa centralne całkowity nad aljantami święciły triumf.

Propagandy śród Polaków na rzecz aljantów nie było żadnej. Nie troszczyła się o to ani Francja, ani Anglja. Polacy nie istnieli, nie brani byli w rachubę. Dopiero zabiegi, działania, przypominania się Polaków, wierzących w aljanckie zwycięstwo, zwróciło uwagę na sprawę polską, — i bodaj dlatego, że zaczęło niepomału zastanawiać polityków zachodnich, iż, pomimo wszystko... Austro - Niemcy coś nazbyt gorliwie zajmują się Polakami...

Zanim wszekże do tego przyszło, — przez bardzo długi czas, wszyscy Polacy i wszędzie, zarówno w zakątkach Polski, jak bodajby w Washingtonie, Petersburgu czy Paryżu byli oddani na łaskę i niełaskę czujnej i bardzo przebiegłej propagandy austro - niemieckiej... która rozsiewała fałszywe pogłoski, kompromitowała Polaków wrogich germaństwu, szydziła z proaljanckich rachub, mówiła o potędze Niemców, dawała ciągłe przykłady już nietylko obojętności aljantów, lecz poprostu ich lekceważenia. Środki miała potężne, machinę zorganizowaną znakomicie, w szeregach zaś swych wykonawców nietylko płatnych agentów, nietylko płatnych nicponiów, ale, co najgorsze, najstraszniejsze, ludzi dobrej woli, dobrej wiary, ludzi uczciwych, ludzi nieraz bardzo energicznych, którzy poszli na lep germańskich argumentów, którzy postawili na niemieckiego żołnierza, którzy wpadli w jakoweś zamroczenie i do ostatniej sekundy, dopóki nie zobaczyli dzieciaków, odbierających Germanom karabiny, jako się działo w Warszawie, do tej chwili jeszcze łączyli wszystko, co dobre, z Berlinem i Wiedniem.

Raz jeszcze połóżmy nacisk na ten szczegół, że, o ile po stronie mocarstw centralnych państwowa propaganda, państwowa pomoc finansowa, polityczna wspierała z całych sił orjentację polską, jako czynnik współdziałający, — o tyle po drugiej stronie barykady, a już bezwzględnie po stronie mocarstw zachodnich, więc Francji, Anglji, Belgji i Włoch nic a nic się nie robiło, utrudniało się raczej, przeszkadzało w robocie, nie doceniając jej potrzeby i wartości. Sprawa polska tutaj ginęła w olbrzymim cieniu, rzucanym przez Rosję... Polska była takim drobiazgiem, takim karzełkiem, takim skrawkiem mizernym... No a propaganda austro - niemiecka działała i w odwrotnym kierunku... umiała przekonywać takich, którzy w czasopismach aljanckich, jako aljanci, poniewierali, deptali świadomie lub nieświadomie wszystko, co polskie...

Jak ta robota wyglądała z bliska?

Naprzykład w numerze 57 „Gazety Polskiej" (z dnia 6 sierpnia 1915 roku), wydawanej w Dąbrowie Górniczej", w czasopiśmie, podpisywanem przez nieznanego Janika, czytamy, że wydawana w Warszawie, za czasów okupacji niemieckiej, „Niepodległość" Nr. 6 ogłasza, jak minister spraw zagranicznych i mąż stanu francuski, Delcassé, przyjął Henryka Sienkiewicza... Otóż kiedy Sienkiewicz przyszedł do Delcassé'go, aby pomówić z nim o sprawie polskiej... francuski minister powiedział mu „pan jesteś poddanym rosyjskim i nie mam nic z panem do mówienia o Polsce, macie swój rząd w Petersburgu i tam powinniście się zwracać"... Przyczem czasopismo to dodaje od siebie na pouczenie Polaków:

„Fakt ten należy umieścić wśród innych przyczynków, któ-
„reby powoli mogły otwierać oczy ślepym, wierzącym nietylko we
„wszechpotęgę koalicji, lecz i w dobre jej zamiary względem Pol-
„ski, przy zawieraniu pokoju powszechnego. Demokracja narodowa
„zwłaszcza upatrywała od lat kilku w Delcassém rzecznika intere-
„sów polskich przed rządem petersburskim, rzecznika, który, pod-
„czas posłowania nad Newą, miał tam przedstawić konieczność
„samorządu. Gdy nadeszła istotna chwila działania, dyplomata
„francuski pokazał, czem jest w istocie: powolnym sługą satrapów
„wschodnich, nie lubiącym nawet nazwy naszej ojczyzny"...

Można było ubolewać nad złą informacją i owej „Niepodległości" warszawskiej i owej „Gazety Polskiej" w Dąbrowie i dziwić się, że nie wiedzą o tem, iż Sienkiewicz przebywa w Szwajcarji, że ani na krok nie rusza się ze swej neutralności w Vevey, że na oczy nigdy nie widział Delcasségo, — ale można byłoby z tego się roześmiać... Gdyby, gdyby nie fakt, że natychmiast tę samą nowinę rozgłosiły dzienniki berlińskie, że szwedzki nawet „ Stockholm Dagblad" rozpisał się nad sponiewieraniem pisarza polskiego i jego pięknej ojczyzny, a dalejże taż sama bajka poszła już i do Ameryki...

Ten figiel propagandy niemieckiej musiał jednak spowodować zaprzeczenie. Sienkiewicz stwierdził w liście otwartym, że Delcassé'go nie zna, że nie widział go nigdy w życiu i że w Paryżu od lat siedmiu nie był, no i żadnej konferencji nie odprawiał...

Sprostowanie nastąpiło. Było ogłoszone wszakże w niektórych, w bardzo nielicznych z tych czasopism, które powtórzyły plotkę... no i było ogłoszone we wrześniu, we dwa miesiące po opublikowaniu politycznego kłamstwa, które, pomimo wszystko, na opinję oddziałało, wpłynęło, zatruło niejednego, niejednego rozgoryczyło.

Tej propagandzie bardzo często sekundowała ignorancja lub chęć przypodobania się rosyjskiej ambasadzie. Były więc znów, naprzykład takie fakty, że paryska „L'Opinion", wydając wspaniały numer, poświęcony całkowicie „Świętej" Rosji dla podniesienia splendoru tej Rosji, ładowała portret Curie - Skłodowskiej, jako rosyjskiej uczonej...

Wszystkie przecież te rozmaitego rodzaju, celowe, mimowolne, złe czy dobre, szczere czy obłudne wystąpienia polityczne i apolityczne, o ile działy się po tej lub tamtej stronie barykady, szkody większej sprawie naszej nie przynosiły. Można je było złożyć na karb miejscowych warunków, bagnetów, kłamliwych wieści.

Niedola wszakże zaczęła się już na dobre wówczas, kiedy propaganda orjentacyjna wychynęła na tereny neutralne, kiedy naraz w państwach skandynawskich, w Szwajcarji, a do wypowiedzenia wojny przez Włochy, we Włoszech zaczęły pracować niby to „niezależne" placówki polskie, niby to, jako wyrazicielki przewodnictwa polskiego, jako, upoważnione przez „olbrzymią" większość polską, ekspozytury polskiej myśli politycznej. Wówczas to sprawa polska zaczęła się chwiać, zaczęła wkraczać na manowce.

Jeżeli oto Naczelny Komitet Narodowy w Wiedniu wyprawił Grabowskiego do Konstantynopola, aby ten składał hołdy, toć zapewne trapił tem bardzo naszych wolontarjuszów, którzy w wojsku francuskiem na Turków szli, choć w duszy bez wielkiego przekonania, — ale politycznie wielkiej szkody nie czynił. Każdy rozumiał, że, w pewnej chwili, tak musiał prawić Jaworski w Wiedniu, a tak znów deklamować Wielopolski w stolicy Rosji lub inny pan wynurzać się w stolicy Niemiec. Były to błędy „lojalności" może, błędy zrozumiałe, może nieuniknione.

Ale, ale kiedy, na gruncie wolnej Szwajcarji, Polacy, niby-to zupełnie niezależni, zaczęli swoje polityczne wyznania wiary ogłaszać, legitymować się przytem swem znaczeniem, swemi wpływami, komentować i sankcjonować oświadczenia i deklaracje Polaków pod karabinami zaborców, już niepodobna było tłumaczyć ich przymusem, usprawiedliwiać naciskiem, zgóry idącym.

W Szwajcarji szczególnie robota polska zaczęła działać.

W Vevey pracował Komitet Generalny dla ofiar wojny w Polsce. Komitet ten ściągał więc liczne czeredy penitentów, ściągał z kraju wysłańców po ratunek, był środowiskiem dokoła którego gromadnie zbierali się Polacy. W Szwajcarji niemieckiej, w szczególności w Rapperswylu, pracowała agencja Zielińskiego, w Genewie zabiegał dr. Z. Laskowski, jeden z przewodników emigracji dawnego autoramentu. W Lozannie, nakoniec, zbierały się kółka i kółeczka bardzo rozmaicie myślące.

W drugiej połowie roku 1915, ta dorywcza i nieskoordynowana robota zamieniła się powoli w dość znaczny i już równomierny wysiłek. W drugiej połowie roku, do niedawna niejasne w założeniu, niepewne płonki organizacyjne, zaczęły się przeistaczać w całe instytucje.

Czynny, zabiegliwy Erazm Piltz, pobity w Komitecie Generalnym dla ofiar wojny, zaczął przemyśliwać nad stworzeniem dla siebie nowego warsztatu pracy, no i może nowego piedestału. Powziął był nadewszystko myśl wydania wielkiej encyklopedji polskiej w języku francuskim, encyklopedji tak ułożonej, aby zebrała ona wszelkie możliwe dane historyczne, etnograficzne, polityczne, społeczne i ekonomiczne o Polsce i Polakach, i tem samem by ta encyklopedja mogła posłużyć za materjał na obrady przyszłego kongresu.

Myśl była dobra, cel doskonały. Środków naturalnie po temu brakło. Ale na tymczasem, zabiegając o urzeczywistnienie tego dalszego celu wielkiej encyklopedji, Piltz przygotowywał początkowo maleńką, zdobywszy na nią składki. Przygotowywał, więc, z właściwym sobie zmysłem praktycznym, zaprzągł jakichś trzech pracowników literackich, samemu poprzestając na roli kontrolera i krytyka.

Następnem dziecięciem inicjatywy Piltza było utworzenie Agencji Prasowej w Lozannie. Agencji takiej, którąby znów zbierała informacje, skupiała wydawnictwa polskie na ziemi neutralnej, wyciągała z nich wiadomości, rozsyłała je w okólnikach do prasy, gromadziła materjały dowodowe o zniszczeniach i gwałtach, słowem w mniej akademickim, lecz równie praktycznym celu, dążyła do tego samego, co i wydawnictwo wielkiej encyklopedji.

Jakoż Piltz przeprowadził bardzo trudne układy, skupił znaczne kolisko ludzi, przezwyciężył wiele, bardzo wiele, no i doprowadził swe zamiary do drogi ziszczenia.

Pamiętajmy, że Piltz w owym czasie miał bardzo wielu wrogów politycznych i osobistych, którzy mu ciągle przeszkadzali i buty szyli na każdym kroku. I to wrogów już nie z pośród kolisk inaczej rozumujących, ale nawet śród najbliżej sąsiadujących z jego przekonaniami czy programami.

Wojna światowa zbliżyła Narodową Demokrację do tak zwanych „ugodowców“ z zaboru rosyjskiego. Wojna sprawiła, że ostatecznie nie było różnic między temi dwoma walczącemi niegdy tak zajadle partjami, — ale były jednakże stare urazy, stare niechęci, podejrzenia, no i były „różne metody“ działania...

Chwytano w lot pomysły Piltza, tak samo jak zresztą ten umiał chwytać cudze myśli, cudze projekty, no i, przy pierwszej sposobności, „utrącano“ Piltza, usuwano a raczej zmuszano do rezygnacji.

W tym czasie więc powstała w Lozannie zasłużona w następstwie tak bardzo Agencja Prasowa Polska, Powstała w ten sposób, że pierwsze pieniądze zdołano uzyskać od kilkunastu obywateli Księstwa Poznańskiego... A dalej, dalej zaczęto odbierać zapomogi od Polaków w Ameryce...

Polacy w Ameryce jednak nie znali ludzi, nie znali działaczy i miewali swe własne upodobania... Jakoż mężem zaufania Polaków w Ameryce został dr. Zygmunt Laskowski. On niejako kontrolował nadsyłane zapomogi na cele polityczne.

Za dr. Laskowskim przemawiała powaga naukowa profesora Uniwersytetu Genewskiego, lata wygnania, praca w Rapperswylu, nieskazitelność charakteru. Wybór był więc dobry. Ale, ale dr. Laskowski miał własne poglądy na rzeczy i sprawy i wcale nie zdradzał zbyt wielkiego do aljantów zaufania, stojąc raczej na prastarym punkcie, kędy Polska była od morza do morza, kędy Polak wolny nie potrzebował plamić się jakiemiś kompromisami. To usposobienie bardzo zręcznie zaczęto wygrywać przeciwko Piltzowi u Laskowskiego. A ponieważ ten ostatni został, z racji swego amerykańskiego wpływu, mianowanym naturalnie prezesem Komitetu Organizacyjnego, przeto sytuacja Piltza znów stała się bardzo trudna.

Z tego powodu kursowała po Paryżu opowieść, że Piltz na

to zakłada instytucje, aby w następstwie być wyrzuconym przez tych, których do tych instytucyj wprowadził.

Zaciętym przeciwnikiem Piltza był dr. Bolesław Motz. Napróżno chciał go Piltz powoli sobie zjednać i na swoją przeciągnąć stronę. Motz zwalczał Piltza wszędzie i ciągle i bezustannie. Należy tutaj zaznaczyć, że dr. Motz poszedł był znów bardziej radykalnie i że, choć dla Francji nie przestawał żywić sentymentów, jednak opowiadał się za wytoczeniem natychmiastowej otwartej wojny o niepodległość Polski, skłaniając się wszakże do kierunku, który twierdził, że najbardziej uprawnionym do działania przedstawicielstwem jest Naczelny Komitet Narodowy w Wiedniu.

W tej robocie pomagał Motzowi Kozakiewicz. Robota polegała na wydawaniu odezw, manifestów i drukowaniu tygodnika agitacyjnego. Cenzura francuska zawieszała im wydawnictwa. Wydawcy zmieniali tytuł czasopisma i rozsyłali je dalej. W ostatku drukowali je w Paryżu tajnie z nadpisem „Lozanna" i bez żadnej większej ze strony kogokolwiek przeszkody.

Piltz, tak zwany przez Motza „Piłcunio" a przez Woźnickiego „Grzyb", jednakże zwyciężał. Wówczas spróbowano przeciwko Piltzowi maszyny iście piekielnej. W czasie dawnej walki z Piltzem w Petersburgu, jako wydawcą ugodowego „Kraju", ze sfer narodowo - demokratycznych wyszedł słynny pamflet, w którym obrzucono błotem Piltza. Owóż w Paryżu, w czasie wojny, wydano odbitkę tej broszury i rozesłano ją na wsze strony... no i w momencie, kiedy Piltz zasiadał z narodowo - demokratami przy jednym stole obrad...

Na tego rodzaju robotę agitacyjną, nad Sekwaną, zawsze było zadość środków materjalnych.

Niemniej Agencja Lozańska zaczęła działać, zaczęła pracować.

W drugim obozie pomyślano więc natychmiast o przeciwdziałaniu... Jakoż, w ostatnich dniach maja, roku 1915, w Rap-

perswylu, odbył się nagle zjazd „kierowników agencyj prasowych polskich zagranicą"... który utworzył „Centralne Biuro prasowe w Rapperswylu", ogłaszając, że posiada ekspozytury w Berlinie, w Wiedniu, w Chicago, Medjolanie i Paryżu...

Inicjatorem tej nowej centrali był Zieliński, tarczą tej centrali, dobrowolnie czy mimowolnie, był nietylko Rapperswyl, ale Muzeum Narodowe Polskie, a więc już ideowa instytucja polska, mająca swój wybitny charakter polityczny i zasłużoną reputację moralną. Było to, o ile zgody przewodników Muzeum Rapperswylskiego brakło, podszywanie się pod tytuł cudzy, nadużywanie nazwy i imienia. Innego wszakci celu być nie mogło, boć „centrali prasowej" nie można zasadniczo zakładać w oddalonej, głuchej, leżącej na uboczu mieścinie...

Rezultatem utworzenia tej drugiej placówki prasowej była naturalnie nowa walka, tym razem już na gruncie neutralnym, walka dwu orjentacyj, walka po obu stronach mówiąca o częściowej niepodległości, lecz dokładnie wytaczająca z jednej argumenty proaljanckie, z drugiej progermańskie.

Jak na tem wychodziła sprawa polska?

Trzeba oddać sprawiedliwość, iż Agencja Lozańska nigdy nie puszczała się na osobiste wycieczki, zachowywała godność i że bardzo ostrożnie, w komunikatach swych, operowała argumentami i faktami.

Niepodobna tego powiedzieć o ekspozyturze w Rappelswylu. Ekspozytura ta niezawodnie musiała, chcąc nie chcąc, szukać poparcia żywiołów proaustrjackich, musiała szukać ujścia dla swych informacyj w prasie, oddanej czy sprzyjającej mocarstwom centralnym, musiała wtórować duchowi Berlina i Wiednia.

No i ta ekspozytura rapperswylska powtarzała jedno w koło, też same dziwolągi programowe, które rozgłaszali wyznawcy „orjentacji" i w„Widniu", i w Berlinie, i w Chicago i nawet w Paryżu...

Boć i w Paryżu „Grupa Związku Niepodległościowego Demokratów Polskich“ w dniu 23 maja roku 1915 ogłosiła pamiętne oświadczenie:

„Stojąc wytrwale pod hasłem Polski Niepodległej, „bezwzględnie jednomyślni z działalnością tak cywilną „jak i wojskową Naczelnego Komitetu Narodowego, „stwierdzając, iż zwycięstwo naszej Świętej Sprawy jest „w zupełności uzależnione od mocy, jaką Naczelny Ko- „mitet ujawni, i, że, aby moc tę zapewnić, wszystkie war- „stwy społeczeństwa polskiego winny się podporządko- „wać władzy Naczelnego Komitetu Narodowego, będą- „cego zawiązkiem Rządu narodowego, grupa N. orzeka „jednogłośnie, iż, od chwili obecnej, uznaje Naczelny Ko- „mitet Narodowy za swego zwierzchnika, który mocen „jest rozporządzać członkami grupy N. Związku Niepo- „dległościowego Demokratów Polskich dla celów naszej „Świętej sprawy“...

Innemi słowy, dążeniem do „prawdziwej“ niepodległości było posłuszeństwo dla wiedeńskiego N. K. N. i stanie wytrwale przy panu Franciszku Józefie, cesarzu Austrji i jego szanownych sprzymierzeńcach.

Chochlik podpowiada, aby podpisać nazwiska tych nieopatrznych „demokratów“, aleć nie idzie tutaj o tak drobny szczegół, jakim byłoby uczynienie ludziom wielkiej przykrości...

Tym wszystkim Bogu ducha winnym ludziom zdawało się, iż czynią dobrze, iż słuszność po ich jest stronie. I to ich powinno rozgrzeszyć na sądzie ostatecznym historji.

W owym czasie, największe paradoksy były poczytywane za poważny argument, za trzeźwość polityczną.

Wyjątkowym dokumentem takiej właśnie trzeźwości były wydane, zdaje się, że dwukrotnie tylko, tak zwane „Listy Ulotne do Emigracji polskiej w 1915 roku“. „Listy“ te zostały wydrukowane w Lozannie, w Szwajcarji, pod redakcją Władysława Baranowskiego i Tadeusza Szpotańskiego.

W pierwszym zeszycie tych listów ogłoszono taki program polityczny polski, jako wyraz ostatni dyplomatycznych racyj N. K. N. Warto zaiste posłuchać tego programu:

„Niemcy, po wojnie, potrzebować będą zdobyczy, je-
„żeli nie uzyskają wcielenia do Rzeszy Belgji, nie uzy-
„skają kolonij, wówczas aneksja na Wschodzie stanie się
„dla nich psychologiczną koniecznością...

„Z tego to względu, w naszym interesie leży nietylko
„zupełne zmiażdżenie Rosji, dające możność znacznego
„jej obcięcia, ale zwycięstwo Niemiec nad Francją i An-
„glją w stopniu takim, jaki jest niezbędnym do uzyskania
„Belgji i kolonij nowych i to dosyć znacznych.

„Powinniśmy pamiętać, iż obecnie naszem zadaniem
„jest uzyskanie ziem, odciętych od Rosji, dawniej do
„polskiego państwa należących i tej kwestji nie może-
„my komplikować kwestją zaboru pruskiego.

„Błędem naszej dotychczasowej akcji zewnętrznej
„jest, iż sprawa polska jest faktycznie stawiana, jako
„domena austrjacka. Zawieranie, o ile możności, bez-
„pośredniego kontaktu z Niemcami byłoby najbardziej
„wskazanem. Byłoby bardzo dobrem, gdyby grupa zie-
„mian z Poznańskiego, tak zwane Kasyno, rozpoczęło
„akcję samodzielności, weszło w kontakt z cesarzem
„Wilhelmem II. i sferami rządzącemi.

„Z obecnego stanu wojny sprawa polska wyłania się
„w sposób następujący:

„Wojna definitywnie jest już wygrana. Rosja po-
„bita. Obecnie cała Galicja jest od wojsk rosyjskich
„oczyszczona i oczyszczenie z wojsk rosyjskich całego
„Królestwa jest już kwestją paru tygodni. W najgorszym
„więc dla nas razie, gdyby część nabytków na Rosji,
„z ziem dawnej Rzeczpospolitej Polskiej, wcieliły do
„siebie Niemcy, jakich 8 — 10 miljonów zostałyby złą-
„czone z Galicją i wytworzyłyby kompleks, który, ze
„względu na swe rozmiary, nie mógłby pozostawać
„prowincją autonomiczną lub krajem anektywnym, ale
„stałby się państwem równorzędnym z Austrją“.

Takie i tym podobne wywody, tarcia, spory, kłótnie pogrążły sprawę polską, oddziaływały demoralizująco na wszystkich, tych, którzy z bronią w ręku chcieli jej dochodzić, którzy doceniali największą, najpilniejszą potrzebę gotowania ojczyźnie żołnierzy, rzucenia na szalę zbrojnego czynu.

Ten czyn zbrojny istniał w formie organizacji legjonów po stronie Austrji, — ale ten czyn równocześnie dowodził pilnej, gwałtownej potrzeby wytworzenia potężniejszej jeszcze siły po drugiej stronie barykady.

Czynu zresztą legjonowego nie doceniali nigdy nasi potentaci dyplomatyczni mocarstw centralnych, w czem zachowywali ten sam stosunek, jakiego się trzymali wobec wolontarjuszów polskich we Francji. Legjoniści polscy w Galicji dla N. K. N. byli raczej dekoracją, a najczęściej bodaj krnąbrną gromadą, zakłócającą, w miarę rozwoju wypadków wojennych, harmonję polsko-centralnego koncertu.

Już nawet w 1915 roku, wbrew powierzchownym sądom organu Szpotańskiego i Baranowskiego, zwycięstwo Austro-Niemiec, choć przy „oczyszczeniu“ z Rosjan Królestwa i Galicji, było już problematycznem, było już tylko złudą.

Całą szansę wygrania wojny Austro-Niemcy mieli w roku 1914, kiedy gwałtownemi falami rzucili się na nieprzygotowanych do takiej wojny swych nieprzyjaciół. Osadzenie wszakże fali austro-niemieckiej, zatrzymanie jej, bodaj pod bramami Paryż, już było dla mocarstw centralnych grobem.

Ileże od tej chwili aljantom codzień przybywało środków, materjału bojowego, wynalazków, sił i zawziętości, — podczas gdy Austro-Niemcom ubywało ich. Front rosyjski na Zachodzie Europy był oceniany, jako front umniejszający o tyle i tyle dywizyj siły austro-niemieckie. Nikt nie liczył ani nie przypuszczał, aby Rosja była w możności na inną zdobyć się w ostatku metodę wojowania nad tę, która pogrzebała niegdy Napoleona. Cofanie się Rosjan było ciągłem wydłużaniem frontu bojowego, było dla aljantów zachodnich zyskiwaniem na czasie, więc, zyskiwaniem na armatach, na pociskach, na umacnianiu pozycyj.

Tymczasem, aż do końca roku 1915, a i dalej i dłużej jeszcze te prawdy nie istniały dla poważnego odłamu społeczeństwa polskiego. Stąd wszędy, gdzie podziewali się Polacy, tam wszędy krzyżowano sobie wzajemnie plany, psuto nawzajem robotę i nie chciano się zgodzić na jedno.

A wojna niosła podczas nowiny ciągle niezwykłe, ciągle sprzeczne, ciągle odbierające najśmielszym otuchę. Pod wpływem tych nowin, zamęt wzrastał, rozłam się pogłębiał.

Tutaj, nagle, w Warszawie otwiera podwoje polski uniwersytet... Po tylu dziesiątkach lat, za przyzwoleniem niemieckiem, ale nareszcie, nareszcie jest uniwersytet polski w stolicy Polski. Tam głuche, ponure relacje, stwierdzające, jak Rosjanie pędzili przed sobą spokojną ludność polską, jak ją zmuszali do wędrowania wdal, na nędzę, na niedolę. Ówdzie znów doniosłe informacje, że w Warszawie zbierze się niebawem poważna narada coprzedniejszych mężów politycznych polskich. Skądinąd płyną wieści o tem, jak część lud-

ności Lwowa wolała za Moskalami wyruszyć na wygnanie, aniżeli kłaść dobrowolnie głowę pod austrjackie rządy. Ci ogłaszają prezydenta Rutowskiego za umęczonego przez Rosjan, tamci rozpowiadają o gwałtach niemieckich, o okradaniu Polski, o wywożeniu dobytku, o karach. Jedni chlubią się zdobyciem Polskiej Rady Stanu w Warszawie, — drudzy przeklinają Germanów.

I jedno ciągle jest prawdziwem, niezaprzeczonem, jedno nie ulega żadnej wątpliwości... że wszędy, że co kroku tuła się,poniewiera mrowie polskiej niedoli, polskiej nędzy.

Są Polacy w austro-niemieckiej niewoli i w rosyjskiej, są już w niewoli francuskiej, i w niewoli włoskiej, i w niewoli angielskiej nawet... Uchodźcy polscy włóczą się i po tundrach Sybiru, i po równinach Wielkorosji i nawet po tyrolskich wzgórzach i dolinach. W Hiszpanji czyli w Danji, w Holandji czy w serbskiej lub bulgarskiej niewoli, wszędy kołacze się trapiony klęskami, niedostatkiem, rozbity, skołatany polski duch. I duch ten złorzeczy, pomstuje, oskarża, denuncjuje już nawet, własna zatruwa go gorycz.

Ponad tem morzem łez widnieje gmach piękny. gmach wszelakiego dobra, a więc organizacja Komitetu Generalnego w Vevey... No a znów całym właściwym fundamentem tego Komitetu, niezawodnym sprzymierzeńcem, niezawodnym dobrodziejem, — to Wychodźtwo Polskie w Ameryce...

I ono tam łamie się w sobie, i ono podlega tym samym zgrzytom, i ono musi staczać zaciekłe bitwy, — ale ono, krom tego, składa pieniądze i pieniądze te śle w imię miłości brata swego. I pieniądze te idą na wsze strony, dla lewicy i prawicy. dla tych, którzy wierzą śmiertelnemu swemu wrogowi i dla tych, którzy nawet już w nic i nikogo nie wierzą.

Ignacy Paderewski z całych sił swego talentu pomaga, podnieca umysły, rozpala serca. Po swej płomiennej mowie, wygłoszonej w dniu 2 czerwca, w Chicago, do Polaków, wy-

głasza dziesiątki innych. Pracuje wytrwale, jako jałmużnik niestrudzony.

W Stanach Zjednoczonych również działają ciągle orjentacje, sypią się oskarżenia o czerpanie z gadzinowych funduszów, idzie praca sokola, zawsze zasłuchana w echa bojowe, i dalej snuje się sen o potędze, sen o wystąpieniu z bronią w ręku...

Czuj duch, — powtarza gorąca młodzież polska sokola, — Czuj duch — wtóruje jej cały lud Wychodźtwa.

Zdzisław Przebój występuje na szpaltach „czykagoskiej“ „Zgody“ z piorunującem wezwaniem, aby tworzyć legjony na Ziemi Włoskiej, na tej Ziemi, gdzie narodziły się zastępy generała Dąbrowskiego, kędy ku Polsce popłynęły życzenia serdeczne, gorące, nieobłudne, życzenia odzyskania niepodległości...

Więc jeszcze i znów myśl o nowych legjonach, znów w innej stronie świata, znów w innych warunkach, przy innych kalkulacjach...

Wezwanie to przechodzi, cichnie, — ale ani na chwilę nie słabnie pragnienie czynu, wola, wiara nieprzytłumiona żadnemi niepowodzeniami, żeby za karabiny chwycić i z karabinami w ręku racyj politycznych szukać.

Tam, w Polsce, poniewiera się zawiedziona, otumaniona, coraz mocniej gnębiona legjońska dola, — hen, w Rosji wadzą się znów o swe prawo bytu, prawo swego polskiego zawołania ochotnicze zastępy, znów szukające zmartwychwstania ułańskich chorągiewek, szukające wskrzeszenia tradycyj. Jacyś odosobnieńcy, desperaci tulą się do belgijskich pułków, inni zapaleńcy chodzą w kanadyjskiej piechocie, — nakoniec pomimo wszystko, pomimo wszelkie reformy i „ubytki“ w szeregach francuskich wolontarjusz polski i dalej i coraz mocniej daje znać o sobie...

I wszędy, w tych szeregach, oddziałach czy tylko w żołnierskich piersiach polskich ten sam płomień wiary i nadziei, ten sam zapał i taż sama tęsknota do ruszenia w szczere pole...

Tam nigdzie rachuby politycznej, orjentacyjnego uprzedzenia.

Polscy mężowie stanu nie wierzą temu ruchowi, nie wierzą tak samo, jako już nie wierzyli i w roku 1830 i w roku 1863.

Większość potępia ruch strzelecki po stronie Austrji, jeszcze potężniejsza większość za nic ma formacje ochotnicze w Rosji a już wszyscy i, niemal bez wyjątku nawet, słyszeć nie chcą nic o jakichś Wolontarjuszach we Francji, o jakichś Sokołach w Ameryce!...

Wszystko to smarkaterja, dziecinnada, mrzonki nierealne, nieziszczalne! Tu mocarze walczą, tu tytaniczne boje idą, — a tam garście niesforne nastręczają się ze swym militarnym impetem!

Tylko dyplomacja może proces polski wygrać. Tylko ci „głębocy“ myśliciele, w stanowczej chwili, mogą czegoś dokonać swemi notami, wpływami, stosunkami, znajomościami i przyjaźniami.

Jedna partja „bridge'a“ z Lloyd Georgem, jeden obiad z jakimś wielkim „von“ ministrem, znaczy więcej, niż cała ta zabawa w legjony, w formacje, w musztry i smutne warjactwa bojowe w cudzych regimentach...

A jednak, śród tych potępieńców, tych psujów spokoju politycznego, zawsze toż samo uniesienie, zawsze krew, płynąca bez skargi, zawadjackie okrzyki, jakoweś literackie prawie hasła, poczerpnięte ze starodawnych opisów i powiastek.

Rok piętnasty mija! Znów trupy wolontarskie, znów kalecy, znów tylko zaszczytne „cytacje“.

Prowadzą się w tajemnicy jakoweś układy, jakoweś czynione są starania. Napróżno.

A gdzież to wojsko, gdzież te zastępy, gdzież dotrzymanie tylu przysiąg, gdzież rozwinięte sztandary Polskiej Armji?...

— Będzie Wojsko! Armja Polska będzie! Musi być! — tak powtarza z uporem cichy górnik polski, zaszyty w mundur legjonisty francuskiego.

I ten prosty, serdeczny bojownik wierzy święcie w to, co mówi, ufa temu, co jest jego najmocniejszem pragnieniem.

— Musi być i będzie!

A podszept odpowiada:

Będzie, — ale trzeba jeszcze krwi, jeszcze większej ofiary, jeszcze większego cierpienia. — Bo nie masz jeszcze dość potężnego zaklęcia, aby zmartwychwstali śpiący rycerze ziemi, aby stanęli zwarci tam, kędy żadna kalkulacja, żadna trzeźwa rachuba spodziewać się ich nie chciała.

Warszawa, dnia 21 sierpnia 1930 roku.

KONIEC.



Następna Księga *Historji Armji Polskiej* zawrze okres: *1916 — 1917.*

INDEX

PISMA ZBIOROWE
JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

z przedmową STEFANA ŻEROMSKIEGO, w tłumaczeniach polskich H. GAY, HAJOTY, W. HORZYCY, J. LEMAŃSKIEGO, L. PIWIŃSKIEGO, T. PUŁJANOWSKIEGO, B. RYCHLIŃSKIEGO, T. SAPIEŻYNY, J. SIENKIEWICZÓWNY, T. TATARKIEWICZOWEJ, S. WYRZYKOWSKIEGO, A. ZAGÓRSKIEJ i innych.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

I.	SZALEŃSTWO ALMAYERA. Wyd. III	8.—
III.	MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA". Wyd. II	6.—
VI.	MŁODOŚĆ. JĄDRO CIEMNOŚCI	6.—
VII.	TAJFUN. Wyd. II	3.80
IX i X.	NOSTROMO. 2 tomy	18.—
XV.	MIĘDZY LĄDEM A MORZEM. Wyd. II	7.—
XVII.	WŚRÓD PRĄDÓW	6.—
XIX.	SMUGA CIENIA. Wyd II	4.80
XXI i XXIa.	OCALENIE. 2 tomy	15.—
XXIII.	KORSARZ Wyd. II	7.40
XXIV.	OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE	4.—

W ozdobnej płóciennej oprawie każdy tom o 3 zł. drożej.

W poprzednich wydaniach są jeszcze do nabycia:

IV.	OPOWIEŚCI NIEPOKOJĄCE	4.80
XII.	SZEŚĆ OPOWIEŚCI	6.—
XVIII.	ZWYCIĘSTWO. 2 tomy	9.—

Dalsze dzieła Conrada ukazywać się będą w wyd.

DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

po 3 — 6 tomów rocznie.

NASTĘPNY TOM

HISTORJI ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI

OBEJMIE LATA

1916-1917

CAŁOŚĆ DZIEŁA

WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO

DOPROWADZONA BĘDZIE

DO CHWILI ROZWIĄZANIA ARMJI

POLSKIEJ W 1919 ROKU.

PROSIMY O ZGŁASZANIE

ZAMÓWIEŃ NA II i III TOM

HISTORJI ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI